

Philip K. Dick

Zapłata

Przełożyli:

Agnieszka Kuc i Janusz Margański

Zapłata

Nagle poczuł, że się przemieszcza. Dobiegał go jednostajny szum silników odrzutowych. Był na pokładzie prywatnego krążownika o napędzie raketowym, który wolno przesuwiał się po popołudniowym niebie, pokonując dystans między dwoma miastami.

– A niech to! – powiedział, prostując się w fotelu i pocierając czoło. Obok niego siedział Earl Rethrick, który wnikliwie mu się przyglądał błyszczącymi oczyma.

– Odzyskujesz świadomość?

– Gdzie jesteśmy? – Jennings potrząsnął głową, próbując zwalczyć uczucie dojmującego bólu. – A może powinienem inaczej postawić pytanie. – Zdążył się zorientować, że nie był to schyłek jesieni. Wszędzie panowała wiosna. W dole zieleniły się pola. Ostatnią rzeczą, którą potrafił sobie przypomnieć, był moment wsiadania z Rethrickiem do windy. Działo się to późną jesienią. W Nowym Jorku.

– Tak – odezwał się Rethrick. – Minęły prawie dwa lata. Przekonasz się, że wiele rzeczy się zmieniło. Rząd upadł kilka miesięcy temu – nowy jest jeszcze potężniejszy niż poprzedni. TP, czyli Tajna Policja, ma prawie nieograniczoną władzę. Nawet uczniów szkolą na swoich informatorów. Taki obrót spraw był jednak do przewidzenia. I co tam jeszcze? Nowy Jork trochę się rozrósł. Zdaje się, że zakończyli również zasypywanie Zatoki San Francisco.

– Tak naprawdę to chciałbym się dowiedzieć, co u licha, właściwie robiłem przez ostatnie dwa lata! – Jennings zapalił nerwowo papierosa, pocierając główkę zapalniczki. – Może zechce mi pan to wyjaśnić?

– Nie, to oczywiście wykluczone.

– Dokąd lecimy?

– Wracamy do biura w Nowym Jorku. Tam, gdzie pierwszy raz się spotkaliśmy. Przypominasz sobie? Pewnie pamiętasz to lepiej niż ja. Przecież tobie musi się wydawać, że to było zaledwie wczoraj, kilka dni temu.

Jennings pokiwał głową. Dwa lata! Dwa lata wyjęte z życia minęły bezpowrotnie. Wyglądało to zupełnie nieprawdopodobnie. Przecież gdy wchodził do windy, wciąż jeszcze się zastanawiał, miał wątpliwości. Czyżby zmienił zdanie? Tak olbrzymia suma – bo faktycznie było to dużo pieniędzy, nawet dla niego – nie do końca go przekonywała o słuszności podjętej kiedyś decyzji. Wciąż nurtowało go pytanie, jaki rodzaj pracy właściwie wykonywał. Czy była legalna? Podobne spekulacje i tak nie miały już sensu. Nawet wtedy, gdy jeszcze się wahał, klamka już zapadła. Rozżalony wyglądał teraz przez okno, przyglądając się popołudniowemu niebu. Poniżej majaczyła ziemia, wilgotna i tętniąca życiem. Wiosna w pełni, po dwóch latach. I co właściwie otrzymał w zamian?

– Czy wypłacono mi pieniądze? – zapytał. Wyciągnął portfel i zajrzał do środka. – Wygląda

na to, że nie.

– Nie, zapłatę odbierzesz sobie w biurze. Kelly to ureguje.

– Wszystko dostanę od ręki?

– Pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

Jennings uśmiechnął się. Poczł się trochę lepiej, gdy na własne uszy usłyszał wysokość sumy. Być może sytuacja nie przedstawiała się aż tak źle. Przecież to tak, jakby mu zapłacili za położenie się spać. A jednak był już o dwa lata starszy. O tyleż krócej będzie żył. Miał wrażenie, że sprzedał część samego siebie, kawałek własnego życia. A ono stanowiło przecież ogromną wartość, zwłaszcza w tych czasach. Wzruszył ramionami. Tak czy inaczej, było już po wszystkim.

– Jesteśmy prawie na miejscu – obwieścił starszy mężczyzna. Robot, który siedział za sterami krążownika, skierował pojazd w dół, podchodząc do lądowania. Poniżej widać już było przedmieścia Nowego Jorku. – No cóż, Jennings, być może spotykamy się po raz ostatni. – Rethrick podał mu rękę. – Dobrze się z tobą współdziałało. Pracowaliśmy obok siebie. Ramię w ramię. Jesteś jednym z najlepszych mechaników, jakich kiedykolwiek miałem okazję poznać. Nie popełniliśmy błędu, wynajmując cię, nawet za takie pieniądze. Wszystko zwróciłeś nam z nawiązką, chociaż nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Cieszę się, że dobrze spożytkowaliście pieniądze.

– Wydajesz się niezadowolony.

– Nie. Po prostu staram się przyzwyczaić do myśli, że jestem o dwa lata starszy.

Rethrick roześmiał się.

– Przecież nadal jesteś bardzo młody. Na pewno poczujesz się lepiej, gdy Kelly ci zapłaci.

Wysiedli na szczycie jednego z nowojorskich biurowców, na którym zbudowano niewielkie lądowisko. Rethrick poprowadził go do windy. Gdy tylko drzwi się zasunęły, Jennings doznał szoku. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętał, właśnie ta winda. Chwilę potem stracił przecież przytomność.

– Kelly ucieszy się z tego spotkania – zapewnił go Rethrick, gdy wyszli do oświetlonego holu. – Pytała o cię kilka razy.

– Dlaczego?

– Uważa, że jesteś przystojny.

Rethrick przyłożył do zamka kartę kodową. Drzwi odskoczyły, otwierając się szeroko. Weszli do luksusowo urządzonego biura firmy Rethrick Construction. Za długim mahoniowym biurkiem siedziała młoda kobieta i czytała raport.

– Kelly – powiedział Rethrick – zobacz, czyj kontrakt dobiegł końca.

Dziewczyna uniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Witam, panie Jennings. Jak się pan czuje na powrót w zwykłym świecie?

– W porządku. – Jennings podszedł do dziewczyny. – Rethrick mówi, że to pani występuje w roli kasjera.

Mężczyzna poklepał Jenningsa po plecach.

– No to na razie, przyjacielu. Wracam do fabryki. Jeżeli kiedyś będziesz na gwałt potrzebował grubej forsy, wpadnij do nas, to przygotowujemy dla ciebie nowy kontrakt.

Jennings skinął mu głową na pożegnanie. Gdy Rethricka już nie było w pokoju, usiadł przy biurku i skrzyżował nogi. Kelly otworzyła szufladę, odsuwając przy tym krzesło do tyłu.

– No dobrze, pański kontrakt już wygasł, teraz Rethrick Construction może przystąpić do wypłacenia pieniędzy. Ma pan swoją kopię umowy?

Jennings sięgnął do kieszeni po kopertę i rzucił ją na biurko.

– Proszę, oto ona.

Kelly wyjęła z szuflady mały, uszyty z materiału woreczek i jakieś odręcznie zapisane kartki papieru. Przez chwilę przeglądała dokumenty, na jej drobnej twarzy malował się wyraz skupienia.

– Co to jest?

– Myślę, że może pan być trochę zaskoczony. – Kelly oddała mu kontrakt. – Proszę to jeszcze raz przeczytać.

– Po co? – Jennings otworzył kopertę.

Kontrakt zawierał alternatywną klauzulę: „Jeżeli druga strona wyrazi takie życzenie, w dowolnym momencie trwania niniejszej umowy zawartej pomiędzy wyżej wymienioną firmą zwaną dalej Rethrick Construction Company...”

– „... jeżeli druga strona wyrazi takie życzenie, wówczas zamiast sumy określonej w punkcie pierwszym niniejszej umowy może wybrać dowolne artykuły lub produkty, które jej zdaniem stanowią satysfakcjonujący ekwiwalent wyżej wymienionej sumy... „– dokończył na głos Jennings.

Następnie chwycił szmaciany worek, rozchylił go i zajrzał do środka. Wysypał całą zawartość na rękę. Kelly przyglądała mu się uważnie.

– Gdzie jest Rethrick? – Jennings podniósł się z krzesła. – Jeżeli wydaje mu się, że to...

– Rethrick nie ma z tym nic wspólnego. Sam pan wystąpił z taką prośbą. Proszę spojrzeć tutaj. – Kelly podała mu dokumenty. – To pana pismo. Proszę przeczytać. To był pański pomysł, nie nasz. Naprawdę. – Uśmiechnęła się do niego. – Takie rzeczy zdarzają się raz na jakiś czas. W trakcie obowiązywania umowy nasi kontrahenci rezygnują z pieniędzy na rzecz jakiegoś ekwiwalentu. Nie mam pojęcia, czym się kierują. Wyrażają na to zgodę, a kiedy przychodzą tutaj, mają już wyczyszczone pamięć...

Jennings szybko przeglądał papiery. To rzeczywiście było jego pismo. Nie miał co do tego wątpliwości. Ręce mu drżały.

– Nie wierzę własnym oczom, chociaż rozpoznaję swój charakter pisma. – Złożył dokument i zacisnął szczękę. – Coś musieli mi zrobić, gdy u nich byłem. Nigdy bym się na coś podobnego nie zgodził.

– Czymś musiał się pan kierować. Przyznaję, że nie widać w tym sensu. Teraz jednak, gdy wyczyszczono panu pamięć, i tak nie jest pan w stanie ustalić, co spowodowało taką decyzję. Nie jest pan pierwszy. Kilka innych osób postąpiło w ten sam sposób.

Jennings zaczął przyglądać się przedmiotom, które trzymał w ręku. Z woreczka wypadło kilka drobiazgów. Magnetyczna karta kodowa do otwierania drzwi. Jakiś bilet. Kwit nadania paczki. Dość długi kawałek cienkiego drutu. Połówka żetonu do gry w pokera. Zielony pasek materiału. Żeton na autobus.

– To zamiast pięćdziesięciu tysięcy kredytów – burknął niezadowolony. – Za dwa lata pracy...

Wyszedł z budynku na ruchliwą ulicę. Było popołudnie. Wciąż jeszcze odczuwał skutki szoku – zupełnie dezorientowany, w głowie miał mętlik. Czy został wystrychnięty na dudka? W kieszeni wymacał swoje małe skarby – drut, odcinek jakiegoś biletu i całą resztę. To miało mu zrekompensować dwa lata pracy! Widział jednak na własne oczy swoje pismo, oświadczenie o rzeczeniu się roszczeń do wypłaty, prośbę o wydanie stosownego ekwiwalentu rzeczowego. Historia, nie przymierzając, jak w tej bajce o głupim Grzesiu, który sprzedał krowę za trzy ziarenka fasoli. Dlaczego? Po co? Co go do tego skłoniło?

Obrócił się i zaczął iść chodnikiem. Na skrzyżowaniu zatrzymał się, żeby przepuścić krążownik, który akurat wyjeżdżał zza rogu ulicy.

– Dobra, Jennings. Wsiadaj.

Gwałtownym ruchem uniósł głowę. Drzwi krążownika otworzyły się. W środku klęczał jakiś mężczyzna, który mierzył prosto w jego twarz z broni termicznej. Miał na sobie niebiesko-zielony uniform. Był to agent Tajnej Policji.

Jennings wsiadł do środka. Magnetyczne zapadki zamków zaryglowały się zupełnie jak wrota lochu. Krążownik płynnie ruszył ulicą. Jennings zapadł się w swój fotel. Siedzący obok niego agent opuścił nieco broń. Inny oficer, który zajmował miejsce po drugiej stronie, wprawnym ruchem rąk zaczął go przeszukiwać. Sprawdzał, czy jest uzbrojony. Wyjął portfel Jenningsa i garść drobiazgów. Kopertę i kopię kontraktu.

– Co znaleźliście? – zapytał kierowca.

– Portfel, pieniądze. Umowę z firmą Rethrick Construction. Żadnej broni. – Oddał Jenningsowi jego rzeczy.

– Dlaczego mnie zatrzymaliście?

– Chcemy zadać ci kilka pytań. To wszystko. A więc pracowałeś dla Rethricka?

- Owszem.
- Przez dwa lata?
- Niecałe dwa.
- W fabryce?

Jennings skinął głową.

- Tak przypuszczam.

Oficer nachylił się ku niemu.

- Gdzie mieści się ta fabryka, panie Jennings? Jaka jest jej lokalizacja?
- Nie umiem odpowiedzieć.

Obydwaj oficerowie spojrzeli na siebie. Jeden z nich oblizał wargi, jego twarz wyrażała napięcie. – A więc nie wiesz? Zadam ci inne pytanie. Ostatnie: co robiłeś w ciągu tych dwóch lat?

- Pracowałem jako mechanik. Naprawiałem różne urządzenia elektroniczne.

- Jakiego typu to były urządzenia?

– Nie wiem. – Jennings spojrzął na swojego rozmówcę. Nie mógł skryć uśmiechu, który ironicznie wydał mu usta. – Przykro mi, ale nic nie wiem. To prawda.

Zapadła cisza.

– Co to znaczy: „Nie wiem”? Pracowałeś nad czymś przez dwa lata i nie wiesz, co to były za urządzenia? Nie wiesz nawet, gdzie pracowałeś?

Jennings obruszył się.

- O co wam chodzi? Po co mnie zatrzymaliście? Niczego nie zrobiłem. Byłem...

– Wszystko wiemy. Nie mamy zamiaru cię aresztować. Potrzebne są nam jedynie pewne informacje. Na temat Rethrick Construction. Pracowałeś przecież dla nich, byłeś w ich fabryce. Pełniłeś ważną funkcję. Jesteś elektronikiem?

- Zgadza się.

- Naprawiasz komputery wysokiej klasy i tym podobne urządzenia?

Oficer sprawdził coś w swoim notesie.

- Zgodnie z tym, co mam zapisane, uchodzisz za jednego z najlepszych specjalistów w kraju.

Jennings nic nie odpowiedział.

– Wyjaśnij nam tylko te dwie kwestie, o które cię pytaliśmy, i natychmiast zostaniesz zwolniony. Gdzie mieści się kombinat Rethricka? Co tam się produkuje? Obsługiwałeś ich maszyny, zgadza się? Pracowałeś tam dwa lata.

– Nie mam co do tego pewności. Tak przypuszczam. Naprawdę nie mam pojęcia, co robiłem w tym czasie. Możecie mi wierzyć lub nie.

Jennings, kompletnie już znużony, wpatrywał się w podłogę.

- Co z nim zrobimy? – odezwał się po namyśle kierowca. – Nie mamy dalszych instrukcji.

– Zabierzemy go na komisariat. Tutaj nic już z niego nie wyciśniemy.

Na ulicy widać było idących w pośpiechu mężczyzn i kobiety. Krążownicy zakorkowały drogi, ludzie wracali bowiem z pracy do swoich domów położonych za miastem.

– Jennings, dlaczego nie udzielasz nam odpowiedzi? o co ci chodzi? Nie masz przecież żadnego powodu, żeby ukrywać tych kilka prostych faktów. Czyżbyś odmawiał współpracy z Rządem? Dlaczego ukrywasz przed nami ważne informacje?

– Powiedziałbym wam, gdybym coś wiedział.

Oficer odchrząknął. Nikt się nie odezwał. Krążownik właśnie podjeżdżał pod wielki, kamienny budynek. Kierowca wyłączył silnik, wyjął panel sterujący i schował go do kieszeni. Dotknął kartą magnetyczną drzwi wejściowych i zamek odskoczył.

– Zabierzemy go do środka? Tak po prawdzie to nie...

– Chwileczkę. – Kierowca wysiadł z pojazdu. Pozostali dwaj dołączyli do niego, zamykając drzwi na zamek. Stanęli na chodniku przed budynkiem Tajnej Policji i rozmawiali o czymś bardzo poruszeni.

Jennings siedział spokojnie w krążowniku, gapiąc się w podłogę. A więc TP zbiera informacje na temat Rethrick Construction. No cóż, niewiele mógł im pomóc. Przyszli po niewłaściwą osobę, czy był jednak w stanie to udowodnić? Cała ta sprawa wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. Dwa lata bezpowrotnie wymazane z jego pamięci. Kto w to uwierzy? Jemu samemu trudno było dać temu wiarę.

Powrócił myślami do czasów, kiedy po raz pierwszy przeczytał ogłoszenie. Anons trafił na właściwą osobę i bardzo go zainteresował. Potrzebny mechanik, oprócz tego określano w przybliżeniu zakres obowiązków. Nie wszystko do końca było jasne, zdołał się jednak zorientować, że oferta pracy adresowana jest do niego. No i ta oszałamiająca suma! Rozmowy kwalifikacyjne na terenie biura. Do wypełnienia testy, formularze. Potem uświadomienie sobie faktu, iż firma Rethrick Construction gromadzi o nim wszelkie dane, podczas gdy on na ich temat nie wie nic. Czym się właściwie zajmowali? Prace konstrukcyjne, ale jakiego rodzaju? Jakich maszyn używali? Pięćdziesiąt tysięcy kredytów za dwa lata...

No i wypuścili go dopiero po wyczyszczeniu pamięci. Dwa lata i zero wspomnień. Długo się zastanawiał nad tym właśnie warunkiem kontraktu. W końcu jednak się zgodził.

Jennings wyjrzał przez okno krążownika. Trzech oficerów nadal rozmawiało na chodniku, nie mogąc się zdecydować, co zrobić z zatrzymanym. Był w trudnej sytuacji. Pracownicy Tajnej Policji chcieli wyciągnąć od niego informacje, których nie posiadał. Czy zdoła ich o tym przekonać? W jaki sposób wykaże, iż pomimo tego, że spędził w firmie dwa lata, wiedział o niej dokładnie tyle samo co wtedy, gdy zaczynał pracę! TP wzięłaby się za rozpracowywanie go. Upłynęłoby mnóstwo czasu, zanim byliby skłonni mu uwierzyć, a do tego momentu...

Rozejrzał się pospiesznie dookoła. Czy miał jakąś szansę ucieczki? Lada chwila przecież

wrócą. Dotknął drzwi. Były oczywiście zamknięte na potrójny zamek magnetyczny. Wiele razy śleczął nad takimi zamkami. Kiedyś nawet projektował specjalną zapadkę. Drzwi nie można było otworzyć bez znajomości odpowiedniego kodu. Był bez szans, chyba że udałoby mu się wywołać zwarcie elektryczne. Tylko czym miałyby to zrobić?

Pomacał po kieszeni. Co mógłby wykorzystać? Gdyby udało mu się spowodować zwarcie, wysadziłby zamki i miałyby choćby nikłą szansę. Było po piątej. Wielkie biurowce zaczęto właśnie zamykać, a na ulicach panował ożywiony ruch. Jeżeli tylko udałoby mu się wyskoczyć z krążownika, nie ośmieliliby się strzelać... Musi się wydostać...

Oficerowie tymczasem się rozdzielili. Jeden z nich wszedł po schodach na górę i dalej, do środka budynku, w którym mieścił się komisariat. Pozostali dwaj za moment znajdują się przy krążowniku. Jennings pogrzebał w kieszeni i wyjął kartę magnetyczną, odcinek biletu i kawałek drutu! Drut! Cieniutki jak ludzki włos. Czy był zaizolowany? Szybko go rozwinął.

Uklęknął i wprawnie wybadał ręką konstrukcję drzwi. Poniżej linii zamka biegł cieniutki, niewielki rowek. Zręcznie manipulując drutem, Jennings delikatnie wprowadził jego koniec do rowka na głębokość mniej więcej jednego cala. Drut zagłębił się w niewidocznej przestrzeni. Z czoła Jenningsa zaczął ściekać pot. Przesunął drut kawałeczek dalej i obrócił go. Wstrzymał oddech. Przekaznik powinien być...

Błysk.

Na wpół oślepiony rzucił się całym ciężarem na drzwi, które natychmiast odskoczyły. W zamku doszło do zwarcia i ze środka wydobywał się dym. Jennings wypadł na ulicę i zaczął biec. Jeźdnie zakorkowane były krążownikami, które z trudem przeciskały się do przodu, zewsząd rozlegało się trąbienie. Skrył się za napotkaną opieszale jadącą ciężarówką i przedostał na środkowy pas ruchu. Gdy znalazł się już na chodniku, kątem oka dostrzegł, jak tajniacy rzucili się za nim w pogoń.

Akurat nadjechał autobus, kolebiący się mocno na boki, wyładowany po brzegi ludźmi. Jennings uczeplił się poręczy i wspiął się na tylny pomost. Wokół zamajaczyły zdumione twarze, nagle ogarnął go strach. W jego kierunku, stukocząc i wyraźnie okazując swoje niezadowolenie, zmierzał robot-konduktor.

– Proszę pana – zwrócił się do Jenningsa. Autobus zwolnił. – Proszę pana, zabronione jest...

– Już, zaraz – odezwał się Jennings.

Nagle poczuł, że wypełnia go szalona radość. Jeszcze chwilę temu był w pułapce, bez szans na ucieczkę. Zmarnował dwa lata życia. Został zatrzymany przez Tajną Policję, która usiłowała wyciągnąć z niego informacje, jakich nie posiadał. Zupełnie beznadziejna sytuacja. Aż tu nagle sprawy zaczęły przybierać zupełnie inny obrót.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął żeton. Wsunął go konduktorowi do specjalnego otworu.

– Teraz już w porządku? – zapytał.

Podłoga autobusu bez przerwy drgała i kołysała się, kierowca na moment się zawahał. Po chwili pojazd znowu nabralł szybkości i pojechał dalej. Konduktor odwrócił się, nieprzyjemne brzęczenie ucichło – wszystko wróciło do normy. Jennings uśmiechnął się. Przeszedł obok stojących ludzi, rozglądając się za jakimś miejscem. Pragnął gdzieś usiąść, żeby zebrać myśli. Musiał zastanowić się nad wieloma sprawami. Błyskawicznie zaczął analizować sytuację.

Autobus jechał dalej, wtapiając się w wartki strumień innych pojazdów sunących ulicą. Jennings niemal nie dostrzegał ludzi siedzących obok niego. Nie było co do tego wątpliwości – nikt go nie oszukał. Transakcja była uczciwa. Sam zdecydował się na taki krok. To doprawdy zadziwiające, iż po dwóch latach pracy uznał, że garść śmiesznych drobiazgów więcej dla niego znaczy niż pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Jednakże jeszcze większe zaskoczenie stanowił fakt, iż te nieistotne drobiazgi okazywały się mieć teraz większą wartość niż pieniądze.

Dzięki temu, że miał przy sobie kawałek drutu i żeton na autobus, zdołał wyrwać się z łap Tajnej Policji. To było naprawdę coś. Gdyby trafił za kamienne mury komisariatu, pieniądze na niewiele by się zdały. Nie pomogłoby mu nawet pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Tymczasem miał jeszcze inne przedmioty. Włożył rękę do kieszeni. Pięć różnych drobiazgów. Do tej pory wykorzystał dwa. Czy pozostałe miały odegrać jakąś istotną rolę?

I najważniejsze pytanie – skąd on – czy też jego ówczesne „ja” – wiedział, że kawałek drutu i żeton na autobus ocala mu kiedyś życie? Niewątpliwie tamten on był dobrze poinformowany. Każdą rzecz przewidział. Tylko jak to było możliwe? No i te pozostałe pięć przedmiotów. Prawdopodobnie były równie cenne, a przynajmniej miały się takimi okazać.

Tamten on, z minionych dwóch lat, wiedział o rzeczach, których obecnie Jennings nie był w stanie sobie przypomnieć, jako że wyczyszczono mu pamięć. Zupełnie tak samo, jak usuwa się dane z pamięci komputera. Był jak nie zapisana tabliczka. To, co wiedział tamten on – przypadek. Przypadek bezpowrotnie, pozostało jedynie owych siedem przedmiotów. Pięć spośród nich nadal tkwiło w jego kieszeni.

Ale nie teoretyczne spekulacje najbardziej się teraz liczyły. Musiał stawić czoło bardzo realnym problemom. Tajna Policja deptała mu po piętach. Znali jego nazwisko i rysopis. Powrót do własnego mieszkania nie wchodził w grę – nawet jeżeli formalnie wciąż pozostawał jego właścicielem. Agenci TP przeczesywali je codziennie. Dokąd w takim razie mógł się udać? Do hotelu? Schronić się u przyjaciół? Ale w ten sposób naraziłby ich na niebezpieczeństwo. Agenci prędzej czy później trafią na jego ślad, to tylko kwestia czasu. Dopadną go gdzieś na ulicy lub w restauracji, wyciągną z widowni w trakcie przedstawienia lub z łóżka w jakimś wynajętym mieszkaniu. Tajni agenci byli dosłownie wszędzie.

Wszędzie? No, niezupełnie. O ile jednostka nie miała w starciu z nimi żadnych szans, o tyle przedsiębiorstwa nie były znów takie bezradne. Największe potęgi ekonomiczne zdołały wywalczyć sobie dość spory margines wolności, pomimo iż właściwie wszystkie inne dziedziny

życia były w pełni kontrolowane przez Rząd. Prawa, które zostały odebrane obywatelom, nadal chroniły własność prywatną i przemysł. Agenci TP mogli uprowadzić w zasadzie każdego, nie mogli jednak wkroczyć na teren spółki lub firmy ani też ich przejąć. Zostało to wyraźnie i raz na zawsze ustalone już w połowie dwudziestego wieku.

Biznes, przemysł, korporacje – dla nich Tajna Policja nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia. Wobec nich bowiem konieczne było ściśle określone postępowanie. Firma Rethrick Construction stała się przedmiotem ich zainteresowania, nie mogli jednak podjąć przeciwko niej żadnych kroków, dopóki nie naruszono postanowień statutowych. Gdyby udało mu się wrócić do firmy, dostać się do środka – wówczas byłby ocalony. Jennings uśmiechnął się ponuro. Firma zastąpiła Kościół. Kiedyś państwo walczyło z Kościołem, teraz – Rząd z korporacjami. Firma – nowa Notre Dame współczesnego świata – była niejako poza prawem.

Czy Rethrick przyjąłby go ponownie? Pewnie tak, na starych warunkach. W końcu sam to zadeklarował. Kolejne dwa lata wyjęte z życiorysu i znów powrót praktycznie na ulicę. Czy warto było się trudzić? Nagle sięgnął ręką do kieszeni. Na dnie nadal spoczywały zgromadzone drobiazgi. On z całą pewnością przygotował je w jakimś celu! Nie, nie było sensu wracać do Rethrick Construction, żeby odpracowywać kolejny kontrakt. Niewątpliwie należało przedsięwziąć coś innego. Coś, co w sposób trwały polepszyłoby jego sytuację. Jennings zastanawiał się. Rethrick Construction. Co oni tam właściwie konstruowali? Czego dowiedział się on, co ustalił w ciągu minionych dwóch lat? No i dlaczego TP tak bardzo się firmą interesowała?

Wyciągnął z kieszeni pięć przedmiotów i przyjrzał im się uważnie. Zielony pasek materiału. Kodowa karta magnetyczna. Odcinek biletu. Pokwitowanie za paczkę. Połówka żetonu do gry w pokera. Zdumiewające, że tak dziwaczny zestaw drobiazgów mógł odegrać jakąkolwiek rolę.

Rethrick Construction z pewnością miała w tym wszystkim swój udział.

Nie było co do tego wątpliwości. Rozwiązania zagadki, odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania należało szukać właśnie tam. Tylko gdzie właściwie mieściła się firma? Nie miał najmniejszego pojęcia, w jakim miejscu zbudowano fabrykę. Wiedział, gdzie znajduje się biuro, ów wielki, luksusowo umeblowany pokój, w którym urzędowała za biurkiem znajoma mu młoda kobieta. To jednak nie był zakład produkcyjny. Czy ktokolwiek poza Rethrickiem znał jego lokalizację? Kelly nic na ten temat nie wiedziała. Czy TP zdołała ustalić, gdzie mieści się fabryka?

Na pewno leżała gdzieś za miastem. Był o tym przekonany. Leciał tam przecież rakieta. Prawdopodobnie znajdowała się na terytorium Stanów Zjednoczonych, może na jakichś terenach rolniczych, na wsi. Cóż za piekielny układ! W każdej chwili mogli go zgarnąć agenci TP. Za drugim razem już by się im pewnie nie wywinął. Jego jedyną szansą, jedynym gwarantem bezpieczeństwa było dotarcie do zakładów Rethricka. Tylko tam mógł dowiedzieć się o sprawach

tak bardzo dla niego istotnych. Fabryka – miejsce, w którym już był, a jednak nie mógł go sobie przypomnieć. Jeszcze raz spojrzął na swoje skarby. Czy którykolwiek z nich okaże się użyteczny?

Targnęły nim wątpliwości. Może to tylko czysty przypadek, ten drut i żeton na autobus. Może...

Zbadał uważnie kwit na paczkę. Odwrócił go na drugą stronę i spojrzął pod światło. Nagle poczuł skurcz żołądka. Tętno zaczęło gwałtownie przyspieszać. Więc jednak jego pierwotne przypuszczenia były słuszne. Nie, to nie zwyczajny zbieg okoliczności. Na pokwitowaniu wypisano datę, do której brakowało dwóch dni. Paczka, cokolwiek miało się w niej kryć, nie została nawet zdeponowana. Nie upłynęło bowiem jeszcze wymagane czterdzieści osiem godzin.

Przyjrzał się dokładnie pozostałym przedmiotom. Odcinek jakiegoś biletu. Na co to komu? Cały był pogięty i wymiętoszony, wielokrotnie składany. Na podstawie czegoś takiego nigdzie by go nie wpuścili. Z czymś takim nie miał się dokąd wybierać. Mógł tylko odczytać nazwę miejscowości, w której niegdyś przebywał.

Miejsce, w którym był!

Pochylił się nad biletem i zaczął wygładzać zagniecenia. W środku litery były nieco zamazane. Można było odczytać jedynie strzępy słów:

PORTOLA.T

STUARTSVI

IOW.

Uśmiechnął się. Tak. Znał to miejsce. Bez trudu uzupełnił brakujące litery. Było ich akurat tyle, ile trzeba. Stuartsville, Iowa. Nie miał wątpliwości – on potrafił przewidzieć również i to. Wykorzystał już trzy spośród siedmiu przedmiotów. Pozostały jeszcze cztery. Wyjrzał przez okno autobusu. Stacja rakietowa Intercity znajdowała się tylko o przecznicę dalej. Za sekundę mógł już na niej być. Wystarczyło szybko wybiec z autobusu, z nadzieją, że w pobliżu nie czai się Policja...

Podświadomie wyczuwał, że tym razem nic mu z ich strony nie grozi. Miał przecież pod ręką pozostałe cztery przedmioty. Gdyby tylko udało mu się wsiąść do rakiety, byłby ocalony. Intercity stanowiło wystarczająco potężną instytucję, ażeby agenci TP trzymali się od niej z daleka. Jennings wsunął do kieszeni pozostałe rzeczy, wstał i pociągnął za sznurek dzwonka.

Chwilę później ostrożnie wyskoczył na chodnik.

Gdy wysiadł z rakiety, znalazł się na niewielkim brązowym lądowisku, położonym na obrzeżach miasta. Kilku znudzonych bagażowych kręciło się w pobliżu. Układali sterty walizek i raz po raz odpoczywali, kryjąc się przed palącymi promieniami słońca.

Jennings przeszedł przez lądowisko i skierował się ku poczekalni. Uważnie przyglądał się

wszystkim pasażerom. Siedzieli tam przeciętni ludzie, robotnicy, biznesmeni, gospodynie domowe. Stuartsville było małym miastem na Środkowym Zachodzie. Dostrzegł kierowców ciężarówek, licealistów.

Przeszedł przez poczekalnię i wy dostał się na ulicę. A więc tu znajdowała się fabryka – tak przynajmniej sądził. Jeżeli tylko dobrze zrozumiał informację, którą odcyfrował z biletu. Tak czy inaczej, niewątpliwie coś musiało tutaj być, skoro on dołączył odcinek biletu do pozostałych rzeczy.

Stuartsville, w stanie Iowa. Zaświtała mu pewna myśl, nieco jeszcze mglista i mało sprecyzowana. Ruszył przed siebie, ręce trzymał w kieszeniach i bacznie rozglądał się wokół. Siedziba jakiejś gazety, bary, hotele, sale bilardowe, fryzjer, warsztat naprawy RTV. Salony wystawowe, eksponujące w olbrzymich halach najnowsze modele połyskujących metalicznie rakiet. Wersje przeznaczone dla całej rodziny. Na końcu przecznicy znajdowało się kino Portola.

Dotarł na peryferie miasta. Dookoła pojawiły się farmy i pola. Wiejskie zielone arealty ciągnęły się przez setki mil. Wysoko na niebie wolno sunęły rakiety transportowe. Kursowały tam i z powrotem, przewożąc specjalistyczny sprzęt oraz inne artykuły dla farmerów. Nieduże miasto, bez większego znaczenia. W sam raz odpowiednie dla Rethrick Construction. Fabryka była tutaj właściwie niezauważalna, położona z dala od centrum, z dala od TP.

Zawrócił. Wstąpił do małego bistro „U Boba”. Gdy tylko usiadł przy barze, podszedł do niego młody mężczyzna w okularach. Ręce wytarł w biały fartuch.

– Proszę kawę – odezwał się Jennings.

– Kawa dla pana. – Mężczyzna postawił na ladzie filiżankę. Było tam niewiele osób. Po oknie łąziło kilka much. Ulicą szli ludzie udający się na zakupy oraz farmerzy.

– Powiedz mi, pan – odezwał się Jennings, mieszając kawę – gdzie można tu znaleźć jakąś robotę? Może pan coś słyszał?

– O jaką pracę chodzi? – Młody człowiek podszedł znów do niego i oparł się o ladę.

– Zakładam instalacje elektryczne. Jestem elektrykiem. Telewizory, rakiety, komputery i tego typu sprawy.

– Niech się pan wybierze do jakiegoś wielkiego miasta z rozwiniętym przemysłem. Powiedzmy do Detroit, Chicago czy Nowego Jorku.

Jennings pokręcił głową.

– Nigdy nie lubiłem i mam wstręt do molochów.

Młody człowiek roześmiał się.

– Wielu miejscowych nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pracować w Detroit. A więc jest pan elektrykiem?

– Czy są tu w pobliżu jakieś fabryki? Warsztaty naprawcze?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Mężczyzna odszedł na chwilę, ażeby obsłużyć nowych klientów. Jennings wolno popijał swoją kawę. Czyżby się pomylił? Może powinien zawrócić i zapomnieć o Stuartsville w stanie Iowa. Może źle zinterpretował treść biletu? A jednak musiał on coś oznaczać, no, chyba że za całą tą historią nie krył się w ogóle żaden sens. Tak czy owak, było już trochę za późno na podobne rozważania.

Młody człowiek ponownie się pojawił.

– Czy można tutaj dostać jakakolwiek pracę? – zapytał Jennings. – Coś na początek, żebym był w stanie jakoś się utrzymać.

– Zawsze można się starać o pracę na farmie.

– Może są tu jakieś niewielkie warsztaty? Naprawa telewizorów czy coś w tym rodzaju.

– Jest jeden taki warsztat na końcu ulicy. Proszę tam się udać. Warto spróbować. Ale farmerzy również dobrze płacą. Ciężko jest teraz znaleźć chętnego do pracy na farmie. Większość mężczyzn wcielono do wojska. Chciałby pan zarabiać na farmie?

Jennings roześmiał się. Zapłacił za kawę.

– Raczej nie. Dzięki.

– Raz na jakiś czas grupa ludzi zgłasza się tutaj do pracy. Idą wtedy razem drogą w kierunku Ośrodka Rządowego.

Jennings skinął w odpowiedzi głową. Pchnął drzwi osłonięte siatką przeciw owadom i znalazł się na zewnątrz. Wokół panował niesamowity upał. Jakiś czas szedł zupełnie bez celu, pogrążony w myślach. Ciągłe na nowo analizował swój plan. Założenia, które przyjął, były dobre. Tłumaczyły właściwie wszystko. Obecnie powodzenie całego planu zależało jednak od jednej rzeczy – musiał zlokalizować Rethrick Construction. Miał do dyspozycji tylko jedną wskazówkę – jeśli faktycznie była to jakaś wskazówka – pogięty i wymiętoszony odcinek biletu, który spoczywał na dnie jego kieszeni. No i wiara, że on wiedział, co robi.

Ośrodek Rządowy. Jennings zatrzymał się i rozglądnął dookoła. Po drugiej stronie ulicy znajdował się postój taksówek. Kilku kierowców siedziało w autach, paląc papierosy i czytając gazety. Nic nie szkodziło przynajmniej spróbować. Nie bardzo wiedział, co innego mógłby zrobić. Ten Ośrodek to chyba nie był Rethrick, bo taka fabryka znajdowałaby się pewnie na powierzchni. No, ale gdyby podawali się za Ośrodek Rządowy, nikt nie stawiałby żadnych pytań. Wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że projekty rządowe okryte były ścisłą tajemnicą.

Podszedł do pierwszej z brzegu taksówki.

– Przepraszam, chciałbym o coś zapytać.

Taksówkarz przyjrzał mu się.

– Co chcesz pan wiedzieć?

– Podobno gdzieś tutaj, w Ośrodku Rządowym, szukają jeszcze ludzi do pracy. Czy to prawda?

Kierowca zmierzył go wzrokiem. Skinął głową.

– Jaka to praca?

– Nie wiem.

– A gdzie przeprowadzają nabór?

– Nie mam pojęcia. – Taksówkarz zasłonił się gazetą.

– Dzięki za informacje. – Jennings odwrócił się.

– Oni nie prowadzą żadnego naboru. No, może raz na jakiś czas, bardzo rzadko. Nie przyjmują wielu. Lepiej szukaj pan pracy gdzie indziej.

– No dobra.

Inny taksówkarz wychylił się ze swojego wozu.

– Słuchaj, stary, jeżeli oni w ogóle kogoś przyjmują, to jedynie robotników i to na kilka dni. Na tym koniec. W dodatku strasznie przebierają. Mało kogo wpuszczają. Robią chyba coś związanego z przemysłem zbrojeniowym.

Jennings nadstawił ucha.

– To tajne?

– Przyjeżdżają do miasta i jedną ciężarówką zabierają ze sobą grupę robotników budowlanych. To wszystko. Bardzo starannie dobierają sobie ekipę.

Jennings podszedł bliżej do kierowcy.

– Naprawdę?

– To duży teren. Stalowe ogrodzenie. Pod napięciem. Strażnicy. Robota odchodzi dzień i noc. Nikt jednak nie może wejść do środka. Ośrodek mieści się na szczycie wzgórza, przy wylocie Henderson Road. To taka stara droga. Jakies dwie i pół mili stąd. – Taksówkarz poklepał się po ramieniu. – Nie dostaniesz się pan tam bez identyfikatora. Oni je dają swoim ludziom, jak tylko ich przyjmą do pracy. Rozumiesz pan.

Jennings spojrział na rozmówcę, który kreślił palcem jakąś linię na ramieniu. Nagle dotarło do niego. Poczul ogromną ulgę.

– No jasne – powiedział. – Wiem, o co panu chodzi. Tak mi się przynajmniej zdaje. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął cztery przedmioty. Ostrożnie rozwinął zieloną opaskę i podniósł ją do góry. – Czy to miał pan na myśli?

– Zgadza się – wolno odpowiedział jeden z taksówkarzy, wlepiając wzrok w tkaninę. – Gdzieś pan to zdobył?

– Dostałem. – Roześmiał się i schował opaskę do kieszeni. – Dał mi to mój przyjaciel.

Jennings odszedł w kierunku stacji rakietowej Intercity. Czekają go mnóstwo spraw, teraz kiedy pierwszy etap poszukiwań miał już za sobą. A więc Rethrick Construction mieściła się właśnie tutaj. Wszystko się zgadza. Najwyraźniej przedmioty, które posiadał, miały pomóc mu przeżyć. Każdy w innej kryzysowej sytuacji. Kieszeń pełna cudownych drobiazgów

podsuniętych przez kogoś, kto znał przyszłość!

Aby wykonać następane czekające go zadanie, nie mógł działać w pojedynkę. Ktoś musiał mu podać pomocną dłoń. „Ale kto?”, zastanawiał się, wchodząc do poczekalni Intercity. Była tylko jedna osoba, do której mógł się zwrócić. Nikła to szansa, ale musiał się jej uchwycić. Nie mógł dalej działać sam. Skoro już znalazł fabrykę Rethricka, to teraz powinien tu ściągnąć także Kelly...

Było ciemno. Światło rzucane przez latarnię stojącą na rogu ulicy lekko pulsowało. Obok przejechało kilka wozów patrolowych.

Z drzwi wysokiego budynku mieszkalnego wysunęła się szczupła postać, była to młoda kobieta. Jennings przyjrzał się jej uważnie, gdy przechodziła w świetle latarni. Kelly McVane dokądś zmierzała, prawdopodobnie na jakieś przyjęcie. Była elegancko ubrana, jej wysokie obcasy stuknęły głośno po chodniku, miała na sobie krótki płaszczyk, kapelusz, a w rękę trzymała torebkę. Zaszedł ją od tyłu.

– Kelly – powiedział.

Odwrociła się szybko, otworzyła ze zdumienia usta.

– Och!

Jennings chwycił ją za rękę.

– Nie bój się. To tylko ja. Dokąd się wybierasz taka odstawiona?

– Nie mam specjalnych planów. – Zamrugęła oczami. – A niech to, nieźle mnie przestraszyłeś. O co chodzi? Masz jakąś sprawę?

– Nic takiego. Czy mogłabyś poświęcić mi kilka minut? Chciałbym z tobą pogadać.

Kelly skinęła głową.

– Myślę, że tak. – Rozejrzała się dookoła. – Dokąd pójdziemy?

– W jakieś spokojne miejsce. Nie chciałbym, żeby ktoś nas podsłuchał.

– Nie możemy rozmawiać, idąc po prostu ulicą?

– To niemożliwe ze względu na Policję.

– Policję?

– Szukają mnie.

– Ciebie? Ale dlaczego?

– Nie stójmy tutaj – zdecydowanym głosem odezwał się Jennings. – Dokąd moglibyśmy pójść?

Kelly zawahała się.

– Możemy wstąpić do mojego mieszkania. Nikogo tam nie ma.

Poszli w stronę windy. Kobieta otworzyła drzwi, przykładając do zamka kartę magnetyczną. Gdy weszli do mieszkania, automatycznie uruchomił się grzejnik i rozbłysły światła. Kelly

zamknęła drzwi i zdjęła płaszcz.

– Nie zabawię długo – zapewnił ją Jennings.

– Nie ma sprawy. Przygotuję ci drinka.

Udała się do kuchni. Jennings usiadł na kanapie, rozglądając się po niewielkim, gustownie urządzonej mieszkaniu. Wkrótce dziewczyna wróciła do pokoju. Usiadła obok niego. Wziął od niej szklankę. Była to szkocka z wodą, dobrze schłodzona.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. – Kelly uśmiechnęła się.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

– No i? – odezwała się w końcu. – Co takiego się dzieje? Czemu Policja cię szuka?

– Chcą zdobyć jakieś informacje na temat Rethrick Construction. Ja jestem dla nich tylko mało ważnym pionkiem. Liczą, że coś im powiem, bo przez dwa lata pracowałem w tej fabryce.

– Ale przecież ty nic nie wiesz!

– Tak, ale nie potrafię tego udowodnić.

Kelly wyciągnęła rękę i przyłożyła ją do głowy Jenningsa, nieco powyżej ucha. – Sam zobacz. Dotknij tutaj.

Pomacał się po głowie. Nad uchem, pod włosami wyczuł niewielkie zgrubienie.

– Co to jest?

– Tędy dostali się do wnętrza czaszki. Wycięli mikroskopijny fragment tkanki mózgowej. Wszystko, co pamiętałeś z tych dwóch lat. Zlokalizowali ten odcinek i usunęli go. Tajna Policja nie jest w stanie wycisnąć z ciebie tych informacji. Przepadły na zawsze. Nie masz ich.

– Zanim to do nich dotrze, niewiele ze mnie zostanie.

Kelly nic nie odpowiedziała.

– Teraz już widzisz, w jakim jestem położeniu. Byłoby dla mnie lepiej, gdybym coś pamiętał. Wtedy mógłbym im powiedzieć to, co wiem, a oni...

– Zniszczyłbyś Rethrick Construction!

Jennings wzruszył ramionami.

– A dlaczegoż by nie? Rethrick nic dla mnie nie znaczy. Nawet nie wiem, co produkują. Dlaczego właściwie Policja tak bardzo się nimi interesuje? Od samego początku wszystko owiane jest tajemnicą, no i to wymazywanie pamięci...

– Jest pewien powód. Bardzo ważny.

– Wiesz jaki?

– Nie. – Kelly potrząsnęła głową. – Jestem jednak przekonana, że istnieje. Jeżeli tak bardzo interesuje się tym TP, musi być jakiś powód.

Dziewczyna odstawiła na bok szklankę i odwróciła się do niego.

– Nienawidzę ich, całej tej Tajnej Policji. Wszyscy ich nienawidzą, każdy z nas. Ciągłe coś

węszą, patrzą na ręce. Nie wiem nic na temat firmy Rethrick. Gdybym posiadała jakieś informacje, mojemu życiu zagrażałoby niebezpieczeństwo. Niewiele chroni firmę przed Policją. Zaledwie parę uregulowań prawnych, dosłownie kilka. Nic ponadto.

– Mam wrażenie, że Rethrick to znacznie więcej niż zwykła firma elektrotechniczna, nad którą TP pragnie przejąć kontrolę.

– Też tak przypuszczam. Niestety, naprawdę nic w tej kwestii nie wiem. Jestem tylko recepcjonistką. Nigdy nie byłam w fabryce. Nawet nie mam pojęcia, gdzie się znajduje.

– Nie chciałabyś jednak, żeby coś się jej przytrafiło.

– Naturalnie, że nie! Oni przecież walczą z Policją. Każdy, kto z nią walczy, jest po naszej stronie.

– Naprawdę? Już kiedyś słyszałem podobną retorykę. Każdy, kto zwalczał komunizm, automatycznie stawał się dobry, jeszcze nie tak dawno temu, parę dziesiątków lat wstecz. No cóż, czas pokaże. Jeżeli o mnie chodzi, to jako jednostka czuję się osaczony przez dwie bezlitosne, wrogie sobie siły: Rząd i wielki biznes. Rząd dysponuje ogromnymi zasobami ludzkimi i potężnymi środkami finansowymi. Rethrick Construction z kolei ma swoich technokratów, wysokiej klasy specjalistów. Nie orientuję się jednak, jaki program realizują. Jeszcze kilka tygodni temu wiedziałem. Teraz pozostały mi tylko przebłyski, kilka niewyraźnych wspomnień. Mam na ten temat pewną teorię.

Kelly rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Teorię?

– No i kieszeń pełną drobiazgów. Na początku było ich siedem. Pozostały mi jeszcze trzy lub cztery. Niektóre z nich już wykorzystałem. To pozwoliło mi wysnuć teorię. Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne i Rethrick rzeczywiście robi to, co myślę, wówczas jasne jest dla mnie, dlaczego TP tak bardzo się nimi interesuje. Szczerze mówiąc, sam zaczynam podzielać to zaniepokojenie.

– Czym w takim razie zajmuje się Rethrick?

– Skonstruowali sondę przyszłości.

– Co takiego?

– Sondę przyszłości. Już kilka lat temu udowodniono, że zbudowanie takiego urządzenia jest możliwe. Tyle że prowadzenie badań nad sondami oraz zwierciadłami ukazującymi przyszłość jest nielegalne. To ciężkie przestępstwo. W razie wpadki cały specjalistyczny sprzęt i wszystkie dane przechodzą na własność Rządu. – Jennings wykrzywił twarz w uśmiechu. – Nic dziwnego, że Rząd tak bardzo się tym interesuje. Jeżeli uda im się przyłapać firmę na konstruowaniu podobnych rzeczy...

– Sonda przyszłości. Aż trudno w to uwierzyć.

– Myślisz, że się mylę?

– Nie wiem, może masz rację. Te twoje drobiazgi. Nie ty jeden wolałeś wyjść z woreczkiem pełnym dziwnych przedmiotów. Wykorzystałeś niektóre z nich? W jaki sposób?

– Najpierw zrobiłem użytek z drutu i żetonu na autobus. Dzięki nim udało mi się wyrwać z rąk Policji. Może wydaje się to nieprawdopodobne, ale gdybym nie miał pod ręką tych dwóch przedmiotów, nadal bym tam tkwił. Kawałek drutu i żeton wartości dziesięciu centów. Rzecz w tym, że zazwyczaj nie noszę przy sobie takich rzeczy.

– Chodzi o podróże w czasie?

– Nie. Wcale nie. Berkowsky udowodnił, że podróżowanie w czasie jest niemożliwe. To sonda przyszłości – połączenie zwierciadła ukazującego przyszłość i specjalnego chwytanego ramienia, które pozwala wybierać stamtąd pewne przedmioty. Na przykład takie drobiazgi. Przynajmniej jeden z nich pochodzi z przyszłości. Został wyciągnięty za pomocą tego urządzenia. Zaczepnięty z przyszłości.

– Skąd to wiesz?

– Jest na nim data. Co do pozostałych przedmiotów nie mam pewności. Takie rzeczy jak żeton czy drut są powtarzalne. Nie chodzi w tym wypadku o jakiś konkretny żeton, bo każdy, jeśli ma odpowiednią wartość, spełni swoją funkcję. Jestem pewien, że on posłużył się zwierciadłem.

– On?

– To znaczy ja z czasów, gdy pracowałem jeszcze dla Rethrick Construction. Na pewno użyłem zwierciadła. Sprawdziłem, co przyniesie mi przyszłość. Skoro naprawiałem dla nich taki sprzęt, to nie ulega wątpliwości, że zapragnąłem się nim posłużyć dla własnych celów! Z pewnością zajrzałem w przyszłość, sprawdziłem, co mnie czeka. Widziałem, jak zatrzymują mnie agenci TP. Musiałem też zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo pomocny byłby cienki drut i żeton na autobus – gdybym tylko miał je przy sobie w odpowiedniej chwili.

Kelly zastanowiła się.

– No tak. Ale do czego ja jestem ci potrzebna?

– Nie mam jeszcze pewności. Ty naprawdę wierzysz, że Rethrick to instytucja o charakterze dobroczynnym, która prowadzi walkę z Policją? Niczym bohaterski Roland w wąwozie Roncesvalles...

– Czy moje zdanie na temat firmy jest w ogóle istotne?

– Ależ oczywiście. – Jennings opróżnił szklankę i odstawił ją na bok. – Bardzo ważne, ponieważ chcę cię prosić o pomoc. Mam zamiar zacząć szantażować Rethrick Construction.

Kelly popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Tylko w ten sposób mam szansę przeżyć. Muszę znaleźć na nich jakiegoś haka, i to dużego. Wtedy być może uda mi się wejść do firmy na własnych warunkach. Nie ma innego miejsca, w którym mógłbym się schronić. Poza fabryką prędzej czy później Policja mnie zgarnie.

Jeżeli nie przedostanę się do środka, i to jak najszybciej...

– Mam ci pomóc szantażować firmę? Zniszczyć Rethrick Construction?

– Nie. Nie planuję jej niszczyć. Moje życie zależy przecież od niej. W moim własnym interesie leży, ażeby Rethrick Construction zdołała przeciwstawić się TP. Jeżeli jednak znajdę się poza jej strukturami, nie będzie to miało dla mnie najmniejszego znaczenia, jak potężną firmą okaże się Rethrick. Rozumiesz? Chcę się do niej dostać. Zanim będzie za późno. No i ważne jest, aby zaakceptowali moje warunki, nie chodzi mi bowiem o żaden dwuletni kontrakt, po którego skończeniu znowu znajdę się na ulicy.

– A tam będzie czekała na ciebie Policja.

– No właśnie. – Jennings skinął głową.

– W jaki sposób chcesz szantażować firmę?

– Mam zamiar dostać się na teren fabryki i wynieść stamtąd wystarczająco dużo materiału obciążającego, by móc udowodnić, że Rethrick skonstruował i wykorzystuje dla swoich celów sondę przyszłości.

Kelly roześmiała się.

– Chcesz wejść do fabryki? Ciekawe, jak uda ci się ją zlokalizować. Przecież TP szuka jej od lat.

– Już ją znalazłem – Jennings rozsiadł się wygodnie i zapalił papierosa. – Pomogły mi drobiazgi z woreczka. Pozostały do wykorzystania jeszcze cztery. Myślę, że dzięki nim uda mi się przedostać do środka. No i zdobyć te materiały, których szukam. Postaram się wynieść tyle dokumentów i fotografii, żeby można za nie było skazać Rethricka na powieszenie. Tak naprawdę nie chcę jednak, żeby go powiesili. Te dokumenty staną się jedynie elementem przetargowym. I tu właśnie będę potrzebował twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

– Mogę ci w pełni zaufać, że nie pójdziesz z tym na Policję. Jak tylko zdobędę te materiały, muszę je przekazać komuś, kto je dobrze ukryje w nie znanym mi miejscu. Nie odważę się trzymać ich u siebie.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ – odparł spokojnie Jennings – w każdej chwili może mnie zgarnąć Policja. Nie jestem oddany sercem i duszą firmie Rethricka, ale nie zależy mi również na zniszczeniu jej. I dlatego właśnie musisz mi pomóc. Mam zamiar oddać ci na przechowanie wszystkie zebrane dokumenty na czas rozmów z Rethrick Construction. W przeciwnym razie sam je gdzieś ukryję. A jeśli będę zmuszony nosić te papiery przy sobie...

Spojrzał na Kelly. Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę. W jej twarzy kryło się napięcie.

– No i co o tym sądzisz? Pomożesz mi, czy mam liczyć na łut szczęścia, że Policja mnie nie złapie i nie przechwyci tych materiałów? Dane, które zbiorę, wystarczą, by unicestwić firmę.

I co? Jaką decyzję podjąłeś? Chcesz być świadkiem klęski Rethrick Construction? Jak brzmi twoja odpowiedź?

Przyczaili się w pewnej odległości, obserwując uważnie pole, które rozciągało się u stóp wzniesienia. Wysokie wzgórze, nagie i zbrązowiałe, pozbawione było zupełnie roślinności, została wypalona. Zbocza świeciły pustką. W połowie wysokości wzgórza ustawiono stalowe ogrodzenie zwieńczone kolczastym drutem pod napięciem. Po drugiej stronie widać było niewielką sylwetkę strażnika w hełmie. Z karabinem w ręku wolno patrolował cały teren.

Na szczycie wzniesienia wyrastał olbrzymi betonowy blok, budowla w kształcie wieży, pozbawiona okien i drzwi. Wzdłuż dachu budynku rzędem rozmieszczono działa, które lśniły w porannym słońcu.

– A więc tak wygląda fabryka – powiedziała cichym głosem Kelly.

– Zgadza się, jesteśmy na miejscu. Żeby się do nich dostać, wspiąć na szczyt wzgórza i sforsować ogrodzenie, trzeba by tu posłać całą armię. No, chyba że sami by kogoś wpuścili.

Jennings dźwignął się, pomagając Kelly wstać. Z powrotem weszli w alejkę biegnącą między drzewami i udali się do miejsca, w którym dziewczyna zaparkowała swój krążownik.

– Czy naprawdę myślisz, że ta zielona opaska będzie wystarczającą przepustką? – zapytała, sadowiąc się za kierownicą.

– Dowiedziałem się od ludzi w mieście, że jeszcze dziś rano pojedzie do fabryki ciężarówka z robotnikami. Przy bramie wjazdowej ich wysadzą i skontrolują. Jeżeli wszystko będzie w porządku, wpuszczą robotników za ogrodzenie, na teren zakładu. Będą pracować na budowie, wykonywać powierzone im prace fizyczne. Pod koniec dnia znów ich wypuszczą i odwiozą do miasta.

– Czy uda ci się przedostać tam, gdzie chcesz?

– Przynajmniej znajdę się po drugiej stronie ogrodzenia.

– A jak zamierzasz dotrzeć do sondy przyszłości? Na pewno ukryta jest gdzieś w głębi budynku.

Jennings wyjął niewielką kartę magnetyczną, służącą do otwierania drzwi.

– Za jej pomocą spróbuję dostać się do środka. Mam nadzieję, że mi się uda. Na to liczę.

Kelly wzięła od niego kartę i przyjrzała się jej uważnie.

– Więc tak wygląda jeden z twoich skarbów. Powinniśmy się lepiej przyjrzeć temu, co wyniosłeś ze sobą w woreczku.

– My?

– Mam na myśli firmę. Przez moje ręce przeszło kilka takich woreczków, Rethrick nigdy nie zgłaszał zastrzeżeń.

– Najprawdopodobniej uznano, że żadna z zatrudnionych wcześniej osób nie będzie chciała

tutaj wracać po skończeniu kontraktu.

Jennings odebrał kartę z rąk Kelly.

– No dobrze, czy wiesz dokładnie, co masz robić?

– Mam czekać w krążowniku, aż wrócisz. Przekażesz mi materiały, a ja zabiorę je do Nowego Jorku i przechowam do czasu, gdy się ze mną skontaktujesz.

– Zgadza się. – Jennings spojrział na ciągnącą się w oddali drogę prowadzącą pomiędzy drzewami w kierunku bramy wjazdowej do fabryki. – Lepiej już pójść. Ciężarówka może nadjechać w każdej chwili.

– Go zrobisz, jeżeli zdecydują się przeliczyć robotników?

– Zaryzykuję. Nie martwię się zbytnio. Jestem pewien, że on wszystko przewidział.

Kelly uśmiechnęła się.

– Ach, ten twój przyjaciel, niezwykle pomocny przyjaciel. Mam nadzieję, że te przedmioty, które on ci pozostawił, wystarczą, żebyś mógł się stamtąd wydostać, gdy tylko zdobędziesz potrzebne dokumenty.

– Czy na ciebie również mogę liczyć?

– Dlaczego nie? – odparła lekkim tonem. – Zawsze cię lubiłam. Przecież wiesz. Wiedziałeś o tym, gdy do mnie przyszedłeś.

Jennings wysiadł z krążownika. Miał na sobie kombinezon, buty robocze i szarą bluzę.

– Zobaczymy się później. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Myślę, że się uda. – Poklepał się po kieszeni. – Z tymi cudёнkami na pewno. One przynoszą mi szczęście.

Oddalił się szybkim krokiem i wkrótce zniknął za drzewami. Alejka prowadziła na sam skraj drogi. Jennings nie wyszedł na otwartą przestrzeń, lecz skrył się w cieniu drzew, całe zbcze góry znajdowało się bowiem pod ścisłą obserwacją. Brak roślinności sprawiał, że każdy, kto niepostrzeżenie próbowałby podkraść się pod ogrodzenie, zostałby natychmiast wykryty. Przy poprzedniej wizycie zauważył również reflektory emitujące podczerwień.

Jennings przyczał się i obserwował drogę. Kilka jardów dalej, niedaleko bramy, ustawiono blokadę. Spojrział na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Być może będzie musiał trochę poczekać, nie wiadomo, jak długo. Próbował się odrobinę odprężyć.

Po jedenastej ze świstem i łoskotem nadjechała wielka ciężarówka. Jennings ożywił się. Wyciągnął zieloną opaskę i założył ją sobie na ramię. Auto podjechało bliżej. Mógł przyjrzeć się siedzącym w głębi ludziom. Ubrani byli w dżinsy i koszule robocze. W miarę jak ciężarówka posuwała się do przodu, raz po raz rzucało nimi na boki i podskakiwali w górę. Każdy z mężczyzn rzeczywiście miał na ramieniu zieloną opaskę, taką samą jak ta, którą założył Jennings. Na razie wszystko układało się pomyślnie.

Ciężarówka zwolniła i w końcu stanęła przed blokadą. Robotnicy bez pośpiechu zaczęli wysiadać na drogę. W górę unosiły się kłęby kurzu. Zbliżało się południe i panował niezwykły

upał. Mężczyźni otrzepywali dzinsy z pyłu, niektórzy zapalili papierosy. Zza blokady wolnym krokiem podeszło do nich dwóch strażników. Jennings czekał w napięciu. Za chwilę przyjdzie czas na niego. Przystąpili do sprawdzania robotników, kontrolowali opaski, przyglądali się twarzom przybyłych, kilku mężczyzn poprosili o okazanie identyfikatorów.

Blokada ustąpiła. Otworzono bramę. Strażnicy powrócili na swoje stanowiska.

Jennings wysunął się do przodu i ruszył w kierunku drogi, przemykając między krzakami. Mężczyźni przydeptywali butami papierosy. Zaczęli z powrotem ładować się do samochodu. Kierowca dodał gazu i zwolnił hamulec. Jennings wyskoczył na drogę i znalazł się z tyłu pojazdu. Zaszleściły liście, w górę uniosła się chmura kurzu. Strażnicy nie dostrzegli go – widok przesłaniała im ciężarówka. Jennings wstrzymał oddech. Podbiegł do auta.

Siedzący w środku przyglądali się z zaciekawieniem, jak wdrapywał się na pakę, z trudem łapiąc oddech. Twarze mieli ogorzałe, szare i pomarszczone – twarze ludzi pracujących na roli. Jennings zdążył się usadowić pomiędzy dwoma krzepkimi farmerami, gdy auto ruszyło z miejsca. Mężczyźni wydawali się nie zwracać na niego uwagi. Był nieogolony, a na policzku miał rozmazane smugi brudu. Na pierwszy rzut oka nie różnił się szczególnie od pozostałych. Gdyby tak jednak komuś przyszło do głowy ich przeliczyć...

Wjechali za ogrodzenie na teren fabryki. Brama zasunęła się. Zmierzali teraz po stromym zboczu w górę, ciężarówka kołysała się na boki i klekotała. Olbrzymia betonowa budowla była coraz lepiej widoczna. Czy wejdą do środka? Jennings przyglądał się wszystkiemu niezwykle zaintrygowany. Cienkie wysokie drzwi rozsunęły się, a jego oczom ukazało się ciemne wnętrze oświetlone sztucznym światłem.

Ciężarówka zatrzymała się. Robotnicy znowu zaczęli wysiadać. Podeszło do nich kilku mechaników.

– Po co was przywieźli? – zapytał jeden z nich.

– Będziemy kopać. Wewnątrz.

Inny mechanik nacisnął jakiś przycisk.

– Znowu przyjechali kopać. Wpuście ich do środka.

Jennings poczuł, że serce wali mu jak młotem. A więc wejdzie do budynku! Pomacał się po karku. Pod szarym swetrem ukrył niewielki, płaski aparat fotograficzny, który zwisał mu przy szyi niczym dziecięcy śliniaczek. Ledwo go wyczuwał, mimo iż wiedział, że tam jest. Być może wszystko okaże się łatwiejsze, niż się spodziewał.

Robotnicy przeszli przez drzwi, razem z nimi przemaszerował również Jennings. Znaleźli się w olbrzymiej hali – na długich blatach stały rzędy na wpół zmontowanych maszyn, obok widać było rozmaite wysięgniki i ramiona dźwigów. Panował tu nieustanny huk. Drzwi zamknęły się za przybyłymi, odcinając im drogę wyjścia. Był w fabryce. Ale gdzie miał szukać sondy przyszłości, gdzie zwierciadła?

– Tędy – oznajmił brygadzysta. Robotnicy wolno przemieścili się na prawą stronę. Winda towarowa wyjechała z podziemi, jakby na powitanie. – Pojedziecie na dół. Ilu z was umie obsługiwać się świdrem?

Kilka rąk podniosło się do góry.

– Wy nauczycie pozostałych. Trzeba usunąć zwały ziemi za pomocą świdrów i glebogryzarek. Czy któryś z was potrafi obsługiwać glebogryzarkę?

Nikt się nie zgłosił. Jennings rzucił okiem na stoły montażowe. Czy rzeczywiście był tu zatrudniony jeszcze nie tak dawno temu? Nagle przeszedł mu po plecach zimny dreszcz. A co będzie, jeżeli ktoś go rozpozna? Może pracował kiedyś razem z tymi właśnie mechanikami.

– Szybciej – niecierpliwiał się brygadzysta. – Pospieszcie się.

Jennings wsiadł do windy razem z pozostałymi robotnikami. Chwilę później kabina obniżała się w głąb czarnego szybu. Jechali coraz niżej i niżej, do głęboko położonych kondygnacji fabryki. Rethrick Construction była ogromna. Dużo większa, niż wskazywała na to budowla znajdująca się na powierzchni. O wiele większa, niż sobie wyobrażał. Kolejne piętra i podziemne kondygnacje przesuwały mu się przed oczami.

Winda stanęła. Otworzyły się drzwi. Z przodu widniał długi korytarz. Jego posadzkę pokrywała gruba warstwa kamiennego pyłu. W powietrzu czuć było wilgoć. Dookoła tłoczyli się robotnicy. Nagle Jennings zeszytniał i zrobił krok do tyłu.

Na końcu korytarza, przed stalowymi drzwiami stał Earl Rethrick. Rozmawiał z grupą techników.

– Wszyscy wysiadają – komenderował brygadzysta. – Idziemy.

Jennings opuścił windę i podążył za innymi. Rethrick! Serce w nim zamarło. Jeżeli go zauważy, będzie skończony. Sprawdzał kieszenie. Miał co prawda przy sobie miniaturowy pistolet Boris, ale w razie wpadki niewielki byłby z niego pożytek. Z chwilą gdy Rethrick go zobaczy, wyprawa zakończy się całkowitym fiaskiem.

– Idziemy na dół, tędy.

Brygadzysta prowadził ich w kierunku czegoś, co przypominało stację metra. Mężczyźni ustawili się po jednej stronie korytarza i zaczęli wsiadać do metalowych wagonów stojących na torach. Jennings obserwował Rethricka. Widział, jak nerwowo gestykuluje i coś mówi, jego głos rozchodził się po holu, do Jenningsa docierały tylko strzępy słów. Nagle Rethrick odwrócił się. Podniósł w górę rękę i wówczas wielkie stalowe drzwi rozwarły się za jego plecami. Jennings poczuł, że zamiera mu serce.

Za drzwiami ukazała się sonda przyszłości. Rozpoznał ją natychmiast. Zwierciadło. Długie stalowe wysięgniki zakończone szczypcami. Urządzenie wyglądało zupełnie tak samo jak teoretyczny model Berkowsky'ego, tyle że ten tutaj był prawdziwy.

Rethrick wszedł do pomieszczenia w asyście techników. Jacyś ludzie stali dookoła sondy

i coś przy niej robili. Część obudowy została zdjęta. Mechanicy wytrwale pracowali. Jennings przyglądał się temu jak urzeczony, trzymał się jednak na boku.

– Hej, ty tam – zawołał brygadzysta, podchodząc do niego. Stalowe drzwi zatrzasnęły się, przesłaniając widok. Nie widział już ani Rethricka, ani sondy, ani techników. Wszystko zniknęło.

– Przepraszam – wymamrotał Jennings.

– Chyba wiesz, że nie wolno tutaj węszyć. – Brygadzysta natarczywie mu się przyglądał. – Nie pamiętam cię. Pokaż mi swój identyfikator.

– Mój identyfikator?

– Plakietkę z twoimi danymi. – Brygadzysta odwrócił się. – Bili, przynieś no mi listę pracowników. – Zlustrował Jenningsa od stóp do głów. – Sprawdzę, czy jesteś pan na nią wpisany. Nigdy wcześniej pana nie widziałem. Proszę tu zostać.

Jakiś człowiek pojawił się w bocznych drzwiach. W rękę trzymał listę zatrudnionych. Teraz albo nigdy.

Jennings pędem rzucił się korytarzem w kierunku stalowych drzwi. Z tyłu dobiegł go alarmujący krzyk kompletnie zaskoczonego brygadzysty i jego pomocnika. Jennings wyszarpnął kartę magnetyczną i biegł dalej, żarliwie się modląc. Gdy znalazł się przy drzwiach, wyciągnął przed siebie kartę. Drugą ręką wy dobył pistolet. Tam znajdowała się sonda przyszłości. Gdyby mógł zrobić kilka zdjęć, wynieść parę schematów, wówczas, jeśli tylko uda mu się stąd wydostać...

Drzwi ani drgnęły. Twarz Jenningsa okryła się potem. Uderzył w nie kartą. Dlaczego nie chciały się otworzyć? Zapewne... Zaczął drzeć na całym ciele, narastała w nim panika. Od strony korytarza zbliżali się ścigający go ludzie. Niech się wreszcie otworzą...

Ale nic z tego. Karta magnetyczna, którą trzymał w rękę, była nieodpowiednia. Został pokonany. Drzwi i klucz nie pasowały do siebie. Albo on się pomylił, albo kartę należało użyć w innym pomieszczeniu. Tylko gdzie? Jennings rozejrzał się przerażony dookoła. Dokąd miał uciekać?

Z jednej strony korytarza zauważył na wpół otwarte drzwi, zwyczajne, zamykane na zasuwę. Podbiegł do nich, pchnął je i zasunął zasuwę. Trafił do jakiegoś magazynu. Słyszał głosy ścigających go ludzi, byli zdezorientowani, wzywali pomocy. Niedługo w pobliżu pojawią się uzbrojeni strażnicy. Jennings trzymał w garści pistolet i rozglądał się dookoła. Czy znalazł się w pułapce? Czy było stąd drugie wyjście?

Przebiegł przez pomieszczenie, przeciskając się pomiędzy jakimiś pudłami, pakami i stertami kartonów ułożonych jeden na drugim. Nagle natrafił na właz ewakuacyjny. Natychmiast podniósł klapę. Przyszło mu na myśl, że powinien wyrzucić feralną kartę magnetyczną. Miał przez nią same kłopoty. Ale przecież on musiał wiedzieć, co robi. On już wcześniej to widział. Na podobieństwo Boga. Dla niego to wszystko już się wydarzyło. Wynik był z góry przesądzony. On

nie mógł się pomylić. A jeśli tak?

Przebiegł go zimny dreszcz. A może przyszłość była zmienna? Może kiedyś karta działała jak należy? Teraz jednak przestała!

Głosy było słyszeć już bardzo blisko. Strażnicy wyjęli broń termiczną i zaczęli roztapiać drzwi do magazynu. Jennings wygramolił się przez właz ewakuacyjny i znalazł się w niskim betonowym tunelu, wilgotnym i kiepsko oświetlonym. Biegł wzdłuż ścian korytarza, pokonując zakręty. Betonowe przejście przypominało kanał ściekowy, do którego prowadziły niezliczone odnogi.

Stanął. Którą z dróg powinien wybrać? Gdzie mógł się ukryć? Nad głową zobaczył wylot głównego szybu wentylacyjnego. Uchwycił się krawędzi otworu i podciągnął do góry. Zawzięcie zaczął przeciskać się do środka. Tutaj na pewno nie będą go szukać, pójdą dalej. Czołgał się ostrożnie, pokonując kolejne odcinki szybu. Podmuch ciepłego powietrza uderzył go w twarz. Dlaczego zbudowano tak duży kanał wentylacyjny? To mogło oznaczać, że na końcu znajdowało się jakieś nietypowe pomieszczenie. Dotarł do metalowej kraty zamykającej wylot przewodu wentylacyjnego i zatrzymał się. Jęknął ze zdziwienia.

Zobaczył olbrzymią halę, tę samą, której przyglądał się wcześniej przez stalowe drzwi. Z tą tylko różnicą, że teraz znajdował się na jej drugim końcu. Zauważył sondę przyszłości. Daleko w dole, schowany za nią, stał Rethrick i porozumiewał się z kimś przez wideofon. Zewsząd słyszeć było przeraźliwie ostry sygnał syren alarmowych, odbijający się echem od ścian budynku. Technicy biegali bezładnie we wszystkich kierunkach. Przez drzwi płynął nieprzerwany potok strażników ubranych w specjalne uniformy.

Sonda przyszłości. Jennings sprawdził kratownicę. Była jedynie wepchnięta w otwór szybu. Gdy ją nacisnął lekko z jednej strony, odskoczyła i została mu w dłoniach. Nikt tego nie zauważył. Ostrożnie wysunął się z kanału i z pistoletem gotowym do strzału znalazł się w hali. Częściowo zasłaniała go sonda. W dodatku wszyscy technicy i strażnicy stali w znacznej odległości od niego, po przeciwnej stronie pomieszczenia, w tym samym miejscu, w którym zobaczył ich po raz pierwszy.

No i proszę. Wszędzie leżały schematy, dokumenty, wydruki danych, kopie projektów. Dostrzegł też zwierciadło. Nacisnął migawkę aparatu. Czuł, jak obudowa zaczyna wibrować w miarę przesuwania się filmu. Schwycił plik dokumentów. Być może jeszcze kilka tygodni temu sam z nich korzystał! Schował je do kieszeni.

Film się akurat skończył. Zebrał już jednak wystarczająco dużo materiałów. Szybko wcisnął się z powrotem do kanału wentylacyjnego, przepychając się przez otwór wejściowy, i dalej w głąb szybu. Korytarz nadal był pusty, ale z każdej strony dobiegało go uporczywe tupanie, słyszał odgłos czyichś kroków i jakieś rozmowy. Dookoła było tyle różnych przejść... Szukali go w labiryncie dróg ewakuacyjnych.

Jennings biegł bardzo szybko. Pędził ciągle przed siebie, nie zwracając uwagi na to, w jakim kierunku podąża. Starał się trzymać głównego korytarza. Schodził coraz niżej i niżej. Biegł w dół.

Nagle zatrzymał się, próbując złapać oddech. Głosy, które do tej pory słyszał, chwilowo umilkły. Pojawił się natomiast nowy dźwięk, gdzieś przed nim. Wolno zaczął się zbliżać w tę stronę. Korytarz zakręcał w prawo. Posuwał się ostrożnie, w dłoniach ścisnął odbezpieczony pistolet.

W oddali dostrzegł dwóch strażników stojących beczynnie, zajętych rozmową. Za nimi znajdowały się ciężkie drzwi otwierane kartą magnetyczną. Po chwili znowu usłyszał znajomy hałas, pogoń była coraz bliżej. Znaleźli już drogę, którą uciekał. Byli na jego tropie.

Jennings podszedł kilka kroków do przodu i uniósł w górę pistolet.

– Podnieście ręce do góry! Rzućcie broń!

Strażnicy gapili się na niego w osłupieniu. Zupełne dzieciaki, młodzi chłopcy o bujnych jasnych czuprynach, ubrani w błyszczące uniformy. Cofnęli się, byli bladzi i przestraszeni.

– Broń, natychmiast rzućcie broń!

Dwa karabiny z łuskotem upadły na ziemię. Jennings uśmiechnął się. Chłopcy. Pewnie po raz pierwszy w życiu znaleźli się w tak trudnej sytuacji. Ich wysokie skórzane buty lśniły, były starannie wypolerowane.

– Otwórzcie drzwi! – krzyknął Jennings. – Chcę stąd wyjść.

Strażnicy wpatrywali się w niego zupełnie oniemiałi. Z tyłu, za plecami Jenningsa narastał hałas.

– Otwierajcie. – Zaczynał tracić cierpliwość. – No, dalej. – Wymachiwał pistoletem. – Otwierajcie, do jasnej cholery! Czy chcecie, żebym...

– My... my nie możemy.

– Co takiego?

– Nie możemy tego zrobić. Te drzwi otwierane są kartą magnetyczną. Mówimy prawdę, proszę pana. Nie mamy jej.

Byli przestraszeni. Jennings sam zaczął się bać. Za sobą słyszał coraz wyraźniejszy tupot nóg. Nagle roześmiał się. Szybkim krokiem podszedł do drzwi.

– Wiara... – zamruczał pod nosem, wyciągając przed siebie rękę – wiara to coś, czego nigdy nie powinno się tracić.

– Czego... czego nie powinno się tracić?

– Wiary w siebie. Pewności, że damy sobie radę.

Drzwi rozsunęły się, gdy tylko przyłożył do nich kartę. Oślepiające słońce wdarło się do środka i zmusiło go do zmruczenia oczu. Mocno ścisnął w rękę pistolet. Znajdował się na zewnątrz, niedaleko bramy. Trzech strażników wpatrywało się ze zdumieniem w jego pistolet.

Skoczył do wyjścia. Po drugiej stronie ciągnęły się lasy.

– Usuńcie się. – Jennings skierował broń na pręty, z których wykuto bramę. Metal natychmiast wybuchnął płomieniem, a następnie zaczął się topić. Podniosła się chmura ognia.

– Zatrzymajcie go! – Z tyłu, z głębi korytarza biegli jacyś ludzie, strażnicy.

Jennings wyskoczył przez bramę, którą spowijały kłęby dymu. Zaczepił o kikuty metalowych prętów, przypalając sobie skórę. Przedzierał się przez dym, potykając się i przewracając. Podnosił się i gnał co tchu dalej, w stronę drzew.

Był na zewnątrz. On go nie zawiódł. Karta magnetyczna z kodem zadziałała jak należy. Wcześniej po prostu przykładał ją do niewłaściwych drzwi.

Biegł ciągle przed siebie, dławiąc się i z trudem łapiąc oddech. Kluczył pomiędzy drzewami. Za sobą zostawił fabrykę. Wszystkie odgłosy rozplynęły się w oddali. Miał cenne dokumenty. Był wolny.

Odnalazł Kelly, przekazał jej film i wszystkie dokumenty, które zmieścił w kieszeniach. Następnie przebrał się w swoje zwykłe ubranie. Kelly zawiozła go na przedmieścia Stuartsville i tam wysadziła. Patrzył, jak jej krążownik wznosi się w powietrze i kieruje się w stronę Nowego Jorku.

Po chwili Jennings udał się do miasta, żeby wsiąść na pokład rakiety Intercity. W czasie lotu uciał sobie drzemkę. Dookoła niego spali podróżujący wspólnie z nim biznesmeni. Kiedy się obudził, rakieta zaczynała lądować na olbrzymim nowojorskim kosmodromie.

Wysiadł i wmieszał się w tłum ludzi. Teraz, kiedy tu wrócił, znowu groziło mu niebezpieczeństwo ze strony TP. Dwóch agentów służby bezpieczeństwa ubranych w zielone uniformy przyglądało się bez większego zainteresowania, jak wsiadał do taksówki, która wkrótce dołączyła do sznura samochodów jadących w kierunku miasta. Jennings wytarł czoło. Jeden etap miał już za sobą. Teraz musiał odszukać Kelly.

Zjadł obiad w małej restauracji. Usiadł w głębi, z dala od okien. Gdy stamtąd wyszedł, słońce zaczynało już zachodzić. Głęboko zamyślony, wolno podązał chodnikiem.

Jak na razie wszystko układało się pomyślnie. Zdobył dokumenty, udało mu się zrobić zdjęcia, no i zdołał uciec. Drobiazgi, które miał przy sobie, ciągle wspomagały go w jego działaniach. Bez nich byłby zupełnie bezradny. Sięgnął ręką do kieszeni. Zostały mu jeszcze dwa przedmioty. Karbowana połówka żetonu do gry w pokera i kwit na paczkę. Wyjął z kieszeni pokwitowanie i przyjrzał mu się uważnie. Zaczynało zmierzchać. Nagle coś zauważył. Na pokwitowaniu widniała dzisiejsza data. Nareszcie dogonił czas.

Włożył papierek z powrotem do kieszeni i ruszył przed siebie. Co ten świstek miał oznaczać? Do czego służył? Wzruszył ramionami. Pewnie wkrótce się o tym przekona. No i ta połówka żetonu do gry w pokera. Na cóż, do diaska, może mu być potrzebny? Nie miał zielonego pojęcia.

Był jednak przekonany, że jakoś sobie poradzi. Przecież on nad nim czuwał, przez cały czas. Jedno było pewne – w kieszeni niewiele już mu pozostało.

Odnalazł dom Kelly, zatrzymał się i spojrzał w górę. W pokoju paliło się światło. A więc zdążyła już wrócić. Jej mały zwinny krążownik okazał się szybszy niż rakieta Intercity.

Wsiadł do windy i wjechał na piętro, na którym mieszkała.

– Witaj – powiedział, kiedy otworzyła mu drzwi.

– Jak się masz, wszystko w porządku?

– Jasne. Mogę wejść?

Wszedł do środka. Kelly zamknęła za nim drzwi.

– Cieszę się, że cię widzę. W mieście aż roi się od agentów TP. Są prawie wszędzie, w każdej dzielnicy. Dookoła krążą patrole...

– Wiem. Widziałem kilka w pobliżu kosmodromu. – Jennings usiadł na kanapie. – Mimo wszystko cieszę się, że wróciłem.

– Bałam się, że zatrzymają loty międzymiastowe i zaczną sprawdzać pasażerów.

– Nie mają żadnego powodu, żeby sądzić, iż pojawię się w mieście.

– Nie pomyślałam o tym. – Kelly usiadła naprzeciwko Jenningsa. – Udało ci się wynieść dokumenty, co zamierzasz robić dalej?

– Planuję spotkać się z Rethrickiem i przekazać mu pewną zaskakującą wiadomość. Chcę mu oznajmić, że to ja byłem tą osobą, która uciekła z fabryki. On na pewno słyszał, że komuś udało się wydostać, nie wie jednak, kto to był. Na pewno przypuszcza, że to któryś z agentów TP.

– Czy nie wystarczyłoby, żeby uruchomił sondę przyszłości i w ten sposób się dowiedział? Jennings zasępił się.

– Rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym. – Potarł podbródek, marszcząc jednocześnie brwi. – Tak czy inaczej, mam w swoim ręku materiały. A właściwie to ty je masz.

Kelly na potwierdzenie skinęła głową.

– No dobrze. Musimy działać dalej. Jutro zorganizujemy spotkanie z Rethrickiem. Zobaczymy się z nim tutaj. W Nowym Jorku. Czy mogłabyś ściągnąć go do biura? Czy przyjedzie, jeżeli go wezwiesz?

– Tak, mamy ustalony kod. Jeżeli poproszę, żeby przyjechał, na pewno się pojawi.

– Świetnie. Spotkam się z nim na terenie biura. Kiedy zorientuje się, że mamy film i schematy, będzie zmuszony spełnić moje żądania, przystać na moje warunki. W przeciwnym razie przekażę materiały Tajnej Policji.

– A gdy już Rethrick przyjmie cię do firmy, tak jak sobie tego życzysz, co wtedy?

– Widziałem wystarczająco dużo, żeby nabrać pewności, iż Rethrick to znacznie potężniejsza firma, niż sobie kiedyś wyobrażałem. Jak duża, tego nie wiem. Nic dziwnego, że on tak bardzo się tym zainteresował!

– Chciałbyś przejąć połowę kontroli nad firmą?

Jennings kiwnął potakująco głową.

– Nie zadowolilibyś się stanowiskiem mechanika, jakie zajmowałeś przedtem. Mam rację?

– Nie. Żeby znowu mnie wylali? – Jennings uśmiechnął się. – W każdym razie mam pewność, że on wymyślił coś lepszego. Pozostawił szczegółowe instrukcje. W postaci tych siedmiu drobiazgów. Wszystko zaplanował z dużym wyprzedzeniem. Nie, nie mam zamiaru wracać do firmy jako mechanik. Miałem okazję dobrze się wszystkiemu przyjrzeć, na każdym poziomie mnóstwo maszyn i ludzi. Oni coś przygotowują. Chcę wiedzieć, co robią, i mieć nad tym pełną kontrolę.

Kelly milczała.

– Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

Jennings wyszedł z budynku i szybkim krokiem przemierzał ulicę. Było już ciemno. Zbyt długo przebywał u Kelly. Gdyby TP zastała ich razem, jego plany dotyczące Rethrick Construction skończyłyby się fiaskiem. Nie mógłby podjąć ryzyka, mimo iż był tak bliski celu.

Spojrzał na zegarek. Minęła północ. Spotka się z Rethrickiem jeszcze dziś rano i przedstawi mu swoją propozycję. W miarę jak szedł, opanowywał go coraz lepszy nastrój. Zapewni sobie bezpieczeństwo. Może nawet coś jeszcze. Rethrick Construction dążyła do zbudowania czegoś więcej niż tylko potęgi ekonomicznej. Na podstawie tego, co zobaczył, nabrał przekonania, że szykuje się jakaś rewolucja. Głęboko pod ziemią, pod betonową fortecą strzeżoną przez strażników i żołnierzy, Rethrick szykował się do wojny. Trwała produkcja maszyn. Ciągłe, ustalonym rytmem pracowała sonda przyszłości oraz zwierciadło: przyszłość najpierw podlegała obserwacji, potem następowało zanurzenie i zacerpnięcie.

Nic dziwnego, że on opracował takie dokładne plany. On to wszystko zobaczył, zrozumiał i zaczął się zastanawiać. Pamięć zostanie wyczyszczona, jak temu zaradzić? Przecież kiedy go już wypuszczą, niczego nie będzie pamiętał. Wszystkie jego projekty zostaną unicestwione. Unicestwione? Kontrakt zawierał pewną klauzulę. Inni też o tym wiedzieli i skorzystali z tego. On jednak zaplanował to całkiem inaczej!

On pragnął osiągnąć znacznie więcej niż ktokolwiek inny przed nim. Był pierwszym, który wszystko pojął i opracował plan. Tych siedem przedmiotów to była przepustka do czegoś poza wszelkim...

Gdy dochodził do końca ulicy, przy krawężniku stanął policyjny krążownik. Drzwi pojazdu rozsunęły się. Jennings zatrzymał się. Poczł ucisk w sercu. Był to nocny patrol, który przemierzał ulice miasta. O tej porze obowiązywała godzina policyjna. Wszędzie panowały kompletne ciemności. Sklepy zostały na noc dokładnie pozamykane. Życie w biurach

i domach mieszkalnych zupełnie zamarło. Nawet w barach nie paliło się światło.

Obejrzał się za siebie. Za nim zatrzymał się drugi policyjny krążownik. Dwaj oficerowie TP wysiedli na chodnik. Zdążyli go zauważyć. Ruszyli w jego stronę. Jennings stał jak sparaliżowany. Rozglądał się na boki, szukając możliwości ucieczki.

Po drugiej stronie ulicy zauważył elegancki hotel. Nad wejściem jarzył się neon. Zaczął iść w tym kierunku, odgłos jego kroków niósł się w powietrzu zwielokrotnionym echem.

– Stój! – krzyknął jeden z agentów TP. – Natychmiast wracaj. Co robisz na ulicy o tej porze? Jak się...

Jennings wszedł na stopnie prowadzące do hotelu. Przeszedł przez hol. Recepcjonista bacznie mu się przyglądał. Dookoła nie widać było żywej duszy. Jennings zamarł. Nie miał żadnych szans. Minął recepcję i zaczął biec zupełnie bez celu przez wyłożony dywanami hol. Być może uda mu się znaleźć jakieś drugie wyjście. Przez drzwi frontowe wtargnęli do środka agenci TP.

Jennings minął zakręt. Nagle zza rogu wypadło dwóch mężczyzn i odcięło mu drogę ucieczki.

– Dokąd się wybierasz?

Stanął, był jednak czujny.

– Puśćcie mnie. – Sięgnął do kieszeni płaszcza po pistolet. Mężczyźni natychmiast rzucili się w jego kierunku.

– Łapmy go!

Profesjonalnie przytrzymali mu ręce. W tle, za ich plecami zauważył światło. Dobiegały też jakieś dźwięki. Coś się tam odbywało. Wewnątrz byli jacyś ludzie.

– No dobra – powiedział jeden z goryli hotelowych. Powlekli go z powrotem korytarzem w stronę holu. Jennings na próżno usiłował się im wyrwać. Gangsterzy, podejrzany lokal. W mieście pełno było takich miejsc, kryjących się w mroku. Elegancki hotel stanowił tylko przykrywkę. Wyrzuca go za drzwi prosto w ręce TP.

W holu pojawili się jacyś ludzie, mężczyzna i kobieta. Para w starszym wieku. Oboje elegancko ubrani. Z zaciekawieniem przyglądali się Jenningsowi prowadzonemu przez dwójkę mężczyzn.

Nagle Jennings coś sobie uświadomił. Poczuł niesamowitą ulgę.

– Zaczekajcie – zawołał ochrypłym głosem. – Mam coś w kieszeni.

– Dalej, stary, idziemy.

– Chwileczkę. Sprawdźcie sami. To jest w prawej kieszeni.

Bandzior idący z prawej strony ostrożnie zbadał zawartość kieszeni. Jennings uśmiechnął się. Sprawa była załatwiona. On przewidział nawet i to. Niemożliwe, aby się mylił. Przynajmniej rozwiązał się problem noclegu: miał gdzie się zatrzymać do czasu spotkania z Rethrickiem. Mógł

zostać tu, gdzie był. Oprych trzymał w dłoni połówkę żetonu do gry w pokera. Dokładnie przyjrzał się jego ząbkowanym krawędziom.

– Zaraz. – Z kieszeni płaszcza wyjął drugą zawieszoną na złotym łańcuszku. Zetknął ze sobą krawędzie obu połówek.

– W porządku? – zapytał Jennings.

– Jasne. – Gangsterzy puścili go. Bezwiednie otrzepał swój płaszcz. – Wszystko się zgadza, proszę pana. Bardzo przepraszamy. Szkoda, że pan...

– Zabierzcie mnie stąd – przerwał im Jennings, wycierając twarz. – Szukają mnie jacyś ludzie. Nie chcę się z nimi spotkać.

– Jasne, nie ma sprawy.

Poprowadzili go w stronę sal, w których rozstawione były stoły do gry. Połówka żetonu sprawiła, że to, co mogło okazać się katastrofą, obróciło się na jego korzyść. Szulernia i klub nocny z panienkami. Jedne z nielicznych instytucji, które Policja pozostawiła w spokoju. Tutaj był bezpieczny. Nie było co do tego wątpliwości. Pozostała mu już tylko jedna rzecz. Walka z Rethrickiem!

Twarz Rethricka była śmiertelnie poważna. Przyglądał się Jenningsowi i gwałtownie przełykał ślinę.

– Nie – powiedział. – Nie wiedziałem, że to byłeś ty. Myśleliśmy, że to ktoś z TP.

Zapadła cisza. Kelly siedziała na krześle, przy swoim biurku. Splotła nogi, w dłoni trzymała papierosa. Jennings oparł się o drzwi, ręce skrzyżował na piersi.

– Dlaczego nie użyliście zwierciadła? – zapytał.

– Zwierciadła? Odwaliłeś kawał dobrej roboty, przyjacielu. Próbowaliśmy je wykorzystać.

– Próbowaliście?

– Zanim od nas odszedłeś, przełączyłeś kilka kabelków. Gdy chcieliśmy zwierciadło uruchomić, nie działało. Wyszedłem z fabryki jakieś pół godziny temu. Mechanicy nadal nad nim pracowali.

– Zrobiłem to jeszcze zanim upłynął mój kontrakt?

– Najwyraźniej bardzo szczegółowo opracowałeś swój plan. Wiedziałeś, że gdybyśmy mieli do dyspozycji zwierciadło, nie mielibyśmy żadnych problemów z odnalezieniem ciebie. Jesteś świetnym mechanikiem, Jennings. Najlepszym, jaki kiedykolwiek u nas pracował. Chcielibyśmy, żebyś do nas wrócił. Żaden z nas nie potrafi tak dobrze obsługiwać tego urządzenia jak ty. A w tej chwili w ogóle nie potrafimy go uruchomić.

Jennings uśmiechnął się.

– Nie miałem pojęcia, że on zrobił coś takiego. Nie doceniałem go. Jego opieka była nawet...

– O kim ty mówisz?

– O sobie samym. Z czasów kontraktu. Posługuję się tą formą, bo tak jest prościej.

– No dobrze, Jennings. Tak więc wy dwaj opracowaliście dokładny plan kradzieży naszych schematów. Tylko w jakim celu? Przecież nie przekazałeś ich Policji.

– Nie.

– W takim razie w grę wchodzi tylko szantaż.

– Zgadza się.

– Po co to robisz? Co chcesz przez to osiągnąć?

Rethrick wyglądał tak, jakby się nagle zestarzał. Przygarbił się, jego oczy zrobiły się małe i szkliste, nerwowo pocierał podbródek.

– Zadałeś sobie sporo trudu, żeby postawić nas w takiej sytuacji. Ciekaw jestem, dlaczego. Kiedy dla nas pracowałeś, przez cały czas obmyślałeś szczegóły operacji. Teraz udało ci się dopiąć swego, pomimo wszelkich środków ostrożności, jakie przedsięwzięliśmy.

– Środków ostrożności?

– Czyszczenia pamięci. Ukrywania lokalizacji fabryki.

– Powiedz mu – odezwała się Kelly. – Powiedz mu, dlaczego to zrobiłeś.

Jennings wziął głęboki oddech.

– Rethrick, zrobiłem to, bo chcę do was wrócić. Znaleźć się znowu w firmie. To wyłączny powód. Nie mam innego.

Rethrick przyglądał mu się zdumiony.

– Po to, żeby znaleźć się w firmie? Przecież w każdej chwili mogłeś wrócić. Sam ci to proponowałem. – Jego głos brzmiał ostro i piskliwie, był napięty do granic możliwości. – O co ci chodzi? Możesz do nas wrócić. Na tak długo, jak zechcesz.

– Jako mechanik?

– Tak, jako mechanik. Zatrudniamy wielu...

– Nie chcę tam wracać jako mechanik. Nie interesuje mnie praca na twój rachunek. Posłuchaj, Rethrick, TP zgarnęła mnie natychmiast, jak tylko wyszedłem z biura. Gdyby nie on – już bym nie żył.

– Złapali cię?

– Interesowało ich, co produkuje Rethrick Construction. Żądali, żebym im powiedział.

Rethrick skinął głową.

– Faktycznie, nie wygląda to wesoło. Nic o tym nie wiedzieliśmy.

– Nie, Rethrick. Nie wrócę już do was jako pracownik, którego w każdej chwili można będzie wywalić na bruk. Mogę zostać twoim partnerem w interesach, ale pracować dla ciebie nie będę.

– Ty jako mój partner? – Rethrick przyglądał mu się z niedowierzaniem. Wyraz jego twarzy zmienił się i przebiegł po niej grymas niezadowolenia. – Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Chcę, żebyśmy wspólnie sprawowali kontrolę nad Rethrick Construction. Od tej pory tak właśnie by to funkcjonowało. I nikt nie będzie miał prawa, nawet dla własnego bezpieczeństwa, kasować mi pamięci.

– Czy tego właśnie chcesz?

– Tak.

– A jeżeli nie dopuścimy cię do zarządu?

– Wtedy schematy i filmy zostaną przekazane w ręce TP. Proste, prawda? Nie chcę jednak, by tak się stało. Zniszczenie firmy nie jest moim celem. Chciałbym do niej po prostu wejść! Pragnę być bezpieczny. Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy pozostaje się na zewnątrz i nie ma się gdzie schronić. W dzisiejszych czasach jednostka zdana jest tylko na siebie, nie ma dokąd pójść. Nie ma do kogo zwrócić się o pomoc – złapana w potrzask, pomiędzy dwoma bezwzględnyymi siłami. Jest tylko pionkiem w grze, którą prowadzą wpływowe ugrupowania polityczne i wielki biznes. Zmęczyła mnie już ta rola.

Przez dłuższą chwilę Rethrick się nie odzywał. Uporczywie wpatrywał się w podłogę, jego twarz była zupełnie nieodgadniona. W końcu podniósł wzrok.

– Wiem, że tak to wygląda. Wiem już od dłuższego czasu. Uświadomiłem to sobie wcześniej niż ty. Jestem przecież dużo starszy. Byłem pewien, że prędzej czy później do tego dojdzie. Wszystko ku temu zmierzało, rok po roku. Dlatego właśnie powołałem do życia Rethrick Construction. Dojdzie do wielkich zmian. Tego dnia, kiedy zakończymy nareszcie prace nad sondą przyszłości i zwierciadłem. Kiedy zgromadzimy wystarczająco dużo broni.

Jennings nie odezwał się.

– Bardzo dobrze wiem, jak to wygląda! Jestem starym człowiekiem. Pracuję od wielu lat. Kiedy powiedziano mi, że ktoś wykradł z fabryki schematy, pomyślałem, że to koniec. Zorientowaliśmy się już wtedy, że zniszczyłeś zwierciadło. Podejrzewaliśmy, że te sprawy miały ze sobą jakiś związek, źle jednak zinterpretowaliśmy fakty. Przypuszczaliśmy, że zostałeś podstawiony przez Policję, ażeby dowiedzieć się, czym się tutaj zajmujemy. Potem, gdy uświadomiłeś sobie, że nie zdołasz wyprowadzić stąd żadnych danych, uszkodziłeś zwierciadło. Z chwilą, gdy przestało ono działać, TP mogłaby przeprowadzić akcję i...

Przerwał na moment i potarł policzek.

– Mów dalej – poprosił Jennings.

– A więc działałeś na własną rękę... Szantaż. Po to, by wejść w nasze struktury. Ty zupełnie nie masz pojęcia, Jennings, do czego ta firma została powołana! Jakim prawem chciałbyś sprawować nad nią kontrolę? Pracowaliśmy tu i budowaliśmy ją nadzwyczaj długo. Rozwaliłbyś nas, zniszczyłbyś firmę tylko po to, aby uratować siebie?

– Wcale nie chcę was niszczyć. Mogę wam sporo pomóc.

– Sam zarządzam tym interesem. Firma należy do mnie. Ja ją stworzyłem, zbudowałem od

podstaw. Jest moja.

Jennings roześmiał się.

– A co się stanie, gdy umrzesz? Czyżby do rewolucji miało dojść jeszcze za twojego życia?

Rethrick gwałtownym ruchem uniósł głowę.

– Wiesz, że jestem dobrym mechanikiem. To twoje własne słowa. Postępujesz głupio, Rethrick. Chcesz mieć wyłączność na zarządzanie firmą. Robić wszystko samemu, decydować o każdej sprawie. Ale przecież, któregoś dnia umrzesz...

Zapadła cisza.

– Byłoby lepiej, gdybyś mnie przyjął... lepiej dla firmy i dla mnie samego. Mogę dla was wiele zrobić. Gdy ciebie zabraknie, firma przetrwa pod moim nadzorem. Być może uda się także przeprowadzić rewolucję.

– Powinieneś się cieszyć, że w ogóle żyjesz. Gdybym ci nie pozwolił zabrać ze sobą tych twoich drobiazgów...

– A czy mogłeś postąpić inaczej? Czy mogłeś oczekiwać, że mechanicy dalej będą obsługiwać twoje zwierniaki, wiedząc, co czeka ich w przyszłości? Czy mogłeś im zabronić, by zrobili cokolwiek dla ratowania samych siebie? To oczywiste, że musiałeś wprowadzić tę alternatywną klauzulę. Nie miałeś po prostu wyboru.

– Nie wiesz nawet, co takiego robimy. Po co istniejemy.

– Myślę, że wiem. Przecież pracowałem dla was dwa lata.

Czas płynął. Rethrick raz po raz oblizywał wargi i pocierał policzek. Na czoło wystąpiły mu krople potu. W końcu podniósł wzrok.

– Nie – odpowiedział. – To nie do przyjęcia. Nikt poza mną nie może zarządzać firmą. Jeżeli ja umrę, fabryka przypadnie razem ze mną. To moja własność.

Jennings natychmiast zaczął mieć się na baczności.

– W takim razie wszystkie materiały zostaną przekazane Policji.

Twarz Rethricka przybrała bardzo szczególny wyraz, od którego Jenningsowi przeszły ciarki po plecach.

– Kelly – powiedział Jennings. – Czy masz przy sobie te dokumenty?

Kobieta poruszyła się i wstała z miejsca. Zgasiła papierosa. Była niezwykle blada.

– Nie.

– Gdzie są, w takim razie? W jakim miejscu je ukryłaś?

– Przykro mi – odparła cichym głosem Kelly – ale nie zamierzam cię o tym informować.

Jennings spojrział na nią zdumiony.

– Co takiego?

– Bardzo mi przykro – powtórzyła. Ledwo było ją słyszeć, mówiła bardzo cicho. – Papiery są bezpieczne. TP nigdy ich nie dostanie. Ty również. Gdy zajdzie potrzeba, zwrócę je mojemu

ojcu.

– Ojcu!

– Kelly jest moją córką – oświadczył Rethrick. – Tego jednego nie przewidziałeś, Jennings. On również na to nie wpadł. Wiedzieliśmy o tym tylko ja i ona, nikt inny. Chciałem, żeby wszystkie kluczowe stanowiska w firmie pozostały w rodzinie. Widzę teraz, że to był całkiem dobry pomysł. Musieliśmy jednak utrzymywać to w tajemnicy. Gdyby TP zaczęła się czegoś domyślać, natychmiast by ją zgarnęli. Życiu Kelly zagrażałoby niebezpieczeństwo.

Jennings wolno wypuścił powietrze.

– Teraz rozumiem.

– Uznaliśmy, że powinnam podjąć współpracę z tobą – wyjaśniła Kelly. – W przeciwnym razie i tak byś się zdecydował wprowadzić swój plan w życie, tyle że działałbyś w pojedynkę. Wszystkie dokumenty nosiłbyś przy sobie. Zgodnie z tym, co sam mówiłeś, gdyby TP znalazła przy tobie te papiery, to byłby nasz koniec. Dlatego pojechałam tam razem z tobą. Jak tylko wręczyłeś mi materiały, umieściłam je w bezpiecznym miejscu. – Kelly nieznacznie się uśmiechnęła. – Nikt nie wie, gdzie się znajdują. Tylko ja. Przykro mi, że sprawy tak się mają.

– Posłuchaj, Jennings, zgadzam się, żebyś wszedł do firmy – oznajmił Rethrick. – Pracuj dla nas tak długo, jak zechcesz. Możesz mieć wszystko, czego tylko zapragniesz. Poza jednym...

– Wszystko, pod jednym warunkiem: wyłącznie ty będziesz zarządzać firmą.

– Zgadza się. Firma ma długą tradycję. Jest starsza niż ja sam. To nie ja ją stworzyłem. Została mi, że tak powiem, zapisana w testamencie. Przyjąłem na siebie ten ciężar. Podjąłem się trudu zarządzania firmą, dbania o jej rozwój, prowadzenia jej aż po ów dzień. Dzień rewolucji, jak go określiłeś.

Założył ją jeszcze mój dziadek, w dwudziestym wieku. Firma zawsze należała do rodziny. I tak też pozostanie. Któregoś dnia, gdy Kelly wyjdzie za mąż, pojawi się ktoś, kto odziedziczy po mnie fabrykę i przejmie nad nią kontrolę. Tak więc tę kwestię mamy już rozwiązaną. Firma została założona w Maine, niewielkim mieście w Nowej Anglii. Dziadek był trochę podobny do dawnych mieszkańców tych ziem: oszczędny, uczciwy, ze wszech miar ceniący sobie niezależność. Prowadził skromny warsztat, sprzedawał narzędzia i wykonywał drobne naprawy. Miał naprawdę spory dryg do tego.

Gdy zorientował się, że Rząd i wielki biznes kładą na wszystkim łapę, zszedł do podziemia. Rethrick Construction zniknęła z mapy świata. Rząd potrzebował sporo czasu, żeby przejąć kontrolę nad Maine. Trwało to o wiele dłużej niż gdzie indziej. Podczas gdy resztą świata podzieliły się międzynarodowe kartele i supermocarstwa, Nowa Anglia nadal zachowywała swą odrębność. Była wciąż wolna. Podobnie jak mój dziadek i Rethrick Construction.

Dziadek wciągnął w swój interes parę osób. Byli wśród nich mechanicy, lekarze, prawnicy, a także pracujący dla rozmaitych tygodników dziennikarze, przybyli ze Środkowego Zachodu.

Firma zaczęła się rozrastać. Pojawiła się broń – broń i nowe technologie. Zbudowano sondę przyszłości oraz zwierciadło! Wzniesiono też fabrykę. Budowano ją potajemnie, za duże pieniądze, przez długi czas. To prawdziwy kolos. Jest ogromna i ukryta głęboko w ziemi. Ma o wiele więcej podziemnych kondygnacji, niż udało ci się zaobserwować. On, to twoje alter ego, na pewno miał ogląd całości. Ta fabryka to prawdziwa potęga. Potęgę tę współtworzą ludzie, którzy kiedyś zaginęli, a faktycznie stali się ofiarami czystek – my ich przejęliśmy, samych najlepszych.

Któregoś dnia, Jennings, wszyscy ruszymy do walki. Obecna sytuacja nie utrzyma się długo. Nie można żyć w takich warunkach, być miotanym na wszystkie strony przez polityczne i ekonomiczne grupy nacisku. Wielkie masy ludzkie podlegają bezustannej manipulacji i są wykorzystywane dla potrzeb rozmaitych rządów i karteli. Któregoś dnia utworzy się ruch oporu. Silny, zdecydowany na wszystko. Na jego czele nie staną żadni wielcy tego świata, lecz zwykli obywatele: kierowcy autobusów, sklepikarze, pracownicy sieci wideofonicznych, kelnerzy. Wtedy nasza firma wkroczy do akcji. Udzielimy im wszelkiej pomocy, jakiej będą potrzebować. Zaopatrzymy w narzędzia, broń, dostarczymy odpowiednich technologii. „Sprzedamy” im nasze usługi. Będzie ich stać na to, żeby nas wynająć. Do kogoś będą musieli się zwrócić. Napotkają przecież silny opór. Przeciwno nim wystąpią siły posiadające wielkie pieniądze i władzę.

Zapadła cisza.

– Rozumiesz teraz? – zapytała Kelly. – To firma ojca, należy do rodziny. Stanowi jej część. Jest nasza. Zawsze tak było. Dlatego nie wolno ci się wtrącać. Tak właśnie załatwia się te sprawy w Maine.

– Przyłącz się do nas – powiedział Rethrick. – Jako mechanik. Przykro mi, ale my widzimy tylko takie wyjście. Być może mamy nieco zawężone horyzonty, ale zawsze postępowaliśmy w ten sposób.

Jennings nic nie odpowiedział. Wolno przeszedł przez pokój, ręce trzymał w kieszeniach. Chwilę potem podciągnął roletę i wyrzwał na ulicę.

Na dole panował spory ruch. W obie strony przesuwiał się sznur pojazdów, pośród których Jennings dostrzegł małego czarnego insekta – krążownik Tajnej Policji. Dołączył on do innego, parkującego na chodniku. W pobliżu stało czterech agentów TP ubranych w zielone uniformy. Z drugiej strony ulicy zmierzali już ku nim następni. Opuścił roletę.

– To trudna decyzja – powiedział.

– Jeżeli wyjdiesz teraz na ulicę, natychmiast cię zdejmą – powiedział Rethrick. – Cały czas tam stoja. Nie masz żadnych szans.

– Proszę – powiedziała Kelly, spoglądając na niego.

Nagle Jennings uśmiechnął się.

– A więc nie zdradzisz mi, w jakim miejscu złożyłaś dokumenty. Gdzie je ukryłaś.

Kelly pokręciła przecząco głową.

– Chwileczkę. – Jennings sięgnął do kieszeni. Wyjął niewielką karteczkę. Wolno ją rozłożył i zaczął się jej przyglądać. – Czy przypadkiem nie zdeponowałaś ich w Dunne National Bank, wczoraj, około trzeciej po południu? Po to, żeby spoczywały bezpiecznie na dnie bankowego sejfów?

Kelly krzyknęła z wrażenia. Chwyciła torebkę i otworzyła ją z trzaskiem. Jennings wsunął pokwitowanie z powrotem do kieszeni. „A więc on przewidział również i to” – zamruczał do siebie. Ostatni z drobiazgów. Zastanawiałem się, jakie jest jego przeznaczenie. Kelly jak oszalała zaczęła przetrząsać torebkę, była bardzo zdenerwowana. Wreszcie wyciągnęła ze środka niewielki świstek i zaczęła nim wymachiwać.

– Mylisz się! Jest tutaj! – Na chwilę się odprężyła. – Nie wiem, co ty tam masz, ale to jest...

Nagle coś się poruszyło. W górze, nad ich głowami, przestrzeń uformowała się w ciemny krąg, który drgnął lekko. Kelly i Rethrick wpatrywali się weń z przerażeniem, stojąc w zupełnym bezruchu. Wtem ze środka wysunęło się stalowe ramię uzbrojone w potężne szczypce przypominające szpony. Połyskując, opuszczało się w dół, wychylając się mocno na boki. Następnie błyskawicznym ruchem uchwyciło szczypcami kartkę papieru i wyrwało ją spomiędzy palców Kelly. Przez chwilę ramię zawahało się, następnie podciągnęło szybko do góry i skryło się w czarnym kręgu przestrzeni, porywając ze sobą zdobycz. W mgnieniu oka wszystko się rozpląnęło, zarówno stalowe ramię uzbrojone w szczypce, jak i czarna czeluść. Nie pozostał żaden ślad. Zupełnie nic.

– Gdzie... gdzie to się podziało? – szepnęła przerażona Kelly. – Co stało się z pokwitowaniem? Co to było?

– Jest całkowicie bezpieczne, spoczywa tutaj. – Jennings poklepał się po kieszeni. – Zastanawiałem się, kiedy on wreszcie się pokaże. Już zaczynałem odczuwać niepokój.

Rethrick i jego córka stali jak sparaliżowani, w zupełnym milczeniu.

– No, już, przestańcie się zamartwiać – powiedział Jennings. Skrzyżował ramiona na piersi. – Przecież kwit znajduje się w bezpiecznym miejscu... Firmie również nic nie zagraża. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, fabryka będzie w doskonałej kondycji, świetnie przygotowana do niesienia pomocy siłom rewolucji. Wszyscy będziemy dokładać starań, aby tak właśnie się stało – ty, ja i twoja córka.

Spojrzał na Kelly, w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Cała trójka. A może do tego czasu rodzina zdąży się powiększyć!

Niania

– Ilekroć myślę o przeszłości – powiedziała Mary Fields – nie mogę się nadziwić, jak to było możliwe, iż chowaliśmy się bez opieki Niani.

Nie było wątpliwości, że odkąd Niania trafiła do domu Fieldsów, ich życie zmieniło się w sposób zasadniczy. Od samego rana, gdy tylko dzieci zdążyły otworzyć oczy, aż do nocy, kiedy to padały zmorzone snem – Niania wciąż była tuż obok, krążyła w pobliżu, starając się zaspokoić wszystkie ich potrzeby.

Tom Fields miał pewność, że kiedy przebywa w biurze, jego dzieciom nie dzieje się żadna krzywda, są całkowicie bezpieczne. Mary natomiast uwolniła się od niezliczonych codziennych obowiązków oraz trosk. Nareszcie nie musiała budzić maluchów, ubierać, pilnować, czy się umyły, zjadły przygotowany posiłek itp. Nie potrzebowała ich nawet zawozić do szkoły. Po lekcjach, gdy dzieci nie pojawiały się w domu o wyznaczonej porze, nie wpadała od razu w popłoch i nie biegła tam i z powrotem po pokoju, pełna najgorszych przeczuć.

Błędem byłoby jednak sądzić, że Niania nadmiernie rozpieszczała pociechy. Ilekroć domagały się czegoś niedorzecznego lub wręcz dla nich szkodliwego – na przykład góry cukierków albo policyjnego motocykla – pozostawała nieugięta. Niczym dobry pasterz, wiedziała doskonale, kiedy nie można owcom pofolgować.

Rodzeństwo bardzo kochało swoją opiekunkę. Któregoś razu, gdy trzeba było Nianię wysłać do punktu naprawczego – dzieci zaczęły okropnie płakać. Ani matka, ani ojciec nie potrafili ukoić ich żalu. Na szczęście Niania w końcu wróciła i w domu zapanował spokój. Zdążyła na czas! Pani Fields była już u kresu sił.

– Mój Boże – powiedziała, rzucając się na łóżko. – Jak dalibyśmy sobie bez niej radę?

Pan Fields podniósł wzrok.

– Bez kogo?

– Bez naszej Niani.

– Bóg jeden raczy wiedzieć – odparł.

Aby zbudzić swych podopiecznych, Niania stawała w odległości kilku kroków od wezgłowia łóżek, brzęcząc cichutko coś w rodzaju melodyjki. Następnie pilnowała, by dzieci sprawnie się ubrały i zeszły na śniadanie, miały umyte twarze i dobry nastrój. Gdy były w złym humorze, Niania brała je na barana i razem, ku ogromnej ich radości, zjeżdżali na dół.

Cóż to była za przyjemność! Prawie jak jazda kolejką górską – Bobby i Jean wisieli na Niani, zupełnie bez tchu, a ona zabawnie zsuwała się po schodach, tocząc się w sobie właściwy sposób.

Niania, co oczywiste, nie robiła śniadania. Był to obowiązek kuchni. Towarzyszyła jednak dzieciom, nadzorując, czy jej podopieczni jedzą to, co dla nich uszykowano, a po śniadaniu sprawdzała jeszcze, czy przygotowały się odpowiednio do szkoły. Kiedy już wszystkie książki

znalazły się na swoim miejscu, a dzieci były uczesane i wyglądały schludnie, przystępowała do najważniejszego zadania – zapewnienia im bezpieczeństwa na ruchliwych ulicach.

W mieście czyhało wystarczająco dużo zła i Niania wiedziała, że musi mieć stale oczy szeroko otwarte. Wokół śmigały niezwykle szybkie pojazdy o napędzie rakietowym, przewożące biznesmenów do pracy. Któregoś dnia jakiś oprych usiłował poturbować Bobby'ego. Wystarczył jeden błyskawiczny wyrzut prawego ramienia, a intruz momentalnie oddalił się, wyjąc jak potępieniec. Innym razem pijak próbował zaczepiać Jean, zupełnie nie było wiadomo, jakie miał zamiary. Niania zepchnęła go do rynsztoka, nacierając nań bokiem swojego potężnego metalowego korpusu.

Czasami dzieci przystawały przed jakąś witryną sklepową. Wówczas opiekunka delikatnie szturchała je, nakłaniając w ten sposób do pośpiechu. Kiedy indziej znów (bo i tak się zdarzało), gdy było już na tyle późno, że dzieci mogły nie zdążyć do szkoły, Niania brała je na plecy i pospiesznie sunęła chodnikiem. Jej system motoryczny brzęczał i terkotał, pracując w szalonym tempie.

Po szkole Niania również nie odstępowała rodzeństwa – nadzorowała zabawę, obserwowała ich poczynania, chroniła, a z zapadnięciem zmroku odciągała od zabawy i prowadziła w stronę domu.

Można było mieć pewność, że gdy tylko zostanie nakryte do kolacji, w drzwiach frontowych pojawi się Niania, która brzęcząc i stukocząc, zacznie przynaglać swoich podopiecznych, aby się pospieszili. W samą porę! Jeszcze tylko szybko do łazienki, umyć twarz i ręce.

A w nocy... Pani Fields chwilę milczała, marszcząc nieznacznie brwi. W nocy...

– Tom? – zwróciła się do męża.

– O co chodzi? – pan Fields podniósł głowę znad gazety.

– Chciałam z tobą o czymś porozmawiać. To dziwna sprawa, czegoś tu nie rozumiem. Naturalnie nie znam się na urządzeniach mechanicznych. Ale wiesz co, w nocy, gdy wszyscy śpią i w domu panuje cisza, Niania...

Dobiegł ich jakiś hałas.

– Mamo! – Jean i Bobby wpadli do pokoju, twarze mieli zarumienione z przejęcia. – Mamo, ścigaliśmy się z Nianią przez całą drogę do domu i wygraliśmy!

– Udało się nam – powiedział Bobby. – Pokonaliśmy ją.

– Biegliśmy dużo szybciej niż ona – oświadczyła Jean.

– A gdzie Niania? – zapytała pani Fields.

– Zaraz tu będzie. Cześć, tato.

– Cześć, dzieciaki – odparł Tom. Przechylił głowę na bok, nasłuchując. Od strony ganku dobiegały jakieś zgrzyty, dziwne brzęczenie i szuranie. Uśmiechnął się.

– To ona – oświadczył Bobby.

Do pokoju wsunęła się Niania.

Pan Fields przyjrzał się jej. Zawsze go intrygowała. W pokoju słychać było jedynie osobliwe, rytmiczne szuranie, które powstawało przy zetknięciu się kół napędu z twardą drewnianą podłogą. Niania zatrzymała się w odległości kilku kroków od Toma. Para nieruchomych oczu, uzbrojonych w fotokomórki i osadzonych na giętkich wysięgnikach, lustrowała go uważnie. Wysięgniki poruszały się badawczo, drgając przy tym nieznacznie. Po chwili wsunęły się do środka.

Niania zbudowana była w formie olbrzymiej metalowej kuli, spłaszczonej na spodzie. Kadłub pociągnięty miała zieloną, pozbawioną połysku emalią, która wskutek długotrwałego użytkowania zaczynała się łuszczyć i odpryskiwać. Poza wysięgnikami, na których osadzono oczy, niewiele więcej dało się zaobserwować. Cały system motoryczny został ukryty. Po obu stronach metalowego korpusu widać było zarysy drzwi. Właśnie przez nie wysuwały się magnetyczne chwytaki, ilekroć zachodziła potrzeba ich użycia. Przód korpusu był ostro zakończony, a także specjalnie wzmocniony. Dodatkowe warstwy metalu, przyspawane z przodu i z tyłu do kadłuba, nadawały Niani wygląd jakiejś wojennej maszyny. Przypominała czołg. Albo statek kosmiczny w formie kuli, który właśnie przybył na ziemię. Była podobna do owada. Jakiegoś olbrzymiego pancerzowca.

– Prędszej! – zawołał Bobby.

Niania gwałtownie się poruszyła, obracając się nieznacznie wokół własnej osi, gdy koła napędu dotknęły podłogi. Jedna para bocznych drzwi otworzyła się. Ze środka błyskawicznie wysunęło się długie metalowe ramię. Niania chwyciła Bobby'ego magnetycznym chwytakiem i przyciągnęła do siebie. Następnie posadziła go sobie na plecach. Bobby zasiadł okrakiem na korpusie Niani. Podekscytowany uderzał piętami o jej boki i podskakiwał w górę i w dół, na przemian.

– Ścigajmy się dookoła domu! – zawołała Jean.

– Dalej, wio! – krzyknął Bobby. Olbrzymi kulisty owad, brzęczący i szczękający, zbudowany z rozmaitych przekaźników, trzaskających fotokomórek i lamp elektronowych ruszył z chłopcem na plecach. Po chwili wypadli z pokoju. Jean biegła tuż obok Niani.

Zapadła cisza. Rodzice znowu byli sami.

– Czyż ona nie jest zdumiewająca? – zapytała pani Fields. – Oczywiście, roboty w dzisiejszych czasach to rzecz normalna. Są teraz o wiele częściej wykorzystywane niż kilka lat temu. Można je zobaczyć wszędzie, za ladą sklepową, za kierownicą autobusu albo też przy kopaniu rowów...

– Nasza Niania jest jednak inna – powiedział szeptem pan Fields.

– Tak, ona nie zachowuje się jak zwykła maszyna. Przypomina raczej osobę. Żywą istotę. No, ale w porównaniu z robotami innego typu ma przecież wyjątkowo złożoną konstrukcję. Nie

może być inaczej. Podobno jest nawet bardziej skomplikowana od robotów pracujących w kuchni.

– Bądź co bądź, kosztowała nas niemało – stwierdził Tom.

– Faktycznie – odpowiedziała cicho Mary. – Ona rzeczywiście przypomina żywą istotę.

W głosie pani Fields pobrzmiwała jakaś dziwna nuta. – To niesamowite, jak bardzo.

– Niewątpliwie dobrze zajmuje się dziećmi – stwierdził Tom, powracając do czytania gazety.

– Coś mnie jednak martwi. – Mary odstawiła filiżankę z kawą i zmarszczyła brwi.

Jedli właśnie kolację. Było już późno. Dzieci zostały odesłane na górę, do łóżek. Mary przyłożyła serwetkę do ust.

– Naprawdę się niepokoję. Chciałabym, żebyś mnie wysłuchał.

Tom zamrugnął oczami. – Martwisz się? Czym?

– Chodzi o nią. O Nianię.

– Ale dlaczego?

– Ja... właściwie sama nie wiem.

– Czyżby trzeba ją było znowu oddać do naprawy? Dopiero co wróciła z warsztatu. Co się tym razem stało? Gdyby te dzieciaki nie nakłaniały jej do...

– Nie w tym rzecz.

– No to, o co chodzi?

Przez dłuższą chwilę żona pana Fieldsa nie odpowiadała. Nagle wstała od stołu i przeszła przez pokój w kierunku schodów. Wyjrzała na korytarz, usiłując przeniknąć wzrokiem panujący mrok. Tom przyglądał się jej zdumiony.

– Co się stało?

– Chcę się upewnić, że nas nie słyszy.

– Ona? Niania?

Mary podeszła do męża. – Ubiegłej nocy znów się obudziłam. To z powodu tych dziwnych odgłosów. Dobiegły mnie te same dźwięki, które słyszałam już wcześniej. A ty mi wmawiałeś, że nie ma powodu do zmartwień!

Tom wykonał ręką nieokreślony gest. – Bo nie ma. Niby co to wszystko miałoby znaczyć?

– Nie mam pojęcia. I to właśnie mnie martwi. Chodzi o to, że gdy śpimy – ona schodzi na dół. Wymyka się z pokoju dzieci, po czym ześlizguje się cichuteńko po schodach.

– Ale po co to robi?

– Tego nie wiem! Ubiegłej nocy słyszałam, jak schodziła na dół, bezszelestnie zsuwając się po stopniach, niczym myszka. Słyszałam ją na dole, a potem...

– A potem co?

– Później słyszałam, jak się wydostała na dwór przez drzwi prowadzące do ogrodu. Wyszła na zewnątrz budynku. Tyle udało mi się wówczas ustalić.

Tom potarł ręką podbródek. – Mów dalej.

– Zaczęłam nasłuchiwać. Usiadłam na łóżku. Ty oczywiście spałeś. Jak kamień. Nawet nie próbowałam cię budzić. Wstałam i podeszłam do okna. Odsłoniłam rolety i wyjrzałam na zewnątrz. Ona tam była, stała w ogrodzie.

– Co robiła?

– Nie wiem. – Na twarzy Mary Fields ukazały się zmarszczki wyrażające głębokie zatroskanie. – Nie mam pojęcia! Cóż, u licha, mogłaby robić Niania późną nocą w środku ogrodu?

Było ciemno. Przerazliwie ciemno. Włączył się jednak noktowizor i ciemności przestały stanowić jakikolwiek problem. Metalowy kształt przesuwiał się do przodu, torując sobie drogę przez kuchnię. Koła napędu były na wpeł wciągnięte do środka, dla wytłumienia hałasu. Maszyna zbliżyła się do drzwi prowadzących na podwórze i stanęła, pilnie nasłuchując.

Nie dobiegał żaden dźwięk. W domu panowała idealna cisza. Na górze wszyscy spali. Twardym snem.

Niania pchnęła drzwi, które otworzyły się bezszelestnie. Wyszła na ganek i pozwoliła, aby drzwi łagodnie się za nią zamknęły. Nocne powietrze było rozrzedzone i chłodne. Nasycone całą gamą zapachów, wszystkich tych niesamowitych nocnych zapachów, od których ciarki przechodzą po plecach, tak typowych dla przełomu wiosny i lata, gdy ziemia jest nadal rozmokła, a gorące lipcowe słońce nie zdążyło jeszcze uśmiercić dopiero co obudzonych do życia roślinek.

Niania zeszła po stopniach na betonowy chodnik. Następnie ostrożnie zsunęła się na trawnik, mokre źdźbła traw ocierały się o jej boki. Po pewnym czasie zatrzymała się i uruchomiła tylną część napędu, który wydzwignął ją do góry. Przód metalowego kadłuba sterczał ostro w górę. Wysięgniki, z osadzonymi na nich oczami, zostały wysunięte na całą długość. Były sztywne i napięte, lekko przy tym drgały. Po chwili robot powrócił do swojej normalnej postawy i dalej posuwał się naprzód.

Właśnie okręzał drzewko brzoskwiniowe, kierując się na powrót w stronę domu, gdy rozległ się jakiś hałas.

Robot zatrzymał się natychmiast, zachowując czujność. Boczne drzwi uchyliły się i ze środka wysunęły się metalowe ramiona, giętkie i sprężyste, ale i nieufne. Po drugiej stronie drewnianego płotu, za rządkiem margerytek, coś się poruszyło. Niania spojrzała badawczo w tym kierunku, słysząc było szybkie stukotanie noktowizorów. Na niebie migotało tylko kilka niewyraźnych gwiazd. Robot jednak coś dostrzegł, i to wystarczyło.

Po przeciwnej stronie płotu znajdowała się druga Niania, która ostrożnie przedzierała się przez klomby z kwiatami, ciągle przybliżając się do ogrodu. Starła się przemieszczać najciszej, jak umiała. Obie zatrzymały się, stanęły nagle w zupełnym bezruchu, lustrując się

nawzajem – zielona Niania spokojnie czekała w ogrodzie, aż podejrzany przybysz zbliży się do drewnianych sztachet.

Niebieska Niania była większa, przystosowana do opieki nad dwójką dorastających chłopców. Jej boki były powgniatane i odkształcone od długotrwałego użytkowania, ale magnetyczne chwytaki pozostały mocne i niezwykle sprawne. Oprócz kilku warstw metalu standardowo używanych do wzmocnienia okolic nosa, model ten wyposażony był w pewien rodzaj dłuta, wykonanego z twardej stali, przypominającego wystającą szczękę. Znajdowała się ona teraz w stanie gotowości, zdolna do podjęcia wyznaczonych zadań.

Firma Mecho-Products, producent niebieskiej Niani, szczególnie dużo czasu poświęciła właśnie konstrukcji szczęki. Był to znak rozpoznawczy tych robotów, cecha zupełnie unikatowa. W reklamach i prospektach zwracano uwagę na ów masywny wystający dziób, który pojawił się we wszystkich modelach tej firmy. Roboty posiadały również części uzupełniające – elektryczne ostrze tnące, które za dodatkową opłatą można było zainstalować w „luksusowych modelach”.

Niebieska Niania tak właśnie była wyposażona. Ostrożnie posuwając się do przodu, dotarła wreszcie do ogrodzenia. Zatrzymała się i uważnie sprawdziła deski. Były cienkie i zbutwiałe. Płot zbudowano dość dawno temu. Natarła swoją twardą głową na sztachety. Przeszkoda ustąpiła, rozlatując się na kawałki.

Zielona Niania natychmiast uniosła się na tylnych kołach i wypuściła magnetyczne chwytaki. Wypełniała ją dzika radość, wprost nie mogła opanować podniecenia. Gorączka walki oładnęła nią bez reszty.

Oba roboty zwały się ze sobą i zaczęły tarzać się po ziemi, ciasno objęte chwytakami. Żaden z nich nie wydawał najmniejszego dźwięku, ani niebieska Niania firmy Mecho-Products, ani mniejsza i lżejsza bladozielona Niania wyprodukowana przez Service Industries, Inc. Trwała zażarta walka. Masywny dziób usiłował dosięgnąć podwozia przeciwnika i uszkodzić delikatny system motoryczny. Zielona Niania próbowała przejechać ostrzem wieńczącym jej korpus po migających niespokojnie oczach wroga, których światło odcinało się wyraźnie od metalowej obudowy. Znalazła się w nieco gorszej sytuacji, ponieważ był to model średniej klasy; drugi robot był znacznie od niej cięższy i lepiej wyposażony. Nie poddawała się jednak, walczyła z olbrzymią determinacją, niezwykle zaciekle.

Roboty, pełne gniewu, bezgłośnie realizowały swoje fundamentalne zadanie, do którego każdy z nich został powołany już w fazie projektu.

– Trudno to sobie wyobrazić – odezwała się szeptem Mary Fields, kręcąc głową. – Zupełnie nie rozumiem, jak do tego doszło.

– Jak sądzisz, czy to mogło zrobić jakieś zwierzę? – snuł domysły Tom. – Czy w naszym sąsiedztwie ktoś trzyma duże psy?

– Raczej nie. Był jeden rudy seter irlandzki, ale ci ludzie wyprowadzili się gdzieś na wieś. Pies należał do pana Petty’ego.

Mary i Tom przyglądali się zakłopotani i zaniepokojeni. Niania leżała spokojnie przy drzwiach łazienki, pilnując, aby Bobby umył zęby. Zielony kadłub cały był powgniatany. Oko zostało zmiażdżone, szkło rozbite i potłuczone. Jednego z ramion nie dawało się już wciągnąć przez małe drzwiczki do środka, zwisało żałośnie z boku robota, bezużyteczne ciągnęło się za nim.

– Nie mieści mi się to w głowie – powtórzyła Mary. – Wezwę ekipę naprawczą i zapytam, co na ten temat sądzą. Tom, to musiało się zdarzyć w nocy. Wtedy, gdy spaliśmy. Pamiętasz te hałasy, które słyszałam...

– Ciiiiiii... – mruknął ostrzegawczo mąż.

Niania zbliżała się do nich. Słysząc było nieregularne kołatanie i brzęczenie, kuśtykający nieporadnie zielony metalowy kadłub wydawał z siebie nierówny, zgrzytliwy dźwięk. Tom i Mary Fields patrzyli ze smutkiem, jak robot ciężko i wolno toczy się w stronę salonu.

– Zastanawiam się... – powiedziała szeptem Mary

– Nad czym?

– Myślę, czy podobna sytuacja może się jeszcze powtórzyć. – Przesłała mężowi krótkie, pełne smutku spojrzenie. – Wiesz przecież, jak mocno dzieci są z nią związane... i jak bardzo jest im potrzebna. Bez niej nie czułyby się bezpieczne, prawda?

– Może nic takiego już się więcej nie przydarzy – odezwał się uspokajająco pan Fields. – To mógł być wypadek.

Sam jednak nie wierzył w to, co mówił. Był przeświadczony, że ta historia z Nianią to nie był wypadek.

Wyjechał tyłem z garażu, wyprowadzając swój krążownik. Manewrował nim tak długo, aż drzwi pojazdu wykorzystywane przy załadunku ustawiły się dokładnie na wprost tylnych drzwi domu. Zapakowanie obtłuczonego, pogiętego kadłuba Niani do środka zajęło tylko chwilę. W ciągu dziesięciu minut Tom był już w drodze do miasta. Jechał w kierunku warsztatów naprawczych Service Industries, Inc.

W progu powitał go ktoś z obsługi. Mężczyzna ubrany w biały, wyplamiony smarem kombinezon.

– Jakies kłopoty? – zapytał znużonym głosem. Z tyłu, za nim, na całej długości olbrzymiej hali stały w rzędach uszkodzone roboty-Nianie, każdy wybrakowany w inny sposób. – Co stało się tym razem?

Tom nic nie odpowiedział. Kazał wyjąć z pojazdu Nianię i czekał, aż mechanik sam dokona ekspertyzy.

Kręcąc głową, pracownik obsługi wyczołgał się spod robota i wytarł ręce ze smaru.

– To będzie sporo kosztować – zakomunikował. – Cały system przewodów odpowiedzialnych za przesył sygnałów został uszkodzony.

Tomowi zaschło w gardle. Natarczywie domagał się wyjaśnień:

– Czy widział pan już kiedyś coś podobnego? Ten robot się nie zepsuł. On został zniszczony.

– Jasne, że tak – odrzekł bezbarwnym głosem pracownik obsługi. – Nieźle musiała oberwać. Sądząc po tych brakujących częściach – mężczyzna wskazał ręką wgniecione elementy przedniej części kadłuba – przypuszczam, że to musiał być jeden z tych modeli wypuszczonych niedawno przez Mecho. Ten z mocno wystającą szczęką.

Tom poczuł nagły ucisk w klatce piersiowej, a krew ścięła mu się w żyłach.

– A więc to nie pierwszy taki przypadek – odezwał się cicho. – Takie rzeczy są na porządku dziennym.

– No cóż, Mecho-Products właśnie wypuściła na rynek ten model z wystającą szczęką. Jest nawet niezły... kosztuje dwa razy tyle co pański robot. Naturalnie, nasza firma również posiada modele tej klasy – dodał zapobiegliwie mężczyzna. – Są równie dobre, a nie tak drogie.

Starając się panować nad swoim głosem, Tom oświadczył:

– Zależy mi, aby ten tutaj został naprawiony. Nie mam zamiaru kupować następnego.

– Postaram się. Nie będzie już jednak tak sprawny, jak dawniej. Został poważnie uszkodzony. Radziłbym panu dać go na wymianę za nowego robota. Dostanie pan za niego prawie tyle samo, ile pan zapłacił. Jeżeli chodzi o te nowe modele, które zostaną wypuszczone na rynek za jakiś miesiąc, może dwa – to sprzedawcy nie mogą się doczekać, żeby...

– Postawmy sprawy jasno. – Drżąc ze zdenerwowania, Tom Fields zapalił papierosa. – Tak naprawdę, to wcale wam nie zależy na tym, żeby naprawiać zdemolowane roboty. Chodzi tylko o to, żeby utrzymać ciągłość sprzedaży nowych, dzięki temu, że stare się zepsują.

Tom bacznie przypatrywał się mechanikowi. – Zepsują się albo ulegną zniszczeniu.

Pracownik obsługi wzruszył ramionami.

– Naprawianie go to czysta strata czasu. I tak wkrótce przestanie nadawać się do użytku. – Kopnął butem odkształcony zielony kadłub. – Ten model ma już około trzech lat. Jest całkiem przestarzały, proszę pana.

– Proszę go naprawić – odrzekł Tom, okazując rozdrażnienie. Powoli zaczynał wszystko rozumieć. Jeszcze chwila i straci panowanie nad sobą. – Nie mam najmniejszego zamiaru kupować nowego robota! Chcę, aby ten został naprawiony!

– Oczywiście – odparł zrezygnowany pracownik obsługi. Zabrał się do wypisywania zlecenia usługi. – Postaramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy. Proszę jednak nie liczyć na cud!

Gdy Tom nerwowym ruchem ręki składał swój podpis na formularzu, do warsztatu przywieziono kolejne dwie Nianie, obie poważnie uszkodzone.

– Kiedy będę mógł ją odebrać? – zapytał zniecierpliwiony.

– Naprawa potrwa kilka dni – odpowiedział mechanik, wskazując głową rzędy robotów czekających na swoją kolejkę. – Jak pan widzi – dodał z pewnym ociąganiem – jesteśmy zawaleni robotą.

– Poczekam – odpowiedział Tom. – Nawet gdyby to miało trwać miesiąc.

– Chodźmy do parku! – zawołała Jean.

Udali się więc na spacer.

Dzień był naprawdę piękny, słońce mocno przygrzewało, trawa i kwiaty poruszały się lekko na wietrze. Rodzeństwo wolno podążało wysypaną żwirem ścieżką, wdychając ciepłe, pachnące powietrze. Dzieci oddychały pełną piersią, zatrzymując w płucach zapach róż, hortensji i kwiatów pomarańczy. Przeszły przez rozkołysany wiatrem zagajnik, w którym rosły ciemne, wspaniałe cedry. Próchnicza ziemia ustępowała miękko pod ciężarem kroków, aksamitny wilgotny dywan utkany z roślin ścielił się pod stopy. Gdy minęli cedrowy zagajnik, znowu widać było słońce i kawałek błękitnego nieba, który nagle ponownie się zmaterializował. Z przodu rozciągał się wspaniały zielony trawnik.

Z tyłu, za dziećmi, szła Niania. Poruszała się z ogromnym trudem, niezwykle wolno, a jej system motoryczny rzęził, robiąc spory hałas. Obwisłe ramię zostało naprawione, a w miejsce stłuczonej soczewki oka wstawiono nową. Robotowi brakowało jednak wcześniejszej świetnej koordynacji ruchowej, a zgrabnie wyprofilowana metalowa obudowa nigdy już nie odzyskała dawnego blasku. Od czasu do czasu Niania zatrzymywała się, wówczas dzieci również stawały, niecierpliwie czekając, aż do nich dołączy.

– Co się dzieje, Nianiu? – pytał Bobby.

– Coś z nią jest nie w porządku – żaliła się Jean. – Od ubiegłej środy zachowuje się jakoś dziwnie. Porusza się naprawdę wolno i niezgrabnie. No i przez jakiś czas w ogóle jej nie było.

– Pojechała do warsztatu – oświadczył Bobby. – Myślę, że jest po prostu zmęczona. Tata mówi, że się zestarzała. Słyszałem, jak rozmawiał o tym z mamą.

Odrobinę zasmucone szły dalej drogą, a za nimi z trudem nadążała Niania. Dotarły akurat do miejsca, gdzie na trawniku tu i ówdzie rozstawiono ławki, na których wylegiwali się rozleniwieni słońcem ludzie. Na trawie leżał jakiś młody człowiek, twarz miał nakrytą gazetą, a pod głowę wsunął sobie płaszcz zwinięty w wałek. Dzieci ostrożnie obeszyły leżącego, uważając, aby nieopatrnie na niego nie nadepnąć.

– Nareszcie widać jezioro! – krzyknęła Jean, czując, że wraca jej dobry nastrój.

Olbrzymi teren porośnięty trawą łagodnie opadał coraz niżej i niżej. Na samym jego skraju biegła wysypana żwirem ścieżka, a tuż za nią rozciągała się błękitna tafla wody. Dzieci zbiegały truchtem z góry, niezwykle podekscytowane, pełne radosnych oczekiwań. Pędziły coraz prędzej i prędzej w dół zbocza opadającego tarasami ku brzegom zbiornika, za nimi podążała Niania,

bezsukutecznie próbując dotrzymać im kroku.

– Jezioro!

– Kto dobiegnie ostatni, ten jest zdechła marsjańska pluskwa!

Z trudem łapiąc oddech, przecięły ścieżkę i wbiegły na niedużą zieloną skarpe, o którą z chłupotem uderzały drobne fale. Bobby rzucił się na kolana, śmiał się i sapał, wypatrując czegoś w wodzie. Jean usadowiła się tuż obok niego, wygładzając starannie sukienkę. Głęboko, pod niebieską taflą zmętniałej wody, pływały kijanki i inne drobne żyjątka, niewielkie sztuczne ryby, zbyt małe, aby nadawały się do łowienia.

Na oddalonym brzegu jeziora jakieś dzieci puszczały na wodę łódki z łopocącymi na wietrze białymi żagielkami. Jedną z ławek zajmował otyły mężczyzna, który w wielkim skupieniu czytał książkę. W ustach zatkniętą miał fajkę. Para młodych ludzi przechadzała się wokół jeziora, nie widząc poza sobą świata.

– Szkoda, że nie mamy łódki – powiedział tęsknie Bobby.

Zgrzytając i brzęcząc, Niania zdołała wreszcie przekroczyć ścieżkę i dołączyła do nich. Zatrzymała się, wciągnęła koła napędu, po czym usadowiła się obok swoich podopiecznych. Pozostawała w zupełnym bezruchu. W jednym oku, tym, które ocalało, odbijały się promienie słońca. Drugie nie było z nim zsynchronizowane. Spoglądało tak, jakby niczego nie rejestrowało. Niani udawało się obciążać tylko jedną, tę mniej uszkodzoną stronę metalowego kadłuba, jej ruchy były jednak nieporadne, źle skoordynowane i bardzo wolne. Wokół rozchodziła się nieprzyjemna woń – wynik nadmiernego tarcia oraz niewłaściwego spalania paliwa.

Jean przyjrzała się jej uważnie. Delikatnie i współczująco poklepała pogiętą i wyszczerbioną skorupę kadłuba. – Biedna Nianiu! Cóż takiego musiałaś robić? Co ci się przytrafiło? Miałaś wypadek?

– Wepchnijmy Nianię do wody – powiedział rozleniwiony Bobby. – Zobaczymy, czy potrafi pływać. Czy Nianie potrafią pływać?

Jean nie przystała na tę propozycję, ponieważ uznała, że Niania jest zbyt ciężka. Opadłaby na samo dno i nigdy więcej by jej nie ujrzeli.

– No dobra, w takim razie nie zepchniemy jej – zgodził się Bobby.

Na chwilę zapadła cisza. Ponad głowami siedzących przemknęło kilka ptaków, puszystych kuleczek przecinających smugami niebo. Mały chłopiec niepewnie pedałowal po żwirowej drodze, przednie koło rowerka chybotalo się lekko.

– Szkoda, że nie mam roweru – zamruczał pod nosem Bobby.

Chłopiec przejechał obok nich, wychylając się mocno na boki. Po drugiej stronie jeziora otyły mężczyzna wstał i wyczyścił fajkę, stukając nią o oparcie ławki. Zamknął książkę i ruszył wolno ścieżką, wycierając z czoła pot wielką czerwoną chustką.

– Co się dzieje z Nianiami, gdy są już stare? – zapytał zaciekawiony Bobby. – Co wtedy

robią? Dokąd idą?

– Idą do nieba. – Jean z wielką czułością poklepała zielony, powgniatany korpus. – Idą do nieba, zwyczajnie, jak my wszyscy.

– Czy Nianie się rodzą? Czy one zawsze istniały? – Bobby zaczął snuć domysły na temat fundamentalnych praw rządzących kosmosem. – A może kiedyś dawno temu na świecie nie było żadnych Nian? Ciekawe, jak wtedy wszystko wyglądało.

– Ależ Nianie były zawsze – wyjaśniła zniecierpliwiona Jean. – Jeżeli ich nie było, to skąd by się później wzięły?

Bobby nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Zastanawiał się przez chwilę, ale wkrótce zaczął odczuwać senność... był jeszcze zbyt mały, żeby rozwiązywać podobne dylematy. Powieki mu ciążyły i zaczął ziewać. Brat i siostra leżeli na ciepłej trawie, na skraju jeziora, spoglądali na niebo i płynące po nim obłoki, słuchali, jak wiatr tańczy w cedrowym zagajniku. Obok nich odpoczywała pogruchotana Niania, próbując regenerować nadwątlone siły.

Nieduża dziewczynka wolno szła porośniętym trawą zboczem. Była ładna, ubrana w niebieską sukienkę, z jaskrawą wstążką w długich ciemnych włosach. Zmierzała w stronę jeziora.

– Popatrz – odezwała się Jean. – Tam idzie Phyllis Casworthy. Ona ma pomarańczową Nianię.

Rodzeństwo przyglądało się dziewczynce z zainteresowaniem. – Kto widział coś takiego – pomarańczowa Niania! – oświadczył zde gustowany Bobby.

Nadchodzące przecięły ścieżkę i dotarły nad brzeg jeziora. Zatrzymały się i rozglądały dookoła, spoglądały na wodę, po której pływały białe żaglówki, a także wypatrywały małych mechanicznych ryb.

– Jej Niania jest większa od naszej – zauważyła Jean.

– To prawda – przyznał Bobby. Poklepał lojalnie zielony bok swojego robota i dodał: – Ale nasza jest za to znacznie miłsza, prawda Jean?

Ich Niania pozostała w kompletnym bezruchu. Zdumiony Bobby obrócił się i przyjrzał się jej. Stała zupełnie wyprostowana, sztywna i napięta. Bardziej sprawne oko było całkowicie wysunięte i badawczo spoglądało w kierunku pomarańczowej Niani.

– Co się dzieje? – zapytał niespokojnie chłopiec.

– Nianiu, co się stało? – wtórowała mu siostra.

Zielona Niania zazgrzytała cicho, gdy koła przekładni zazębiały się o siebie. Podwozie wysunęło się i ustawiło w odpowiedniej pozycji, wydając przy tym metaliczny trzask. Boczne drzwiczki uchyliły się, a ze środka wyskoczyły magnetyczne chwytaki.

– Go ty robisz, Nianiu? – krzyknęła zdenerwowana Jean, zrywając się na równe nogi. Bobby również podskoczył.

– Nianiu, co się dzieje?

– Lepiej chodźmy stąd – powiedziała przestraszona Jean. – Wracajmy do domu.

– No dalej, Nianiu – komenderował Bobby.

Zielona Niania odsunęła się od dzieci, jakby zupełnie zapomniała o ich istnieniu. W dole, nad samym brzegiem, druga Niania, wielka i pomarańczowa, odłączyła się od małej dziewczynki i ruszyła w ich stronę.

– Nianiu! – wystraszona Phyllis krzyknęła przeraźliwie.

Jean i Bobby pędem zaczęli uciekać w górę zbocza, jak najdalej od jeziora.

– Ona wróci! – powiedział Bobby. – Nianiu, proszę, wróć!

Niania nawet nie drgnęła.

Pomarańczowy robot przybliżał się coraz szybciej. Była to ogromna maszyna, znacznie większa od niebieskiej Niani wyprodukowanej przez Mecho, która owej pamiętnej nocy wdarła się do ogrodu. Niebieski robot, a właściwie jego szczątki leżały teraz w nieładzie w odległym końcu ogrodu, niedaleko ogrodzenia, jego kadłub był rozpruty, a części rozrzucone.

Ta Niania była największą spośród tych, jakie zielona Niania miała okazję widzieć do tej pory. Nieporadnie szła na jej spotkanie, unosząc w górę metalowe ramiona i uruchamiając dodatkowe osłony kadłuba. Jednakże pomarańczowa Niania przystąpiła do rozkładania potężnego metalowego ramienia, przymocowanego do długiego kabla. Momentalnie wyskoczyło ono wysoko w górę i zaczęło się błyskawicznie obracać, niebezpiecznie nabierając szybkości, poruszało się coraz to prędzej i prędzej.

Zielona Niania zawahała się. Cofnęła się nieco, odsuwając się niepewnie od wirującej z zawrotną szybkością metalowej maczugi. Gdy chwilę stała w bezruchu, nieszczęśliwa i nieufna, niezdolna do podjęcia jakiejś decyzji, druga Niania skoczyła w jej kierunku.

– Nianiu! Nianiu! – krzyczały dzieci.

Dwa metalowe cielska tarzały się rozjuszony po trawie, desperacko walcząc i zmagając się ze sobą. Raz po raz metalowa maczuga spadała z impetem, uderzając w zielony kadłub. Letnie słońce łagodnie oświetlało całą scenę. Powierzchnia jeziora delikatnie marszczyła się pod wpływem wiatru.

– Nianiu! – wrzasnął Bobby, bezradnie podskakując.

Kłębiąca się, rozszalała pomarańczowo-zielona góra miazdzonego metalu nie udzieliła żadnej odpowiedzi.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała Mary Fields. Usta miała ściągnięte i blade.

– Zostańcie w domu. – Tom chwycił płaszcz i narzucił go na siebie. Z półki na dnie szafy wyszarpnął czapkę i zamaszystym krokiem ruszył w kierunku drzwi frontowych.

– Dokąd idziesz?

– Czy krążownik stoi przed domem?

– Tak – odpowiedziała cicho Mary. – Jest przed domem. Ale dokąd...

Tom pociągnął za klamkę i wyszedł na ganek. Dwójka dzieci, drżąca i nieszczęśliwa, obserwowała go w niemym przerażeniu. Obrócił się gwałtownie w ich stronę.

– Jesteście pewne, że ona... nie żyje?

– Kawalki... leżą porozrzucane po całym trawniku – wykrztusił Bobby. Na jego buzi widać było rozmazane łzy.

– Niedługo wrócę. Nie musicie się o nic martwić. Zostańcie wszyscy tutaj. – Tom pokiwał ze smutkiem głową.

Energicznie ruszył po schodach na dół, w stronę chodnika, przy którym stał krążownik. Chwilę później usłyszeli, jak pojazd szybko odjechał.

Tom odwiedził kilku dealerów. Firma Service Industries nie mogła zaoferować mu niczego interesującego. Z nimi już zresztą skończył. Dopiero w Allied Domestic, w luksusowym, dobrze oświetlonym oknie wystawowym zobaczył dokładnie to, czego potrzebował. Właśnie zamykali, ale sprzedawca wpuścił go do środka, gdy ujrzał wyraz jego twarzy.

– Wezmę go – oświadczył Tom, sięgając do płaszcza po książeczkę czekową.

– O który model chodzi, proszę pana? – spytał sprzedawca.

– Ten wielki, czarny. Stoi na wystawie. Ma cztery ramiona i taran hydrauliczny z przodu.

Twarz sprzedawcy rozpromieniła się, malowała się na niej radość. – Służę szanownemu panu! – krzyknął ochoczo, wyciągając bloczek z formularzami zamówień. – To Imperator Deluxe z miotaczem energii. Czy życzy pan sobie także wyposażenie dodatkowe – wysokoobrotowe ramię i pilota, który umożliwi kontrolowanie pracy maszyny? Za umiarkowaną cenę możemy wyposażyć naszą Nianię w specjalny ekran, na którym będzie pan mógł śledzić rozwój sytuacji, siedząc sobie wygodnie w salonie.

– Rozwój sytuacji? – zapytał zdumiony Tom.

– No... jak sobie radzi w akcji. – Sprzedawca zaczął pospiesznie coś pisać. – To rzeczywiście jest akcja – ten model rozgrzewa się i kończy walkę z przeciwnikiem w ciągu piętnastu sekund od momentu aktywacji. Żaden robot jednomodułowy nie zareaguje szybciej, ani nasz, ani żadnej innej firmy. Jeszcze sześć miesięcy temu panowało przekonanie, że zamknięcie akcji w ciągu piętnastu sekund to zwykłe mrzonki – zaśmiał się wyraźnie podekscytowany. – Nauka idzie jednak stale do przodu.

Tom Fields poczuł, że przenika go dziwny chłód i że zaczyna drętwieć.

– Słuchaj no – odezwał się schrypniętym głosem. Schwycił sprzedawcę za kłapy i przyciągnął do siebie. Bloczek z formularzami zamówień poszybował daleko. Przerażony sprzedawca głośno przełknął ślinę. – Posłuchaj, co ci powiem – cedził Tom przez zęby – budujecie coraz większe roboty – mam rację? Co roku nowe modele, wyposażone w coraz lepszą

broń. Wy i wszystkie inne firmy udoskonalacie ciągle wyposażenie po to, by mogły się wzajemnie niszczyć.

– Och – zapiszczał oburzony ekspedient. – Modele oferowane przez Allied Domestic nigdy nie zostają zniszczone. Trochę może ucierpią tu czy tam, ale niech mi pan wskaże choćby jeden, który byłby trwale niezdolny do walki.

Sprzedawca z godnością odszukał swój bloczek i wygładził uniform.

– Nie, proszę szanownego pana – oświadczył z przekonaniem – nasze modele są przystosowane do tego, by przetrwać wszystko. Niedawno widziałem siedmioletniego robota Allied, stary Model 3-S. Trochę pogięty, nadal jednak pełen werwy i animuszu. Chciałbym zobaczyć w akcji jeden z tych tanich robotów, jakie wypuszcza Protecto-Corp. Niech no by tylko spróbował zmierzyć się z tym tutaj.

Z trudem panując nad sobą, Tom zadał kolejne pytanie:

– Ale dlaczego? Po co to wszystko? Jaki przyświeca wam cel? Chodzi o rywalizację między robotami?

Sprzedawca zawahał się. Niepewnie zaczął znowu wertować swój bloczek.

– Tak, proszę pana. Chodzi o współzawodnictwo. Świetnie pan to ujął. Konkretnie chodzi nam o w pełni udane współzawodnictwo. Roboty Allied Domestic nie tylko dotrzymują kroku przeciwnikowi, one go unicestwiają.

Przez ułamek sekundy Tom w ogóle nie zareagował na słowa sprzedawcy. Zrozumienie przyszło dopiero po chwili.

– Teraz już pojmuję – powiedział. – Innymi słowy, każdego roku maszyny muszą być wymienione, bo są przestarzałe. Nie są dość dobre, wystarczająco duże i silne. Jeżeli nie zostaną zastąpione nowymi, jeżeli nie kupię nowej, unowocześnionej wersji...

– Pana dotychczasowa Niania przegrała starcie? – Pracownik Allied Domestic uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Być może pański model był już trochę anachroniczny? Nie odpowiadał współczesnym standardom prowadzenia walki? Czyżby... no tak, nie wrócił o wyznaczonej porze do domu?

– W ogóle nie wrócił – odpowiedział Tom łamiącym się głosem.

– A więc jednak, został unicestwiony... Całkowicie pana rozumiem. To bardzo częsty przypadek. Proszę zrozumieć, nie ma pan wyboru. Proszę nie mieć do nas żalu. Niech pan nie obwinia za to Allied Domestic.

– Ale przecież – ochryple odezwał się Tom – gdy jeden robot ulega zniszczeniu, wy możecie sprzedać następny model. To pozwala utrzymać ciągłą sprzedaż. Zapewnić stały napływ pieniędzy do kasy.

– To prawda. Ale współczesne wysokie standardy techniczne wymagają sporych nakładów. Nie możemy sobie pozwolić na to, by pozostawać w tyle... Odczuł pan to na własnej skórze –

o ile wolno mi tak powiedzieć – jakie mogą być tego konsekwencje.

– Rzeczywiście – zgodził się Tom. Jego głos był ledwo słyszalny. – Ostrzegali mnie, żebym nie oddawał jej do naprawy. Radzili, abym ją wymienił.

Na twarz sprzedawcy powrócił wyraz samozadowolenia i pewności siebie. Jego oblicze wyglądało jak miniaturowe słońce, promieniało radością i szczęściem. – Teraz ma już pan problem z głową. Z tym modelem na pewno uplasuje się pan w czołówce. To koniec pańskich zmartwień, panie... – Sprzedawca zawiesił głos. – Jak pana godność? Na kogo wystawić mam rachunek?

Bobby i Jean obserwowali zafascynowani, jak pracownicy wnoszą do salonu olbrzymią skrzynię. Stękając i pocąc się, ustawili ją na podłodze i z ulgą się wyprostowali.

– Dobrze – stwierdził lakonicznie Tom. – Dziękuję.

– Drobiazg, proszę pana. – Dostawcy energicznie ruszyli do wyjścia, hałaśliwie zamykając za sobą drzwi.

– Tatusiu, co to jest? – szepnęła Jean. Brat i siostra stanęli przy wielkiej skrzyni. Oczy mieli szeroko otwarte ze zdumienia.

– Za chwilę zobaczycie.

– Tom, oni dawno powinni być w łóżkach – protestowała Mary. – Czy nie mogą się temu przyjrzeć jutro?

– Chcę, żeby to zobaczyli już teraz.

Tom szedł na chwilę do piwnicy i wrócił ze śrubokrętem. Klęcząc na podłodze, pospiesznie luzował śruby, które spajały skrzynię.

– Nic się nie stanie, jak raz pójda spać nieco później.

Zaczął wyjmować deski, kolejno, jedną po drugiej; robił to umiejętnie i bez zdenerwowania. W końcu wyciągnął ostatnią, oparł ją o ścianę obok pozostałych. Wyjął ze środka instrukcję obsługi wraz z trzymiesięczną kartą gwarancyjną, po czym wręczył wszystko Mary. – Przechowaj to.

– Ależ to Niania! – zawołał Bobby.

– To olbrzymia, potężna Niania!

Na dnie skrzyni spoczywał wielki czarny kształt, podobny do ogromnego metalowego żółwia, powleczonego warstwą smaru. Dokładnie sprawdzony, naoliwiony i z pełną gwarancją. Tom pokiwał głową.

– Zgadza się. To Niania, nowa Niania. Zastąpi tę starą.

– Dla nas?

– Tak. – Tom usiadł na stojącym w pobliżu krześle i zapalił papierosa. – Jutro rano uruchomimy ją na próbę. Zobaczymy, jak chodzi.

Oczy dzieci były wielkie niczym spodki. Żadne z nich nie mogło zaczerpnąć tchu ani wydobyć z siebie głosu.

– Tym razem jednak – powiedziała Mary – musicie się trzymać z dala od parku. Nie zabierajcie jej tam, zrozumieliście?

– Ależ nie – sprzeciwił się Tom. – Dzieci mogą z nią iść do parku.

Mary posłała mężowi niepewne spojrzenie. – A co będzie, gdy ten pomarańczowy stwór...

Tom uśmiechnął się chmurnie. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby dzieci chodziły do parku. – Pochylił się nad Bobbym i Jean. – Możecie tam chodzić, kiedy tylko zechcecie. I nie musicie się niczego bać. Niczego ani nikogo. Pamiętajcie.

Kopnął nogą potężną skrzynię.

– Niczego nie musicie się obawiać. Już nie.

Rodzeństwo pokiwało ze zrozumieniem głowami, nadal wpatrując się w skrzynię.

– Dobrze, tatusiu – odetchnęła wreszcie Jean.

– Ja cię kręcę, tylko się jej przyjrzyj! – wyszeptał Bobby. – Popatrz na nią! Nie mogę się doczekać jutra!

Pani Casworthy powitała męża na frontowych schodach prowadzących do ich pięknego, trójkondygnacyjnego domu. Z niepokoju zaciskała dłonie.

– Co się stało? – stęknął z wysiłku pan Casworthy, ściągając kapelusz. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł z potu zaczerwioną twarz. – Boże, jak dzisiaj gorąco. Czy wydarzyło się coś złego?

– Andrew, obawiam się, że...

– Co się, u licha, stało?

– Phyllis wróciła dzisiaj z parku bez Niani. Już wczoraj, po spacerze, robot był cały pogięty i odrapany. Nasza córka jest tak przygnębiona, że nie potrafię z niej wyciągnąć...

– Wróciła bez Niani?

– Przyszła do domu sama.

Wściekłość stopniowo wykrzywiła grube rysy mężczyzny.

– Co się właściwie stało?

– To się zdarzyło w parku, podobnie jak wczoraj. Coś zaatakowało Nianię. Zniszczyło ją! Nie do końca rozumiem, co zaszło, ale to było coś potwornie wielkiego i czarnego... pewnie jakaś inna Niania.

Szczęka pana Casworthy'ego wysunęła się do przodu. Jego nabrzmiąta twarz przybrała szpetny, ciemnoczerwony kolor, chorobliwy rumieniec złowieszczo zaczął wypełniać całe oblicze. Nagle obrócił się na pięcie.

– Dokąd się wybierasz? – zaniepokoiła się żona.

Brzuchaty mężczyzna o silnie zaczerwienionej twarzy pomaszerował chodnikiem w stronę swego metalicznie połyskującego krążownika i chwycił za klamkę.

– Jadę kupić nową Nianię – zamruczał pod nosem. – Najlepszą, cholera, jaką uda mi się dostać. Nawet jeżeli będę musiał odwiedzić setkę sklepów. Chcę najlepszą i największą.

– Ależ kochanie – zaczęła przełęczniona żona, spiesząc za mężem. – Czy możemy sobie na nią pozwolić? – Załamując ręce z niepokojem, starała się dotrzymać mu kroku. – Chodzi mi o to, czy nie można by z tym poczekać? Aż znajdziesz nieco czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Może pojechałbyś później, gdy się już trochę... uspokoisz.

Andrew Casworthy pozostał głuchy na jej słowa. Silnik ryczał pełną mocą, krążownik szykował się do skoku.

– Nikt nie będzie lepszy ode mnie – oświadczył z determinacją, zaciskając nerwowo swe grube wargi. – Już ja im wszystkim pokażę. Nawet gdybym musiał zamówić całkiem nowy projekt, o niespotykanych dotąd rozmiarach. Choćbym miał zmusić tych cholernych producentów, żeby wykonali dla mnie model na specjalne zamówienie!

Dziwna rzecz, on wiedział, że któryś z nich będzie gotów to uczynić.

Świat Jona

Kastner okrążył statek w milczeniu. Wspiął się po trapie i ostrożnie wszedł do środka. Przez jakiś czas można było dostrzec zarys jego sylwetki, gdy przemierzał wnętrze. Potem wyłonił się z pojazdu, jego szeroka twarz trochę się rozpozodziła.

– I jak tam? – zapytał Caleb Ryan. – Co o tym myślisz?

Kastner zszedł po trapie.

– Gotowy do drogi? A może trzeba by jeszcze coś sprawdzić?

– Prawie gotowy. Technicy kończą pracę przy ostatnich sekcjach. Chodzi o złącza umożliwiające sprawne przesyłanie sygnałów sterujących oraz o kable zasilające. Ale nie ma poważniejszych problemów. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Dwóch mężczyzn stało obok siebie, spoglądając w górę, w kierunku przysadzistej bryły kadłuba i jego niewielkich okienek, ekranów ochronnych i wizjerów. Statek nie był zbyt piękny. Brakowało mu listew ozdobnych i chromowanych stateczników które nadałyby zwalistej bryle lekkość i bardziej opływowy kształt. Był kanciasty i przysadzisty, a do tego pełny wieżyczek i innych wystających elementów.

– Co sobie pomyślą, jak wysiądziemy z czegoś takiego? – zamruczał Kastner.

– Nie było czasu, żeby dopieścić szczegóły. No, chyba że chcesz wszystko odwlec o kolejne dwa miesiące...

– Mógłbyś zdjąć parę tych gałek? Co to jest? Do czego służy?

– To zawory spustowe. Zajrzyj do dokumentacji. Odprowadzają nadmiar energii statycznej, nie dopuszczając do przesilenia. Podróż wehikułem czasu będzie niebezpieczna. Podczas cofania się w czasie gromadzi się niesamowita ilość tej energii. Trzeba uwalniać ją stopniowo, bo inaczej zamienimy się w gigantyczną bombę naładowaną milionami woltów.

– Wierzę ci na słowo. – Kastner podniósł teczkę. Zmierzał do wyjścia. Agenci Ligi zrobili mu przejście. – Przekażę dowództwu, że prawie wszystko gotowe. I jeszcze coś.

– Tak?

– Zdecydowaliśmy, kto poleci z tobą.

– Kto?

– Ja. Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak to było przed wojną. Zwoje z tekstami historycznymi jednak mi nie wystarczają. Chcę tam być. Pochodzić tu i tam, rozejrzeć się trochę. Mówią, że przed wojną nie istniały popioły, a powierzchnia planety była żyzna. Na przestrzeni wielu mil nie napotykało się ruin. I to właśnie chciałbym zobaczyć.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się przeszłością.

– O tak. W mojej rodzinie zachowało się kilka ilustrowanych ksiąg z dawnych czasów. Nie dziwię się, że KPTS chce dostać w swoje ręce zapiski Schonermana. Gdyby tak rozpocząć

odbudowę...

– Wszyscy tego chcemy.

– Może nasze marzenia się spełnią. Zobaczymy się później.

Ryan obserwował, jak mały pulchny biznesmen wychodzi, ściskając w rękę aktówkę. Agenci Ligi stojący w szeregu rozstąpili się, po czym wrócili na swoje pierwotne pozycje, gdy tylko mężczyzna zniknął w drzwiach.

Ryan ponownie skupił uwagę na statku. A więc to Kastner miał mu towarzyszyć. KPTS – Konsorcjum Przemysłu Tworzyw Sztucznych – zawsze zabiegało o to, by każda ze stron miała proporcjonalną reprezentację. W skład załogi musiał wejść jeden członek Ligi i jeden przedstawiciel KPTS. Wszak to właśnie Konsorcjum wspierało projekt o kryptonimie „Zegar”, organizując dostawy i zabezpieczając wszystko od strony finansowej. Bez tego misja, do której się przygotowywali, nigdy nie doszłaby do skutku. Ryan usiadł na ławce i zaczął przepuszczać dokumentację przez skaner. Mieli za sobą ogrom pracy. Niewiele już zostało do zrobienia. Jeszcze tylko parę drobiazgów.

Odezwał się wideofon. Ryan przerwał skanowanie i odwrócił się, żeby odebrać przekaz.

– Tu Ryan.

Na ekranie pojawiła się twarz Kontrolera Ligi. Sprawdzali przekaz, przepuszczając go przez swoje kanały kontrolne.

– Transmisja nadzwyczajna.

Ryan zamarł. – Proszę mnie połączyć.

Liga zaprzestała monitoringu. Na ekranie pojawiła się twarz starego człowieka, rumiana i usiana zmarszczkami.

– Ryan...

– Co się stało?

– Lepiej wracaj do domu. I to szybko.

– Ale o co chodzi?

– O Jona.

– Kolejny atak? – usiłował zachować spokój, ale głos zamierał mu w gardle.

– Tak.

– Podobny przebieg jak poprzednio?

– Dokładnie taki sam.

– Dobrze. Za chwilę będę w domu. Nikogo nie wpuszczaj. Spróbuj go uspokoić. Niech nie wychodzi ze swojego pokoju. Jeżeli trzeba, wzmocnij strażę. – Ryan przerwał połączenie.

Już po chwili wspinał się na dach, gdzie na lądowisku czekał na niego statek dalekobieżny.

Pojazd uniósł się w górę. W dole ciągnęło się pustkowie przykryte zwałami szarego pyłu.

Statek sterowany autopilotem kierował się w stronę Miasta Numer Cztery. Ryan bezmyślnie gapił się w okno, jedynie mimo woli rejestrując mijane widoki.

Znajdował się akurat pomiędzy miastami. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było ślady zniszczeń, niezliczone hałdy żużlu i góry popiołu. Miasta pojawiały się jedynie sporadycznie, niczym pojedyncze muchomory wyłaniające się z morza szarości. W miastach-muchomorach rozróżnić można było pojedyncze budynki, wieże, a nawet dostrzec pracujących mężczyzn i kobiety. Stopniowo na powrót zagospodarowywano cały teren, korzystając z zaopatrzenia i sprzętu dostarczanego z Bazy Księżycowej.

Podczas wojny ludzie opuścili planetę Terra i schronili się na Księżycu. Terra została niemal doszczętnie zniszczona. Pokryły ją ruiny i lawice popiołu. Dopiero po zakończeniu wojny zaczęli na nią stopniowo powracać.

Gwoli ścisłości, doszło właściwie do dwóch różnych wojen. W pierwszej, ludzie walczyli przeciw ludziom. W drugiej – ludzie stanęli do walki przeciwko szponarom – zaawansowanym technologicznie robotom stworzonym uprzednio do działań wojennych. Szponary zwróciły się przeciwko swoim twórcom i zaczęły produkować własne nowe roboty oraz sprzęt wojskowy.

Statek Ryana podchodził wolno do lądowania. Znajdował się już nad obszarem Miasta Numer Cztery. Wreszcie osiadł na dachu olbrzymiej prywatnej rezydencji położonej w centrum miasta. Ryan wyskoczył i pospiesznie skierował się do windy.

Chwilę potem wszedł do swojego mieszkania i udał się do pokoju Jona.

Na miejscu zastał starszego człowieka, który z niepokojem przyglądał się przez szklaną ścianę temu, co robi Jon. Pokój chłopca częściowo krył się w ciemnościach. Jon siedział na skraju łóżka, kurczowo zaciskając dłonie. Oczy miał zamknięte, usta na wpół otwarte i co jakiś czas wysuwał sztywny, kołkowaty język.

– Jak długo to już trwa? – Ryan zwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

– Około godziny.

– Poprzedni atak wyglądał tak samo?

– Był słabszy. Każdy kolejny jest gorszy.

– Czy ktoś oprócz ciebie go widział?

– Nikt poza tobą. Zadzwoiłem zaraz, jak tylko nabrałem pewności. Teraz atak prawie się kończy. Zaraz mu przejdzie.

Jon wstał z łóżka i odszedł kawałek dalej. Ręce skrzyżował na piersi. Oczy miał nadal zamknięte. Jasne włosy w nieładzie spadały mu na pobladłą, znieruchomiałą twarz. Jedynie usta lekko się poruszały.

– Na początku zupełnie stracił przytomność. Wcześniej wyszedłem na chwilę i zostawiłem go samego. Znajdowałem się w innej części budynku. Kiedy wróciłem, leżał już na podłodze. Przed atakiem czytał. Zwoje leżały porozrzucane wokół niego. Twarz miał siną. Oddychał

nieregularnie. Tak jak poprzednio dostał napadowego skurczu mięśni.

– Co zrobiłeś?

– Wszedłem do pokoju i zaniósłem go na łóżko. Na początku cały był zeszywniały, ale po paru minutach zaczął się rozluźniać. Jego ciało zrobiło się znowu wiotkie. Zmierzyłem mu puls. Był bardzo słaby. Jon oddychał nieco lżej. I wtedy się zaczęło.

– Co?

– Ta jego tyrada.

– Aha – Ryan skinął głową.

– Szkoda, że cię przy tym nie było. Przemawiał dłużej niż kiedykolwiek. Mówił bez ustanku. Po prostu istny potok słów, bez chwili przerwy. Jakby nie potrafił skończyć.

– Czy... czy rozprawiał o tym samym, co poprzednio?

– Dokładnie na ten sam temat. Twarz mu jaśniała. Promieniała. Tak jak wtedy.

Ryan zastanowił się chwilę. – Czy mogę wejść do niego?

– Tak, już prawie mu przeszło.

Ryan podszedł do wejścia. Wystukał palcami kod na zamku szyfrowym. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, po czym schowały się w ścianie.

Jon nie zauważył, kiedy ojciec wszedł. Przechadzał się tam i z powrotem, z rękami ciasno splecionymi wokół tułowia. Trochę utykał, kołysząc się przy tym na boki. Ryan zatrzymał się na środku pokoju.

– Jon!

Chłopiec rozchylił powieki i zamrugał oczami. Gwałtownie potrząsnął głową. – Ryan? Po co... po co przyszedłeś?

– Może usiądziesz.

Jon skinął głową. – Tak. Dziękuję. – Usiadł niepewnie na łóżku. Szeroko otworzył niebieskie oczy. Odrzucił włosy z twarzy, uśmiechając się słabo.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

Ryan przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko syna. Założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie. Przez dłuższą chwilę przyglądał się chłopcu. Obaj nie odzywali się ani słowem.

– Grant mówi, że miałeś niegroźny atak – odezwał się w końcu Ryan.

Jon skinął głową.

– Już po wszystkim?

– Tak. A jak tam twój wehikuł czasu?

– W porządku.

– Obiecałeś, że będę mógł sobie na niego popatrzeć, kiedy będzie gotowy.

– Oczywiście. Gdy tylko będzie już całkiem gotowy.

– To znaczy kiedy?

– Niedługo. Jeszcze parę dni.

– Bardzo chcę go zobaczyć. Często o nim myślę. Wyobrażam sobie podróże w czasie. Mógłbyś się przenieść do Grecji. Mógłbyś na tyle cofnąć się w czasie, by spotkać Peryklesa i Ksenofonta i... Epikteta. Mógłbyś też przenieść się do Egiptu, żeby porozmawiać z Echnatonem. – Uśmiechnął się. – Nie mogę się już doczekać.

Ryan przysunął się nieco. – Czujesz się na tyle dobrze, żeby stąd wyjść? A może...

– Na tyle dobrze? Co masz na myśli?

– Chodzi mi o te twoje ataki. Naprawdę uważasz, że możesz opuścić swój pokój? Masz wystarczająco dużo siły?

Jon zasępił się. – To nie są ataki. Wcale nie. Nie nazywaj tego atakami.

– Jeżeli to nie są ataki, to co się z tobą dzieje?

Jon zawahał się. – Ja... nie powinienem ci tego mówić. I tak nie zrozumiesz.

Ryan wstał. – W porządku, Jon. Jeśli nie możesz ze mną o tym porozmawiać, to wracam do laboratorium. – Skierował się w stronę drzwi. – Szkoda, że nie widziałeś statku, na pewno by ci się spodobał.

Do oczu chłopca napłynęły łzy. – Mogę go zobaczyć?

– Pewnie tak, ale musiałbym się wpierv dowiedzieć czegoś więcej o twoich... atakach. Zdecydowałbym wtedy, czy wystarczająco dobrze się czujesz, by móc tam pójść.

Twarz Jona lekko drgnęła. Ryan uważnie mu się przyglądał. Widać było, że chłopiec bije się z myślami. Zmaga się sam ze sobą.

– Powiesz mi?

Jon wziął głęboki oddech. – To są wizje.

– Co takiego?

– Wizje. – Twarz Jona promieniała ożywieniem. – Wiem to od dawna. Grant mówi, że to nieprawda, ale ja wiem swoje. Gdybyś ich doświadczył, też byś nabrał pewności. Ich się nie da z niczym porównać. Są bardziej rzeczywiste niż to. – Uderzył w ścianę. – Bardziej niż wszystko dokoła.

Ryan wolno zapalił papierosa. – Mów dalej.

Kolejne słowa padały już bardzo szybko.

– Te wizje są bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego! Czuję się tak, jakbym wyglądał przez okno. Okno do innego świata. Prawdziwego. Bardziej realnego niż ten. Nasza rzeczywistość wydaje mi się zaledwie cieniem tego prawdziwego świata. Tu wokół wszystko jest tylko niewyraźnym, rozmazanym cieniem. Kształtem. Odbiciem.

– Cieniem jakiejś wyższej rzeczywistości?

– Tak! Właśnie tak. Prawdziwy świat jest zupełnie gdzie indziej. – Jon nie mógł usiedzieć na

miejscu, tak bardzo był poruszony i podekscytowany. – To wszystko dookoła. To, co widzimy. Budynki. Niebo. Miasta. Wszechobecny popiół. To nie jest do końca rzeczywiste. Takie mętne i niewyraźne! Nie dociera do mnie tak jak tamto. Staje się coraz mniej rzeczywiste, coraz mniej. A tamten świat wyłania się i ożywa! Grant mówi, że to wytwór mojej wyobraźni. Ale on się myli. To rzeczywistość. Bardziej realny świat niż to, co mnie teraz otacza, niż wszystkie rzeczy w tym pokoju.

– Więc dlaczego my wszyscy tego nie widzimy?

– Nie wiem. Szkoda, że nie widzicie. Powinniście zobaczyć, Ryan. To jest naprawdę piękne. Spodobałoby się wam, musielibyście się jednak przyzwyczaić. Potrzeba trochę czasu, żeby przywyknąć.

Ryan zastanowił się. – Opowiedz mi – poprosił w końcu. – Opisz dokładnie, co widzisz. Czy to są zawsze te same wizje?

– Tak. Zawsze te same, ale za każdym razem wyraźniejsze.

– Co to właściwie jest? Co wygląda tak bardzo realnie?

Jon przez chwilę nie odpowiadał. Wydawało się, że na powrót zamyka się w sobie. Ryan czekał, obserwując syna. Co działo się w umyśle chłopca? O czym rozmyślał? Znowu zamknął oczy. Dłonie splótł tak mocno, że jego palce zrobiły się zupełnie białe. Odpływał, odpływał do swojego własnego świata.

– Mów dalej – nakazał głośno Ryan.

A więc to, czego chłopiec doświadczał, było wizjami. Wizjami wyższej rzeczywistości. Zupełnie jak w średniowieczu. Że też akurat on musiał je mieć, jego syn. Kryła się w tym gorzka ironia losu. Już się wydawało, że w końcu ludzkość wyzbyła się takich skłonności, że wyleczyła się z odwiecznej niezgody na rzeczywistość. Z uporczywego marzycielstwa. Czy nauka nigdy nie zdoła do tego doprowadzić? Czy ludzkość zawsze będzie przedkładała złudzenia nad to, co realne?

Jego własny syn. Przecież to zupełny regres, olbrzymi krok wstecz. Zaprzepaszczone tysiąc lat. Znowu duchy, bogowie, diabły i tajemny świat wewnętrzny. Odwołania do wyższej rzeczywistości. Wszystkie te bajki i przypowieści, cała metafizyka, w której ludzkość zatracala się przez stulecia, aby móc odegnać strach, uciec od koszmaru otaczającego świata. Mity, religie, baśnie. Lepszy świat gdzieś tam daleko w górze. Raj. Wszystko powraca, wyłania się na nowo i to w jego własnym synu.

– Mów, co widzisz? – dopytywał się zniecierpliwiony Ryan.

– Widzę pola – odparł Jon – złociste, lśniące niczym słońce. Pola i parki. Bezkresne. Zieleń przeplatana złotem. Ścieżki, po których chodzą ludzie.

– Co jeszcze?

– Mężczyzn i kobiety. W powłóczystych szatach. Spacerują ścieżkami, pośród drzew.

Powietrze jest świeże i pachnące. Niebo błękitne. Ptaki. Zwierzęta. Zwierzęta chodzą po parku. Motyle. Oceany. Falujące oceany kryształowo czystej wody.

– Nie ma miast?

– Nie ma takich, jak nasze. Takich nie ma. Ludzie żyją w parkach. Wszędzie rozsiane są małe, drewniane domy. Stoją pośród drzew.

– A drogi?

– Tylko alejki. Żadnych statków ani niczego w tym rodzaju. Wszyscy chodzą piechotą.

– Co jeszcze widzisz?

– To wszystko. – Jon otworzył oczy. Policzki miał zarumienione. Oczy skrzyły mu się szczęściem. – To wszystko, Ryan. Parki i złociste pola. Mężczyźni i kobiety w powłóczystych szatach. I mnóstwo zwierząt. Wspaniałych zwierząt.

– Z czego oni żyją?

– Co?

– Z czego żyją? Co robią, aby móc przetrwać?

– Uprawiają rośliny. Na polach.

– I to wszystko? Nie budują niczego? Nie mają fabryk?

– Myślę, że nie.

– Społeczność agrarna. Co za prymityw. – Ryan zmarszczył brwi. – Żadnej wytwórczości ani handlu.

– Pracują na polach. I dyskutują.

– Słyszysz, co mówią?

– Bardzo niewyraźnie. Czasami coś do mnie dociera, ale muszę się bardzo koncentrować.

Jednak i tak nie potrafię rozróżnić wszystkich słów.

– O czym dyskutują?

– O różnych rzeczach.

– O jakich rzeczach?

Jon wykonał ręką jakiś nieokreślony gest. – O wspaniałych rzeczach. O świecie. O wszechświecie.

Zapadła cisza. Ryan chrząknął. Nic nie powiedział. W końcu zgasił papierosa.

– Jon...

– Tak?

– Naprawdę myślisz, że to, co widzisz, jest całkowicie realne?

Jon uśmiechnął się. – Jestem tego pewien.

Ryan wbił wzrok w chłopca. – Co to znaczy „realne”? Na czym polega realność tego twojego świata?

– Na tym, że on istnieje.

– Gdzie istnieje?

– Nie wiem.

– Może tu? Czy jest tutaj?

– Nie, nie tutaj.

– No to gdzie? Gdzieś daleko? W jakimś odległym zakątku wszechświata, dokąd nie sięga nasze poznanie?

– Nie, nie w odległym zakątku wszechświata. Tu w ogóle nie chodzi o odległość w przestrzeni. On jest tu. – Jon zatoczył ręką dookoła siebie. – Tu, blisko. Bardzo blisko. Widzę go wokół siebie.

– Widzisz go teraz?

– Nie. On się pojawia i znika.

– Przystaje istnieć? Istnieje tylko od czasu do czasu?

– Nie, istnieje ciągle. Tylko ja nie zawsze potrafię nawiązać z nim kontakt.

– To skąd wiesz, że istnieje nieprzerwanie?

– Po prostu wiem.

– A dlaczego ja go nie widzę? Dlaczego ty jesteś jedynym wybrańcem?

– Tego nie wiem.

Jon potarł czoło. Był znużony. – Nie mam pojęcia, dlaczego tylko ja go widzę. Szkoda, że ty go nie możesz zobaczyć. Chciałbym, żeby wszyscy go ujrzeli.

– A jak udowodnisz, że to nie przywidzenie? Nie możesz obiektywnie zweryfikować swoich wizji. Masz tylko takie odczucie, taki jest stan twojej świadomości. Jak można by go poddać analizie empirycznej?

– Może jakoś dałoby się to przeprowadzić. Nie wiem. Nie zależy mi na tym. Ja wcale nie chcę poddawać go analizom.

Zapadła cisza. Twarz Jona zachmurzyła się i znieruchomiła, chłopiec zacisnął zęby. Ryan westchnął. Klasyczny impas.

– No dobrze, Jon. – Ruszył wolno w kierunku drzwi. – Do zobaczenia.

Jon nic nie odpowiedział.

Ryan nagle się zatrzymał i spojrzał za siebie. – Więc twoje wizje przybierają na sile, tak? Stają się coraz bardziej intensywne.

Jon tylko przytaknął.

Ryan zamyślił się przez chwilę. W końcu uniósł dłoń. Drzwi rozsunęły się i wyszedł z pokoju do holu.

Grant podszedł do niego. – Patrzyłem na was przez szybę. Zamknął się w sobie, prawda?

– Rozmowy z nim są trudne. Sprawia wrażenie, jakby wierzył w to, że nawiedzają go jakieś wizje.

– Tak, mnie też o tym mówił.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Nie chciałem cię zanadto denerwować. Wiem, że się o niego martwisz.

– Ataki nasilają się coraz bardziej. Jon twierdzi, że te jego wizje zyskują na realności. Coraz bardziej upodabniają się do prawdy.

Grant skinął głową.

Ryan ruszył korytarzem. Był głęboko zamyślony. Grant szedł za nim.

– Trudno zdecydować, jak powinienem postąpić. Ataki mają na niego coraz większy wpływ. Zaczyna je brać na serio. Wypierają z jego świadomości świat zewnętrzny. A na dodatek...

– Na dodatek ty wkrótce wyjeżdżasz.

– Szkoda, że tak mało wiemy o podróżach w czasie. Niejedno może się nam przydarzyć. – Ryan potarł podbródek. – Możemy w ogóle nie wrócić. Czas to groźny żywioł. Właściwie nie zaczęliśmy go jeszcze na serio badać. Nie mamy pojęcia, na co się natkniemy.

Podszedł do windy i zatrzymał się.

– Będę musiał natychmiast podjąć decyzję. Koniecznie jeszcze przed odjazdem.

– W jakiej sprawie?

Ryan wszedł do windy. – Niedługo się dowiesz. Od tej pory nie spuszczaaj ani na chwilę Jona z oczu. Rozumiesz?

Grant przytaknął. – Rozumiem. Chcesz mieć pewność, że on nie wyjdzie ze swego pokoju.

– Odezwę się do ciebie albo dziś wieczorem, albo jutro.

Ryan wspiął się na dach i wsiadł do statku.

Gdy tylko wzbil się w powietrze, włączył wideofon i wystukał numer do Biura Ligi. Na ekranie pojawiła się twarz Kontrolera Ligi. – Tu Biuro.

– Połącz mnie z Centrum Medycznym. – Twarz Kontrolera rozplynęła się. Na ekranie ukazał się Walter Timmer, dyrektor Centrum. Odruchowo zamrugał oczami, gdy tylko rozpoznał Ryana.

– W czym mogę ci pomóc, Caleb?

– Chcę, żebyś przysłał ambulans z kilkoma doświadczonymi ludźmi tutaj, do Miasta Numer Cztery.

– Po co?

– Chodzi o sprawę, którą omawiałem z tobą kilka miesięcy temu. Chyba sobie przypominasz?

Wyraz twarzy Timmera zmienił się. – Chodzi o twojego syna?

– Zdecydowałem się. Nie mogę dłużej zwlekać. Jego stan się pogarsza, a nasza misja wehikułem czasu wkrótce się rozpoczyna. Chciałbym tę sprawę załatwić jeszcze przed wyjazdem.

– W porządku. – Timmer coś zanotował. – Zaraz się przygotujemy. Natychmiast wyślemy po

niego statek.

Ryan zawahał się. – Postarasz się?

– Oczywiście. Nie martw się, Caleb. Wykonanie operacji powierzymy Jamesowi Pryorowi. Można mu zaufać. To najlepszy specjalista od lobotomii, jakiego mamy w naszym Centrum – Timmer wyciągnął rękę, aby wyłączyć wideofon.

– To mapa czasu przetransponowana na grafikę przestrzenną. Dzięki temu możemy się zorientować, dokąd zmierzamy. – Ryan rozpostarł mapę i wygładził narożniki.

Kastner zajął mu przez ramię. – Musimy ograniczyć się tylko do naszego projektu, czyli do zdobycia zapisków Schonermana, czy też możemy się trochę porozglądać na własną rękę?

– Misja uwzględnia tylko projekt. Jednakże, aby nie zabłądzić i lepiej się orientować w czasie, powinniśmy zrobić kilka przystanków, zanim wejdziemy w kontinuum Schonermana. Mapa czasu może być przecież niedokładna, a poza tym niewykluczone, że z jakiegoś powodu nasz wehikuł zboczy z trasy.

Przygotowania dobiegły końca. Ostatnie sekcje zostały podłączone.

W kącie pomieszczenia siedział Jon i przyglądał się wszystkiemu. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Ryan spojrzał na niego.

– No i jak ci się podoba statek?

– Jest w porządku.

Wehikuł czasu przypominał przysadzistego owada, pokrytego naroślami i zgrubieniami. Kanciaste pudło z niewielkimi okienkami oraz licznymi wieżyczkami obserwacyjnymi wcale nie przypominało statku.

– Chyba chciałbyś polecieć – powiedział Kastner do Jona. – Prawda?

Chłopiec lekko skinął głową.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

Ryan przyglądał się synowi. Jon nie był już tak blady i powoli odzyskiwał swoją zwykłą żywiołowość. Wizje przestały go, rzecz jasna, nawiedzać.

– Może wybierzesz się następnym razem – rzucił Kastner.

Ryan znów pochylił się nad mapą.

– Schonerman przeprowadził większość swoich badań w latach 2030-2037, ale ich rezultaty wykorzystano znacznie później. Decyzja o użyciu jego prac do przygotowań wojennych zapadła po dłuższych konsultacjach. Rządy najwyraźniej zdawały sobie sprawę z ryzyka wystąpienia niebezpiecznych następstw.

– A jednak nie doceniono tego ryzyka.

– Tak. – Ryan zawahał się. – My też możemy znaleźć się w podobnej sytuacji.

– Co przez to rozumiesz?

– Sztuczny mózg zbudowany przez Schonermana przepadł raz na zawsze, z chwilą gdy zniszczono ostatniego szponara. Nikt nie zdołał zrekonstruować tego wynalazku. Jeżeli jednak odnajdziemy zapiski Schonermana, znów może nam grozić zagłada ludzkości. Niewykluczone, że nasza misja spowoduje odrodzenie się zastępów szponarów.

Kastner pokręcił głową. – Nie, badania Schonermana nie musiały doprowadzić do skonstruowania szponarów. Przecież samo zbudowanie sztucznego mózgu nie implikuje śmiertelnych zastosowań. Na dobrą sprawę każdy wynalazek naukowy może zostać użyty do niszczycielskich działań. Nawet pocziwe koło zostało wykorzystane w asyryjskich rydwanach bojowych.

– Też tak myślę.

Ryan spojrzał na Kastnera. – Jesteś pewien, że KPTS nie zamierza wykorzystać wynalazku Schonermana dla celów wojskowych?

– Przecież KPTS to koncern przemysłowy, a nie Rząd.

– Jednak w ten sposób Konsorcjum zapewniłoby sobie przewagę na dłuższy czas.

– KPTS i bez tego jest wystarczająco potężne.

– No dobrze. – Ryan zwinął mapę. – Możemy wystartować w dowolnym momencie. Nie mogę się już doczekać. Te przygotowania kosztowały nas tyle pracy.

– Racja.

Ryan podszedł do syna.

– Ruszamy, Jon. Powinniśmy wrócić niebawem. Życz nam powodzenia.

Jon skinął głową. – Życzę powodzenia.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Jon... chyba masz się teraz trochę lepiej, prawda? Lepiej niż wtedy?

– Tak.

– Cieszysz się, że już ich nie ma? Że wszystkie twoje kłopoty wreszcie się skończyły?

– Tak.

Ryan niezgrabnym ruchem położył rękę na ramieniu chłopca. – Zobaczymy się wkrótce.

Ryan i Kastner ruszyli po trapie w kierunku luku osobowego prowadzącego do wnętrza wehikułu czasu. Stojący na uboczu Jon obserwował ich w milczeniu. Kilku agentów Ligi przechadzało się leniwie koło drzwi laboratorium i obojętnym wzrokiem obserwowało rozwój wydarzeń.

Przed wejściem do statku Ryan na chwilę przystanął. Przywołał jednego z agentów. – Powiedz Timmerowi, że jest mi potrzebny.

Agent zniknął we wnętrzu budynku.

– Co się stało? – zapytał Kastner.

– Muszę mu jeszcze przekazać kilka ostatnich wskazówek.

– Ostatnie wskazówki? O co chodzi? Myślisz, że coś nam się przytrafi? – Kastner posłał mu ostre spojrzenie.

– Nie. To tylko tak, na wszelki wypadek.

Timmer przyszedł pospiesznie.

– Wyruszasz, Ryan?

– Wszystko gotowe. Nie ma sensu opóźniać wyjazdu.

– Chciałeś czegoś ode mnie? – Timmer wszedł na trap.

– Mówię to trochę na wyrost. Ale zawsze istnieje ryzyko, że coś pójdzie nie tak. Na wypadek, gdyby wehikuł nie powrócił zgodnie z planem, zdeponowałem w Biurze Ligi...

– Chcesz, żebym wyznaczył opiekuna dla Jona.

– No właśnie.

– Nie powinieneś się tym martwić.

– Wiem. Ale czułbym się lepiej. Ktoś powinien się nim opiekować.

Obaj skierowali wzrok na siedzącego cicho w kącie, zobojętniałego na wszystko chłopca. Jon patrzył prosto przed siebie. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, a oczy spoglądały z apatią. Kryła się w nich pustka.

– Powodzenia – powiedział Timmer. Podali sobie ręce. – Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Kastner zajął miejsce w wehikule i odstawił swoją teczkę. Ryan wszedł za nim, po czym zatrzasnął klapę i zasunął rygle, a następnie zabezpieczył zamek. Włączyło się automatyczne oświetlenie. Klimatyzator zaczął z sykiem tłoczyć powietrze do wnętrza statku.

– Wentylacja, oświetlenie, ogrzewanie – powiedział Kastner. Spoglądał przez okienko kabiny nawigacyjnej na stojących na zewnątrz agentów Ligi. – Trudno w to uwierzyć, ale już za chwilę to wszystko zniknie. Ten budynek. Agenci.

Ryan usadowił się za panelem sterowniczym statku i rozłożył mapę czasu. Przymocował ją do pulpitu i nałożył na nią specjalne końcówki piszące, które miały zaznaczać na niej wędrówkę wehikułu w czasie.

– Planuję zrobić po drodze parę przystanków w celach badawczych, po to, abyśmy lepiej poznali kilka wydarzeń z przeszłości mających wpływ na przedmiot naszej misji.

– Masz na myśli wojnę?

– Przede wszystkim. Chciałbym zobaczyć szponary w akcji. Był taki czas, gdy całkowicie podlegały kontroli Terry. Tak przynajmniej wynika z raportów Sztabu Wojennego.

– Lepiej się nie zbliżać, Ryan.

– Nie będziemy przecież lądować. Ograniczymy się do obserwacji z powietrza, a jedynie

z Schonermanem nawiążemy pełen kontakt. – Ryan wybuchnął śmiechem.

Następnie zamknął obwód zasilania. Energia opłynęła cały statek, powodując uaktywnienie się liczników i wskaźników na desce kontrolnej. Wskazówki podskoczyły, reagując na dawkę energii.

– Najważniejszy parametr, który musimy stale kontrolować, to przesilenie energetyczne – wyjaśnił Ryan. – Jeżeli przekroczymy optymalne obciążenie liczone w ergach, wehikuł nie zdoła wyrwać się ze strumienia czasu. W rezultacie, będziemy się posuwać coraz dalej w przeszłość, a energia gromadząca się wokół statku zacznie wzrastać w sposób zupełnie nie kontrolowany.

– Zamienimy się w gigantyczną bombę.

– No właśnie.

Ryan przygotował znajdujące się przed nim przełączniki. Liczniki zareagowały.

– No, to ruszamy. Trzymaj się.

Przesunął dźwignie sterujące. Wehikuł drgnął i zaczął się poruszać, wpasowując się w strumień czasu. Wskaźniki pozycji zmieniały ustawienie, odzwierciedlając ruch statku. Po chwili zadziałały stabilizatory, uniemożliwiając wehikułowi przyjęcie pozycji niezgodnej z kierunkiem opływającego go strumienia czasu.

– Zupełnie jak ocean – zamruczał Ryan. – Najpotężniejsza energia wszechświata. Źródło wszelkiego ruchu. Najwyższy Czynniki Ruchu.

– Może to właśnie ludzie nazywali kiedyś Bogiem.

Ryan przytaknął. Cały statek wibrował. Znajdowali się w uścisku gigantycznej dłoni, potężna pięść zaciskała się bezszelestnie na wehikule. Poruszali się. Przez okienko widzieli, jak ludzie i mury zaczynają migotać i stopniowo zanikać. Statek opuszczał właśnie teraźniejszość niesiony strumieniem czasu ku przeszłości.

– Jeszcze tylko chwila – wymamrotał Ryan.

Wtem widok za okienkiem sterowni zniknął. Powstała pustka. Na zewnątrz nie było niczego widać.

– Nie wpasowaliśmy się w kontinuum żadnego obiektu z czasoprzestrzeni – wyjaśnił Ryan. – Właściwie oderwaliśmy się od wszechświata. W tej chwili znajdujemy się w beczasie. Nie stanowimy części żadnego kontinuum.

– Mam nadzieję, że uda nam się ponownie wpasować w jakieś kontinuum czasoprzestrzeni. – Kastner siedział podenerwowany, wpatrując się w pustkę za oknem. – Czuję się jak pierwszy człowiek, który zanurzył się w odmęt na pokładzie łodzi podwodnej.

– To było podczas walk o niepodległość Ameryki. Łódź była napędzana korbą, którą kręcił pilot łodzi. Na drugim końcu korby znajdowała się turbina.

– Chyba daleko w ten sposób nie dopłynął.

– Pewnie, że nie. Ale zdołał dostać się pod brytyjską fregatę i wywiercić w jej dnie dziurę.

Kastner spojrział na kadłub ich statku, który wibrował i grzechotał pod naporem strumienia czasu. – Co by się stało, gdyby nagle nasz wehikuł się rozpadł?

– Uleglibyśmy atomizacji. Rozpuścilibyśmy się w strumieniu, który nas unosi.

Ryan zapalił papierosa.

– Stalibyśmy się częścią płynącego czasu. Od tego momentu poruszałibyśmy się bez końca tam i z powrotem – z jednego końca wszechświata na drugi.

– Od końca do końca?

– Tak, czas się kończy. Płynie tam i z powrotem. W tej chwili przesuwamy się wstecz. Ale energia musi przepływać w dwie strony, aby zachować równowagę. W przeciwnym razie zbyt wiele ergów czasu zgromadziłoby się w jednym kontinuum, a skutki byłyby katastrofalne.

– Myślisz, że to wszystko ma jakiś cel? Zastanawiam się, co zapoczątkowało przepływ czasu.

– Takie stawianie sprawy nie ma sensu. Pytania o cel nie mają obiektywnej wartości. Nie można ich poddać żadnej empirycznej ocenie.

Kastner zamilkł. Nerwowo skubał rękaw, wpatrując się w okno sterowni. Nad mapą czasu przesuwały się ramiona z końcówkami piszącymi, zaznaczające drogę statku od teraźniejszości ku przeszłości. Ryan analizował ich ruch.

– Osiągnęliśmy czas końcowego etapu wojny. Zmienię naszą fazę i wyprowadzę statek poza strumień czasu.

– I wtedy powrócimy do wszechświata?

– Tak, znów wpasujemy się w kontinuum jakichś konkretnych obiektów.

Ryan ujął w dłonie wyłącznik energii. Wziął głęboki wdech. Statek zdał swój pierwszy wielki test. Zdołali bezkolizyjnie wejść w strumień czasu. Ale czy uda mu się teraz z niego wydostać? Ryan otworzył obwód zasilania.

Statkiem rzuciło. Kastner zachwiał się i uchwycił wspornika ściany. Za okienkiem zakołysało się szare niebo. Wyrwany ze strumienia czasu pojazd wolno przyjmował swoją normalną pozycję. W dole krążyła Terra. Wyglądało to tak, jakby się kolebała na boki. Po chwili wehikuł odzyskał równowagę.

Kastner rzucił się do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. Znajdowali się kilkaset stóp nad powierzchnią planety i poruszali się na stałej wysokości. Szary popiół pokrywał wszystko aż po horyzont i tylko gdzieniegdzie wyłaniały się pojedyncze hałdy śmieci. Wszędzie widać było ruiny miast, budynków, murów. Wraki sprzętu wojskowego. Chmury popiołu zasnuwające niebo i zaćmiewające słońce.

– Ciągle jeszcze trwa wojna? – spytał Kastner.

– Szponary wciąż panują nad Terrą. Zaraz je pewnie zobaczymy.

Ryan przemieścił wehikuł na wyższy pułap, dzięki czemu uzyskali lepszą widoczność.

Kastner szczegółowo oglądał całą okolicę.

- A jak zaczną do nas strzelać?
- Zawsze możemy uciec w czasie.
- Mogłyby też spróbować przejąć statek i za jego pomocą dostać się do terazniejszości.
- Wątpię. Na tym etapie wojny szponary zajęte były walkami między sobą.

Po prawej stronie widać drogę znikającą wśród popiołów i znów pojawiająca się kawałek dalej. Tu i ówdzie krater po bombach przerywały jezdnię. Coś się na niej poruszało.

- Tam – powiedział Kastner. – Spójrz na drogę. Zbliża się jakaś kolumna.

Ryan manewrował statkiem. Wehikuł zawisł nad drogą i obaj wyglądali przez okno sterowni. Kolumna była ciemnobrunatna i bardzo długa, gdyż żołnierze maszerowali dwójkami. Ludzie, długa kolumna ludzi posuwająca się wśród pokrytego popiołem krajobrazu.

- Nagle Kastner rzucił: – Oni są identyczni! Wszyscy tacy sami!

Była to kolumna szponarów. Podobne do ołowianych żołnierzyków roboty maszerowały, przedzierając się przez zwały szarego popiołu. Ryanowi aż dech zaparło w piersiach, choć, rzecz jasna, spodziewał się takiego widoku.

Istniały tylko cztery typy szponarów. Te, które teraz widział, zostały wyprodukowane w tej samej fabryce podziemnej, z jednakowych form i matryc. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt robotów, przypominających posturą młodych mężczyzn, maszerowało w milczeniu. Poruszały się bardzo powoli. Każdy miał tylko jedną nogę.

- Pewnie okaleczyły się w walkach między sobą – wykrztusił Kastner.

– Nie. Ten typ miał taką konstrukcję. Tak zwany Żołnierz Kaleka. Pierwotnie były przeznaczone do tego, by zmyliwszy ludzkich strażników, zdobywać bunkry.

Obserwowanie tego milczącego oddziału sobowótów, posuwających się z wysiłkiem do przodu, robiło niesamowite wrażenie. Każdy żołnierz wspierał się na kuli i nawet one były identyczne. Błąd z wrażenia Kastner machinalnie otwierał i zamykał usta.

– Niezbyt miły widoczek, co? – powiedział Ryan. – Całe szczęście, że ludzkość ewakuowała się do Bazy Księżycowej.

- A roboty ich nie goniły?

– Były takie odosobnione przypadki. Ale do tamtego czasu ludzie zidentyfikowali już cztery typy szponarów i wiedzieli, czego się spodziewać.

- Lecimy dalej. – Ryan uchwycił dźwignię zasilania.

- Zaczekaj. – Kastner uniósł dłoń. – Coś się będzie działo.

Po prawej stronie grupka jakichś istot pospiesznie ześlizgiwała się ze zbocza wśród popiołów. Ryan obserwował to, nie robiąc chwilowo użytku z dźwigni. Także i te postacie były identyczne. Kobiety. Ubrane w mundury i wojskowe buty, cicho zbliżały się do maszerującego drogą oddziału.

– Kolejny typ – zauważył Kastner.

Nagle oddział zatrzymał się. Żołnierze rozproszyli się we wszystkich kierunkach, podskakując niezdarnie. Niektórzy utykali, porzuciwszy kule, i przewracali się. Kobiety szybko wdarły się na drogę. Wszystkie były młode, smukłe, ciemnowłose i ciemnookie. Któryś Żołnierz Kaleka zaczął strzelać. Wówczas jedna z kobiet błyskawicznie sięgnęła ręką za pas. Coś rzuciła.

– Co to... – zająknął się Kastner.

Nagły błysk. Chmura białego światła uniosła się ze środka drogi i rozlała falą we wszystkich kierunkach.

– To jakiś rodzaj bomby uderzeniowej – powiedział Ryan.

– Lepiej się stąd wynośmy.

Ryan pchnął dźwignię zasilania. Scena za okienkiem zaczęła migotać, następnie blednąć, aż zupełnie zniknęła.

– Dzięki Bogu, mamy to już za sobą – powiedział Kastner. – A więc tak wyglądała ta wojna.

– Druga jej część. Ta ważniejsza. Szponary przeciwko szponarom. Całe szczęście, że zaczęły walczyć między sobą. To znaczy, szczęśliwie dla nas.

– Teraz dokąd?

– Zrobimy jeszcze jeden przystanek. Tym razem we wczesnej fazie wojny. Zanim jeszcze na scenę wkroczyły szponary.

– A potem do Schonermana?

– Tak jest. Jeden przystanek, a potem do Schonermana. – Twarz Ryana stężała. Ustawił oprzyrządowanie.

Liczniki wolno się obracały. Automatyczne ramiona z pisakami kreśliły na mapie przebytą drogę.

– Jeszcze chwila – zamruczał Ryan. Uchwycił dźwignię i wysunął stabilizatory.

– Tym razem musimy być ostrożniejsi. Będzie więcej działań wojennych.

– Może nawet nie powinniśmy...

– Chcę to zobaczyć. Walki między ludźmi. Strefa Sowiecka kontra Narody Zjednoczone. Jestem ciekaw, jak to było.

– A jeżeli nas przyuważą?

– Szybko się zwiniemy.

Kastner nic nie odpowiedział. Ryan manipulował wskaźnikami dyspozycji mocy. Czas płynął. Jego papieros odłożony na skraju pulpitu sterowniczego zupełnie się wypalił. Wreszcie Ryan wyprostował się.

– No, to jazda. Przygotuj się.

Włączył zasilanie.

W dole rozciągały się zielonkawo-brązowe równiny podziurawione lejami po bombach.

Przelecieli nad miastem. Stało w płomieniach. Ciężkie słupy dymu unosiły się ku niebu. Drogami wędrowały czarne punkciki – ludzie i pojazdy wylewały się strumieniem.

– To skutki bombardowania – powiedział Kastner. – Musiało do niego dojść całkiem niedawno.

Miasto zostało za nimi. Lecieli nad otwartą przestrzenią. Widać było pędzące ciężarówki wojskowe. Ludzie nie odczuli tu jeszcze tak bardzo skutków wojny. Na polach pracowali nieliczni farmerzy. Gdy nadleciał wehikuł czasu, wszyscy padli na ziemię.

Ryan obserwował niebo. – Musisz uważać.

– Na samoloty?

– Nie mam pewności, gdzie się znajdujemy. Nie znam szczegółów rozmieszczenia wojsk w tej fazie konfliktu. Możemy być równie dobrze nad terytorium Narodów Zjednoczonych, jak i nad obszarem kontrolowanym przez Sowieców.

Ryan mocno trzymał dźwignię. Na niebie pojawiły się dwa niewielkie punkty, które zaczęły szybko rosnąć. Obserwował je uważnie. Siedzący obok Kastner wykrztusił:

– Ryan, może lepiej...

Punkty rozdzieliły się. Dłoń Ryana zamknęła obwód energetyczny. Stało się to w mgnieniu oka. Obraz za oknem rozpląnął się, a punkty zniknęły. Dookoła znowu pojawiła się szara pustka. W uszach ciągle jeszcze słyszeli ryk samolotów.

– O mały włos – powiedział Kastner.

– Rzeczywiście. Nie tracili czasu.

– Mam nadzieję, że nie masz już ochoty na postoje.

– Tak, koniec z przystankami badawczymi. Pora zająć się samym projektem. Jesteśmy blisko czasów Schonermana. Mogę już zacząć zmniejszać prędkość statku. Przed nami piekielnie trudne zadanie.

– Trudne?

– Będą pewne problemy z dostaniem się do Schonermana. Musimy dokładnie wejść w jego kontinuum, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Może mieć przecież ochronę. Nikt nam nie pozwoli długo wyjaśniać, kim jesteśmy. – Ryan bębnił palcami po mapie czasu. – I zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że mapa okaże się nieprecyzyjna.

– Ile czasu zostało do chwili wejścia w kontinuum Schonermana?

Ryan spojrzął na zegarek. – Jakies pięć minut. Przygotuj się do opuszczenia statku. Dalszą część misji odbędziemy na piechotę.

Była noc. Nie dochodził żaden dźwięk, panowała idealna cisza. Kastner wycęzał słuch i przyłożył ucho do kadłuba statku. – Zupełnie nic.

– Rzeczywiście, ja też niczego nie słyszę. – Ryan ostrożnie odryglował klapę włazu. Otwierał ją, ściskając w dłoni broń. Usiłował przebić wzrokiem ciemności panujące na zewnątrz.

Powietrze było świeże i rześkie. Pełne zapachów roślin. Drzew i kwiatów. Odetchnął głęboko. Niczego nie zauważył. Było ciemno jak w studni. Gdzieś w oddali zagrał świerszcz.

– Słyszałeś? – spytał Ryan.

– Co to było?

– Chrząszcz.

Ryan ostrożnie zszedł na dół. Pod stopami poczuł miękki grunt. Stopniowo przyzwyczajał się do ciemności. W górze świeciło kilka gwiazd. Dostrzegał już drzewa, całą ich grupę, a za nimi wysokie ogrodzenie.

– I co dalej? – Kastner podążał za nim.

– Mów trochę ciszej – Ryan wskazał na ogrodzenie. – Idziemy w tym kierunku. Tam jest jakiś budynek.

Przecięli pole, kierując się ku ogrodzeniu. Gdy już do niego dotarli, Ryan wycelował broń, obniżając moc rażenia do minimum. Płot natychmiast się zwęglił i przewrócił, drut zwieńczający go rozżarzył się do czerwoności.

Przekroczyli ogrodzenie. Przed nimi wyrastał budynek z betonu i żelaza. Ryan skinął na Kastnera.

– Będziemy musieli poruszać się szybko, możliwie nisko przy ziemi.

Przykucnął, wziął oddech i pochylony ruszył pędem do przodu. Obok niego biegł Kastner. Znaleźli się blisko budynku. W ciemnościach dojrzeliby najpierw okno, a potem drzwi. Ryan naparł na nie całym swym ciężarem.

Drzwi ustąpiły. Potykając się, wpadł do środka. Zauważył przerażone twarze ludzi, którzy błyskawicznie poderwali się ze swoich miejsc.

Zaczął strzelać. Fala ognia omiotła całe pomieszczenie. Wokół zaskwierczały płomienie. Kastner stał za Ryanem i mierzył zza jego ramienia. W morzu ognia dostrzec można było niewyraźne sylwetki ludzi zataczających się i padających pokotem na ziemię.

Po chwili płomienie cofnęły się i zgasły. Ryan wysunął się naprzód, stąpając pomiędzy na wpół zwęglonymi przedmiotami, których całe sterty wały się po podłodze. Trafili do jakichś koszar. Piętrowe prycze, mocno nadpalony stół. Przewrócona lampa oraz radio.

W świetle lampy Ryan przyjrzał się mapie ściennej, na której zaznaczono ruchy wojsk. Błądził po niej palcem w zamyśleniu.

– Jaka jest nasza pozycja, czy mamy daleko? – zapytał Kastner, stając u drzwi z bronią gotową do strzału.

– Nie. Tylko parę mil.

– Jak się tam dostaniemy?

– Wehikułem czasu. Tak będzie bezpieczniej. Szczęście nam sprzyja. Mogliśmy przecież wylądować na drugim końcu świata.

– Będą tam jacyś strażnicy?

– Coś więcej będę ci mógł powiedzieć dopiero wtedy, gdy dotrzemy na miejsce. – Ryan ruszył ku drzwiom. – Zbieraj się, ktoś mógł nas zauważyć.

Kastner porwał ze stołu, a raczej z tego, co po nim pozostało, plik gazet.

– Zabiorę je ze sobą. Może dowiemy się jakichś szczegółów.

– Masz rację.

Ryan osadził statek w kotlinie, pomiędzy dwoma wzgórzami. Rozłożył gazety i zaczął je w skupieniu czytać.

– Trafiliśmy w okres wcześniejszy, niż sobie zaplanowałem. Powinniśmy przybyć kilka miesięcy później. Oczywiście przy założeniu, że gazety są świeże – wskazał je palcem. – Jeszcze nie pozółkły. Mogły tam leżeć dzień lub dwa.

– Jaką mają datę?

– Jesień 2030. 21 września.

Kastner wyjrzał przez niewielkie okno. – Wkrótce wszędzie słońce. Niebo szarzeje.

– Trzeba szybko działać.

– Czuję się trochę niepewnie. Na czym właściwie polega moja rola?

– Schonerman mieszka w małej wiosce, za tym wzgórzem. Jesteśmy na terytorium Stanów Zjednoczonych. W Kansas. Całą okolicę obstawiono wojskiem, dookoła aż gęsto od bunkrów i schronów. Zajmujemy pozycje na peryferiach strefy specjalnej. Schonerman jest w tym momencie właściwie nie znany szerszemu ogółowi. Nie opublikowano jeszcze wyników jego prac. Na razie jest tylko zwykłym uczestnikiem dużego rządowego projektu badawczego.

– Nie ma więc jakiejś szczególnej ochrony.

– Dopiero później, gdy wyniki jego badań naukowych zostaną przedstawione Rządowi, będzie strzeżony dniem i nocą. Umieszczą go w podziemnym laboratorium i nigdy nie wypuszczą. Stanie się dla Rządu strategicznym pracownikiem badawczym. Ale tymczasem...

– Jak go rozpoznamy?

Ryan podał Kastnerowi plik fotografii.

– Oto on. To wszystkie zdjęcia, jakie dotrwały do naszych czasów.

Kastner przyglądał się fotografiom. Schonerman był człowiekiem skromnej postury, noszącym rogowe okulary. Uśmiechał się niemrawo do obiektywu, był szczupły i nerwowy, miał wydatne czoło, smukłe dłonie, długie i zwężające się przy końcach palce. Ubrany był w wełniany bezrękawnik, który okrywał jego szczupłą klatkę piersiową. Na jednej z fotografii siedział za biurkiem, przed nim leżała fajka. Na innej – trzymał na kolanach burego kocura. Przed nim stał kufel piwa – starodawne, emaliowane niemieckie naczynie ozdobione scenami myśliwskimi i napisami wykonanymi gotykiem.

– A więc tak wygląda człowiek, który wymyślił szponary. Czy może raczej stworzył podwaliny pod ich skonstruowanie.

– To człowiek, który uzasadnił naukowo, że zbudowanie elektronowego mózgu jest możliwe i wskazał, w jaki sposób jego teoretyczne założenia mogą być wykorzystane w praktyce.

– Czy wiedział, że na podstawie wyników jego prac zostaną skonstruowane szponary?

– Początkowo nie. Jeśli wierzyć sprawozdaniom, Schonerman dowiedział się o tym dopiero, gdy wyprodukowano już pierwszą partię robotów. Narody Zjednoczone przegrywały wówczas wojnę. Sowieci zyskali przewagę dzięki brawurowym atakom z zaskoczenia. Szponary zostały przyjęte niezwykle entuzjastycznie, uznano je bowiem za przejaw triumfu cywilizacji zachodniej. Zdawało się wówczas, że nowo powstałe roboty przechylą szalę zwycięstwa na korzyść Narodów Zjednoczonych.

– A potem...

– A potem szponary nauczyły się powielać same siebie, tworzyć nowe, coraz doskonalsze modele. W końcu zaczęły atakować zarówno Sowieców, jak i armie zachodnie. Ocaleni jedynie ci ludzie, którzy znaleźli schronienie w Bazie Księżycowej, należącej do Narodów Zjednoczonych. Nie więcej niż kilkadziesiąt milionów osób.

– Całe szczęście, że szponary w końcu zaczęły wyniszczać się nawzajem.

– Schonerman poznał od początku do końca wszystkie następstwa swojego wynalazku. Podobno popadł w wielkie zgorzknienie.

Kastner oddał fotografie. – Twierdzisz, że nie jest szczególnie dobrze chroniony?

– Na tym etapie jeszcze nie, a w każdym razie nie bardziej niż inni naukowcy. Jest przecież młody. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Nie zapominaj o tym.

– Gdzie go znajdziemy?

– Rządowy Instytut Badań Naukowych mieści się w budynku, w którym dawniej znajdowała się szkoła. Większość prac badawczych wykonywana jest na powierzchni. Nie powstały jeszcze wielkie laboratoria podziemne. Naukowcy mieszkają w koszarach oddalonych od Instytutu o jakieś ćwierć mili. – Ryan spojrzął na zegarek. – Najłatwiej będziemy mogli go dopaść w laboratorium, gdy tylko przystąpi do pracy.

– Nie w koszarach?

– Cała dokumentacja i tak jest przechowywana w laboratorium. Rząd nie zezwala, by cokolwiek wydostawało się na zewnątrz. Każdy z pracowników jest dokładnie przeszukiwany, zanim opuści teren Instytutu.

Ryan delikatnie przesunął ręką po swoim płaszczu. – Musimy uważać. Schonermanowi nie może się stać żadna krzywda. Chcemy zabrać tylko jego notatki.

– Nie wykorzystamy miotaczy?

– Nie. Nie możemy narażać Schonermana.

- Myślisz, że będzie trzymał wszystkie notatki na stole, przy którym pracuje?
- Nie wolno mu ich nigdzie zabierać. Wiemy dokładnie, gdzie szukać tego, czego potrzebujemy. Zapiski mogą znajdować się tylko w jednym miejscu.
- W tym wypadku ich środki bezpieczeństwa ułatwiają nam tylko zadanie.
- No właśnie – przytaknął Ryan.

Ryan i Kastner zbiegli ze wzgórza, klucząc pomiędzy drzewami. Ziemia pod ich stopami była twarda i zimna. Znajdowali się na obrzeżach miasta. Niektórzy mieszkańcy już wstali i wolno zdążali dokądś ulicami. Miasto nie zaznało jeszcze bombardowań. Na razie nie widać było żadnych zniszczeń. Jednakże okna sklepów zabezpieczono deskami, a droga do podziemnych schronów została oznakowana dużymi strzałkami.

- Co oni na siebie pozakładali? – spytał Kastner. – Niektórzy mają zakryte twarze.
- To maski, które mają ich chronić w wypadku użycia broni bakteriologicznej. Chodźmy już.
- Ryan przez cały czas ścisnął w dłoni miotacz ognia. Gdy przemierzali ulice miasta, nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Po prostu o dwóch mundurowych więcej – zauważył Kastner.
- Powinniśmy maksymalnie wykorzystać element zaskoczenia. Znajdujemy się na terenie otoczonym specjalnym kordonem ochronnym. Niebo jest tu ciągle patrolowane z obawy przed sowieckim lotnictwem. Żaden obcy agent nie mógłby więc zostać zrzucony w to miejsce. A poza tym laboratorium, do którego spróbujemy się dostać, nie odgrywa aż tak znaczącej roli, no i leży w samym środku Stanów Zjednoczonych. Jaki sowiecki agent chciałby się tu zapuszczać.

- Ale będą przecież jacyś strażnicy?
 - Wszystko podlega ochronie. Wszystko, co wiąże się z badaniami naukowymi.
- Przed sobą ujrzeli budynek szkoły. Przy wejściu kręciło się kilku ludzi. Serce Ryana zamarło. Czy był wśród nich Schonerman?

Każda z osób kolejno wchodziła do środka. Umundurowany strażnik w hełmie sprawdzał identyfikatory. Niektórzy z wchodzących mieli na sobie maski ochronne, więc widać było tylko ich oczy. Czy rozpozna naukowca? A jeżeli będzie nosił maskę? Ryana ogarnął niepokój. Przecież Schonermana nie da się wówczas zidentyfikować.

Ryan schował broń i gestem nakazał to samo Kastnerowi. Jego palce powędrowały w kierunku kieszeni płaszcza. Kryształki gazu nasennego. W tym punkcie kontinuum nie opracowano jeszcze antidotum na tę broń. Przecież ten rodzaj gazu zostanie wynaleziony dopiero za rok lub nawet nieco później. Zastosowanie go spowoduje, że w promieniu kilkuset stóp wszyscy zapadną w sen. To zdradziecka i nieprzewidywalna broń, ale w tej sytuacji – idealna.

- Jestem gotowy – mruknął Kastner.
- Powoli. Przecież musimy poczekać na niego.

Czekali. Słońce wzeszło i ogrzało zimne niebo. Nadchodziło coraz więcej osób, pracowników laboratorium. W alejce i wewnątrz budynku zrobiło się tłoczno. Stojący w kolejce wydychali kłęby pary i dla rozgrzewki rozcierali dłonie. Ryan zaczynał się denerwować. Jeden ze strażników najwyraźniej zwrócił już uwagę na niego i Kastnera. Jeżeli nabierze podejrzeń...

Niewysoki mężczyzna w grubym płaszczu i rogowych okularach szybkim krokiem zmierzał w stronę budynku.

Ryan poczuł, że narasta w nim napięcie. To Schonerman! Naukowiec okazał strażnikowi identyfikator. Następnie otrzepał buty i wszedł do budynku, ściągając po drodze rękawiczki. Trwało to parę chwil. Energiczny młody człowiek spieszył się do pracy, do swoich badań.

– Ruszamy – zdecydował Ryan.

Obaj podeszli do przodu. Ryan wyjął z kieszeni kryształki gazu. Gdy trzymał je w dłoni, wydały mu się chłodne i bardzo twarde. Niczym diamenty. Strażnik uważnie przyglądał się wchodzącym i trzymał w pogotowiu broń. Miał skupioną twarz. Mierzył ich wzrokiem. Nigdy wcześniej żadnego z nich tutaj nie widział. Ryan bez trudu czytał myśli z twarzy strażnika.

Zatrzymali się przed wejściem.

– Jesteśmy z FBI – powiedział spokojnie Ryan.

– Identyfikator. – Mówiąc to, strażnik nawet się nie poruszył.

– Oto nasze listy polecające – oświadczył Ryan. Wyjął rękę z kieszeni płaszcza i rozgniół kryształki w dłoni.

Strażnik zachwiał się. Mięśnie jego twarzy nagle zwiotczały. Po chwili bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Gaz zaczął się rozprzestrzeniać. Kastner wkroczył do wnętrza, rozglądając się wokoło rozgorączkowanym wzrokiem. Budynek był nieduży. Wszędzie stały rzędy stołów laboratoryjnych z aparaturą badawczą. Pracownicy leżeli tam, gdzie zostali zaskoczeni przez gaz, każdy w innym miejscu. Spoczywali na podłodze w zupełnym bezruchu, mieli rozrzucone ramiona i nogi oraz na wpół otwarte usta.

– Prędko! – Ryan wyprzedził Kastnera, przemierzając laboratorium szybkim krokiem. Na drugim końcu sali dostrzegł Schonermana, który leżał bezwładnie na swoim stole, opierając głowę na metalowym blacie. Okulary spadły mu z nosa. Oczy miał otwarte, jakby wpatrywał się w jakiś punkt. Zdażył już wyjąć z szuflady swoje notatki. Na wierzchu została jeszcze kłódka z kluczykiem. Schonerman, zasypiając, złożył głowę na pliku zapisków. Dłonie również oparł na stole.

Kastner podbiegł do Schonermana, zgarnął papiery i pospiesznie wepchnął je do teczki.

– Weź wszystkie!

– Już to robię. – Otworzył jeszcze szufladę. Wyjął pozostałe notatki. Zabrał je wszystkie, bez wyjątku.

– Uciekajmy! Gaz szybko się rozproszy.

Wybiegli na zewnątrz. Na progu i niedaleko drzwi leżało kilka bezwładnych ciał. Byli to pracownicy, którzy również dostali się w zasięg działania środka chemicznego.

– Szybciej!

Gnali przed siebie główną ulicą miasta. Ludzie przyglądali im się ze zdziwieniem. Kastner z trudem łapał oddech, kurczowo ściskając teczkę.

– Brak mi... tchu.

– Nie zatrzymuj się!

Dotarli na skraj miasta i zaczęli piąć się w górę zbocza. Ryan pochylił się do przodu i biegł między drzewami, nie oglądając się za siebie. Niektórzy pracownicy laboratorium z pewnością już się budzili. W dodatku na miejsce zdarzenia docierali następni strażnicy. Tylko patrzeć, jak rozlegnie się alarm.

Z oddali dobiegł ich ryk syreny.

– No, to zaczęło się.

Ryan zatrzymał się na szczycie wzgórza, czekając na Kastnera. Na ulice miasta wybiegało z podziemnych bunkrów coraz więcej ludzi. Włączano wciąż nowe syreny, których wycie rozlegało się po okolicy złowróżbnym echem.

– Prędko, na dół!

Potyając się i ześlizgując po zeschniętej ziemi, Ryan zbiegał ze wzgórza w kierunku wehikułu czasu. Kastner spieszył za nim, dławiąc się z powodu trudności w oddychaniu. Słyszeli komendy wydawane raz po raz przez prowadzących pogoń. Chmara żołnierzy wspinała się już na górę z drugiej strony wzgórza.

Ryan dotarł do statku. Chwycił Kastnera i wciągnął go do środka.

– Zamykaj luk! Prędko! Zamykaj!

Ryan podbiegł do pulpitu sterowniczego. Kastner rzucił aktówkę i chwycił klapę wjazdu za krawędź. Na szczycie wzgórza pojawili się pierwsi żołnierze. Pędzili teraz w dół, strzelając w biegu.

– Szybciej, włącz do środka! – wrzeszczał Ryan. Pociski zaczęły uderzać o pancerne płyty kadłuba. – Pospiesz się!

Kastner wypalił z miotacza. Fala ognia poszybowała w górę zbocza, w kierunku żołnierzy. Kłapa zatrasnęła się z łoskotem. Kastner zaryglował ją i zabezpieczył zamek od wewnątrz.

– Gotowe. Wszystko gotowe.

Ryan pchnął dźwignię zasilania. Na zewnątrz pozostali żołnierze usiłowali przedrzeć się przez szalejący ogień w stronę statku. Ryan widział przez okienko sterowni ich poranione i poparzone twarze.

Jeden z żołnierzy uniósł niezgrabnym ruchem broń do góry. Większość jego towarzyszy leżała na ziemi, czołgając się i próbując wstać. Gdy Ryan powoli tracił ich z pola widzenia,

zdołał jeszcze dostrzec innego żołnierza, który usiłował dźwignąć się na kolana. Jego ubranie płonęło. Z ramion i pleców unosił się dym. Twarz miał wykrzywioną bólem. Wyciągał rękę w kierunku statku, wskazując na Ryana, dłoń mu drżała, zgiął się wpół.

Nagle Ryan zeszywniał.

Wpatrywał się jak osłupiały w scenę za oknem, obraz jednak zaczął migotać i wkrótce zastąpiła go pustka. Wszystko zniknęło. Liczniki wskazały zmianę parametrów. Automatycznie sterowane ramiona bezgłośnie przystąpiły do kreślenia nowych linii na mapie czasu.

Zanim obraz za oknem się rozplynął, Ryan zdążył spojrzeć prosto w twarz tamtego człowieka. W jego wykrzywione bólem oblicze o rysach zniekształconych okropnym grymasem. Chociaż nie dostrzegł rogowych okularów, nie miał najmniejszych wątpliwości... To był Schonerman.

Ryan usiadł. Drżącą ze zdenerwowania ręką przeczesał włosy.

– Jesteś pewien? – spytał Kastner.

– Tak. Musiał się bardzo szybko obudzić. Reakcja poszczególnych osób na gaz jest dość zróżnicowana. Przecież on był daleko od wyjścia. Pewnie w krótkim czasie doszedł do siebie i zdołał przyłączyć się do pogoni.

– Czy był poważnie ranny?

– Nie wiem.

Kastner otworzył teczkę. – W każdym razie, mamy notatki.

Ryan skinął głową, choć nie bardzo potrafił się w tym momencie skoncentrować. Schonerman ranny, poparzony, w płonącym ubraniu. Nie tak to miało wyglądać, plan przewidywał zupełnie co innego.

Pozostawało jeszcze ważniejsze pytanie: czy to wydarzenie zapisało się jakoś w historii?

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że ich misja mogła spowodować jakieś zaburzenia w ciągu zdarzeń. Im chodziło tylko o notatki Schonermana. Chcieli je zdobyć na użytek KPTS, po to, by znowu można było stworzyć sztuczny mózg. Gdyby wynalazek został wykorzystany w sposób właściwy, to mogłby odegrać ważną rolę w odbudowie zrujnowanej Terry. Zastępy robotów przystąpiłyby do rekultywacji i odbudowy. Ta mechaniczna armia mogłaby uczynić Terrę na powrót żyzną i kwitnącą. Jedna generacja robotów osiągnęłaby takie rezultaty, na jakie ludzkość musiałaby ciężko pracować przez długie lata. Planeta mogłaby się odrodzić.

Jednakże, czy cofając się do przeszłości, nie wprowadzili jakichś niepożądanych czynników? Czy nie zmienili kształtu przeszłości? Nie naruszyli wiecznej równowagi?

Ryan wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

– O co chodzi? – spytał Kastner. – Przecież udało się zdobyć te zapiski.

– Wiem.

– KPTS będzie zachwycony. Liga może od dziś liczyć na nasze wsparcie. Zaoferujemy wam

wszelką pomoc. Rezultaty tej misji na zawsze utrwalały pozycję KPTS. Przecież to właśnie Konsorcjum będzie wytwarzało roboty. Roboty do pracy w fabrykach. Ludzie nie będą już potrzebni. Maszyny zaczną pracować zamiast nich.

Ryan skinął głową. – Brzmi to obiecująco.

– No to, o co ci chodzi?

– Martwię się o nasze kontinuum.

– Czym się tak przejmujesz?

Ryan podszedł do pulpitu sterowniczego i przyglądał się z uwagą mapie czasu. Statek wracał do terażniejszości, automatyczne ramiona rysowały drogę powrotną.

– Martwię się, że wprowadziliśmy do przeszłości jakieś nowe elementy. Wcześniej nie słyszałem, by Schonerman odniósł obrażenia. Również o naszej akcji nie było nigdzie mowy. Ta misja mogła wprowadzić w ruch nowy łańcuch przyczynowo-skutkowy.

– O jakich skutkach myślisz?

– Jeszcze nie wiem, ale chciałbym sprawdzić. Zaraz się zatrzymamy i zobaczymy, jakie to zmiany wprowadziliśmy.

Ryan wpasował wehikuł w kontinuum tuż po ich akcji. Był to początek października, czyli trochę więcej niż tydzień po tamtych zdarzeniach. Statek wylądował o zachodzie słońca na polu należącym do jednej z farm w okolicy Des Moines, niewielkiego miasta w stanie Iowa. Była zimna jesienna noc, ziemia, po której szli, chrzęściła pod nogami.

Wypuścili się do miasta. Kastner przez cały czas kurczowo ścisnął swoją teczkę. Des Moines zostało zbombardowane przez sowieckie pociski samosterujące. Większość dzielnic przemysłowych leżała w gruzach. W mieście pozostał jedynie personel wojskowy i robotnicy budowlani. Cywili ewakuowano.

Zwierzęta włóczyły się po opustoszałych ulicach, szukając pożywienia. Wszędzie leżały zwaly gruzu i potłuczone szkło. Miasto było zimne i wyludnione. W wyniku pożarów wywołanych bombardowaniem zamieniło się w morze wypalonych ruin. W jesiennym powietrzu unosił się ciężki odór zgnilizny. Pochodził z niezliczonych hałd gruzu przemieszanego z ciałami zabitych. Sterty te zalegały na skrzyżowaniach ulic i otwartych placach.

Z zabitego deskami kiosku z gazetami Ryan wyciągnął magazyn informacyjny „Przegląd Tygodnia”. Tygodnik był wilgotny i zapleśniały. Kastner wsunął go do teczki i ruszyli z powrotem na statek. Po drodze mijali nielicznych żołnierzy wywożących z miasta broń i sprzęt. Żaden nic zwrócił na nich uwagi.

Wrócili do wehikułu i zamknęli luk. Otaczały ich pustkowia. Zabudowania farmy strawił ogień, a plony uległy zniszczeniu. Na drodze dojazdowej leżał przewrócony na bok, zupełnie wypalony wrak samochodu. Stado świń ryło w pobojowisku, szukając pożywienia.

Ryan usiadł i otworzył gazetę. Przeglądał ją dłuższy czas, wolno przewracając zawilgocone

strony.

– I co tam piszą? – zapytał Kastner.

– Tylko o wojnie. Ciągłe jeszcze trwa jej początkowa faza. Sowieckie pociski samosterujące niszczą Amerykę. Na Rosję sypie się grad amerykańskich bomb.

– Jest coś o Schonermanie?

– Nie widzę. Za dużo tego wszystkiego. – Ryan dalej przeglądał tygodnik. Wreszcie na jednej z ostatnich stron znalazł to, czego szukał. Krótką notatkę, zaledwie kilkudzaniową:

ZDZIWIENIE SOWIECKICH AGENTÓW

Grupa sowieckich agentów, usiłujących zniszczyć Rządowy Instytut Badań Naukowych w Harristown w stanie Kansas, szybko wycofała się pod ostrzałem. Agenci zbiegli po nieudanej próbie przeniknięcia do laboratoriów ośrodka. Podający się za przedstawicieli FBI Sowieci próbowali dostać się do wnętrza wraz z rozpoczynającą pracę poranną zmianą. Zostali zdemaskowani i zmuszeni do ucieczki przez czujnych strażników. Incydent nie spowodował zniszczeń laboratoriów. Ocalała cenna aparatura badawcza. Śmierć poniosło dwóch strażników i jeden pracownik ośrodka. Oto ich nazwiska...

Ryan kurczowo ścisnął „Przegląd Tygodnia”.

– Co się stało? – Kastner rzucił się w jego stronę. Ryan doczytał artykuł do końca. Zamknął gazetę i podał ją wolno Kastnerowi.

– Go takiego się wydarzyło? – Kastner szukał właściwej strony.

– Schonerman zmarł. Zginął w walce. Myśmy go zabili. Zmieniliśmy przeszłość.

Ryan wstał i podszedł do okienka sterowni. Zapalił papierosa, powoli odzyskiwał zimną krew.

– Wprowadziliśmy do kontinuum nowe elementy i spowodowaliśmy zaburzenie ciągu zdarzeń. Nie wiadomo, do czego to doprowadzi.

– Co masz na myśli?

– Może ktoś inny skonstruuje sztuczny mózg. Może ciąg zdarzeń ulegnie autokorekcji, a czas popłynie dalej jakby nigdy nic.

– Czy to możliwe?

– Sam nie wiem. Nie ulega wątpliwości, że zabiliśmy go i ukradliśmy zapiski z jego badań. Tak więc nie trafią one w ręce Rządu. Ba, nikt się nawet nie dowie, że kiedykolwiek istniały. Chyba że ktoś inny podejmie tę pracę, dokona tego samego odkrycia...

– Jak się o tym dowiemy?

– Trzeba będzie się trochę rozejrzeć. To jedyne wyjście.

Ryan wybrał rok 2051.

Wtedy właśnie pojawiły się pierwsze egzemplarze szponarów. Sowieci nieomal wygrali już wojnę. Narody Zjednoczone, rozpoczynając produkcję superrobotów, czyniły desperacki wysiłek, mający odwrócić bieg zdarzeń.

Ryan osadził wehikuł na szczycie podłużnego wzniesienia. W dole rozciągała się płaska równina usiana ruinami, zasiekami z drutu kolczastego i wrakami sprzętu bojowego.

Kastner odbezpieczył luk osobowy i ostrożnie wyszedł na zewnątrz.

– Uważaj – powiedział Ryan. – Pamiętaj o szponarach.

Kastner wyciągnął miotacz ognia.

– Będę się miał na baczności.

Na tym etapie roboty wyglądały jeszcze dość niepozornie. Miały zaledwie około stopy długości i były wykonane z metalu. Zakopywały się w popiołach. Humanoidy jeszcze wówczas nie istniały.

Słońce wzeszło już wysoko. Zbliżało się południe. Powietrze było ciepłe i gęste. Chmury popiołu przetaczały się nad ziemią, gnane wiatrem.

Nagle Kastner zeszywniał.

– Patrz. Co to? Jakiś pojazd jedzie drogą.

Wolno, podskakując na wybojach, zbliżała się do nich duża brązowa ciężarówka wypełniona żołnierzami. Kierowała się w stronę podnóża góry. Ryan przygotował swój miotacz. Obaj z Kastnerem czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Auto zatrzymało się. Kilku żołnierzy zeskoczyło na ziemię i zaczęło piąć się pod górę, brnąc przez popioły.

– Przygotuj się – mruknął Ryan.

Żołnierze dotarli do nich i zatrzymali się w odległości kilku stóp. Ryan i Kastner stali w milczeniu z miotaczami gotowymi do walki.

Jeden z żołnierzy roześmiał się.

– Odłóżcie to. Nie wiecie, że wojna się skończyła?

– Jak to skończyła?

Żołnierze rozluźnili się. Ich dowódca, postawny mężczyzna o czerwonej twarzy, otarł pot z czoła i ruszył w kierunku Ryana. Miał podarty i brudny mundur. Jego buty były popękane i oblepione popiołem.

– Wojna skończyła się tydzień temu. Ruszajcie się! Roboty nie brakuje. Zabieramy was z powrotem.

– Z powrotem?

– Objeżdżamy wszystkie wysunięte placówki. Byliście odcięci? Straciliście łączność?

– Tak – powiedział Ryan.

– Trzeba miesięcy, żeby do wszystkich dotarło, że wojna skończona. Jedziemy. Szkoda czasu

na gadanie.

Ryan podszedł bliżej.

– Powiedz. Wojna naprawdę się skończyła? Przecież...

– Całe szczęście. Dłużej byśmy się nie utrzymali.

Oficer zabębnił palcami po pasie.

– Macie może jakieś fajki?

Ryan powoli wyciągnął swoją paczkę. Wyjął z niej papierosy i podał oficerowi. Opakowanie skwapliwie zgniótł i schował do kieszeni.

– Dziękuję. – Oficer rozdał papierosy swoim ludziom. Zapalili.

– Tak, całe szczęście. Już prawie było po nas.

– A co ze szponarami? – odezwał się Kastner.

Oficer spojrzał na niego spode łba.

– Co takiego?

– Dlaczego wojna się skończyła tak... tak zupełnie nagle?

– Kontrrewolucja w Związku Sowieckim. Od wielu miesięcy robiliśmy zrzuty agentów i materiałów propagandowych. Nie myślałem nawet, że coś z tego wyjdzie. Jednak tamci byli dużo słabsi, niż nam się wydawało.

– Więc to naprawdę koniec wojny?

– No pewnie. – Oficer chwycił Ryana za ramię. – Jedziemy. Jest dużo roboty. Próbujemy usunąć ten cholerny popiół i zacząć coś uprawiać.

– Uprawiać? Jakies zboża?

– Oczywiście. A ty myślałeś, że co?

Ryan odciągnął go na bok.

– Muszę zapytać wprost. Wojna skończona. Walki ustały. A wyście nie słyszeli o szponarach? Nie znacie ich?

Oficer zmarszczył czoło.

– O co ci chodzi?

– Mechaniczni zabójcy. Roboty. Nowy typ broni.

Krąg żołnierzy nieco się rozstał.

– O czym on mówi, do cholery?

– Wyjaśnij nam – powiedział oficer, robiąc nagle poważną minę. – O co chodzi z tymi szponarami?

– Nie słyszeliście w ogóle o tego rodzaju broni? – spytał Kastner.

Zapadło milczenie. W końcu jeden z żołnierzy wtrącił nieśmiało.

– Chyba wiem, o czym on mówi. Pewnie o minie Dowlinga.

Ryan spojrzał na niego. – Co takiego?

– Taki angielski fizyk eksperymentował z minami samonaprowadzającymi. To były takie miny-roboty. Ale nie potrafiły się same naprawiać, więc Rząd zarzucił ten projekt i postawił na akcję propagandową.

– No i dlatego wojna dobiegła końca – oznajmił oficer. Zaczął się szykować do odejścia.

– Ruszamy.

Żołnierze poszli za nim w dół zbocza. Nagle zatrzymał się i spojrzał na Ryana oraz Kastnera.

– Idziecie z nami?

– Później do was dołączymy – oświadczył Ryan. – Musimy pozbierać sprzęt.

– W porządku. Do obozu traficie tą drogą. To jakieś pół mili stąd. Tam jest takie osiedle.

Ludzie wracają z Księżyca.

– Z Księżyca?

– Zaczęliśmy już wysyłać nasze jednostki do Bazy Księżycowej, ale teraz to nie ma sensu.

Może to i lepiej. Któż, u licha, chciałby opuszczać Terrę?

– Dzięki za fajki – rzucił na odchodnym jeden z żołnierzy.

Cały oddział usadowił się w ciężarówce, oficer natomiast zasiadł za kierownicą. Pojazd ruszył, podskakując na wybojach. Ryan i Kastner obserwowali, jak odjeżdża.

– Wynika z tego, że nikt nie zastąpił Schonermana – mruknął Ryan. – A zatem powstała zupełnie nowa przeszłość...

– Zastanawiam się, jak daleko sięgają zmiany. Ciekawe, czy aż do naszych czasów? – Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. – Kastner skinął głową. – Chcę się dowiedzieć natychmiast. Im szybciej, tym lepiej. Startujemy.

Głęboko zamyślony Ryan przytaknął. – Rzeczywiście, powinniśmy to sprawdzić tak szybko, jak się da.

Weszli do wnętrza statku. Kastner usiadł, trzymając w ręku swoją aktówkę. Ryan ustawiał oprzyrządowanie. Krajobraz za okienkiem sterowni zniknął. Znowu znaleźli się w strumieniu czasu i zdążali ku teraźniejszości.

Ryan miał zasepioną minę.

– Nie do wiary. Cała struktura przeszłości uległa zmianie. Powstał zupełnie nowy łańcuch przyczynowo-skutkowy. Objął swym wpływem wszystkie kontinua i zaczął się rozprzestrzeniać w strumieniu czasu.

– W takim razie, kiedy wrócimy, nie będzie już znanej nam teraźniejszości. Nie wiadomo, na ile rzeczywistość uległa zmianie. A wszystko zaczęło się od śmierci Schonermana. Jedno wydarzenie spowodowało, że dzieje ludzkości potoczyły się zupełnie inaczej.

– Śmierć Schonermana nie odgrywa w tym wszystkim aż tak istotnej roli – poprawił go Ryan.

– Tylko co?

– O wiele ważniejszy jest fakt zaginięcia wyników jego badań. Po śmierci Schonermana Rząd nie otrzymał stosownej dokumentacji umożliwiającej produkcję mózgu elektronowego. Z tego powodu szponary nigdy nie powstały.

– Na to samo wychodzi.

– Tak myślisz?

Kastner podniósł szybko wzrok. – A ty tak nie uważasz?

– Śmierć Schonermana się nie liczy. Decydujące znaczenie ma to, że dokumentacja nie trafi w ręce Rządu. – Ryan wskazał na teczkę Kastnera. – Przecież notatki są tu. My je mamy.

Kastner skinął głową. – Rzeczywiście, masz rację.

– Możemy przywrócić dawny bieg zdarzeń, jeżeli dostarczymy te papiery odpowiedniej agencji rządowej. Schonerman nie ma tu nic do rzeczy. Liczy się tylko los jego wynalazku.

Dłoń Ryana powędrowała w kierunku dźwigni zasilania.

– Zaczekaj! – rzucił Kastner. – Nie lepiej sprawdzić najpierw, co się stało z naszą terażniejszością? Powinniśmy zobaczyć, jakie zmiany zaszły w naszej rzeczywistości.

Ryan zawahał się, po czym przytaknął: – Racja.

– Wtedy zdecydujemy, co robić. Czy w ogóle będziemy chcieli dostarczyć te notatki.

– W porządku. Wracamy do terażniejszości, a potem zdecydujemy.

Automatyczne pisaki, kreślące na mapie czasu przebytą drogę, nieomal wróciły już do punktu wyjścia. Ryan wpatrywał się w nie, trzymając rękę na dźwigni zasilania. Kastner nie rozstawał się ze swoją teczką, przyciskając ją ramionami do tułowia – ciężka skórzana torba spoczywała na jego kolanach.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – oznajmił Ryan.

– W naszym własnym czasie?

– Tak, za parę chwil. – Ryan wstał, nadal ściskając dźwignię. – Ciekawe, co zobaczymy.

– Prawdopodobnie niewiele uda nam się rozpoznać.

Ryan wziął głęboki oddech, pod palcami wyczuwał chłód metalu. Jak bardzo odmieniony będzie ich świat? Czy w ogóle go rozpoznają? Czy w efekcie ich misji znikło wszystko to, co do tej pory znali?

Łańcuch zdarzeń został wprawiony w ruch. Przez czas przetaczała się fala zmieniająca każde kontinuum, mająca wpływ na wszystkie nadchodzące wieki. Drugi etap wojny nigdy nie nastąpił. Walki skończyły się, zanim skonstruowanie szponarów stało się możliwe. Teoria sztucznego mózgu nigdy nie zaowocowała praktycznymi wynalazkami. Nie powstało najgroźniejsze zarzewie wojny. Ludzkość spożytkowała swoją energię nie na prowadzenie wojny, lecz na odbudowę planety.

Wskaźniki i liczniki znajdujące się na tablicy obok Ryana zaczęły wibrować. Od powrotu dzieliły ich sekundy. Jaka będzie Terra? Czy cokolwiek wygląda tak jak dawniej?

Unia Pięćdziesięciu Miast. Prawdopodobnie już nie istnieje. Jon, jego syn, czytający sobie cicho w swoim pokoju. KPTS. Rząd. Liga z jej laboratoriami i biurami, rezydencjami i lądowiskami zbudowanymi na dachach oraz strażnikami. Cała ta skomplikowana struktura społeczna. Czy to wszystko miałoby zniknąć bez śladu? Prawdopodobnie tak.

A co powstało zamiast tego?

– Za minutę wszystkiego się dowiemy – mruknął pod nosem Ryan.

– Jeszcze tylko trochę – Kastner wstał i podszedł do okienka sterowni. – Chcę to zobaczyć. Ten świat z pewnością wyda się nam obcy.

Ryan wyłączył zasilanie. Statkiem mocno szarpnęło, kiedy wydostawał się ze strumienia czasu. Za oknem coś dryfowało i wirowało, podczas gdy statek stabilizował swoją pozycję. Automatyczny system kontroli grawitacji zaczął działać. Pojazd szedł frontowym ciągiem nad powierzchnią ziemi.

Kastner oddychał ciężko.

– I co tam widzisz? – dopytywał się Ryan, zmniejszając prędkość wehikułu. – Co się tam teraz znajduje?

Kastner milczał.

– Co takiego zobaczyłeś?

Kastner powoli usiadł i uniósł teczkę. – To, co tam widać, wyznacza zupełnie nowe perspektywy myślenia.

Ryan podszedł do okienka sterowni i wyjrzał. Pod statkiem rozciągała się Terra. Ale nie taka, jaką zostawili.

Pola, bezkresne złociste pola oraz parki. Parki i złote pola. Zielone i żółte prostokąty aż po sam horyzont. I nic poza tym.

– Nie ma miast – stwierdził Ryan ochrypłym głosem.

– Nie ma. Czyżbyś zapomniał? Wszyscy ludzie przebywają na polach. Albo też przechadzają się w parkach. Dyskutują o naturze wszechświata.

– Tak to widział Jon.

– Twój syn opisał wszystko nadzwyczaj dokładnie.

Ryan, z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu, usiadł z powrotem za centralnym pulpitem sterowniczym. Nie był w stanie myśleć. Przygotowywał statek do wysunięcia podpór służących do lądowania. Maszyna opadała coraz niżej, aż zawisła nad płaskimi polami. Mężczyźni i kobiety spoglądali na wehikuł z bezgranicznym zdumieniem. Mieli na sobie powłóczyste szaty.

Statek przeleciał nad parkiem. Stado jakichś zwierząt w panice rzuciło się do ucieczki. Był to pewien gatunek jeleni.

Dokładnie taki świat widział kiedyś jego syn. Taką miał wizję. Pola, parki oraz mężczyźni i kobiety w długich zwiewnych szatach. Przechadzali się po alejkach, rozprawiając o problemach

wszechświata.

A tamten inny świat, jego świat, już nie istniał. Przepadła gdzieś Liga. Dorobek całego życia poszedł na marne. Tutaj nie miał on racji bytu. Jon. Jego syn. Odszedł. Już go nigdy nie zobaczy. Praca, rodzony syn, wszystko, co znał, zapadło się w niebyt.

– Musimy wracać – powiedział nagle Ryan.

Kastner zamrugał z wrażenia oczami.

– Co proszę?

– Musimy odwieźć dokumenty do tego kontinuum, z którego zostały zabrane. Nie zdołamy wszystkiego odtworzyć, ale możemy oddać te dokumenty w ręce Rządu. W ten sposób przywrócimy pierwotny ciąg najważniejszych wydarzeń.

– Chyba żartujesz.

Ryan niepewnie podniósł się z miejsca i ruszył w stronę Kastnera.

– Oddaj mi te zapiski. Sytuacja jest bardzo poważna. Musimy działać szybko. Wszystko powinno wrócić na swoje miejsce.

Kastner odsunął się i wyciągnął swój miotacz. Ryan rzucił się w jego stronę. Natarł na Kastnera i zwałił go z nóg. Miotacz wypadł z rąk niewysokiego biznesmena, z impetem przesunął się po podłodze sterowni i grzmotnął w ścianę. Notatki rozsypały się na wszystkie strony.

– Ty przeklęty głupcze! – Ryan padł na kolana, żeby pozbierać papiery.

Kastner błyskawicznie sięgnął po miotacz i mocno go uchwycił. Na okrągłej twarzy biznesmena pojawił się wyraz niezwyklej zaciętości. Ryan obserwował go kątem oka. W pewnym momencie ledwie opanował chęć wybuchnięcia śmiechem. Twarz Kastnera była cała w pąsach, policzki aż mu płonęły z podekscytowania. Niezdarnie manipulował miotaczem, próbując celować.

– Kastner, na miłość boską...

Palce niepozornego biznesmena zacisnęły się na spuście. Nagły strach zmroził Ryana. Spróbował wstać. Miotacz zaryczał, płomień z szumem przeleciał przez kabinę wehikułu czasu. Ryan uskoczył i padł na podłogę, osmalony jęzorem ognia.

Rozrzucone po podłodze zapiski Schonermana również zaczęły trawić płomienie. Trwało to nie dłużej niż sekundę. Po chwili ogień zgasł, a popiół zamigotał żarem. Gryzący dym owionął Ryana, powodując kręcenie w nosie i łzawienie oczu.

– Przepraszam – mruknął Kastner. Odłożył miotacz na panel sterowniczy. – Nie uważasz, że lepiej byłoby wylądować? Jesteśmy tuż nad powierzchnią ziemi.

Ryan machinalnie podszedł do panelu. Po chwili zasiadł za sterami i zmniejszył prędkość, kierując się wskazaniem liczników. Nie odezwał się ani słowem.

– Zaczynam rozumieć przypadek Jona – mamrotał Kastner. – On musiał mieć coś w rodzaju

podwójnego poczucia czasu. Był świadom potencjalnych innych wymiarów czasu. Wraz z postępowaniem prac przy statku jego wizje przybierały na sile, prawda? Z dnia na dzień stawały się coraz bardziej realne, tak jak sam wehikuł czasu.

Ryan skinął głową.

– To stwarza pole do nowych przemyśleń i spekulacji. Pomyśl o mistycznych wizjach średniowiecznych świętych. Może one odwoływały się do innych wymiarów czasu, do innych jego strumieni? Wizje piekła odnosiły się do gorszych strumieni czasu, a wizje nieba do lepszych. Nasz czas musi być gdzieś pomiędzy nimi. A wizje wiecznego, niezmiennego świata są prawdopodobnie powodowane odczuciem beczasu. To nie jest inny świat, to nasz świat – tyle że widziany niejako poza czasem. Tę kwestię też warto by rozważyć.

Statek wylądował na obrzeżach jakiegoś parku. Kastner podszedł do okienka sterowni i spojrzął na rosnące nieopodal drzewa.

– W książkach, które ocalała moja rodzina, było trochę rycin przedstawiających drzewa – powiedział w zamyśleniu. – Te drzewa tuż obok nas to pieprzowce. A tamte, rosnące trochę dalej, opisywane są jako drzewa wiecznie zielone. Wyglądają tak samo przez cały rok i stąd ich nazwa.

Kastner chwycił swoją aktówkę, przycisnął ją mocno do piersi i skierował się do wjazdu.

– Chodźmy poszukać jakichś ludzi, abyśmy mogli zacząć dyskutować. Najlepiej o rzeczach nadprzyrodzonych – uśmiechnął się do Ryana. – Zawsze miałem słabość do metafizyki.

Śniadanie o zmierzchu

– Tato? – zapytał Earl, wybiegając z łazienki. – Zawieziesz nas dzisiaj do szkoły?

Tim McLean nalał sobie drugą filiżankę kawy.

– Nic się nie stanie, jak dla odmiany raz się przespacerujecie. Samochód stoi w garażu.

Judy wydeła z niezadowolaniem wargi.

– Przecież pada.

– Nie, wcale nie – poprawiła siostrę Virginia. Podciągnęła roletę. – Wszystko okrywa dosyć gęsta mgła, ale nie ma deszczu.

– Najlepiej sama sprawdzę. – Mary McLean wytarła ręce, odeszła od zlewozmywaka i zbliżyła się do okna. – Jaki dziwny dzień. Czy to rzeczywiście mgła? Wygląda bardziej na dym. Nic nie widać. Jaką zapowiadali na dzisiaj pogodę?

– W radiu nie udało mi się złapać żadnej stacji – oświadczył Earl. – Słysząc tylko jakieś trzaski.

– To cholerne pudło znowu nawaliło? Przecież całkiem niedawno wróciło z naprawy. – Tim obruszył się. Wstał i ciągle jeszcze zaspany podszedł do odbiornika. Na próżno manipulował pokrętkami. Trójka dzieci w pośpiechu biegała po domu, szykując się do szkoły.

– Dziwne – powiedział Tim.

– Ja już idę – oświadczył Earl, otwierając drzwi frontowe.

– Zaczekaj na siostry – rzuciła w zamyśleniu Mary.

– Jestem gotowa – powiedziała Virginia. – Dobrze wyglądam?

– Bardzo ładnie – Mary pocałowała ją na pożegnanie.

– Zadzwońię do punktu naprawczego z biura – oznajmił Tim. Nagle zamilkł. W kuchennych drzwiach stał Earl. Był błydy i milczący, w jego oczach czaił się strach.

– Co się stało?

– Ja... ja wróciłem.

– Ale o co chodzi? Żle się poczułeś?

– Nie mogę iść do szkoły.

Wlepili w niego wzrok.

– Stało się coś złego? – Tim chwycił syna za rękę. – Dlaczego nie możesz iść do szkoły?

– Bo... bo oni mi nie pozwolą.

– Kto?

– Żołnierze.

Chłopiec zaczął mówić nieprzerwanie, był to jeden potok słów:

– Oni są wszędzie. Uzbrojeni żołnierze. Idą tutaj.

– Jak to idą? Tutaj? – powtórzył niczym echo całkiem oszołomiony Tim.

– Idą tu do nas i chcą... – przerażony Earl urwał w pół słowa.

Od strony ganku dobiegały czyjeś ciężkie kroki. Łomot do drzwi. Trzask pękającego drewna. Jakieś głosy.

– Mój Boże – krzyknęła Mary. – Co się tu dzieje, Tim?

Tim wszedł do dużego pokoju, czuł ucisk w klatce piersiowej, serce biło mu jak oszalałe. W drzwiach stało trzech mężczyzn. Ubrani byli w szarozielone mundury, dźwigali broń i skomplikowaną płataninę innego sprzętu. Jakieś rurki i gumowe węże. Liczniki podłączone do grubych przewodów. Nadajniki, skórzane paski i anteny. Wymyślne maski wciśnięte na głowę. Pod maskami Tim dostrzegł zmęczone, nie ogolone twarze i zaczerwienione oczy, które wpatrywały się w niego z wyrazem najwyższego niezadowolenia.

Jeden z żołnierzy gwałtownym ruchem uniósł broń do góry i wycelował prosto w brzuch McLeana, który przyglądał się temu w osłupieniu. Broń. Długa i cienka. Jak igła. Przyczepiona do zwojów rurek.

– Na miłość boską... – zaczął, ale żołnierz brutalnie mu przerwał.

– Kim jesteś? – Jego głos brzmiał szorstko i gardłowo. – Co tutaj robisz? – Był okropnie brudny. Zsunął maskę. Twarz miał dziobatą, ziemistą, poraną bliznami. Część zębów połamana, niektórych brakowało.

– Odpowiadaj! – rozkazał drugi żołnierz. – Co tutaj robisz?

– Pokaż nam swoją niebieską kartę – odezwał się trzeci. – Sprawdzimy, z jakiego jesteś Sektora. – Jego wzrok powędrował w stronę dzieci oraz Mary, stojących w milczeniu obok drzwi jadalni. Ze zdziwienia otworzył usta.

– Kobieta!

Trzech żołnierzy przyglądało się ze zdumieniem i niedowierzaniem.

– A to co, u diabła? – zapytał pierwszy z nich. – Od jakiego czasu ta kobieta tutaj przebywa?

Tim odzyskał głos. – To moja żona. O co wam chodzi? Czego...

– Twoja żona? – Żołnierze nie mogli uwierzyć.

– Moja żona i dzieci. Na litość boską...

– Twoja żona? I tutaj ją przyprowadziłeś? Chyba postradałeś rozum!

– To pewnie z powodu pylicy – powiedział jeden z nich. Opuścił pistolet i szybkim krokiem przeszedł przez duży pokój w kierunku Mary.

– Chodź, siostrze, pójdiesz z nami.

Tim rzucił się do przodu. Nagle poczuł potężne uderzenie. Upadł jak długi na podłogę. Zupełnie go zamroczyło. Dzwoniło mu w uszach. W głowie czuł pulsowanie. Wydawało mu się, że wszystko gdzieś odpływa. Jak przez mgłę widział przesuwające się kształty. Dobiegały go czyjeś głosy. Rozpoznał pokój. Próbował się skoncentrować.

Żołnierze odsunęli dzieci na bok. Jeden z nich chwycił Mary za ramię. Rozdarł jej sukienkę, obnażając ramiona. – O Jezu! – warknął. – Przyprowadził ją tutaj, a ona nie ma nawet numeru zaszeregowania.

– Zabierzcie ją stąd.

– Tak jest, kapitanie. – Żołnierz pociągnął Mary w kierunku drzwi wyjściowych. – Załatwimy wszystko jak należy.

– Dzieciaki też. – Kapitan skinął ręką na żołnierza, który stał po drugiej stronie pokoju i pilnował rodzeństwa.

– Wprowadźcie je stąd. Nic z tego nie rozumiem. Nie mają masek, dokumentów. Jakim cudem ten dom przetrzymał uderzenie? Przecież miniona noc była najgorsza ze wszystkich w ciągu kilku ostatnich miesięcy!

Pomimo bólu Tim za wszelką cenę starał się podnieść. Z ust ciekła mu krew. Widział wszystko niewyraźnie. Kurczowo trzymał się ściany. – Posłuchajcie – bełkotał. – Na miłość boską...

Kapitan zajrzał do kuchni.

– Czy to... czy to żywność? – Wolnym krokiem przemierzał jadalnię. – Spójrzcie no tylko!

Pozostali żołnierze poszli za nim, zapominając o Mary i dzieciach. Stali dookoła stołu, zupełnie oszołomieni.

– Popatrzcie na to!

– Kawa. – Jeden z żołnierzy chwycił dzbanek i łapczywie wychylił zawartość aż do dna. Zachłysnął się i czarny płyn poplamiał jego bluzę. – Jest gorąca. Jezus Maria! Gorąca kawa.

– Śmietana! – Inny żołnierz szarpnął za drzwi lodówki. – Mleko. Jajka. Masło. Mięso – wyliczał łamiącym się głosem. – Tu jest mnóstwo jedzenia.

Kapitan zniknął w spiżarni. Wyszedł stamtąd, taszcząc skrzynkę wyładowaną puszkami z groszkiem. – Weźcie również pozostałe. Zabierzcie wszystkie. Załadujemy je na węża.

Z trzaskiem postawił skrzynię na stole. Przyglądając się bacznie Timowi, zaczął przetrząsać kieszenie swojej brudnej bluzy, aż wydobyl papierosa. Zapalił go wolno, nie odrywając od McLeana oczu. – No dobra – powiedział. – Co takiego chciałeś nam wytłumaczyć?

Tim otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie przychodziły mu na myśl żadne słowa. W głowie miał pustkę. Jego mózg zupełnie się wyłączył. Nie był w stanie myśleć.

– To jedzenie. Gdzie je zdobyliście? No i te wszystkie rzeczy. – Kapitan wskazał ręką na przedmioty stanowiące wyposażenie kuchni. – Naczynia. Meble. Jakim cudem wasz dom nie został zburzony? Jak przeżyliście ostatni nocny atak?

– Ja... – wykrztusił Tim.

Kapitan zbliżył się do niego, co nie wróżyło nic dobrego. – Ta kobieta. Dzieci. Wy wszyscy. Co tutaj robicie? – Jego głos brzmiał twardo. – Lepiej będzie, jak zaczniesz śpiewać. Albo

powiesz, co tutaj robicie, albo was wszystkich puścimy z dymem, razem z tą cholerną budą.

Tim usiadł przy stole. Wziął głęboki oddech, próbując się skoncentrować. Wstrząsnął nim dreszcz. Całe ciało miał obolałe. Wylał krew z ust, trafiając językiem na wybity trzonowiec i pokruszone kawałki innego, kiwającego się zęba. Wyciągnął chusteczkę i wypluł w nią wszystko. Ręce mu drżały.

– No, mów wreszcie – przynaglił go kapitan.

Mary i dzieci wślizgnęli się do pokoju. Judy płakała. Virginia wciąż była w szoku, na wszystko zobojętniała. Earl wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w żołnierzy, twarz miał białą jak kreda.

– Tim – odezwała się Mary, kładąc rękę na jego ramieniu. – Dobrze się czujesz?

– Tak, nic mi nie jest – skinął głową.

Mary owinęła się sukienką. – To na pewno nie ujdzie im na sucho. Przecież lada chwila ktoś tutaj nadejdzie. Listonosz. Sąsiedzi. Oni nie mogą tak po prostu...

– Zamknij gębę – rzucił opryskliwie kapitan i ze zdziwienia zamrugnął oczami. – Listonosz? O czym ty w ogóle mówisz? – Wyciągnął rękę. – Pokaż nam swoją żółtą przepustkę, siostró.

– Żółtą przepustkę? – łamiącym głosem odezwała się Mary.

Kapitan potarł podbródek. – Brak żółtej karty. Brak masek. Brak dokumentów.

– To na pewno są ojrowcy – zadeklarował jeden z żołnierzy.

– Może tak. A może nie.

– To są ojrowcy, kapitanie. Lepiej zrobimy, puszczać ich z dymem. Nie możemy ryzykować.

– Tylko że coś mi tutaj nie gra. – Kapitan wyszarpnął spod bluzy i uniósł w górę niewielki nadajnik, który nosił zawieszony na szyi. – Ściągnę tutaj polika.

– Polika? – Żołnierzy przeszedł dreszcz. – Niech pan zaczeka, kapitanie. Sami to załatwimy. Lepiej go nie alarmować. Wyśle nas w rejon numer 4 i nigdy nie uda nam się...

Kapitan mówił już coś do aparatu. – Połączcie mnie z siecią B.

Tim spojrzał w górę na Mary. – Posłuchaj, kochanie. Ja...

– Macie być cicho. – Żołnierz dał mu kuksańca. Tim umilkł.

W nadajniku coś zatrzeszczało. – Tu sieć B, odbiór.

– Czy możecie dać mi jakiegoś polika? Natrafiliśmy na coś dziwnego. Grupa złożona z pięciu osób. Mężczyzna, kobieta, trójka dzieci. Bez masek, bez dokumentów, kobieta bez numeru zarezerwowania, dom zupełnie nietknięty. Meble, kompletne wyposażenie, około dwustu funtów żywności.

W aparacie na moment zapadła cisza. – Dobrze, wysyłamy do was polika. Zostańcie na miejscu. Nie pozwólcie im uciec.

– Nie ma obawy. – Kapitan wsunął nadajnik z powrotem pod koszulę. – Za moment

przybędzie tu polik. W tym czasie możemy załadować jedzenie.

Na zewnątrz słyhać było potworny ryk rozrywającego się pocisku. Cały dom zachwiał się w posadach. Naczynia w kredensie głośno zadzwoniły.

– Jezu! – powiedział któryś z żołnierzy. – Musiało rąbnąć gdzieś obok.

– Mam nadzieję, że ekrany ochronne wytrzymają przynajmniej do czasu, gdy zapadnie zmrok. – Kapitan schwycił skrzynkę z puszkami groszku i dźwignął ją do góry. – Zabierzcie pozostałe. Musimy to załadować, zanim pojawi się tu polik.

Dwaj żołnierze z rękami pełnymi jedzenia ruszyli za kapitanem w kierunku wyjścia. Ich głosy stawały się coraz słabiej słyszalne, w miarę jak oddalali się od domu.

Tim zerwał się na równe nogi.

– Zostańcie tutaj – powiedział niezbyt wyraźnie.

– Co zamierzasz zrobić? – z niepokojem dopytywała się Mary.

– Może uda mi się stąd wydostać. – Podbiegł do tylnego wyjścia i odsunął zasuwę. Nie mógł opanować drżenia rąk. Otworzył szeroko drzwi i wyszedł na werandę. – Nie widzę żadnego z nich. Gdybyśmy tylko...

Przerwał. Wokół niego przetaczały się tumany pyłu. Popiół szarawej barwy zbijał się w gęste kłęby i wypełniał całą przestrzeń, aż po horyzont. Rozróżnić można było tylko niewyraźne kształty. Wyszczerbione, nieme i zastygłe pośród wszechobecnej szarości.

Zgliszcza.

Zburzone budynki. Kupy gruzu. Ruiny. Wolno schodził po stopniach prowadzących do ogrodu. Betonowy chodnik gwałtownie się urywał. Dalej wszystko zavalone było żużlem i stertami gruzu. Poza tym, gdzie tylko spojrzeć – zupełna pustka.

Nic nie drgnęło. Żadnych oznak życia pośród szarości i ciszy. Całkowity zastój. Nic poza dryfującymi chmurami popiołu. Żużel i nie kończące się hałdy gruzu.

Miasto zniknęło. Ani śladu ludzi. Żadnego życia. Poszarpane, ziejące pustką mury. Kilka ciemnych chwastów rosnących na zgliszczach. Tim pochylił się nad nimi. Dotknął szorstkich, zgrubiałych łodyg. No i ten metaliczny żużel dookoła. Powstał pod wpływem działania wysokich temperatur. Był to roztopiony metal. Tim wyprostował się...

– Wracaj do środka – usłyszał czyjś zdecydowany głos.

Odwrócił się cały zeszywniały. Z tyłu, na werandzie, z rękami wspartymi na biodrach, stał jakiś niewysoki mężczyzna. W jego zapadniętej twarzy błyszczały małe, czarne jak węgiel oczy. Ubrany był w mundur, którego krój różnił się od tego, jaki nosili żołnierze. Zsunięta maska odsłaniała twarz człowieka chorego, wyniszczonego gorączką i ciągłym zmęczeniem. Jego skóra przybrała żółtawy odcień, lekko się świeciła i ciasno opinała kości policzkowe.

– Kim pan jest? – zapytał Tim.

– Nazywam się Douglas. Jestem komisarzem politycznym.

– To znaczy, że... że jest pan z policji – upewniał się Tim.

– Zgadza się. A teraz proszę do środka. Mam nadzieję, że uzyskam jakieś informacje. Muszę zadać kilka pytań. Po pierwsze chciałbym wiedzieć, jakim cudem wasz dom ocalał z pożogi.

Tim, Mary i dzieci usiedli na kanapie w całkowitym bezruchu, pogrążeni w milczeniu. Ich twarze pod wpływem szoku zupełnie zobojętniały, nie wyrażały niczego.

– No? – czekał komisarz.

Nagle Tim odzyskał głos.

– Niech pan posłucha – zaczął. – Zupełnie nie wiem, co się mogło stać. Nic z tego nie rozumiem. Obudziliśmy się dzisiaj rano tak jak zwykle. Ubraliśmy się, zjedliśmy śniadanie...

– Wyrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy, że wszystko było spowite mgłą – włączyła się Virginia.

– No i przestało działać radio – odezwał się Earl.

– Radio? – Na wychudzonej twarzy Douglasa pojawił się grymas niedowierzania. – Nie działa już przecież od wielu miesięcy. Chyba że na specjalne zlecenie rządu. Ten dom. Wy wszyscy. Czegoś tu nie rozumiem. Gdybyście byli ojrowcami...

– Kto to są ci ojrowcy? – wymamrotała Mary.

– Sowieckie operacyjne jednostki rozpoznania ogólnego.

– A więc doszło do wojny?

– Ameryka Północna została zaatakowana dwa lata temu, w 1978 roku – oznajmił Douglas.

Tim poczuł, że robi mu się słabo. – W 1978. W takim razie teraz musi być rok 1980. Nagle sięgnął ręką do kieszeni. Wyciągnął stamtąd portfel i rzucił go Douglasowi. – Niech pan sam zobaczy.

Douglas podejrzliwie przyjrzał się portfelowi i zajrzał do środka. – A czego właściwie mam szukać?

– Proszę zerknąć na kartę biblioteczną. Są tam również pokwitowania za paczki. Niech pan rzuci okiem na daty. – Tim zwrócił się do Mary. – Teraz zaczynam rozumieć. Przyszło mi coś do głowy, kiedy zobaczyłem te zgliszczą.

– Czy to my wygrywamy? – zapytał piskliwym głosem Earl.

Douglas dokładnie zbadał zawartość portfela.

– To bardzo ciekawe – oznajmił. – Wszystkie te dokumenty są stare. Pochodzą sprzed siedmiu, ośmiu lat. – Zamrugnął oczami. – Co próbujecie mi wmówić? Że przybyliście z przeszłości? Podrózujecie w czasie?

Do mieszkania powrócił kapitan.

– Melduję, że załadowaliśmy wszystko na węża.

Douglas skinął głową, nie wdając się w zbytnie ceregiele. – Ty i twój patrol możecie ruszać

w drogę.

Kapitan spojrział na Tima. – Czy da pan sobie...

– Sam to z nimi załatwię.

Kapitan zasalutował.

– Odmeldowuję się – powiedział, po czym szybko zniknął za drzwiami. Gdy znalazł się na zewnątrz, on i jego ludzie wskoczyli do długiej, wąskiej ciężarówki, która z wyglądu przypominała rurę osadzoną na gąsienicach. Silnik cicho zaszumiał i pojazd ruszył do przodu.

Chwilę potem widać było jedynie kłęby szarego popiołu, a w oddali majaczyły wyszczerbione sylwetki walących się budynków.

Douglas chodził tam i z powrotem po dużym pokoju, sprawdzał tapety, instalacje elektryczne oraz krzesła. Podniósł kilka czasopism i przekartkował je.

– Są dosyć stare, ale nie pochodzą z jakichś zamierzchłych czasów.

– Sprzed siedmiu lat?

– Mniej więcej. Myślę, że tak. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wydarzyło się naprawdę sporo. Podróże w czasie. – Douglas wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu. – Nie najlepszy moment pan wybrał, McLean. Powinniście wysiąść nieco dalej.

– To nie był mój wybór. Wszystko dokonało się samorzutnie. Zupełny przypadek.

– Musieliście mieć w tym jakiś udział.

Tim pokręcił głową.

– Nie, żadnego. Wstaliśmy rano z łóżek i okazało się, że jesteśmy... tutaj.

Douglas głęboko się zamyślił.

– Tutaj, a więc o siedem lat do przodu. Przenieśliście się w przyszłość. Nic nie wiemy na temat podróżowania w czasie. Nikt nie prowadził tego rodzaju badań. Wydaje się jednak, że mogłoby to znaleźć sporo zastosowań w armii.

– W jaki sposób doszło do wojny? – zapytała cicho Mary.

– Jak się zaczęła? W ogóle się nie zaczęła. Przecież pamiętacie. Siedem lat temu wojna już się toczyła.

– Tak, ale chodzi mi o prawdziwą wojnę. Taką jak ta.

– Nie da się wskazać momentu, który można by uznać za początek... tego. Walki trwały w Korei, Chinach, w Niemczech, Jugosławii oraz w Iranie. Konflikty zaczęły narastać, wojna rozprzestrzeniała się na coraz to większy obszar. W końcu bomby zaczęły spadać także tutaj. To było jak plaga. Wojna ciągle się rozszerzała, chociaż tak naprawdę nigdy się nie zaczęła. – Nagle odłożył swój notatnik. – Gdybym napisał o was w raporcie, na pewno wzbudziłoby to podejrzenia. Pomyśleliby, że cierpię na jakieś zaburzenia spowodowane pylicą radiacyjną.

– A co to takiego ta pylica? – zapytała Virginia.

– Radioaktywne cząsteczki w powietrzu. Przedostają się do mózgu i wywołują chorobę

umysłową. W pewnym stopniu każdy z nas jest tym dotknięty, pomimo iż nosimy maski.

– Ja to bym chciał wiedzieć, kto wygrywa – powtórzył z uporem Earl. – A ten pojazd na zewnątrz, co to było? Ta ciężarówka. Czy ona ma napęd rakietowy?

– Wąż? Nie. Jedynie turbinowy. Ma za to specjalny dziób przystosowany do drażenia korytarzy. Wąż potrafi się przebijać przez sterty gruzu.

– Siedem lat – powtórzyła Mary. – I takie szalone zmiany. Wydaje się, że to zupełnie nieprawdopodobne.

– Szalone zmiany? – Douglas wzruszył ramionami. – Może i tak. Pamiętam, co robiłem siedem lat temu. Byłem jeszcze studentem. Uczyłem się. Miałem własne mieszkanie i samochód. Chodziłem potańczyć. Kupiłem sobie telewizor. Ale to zaczęło się już wtedy. Zmierzch. To tutaj. Tylko że wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nikt z nas nie był do końca świadomy. Oni jednak już działali.

– A więc jest pan komisarzem politycznym? – zapytał Tim.

– Sprawuję nadzór nad wojskiem. Pilnuję, czy nie dochodzi do wypaczeń natury politycznej. Gdy prowadzi się wojnę totalną, ludzi trzeba poddawać bezustannej inwigilacji. Wystarczyłoby, żeby do sieci dostał się jeden komuch i wszystko mogłoby się rozlecieć. Nie możemy sobie pozwolić na podobne ryzyko.

Tim pokiwał głową. – Tak. To rzeczywiście zaczęło się już wtedy. Zmierzch. Tyle że my o tym nie wiedzieliśmy.

Douglas uważnie przyjrzał się bibliotecze. – Kilka z nich wezmę ze sobą. Od miesiący nie widziałem niczego wartego przeczytania. Większość książek przepadła. Zostały spalone w 1977.

– Spalone?

Douglas wyciągał z półki kolejne tomy: Shakespeare, Milton, Dryden.

– Zabiorę całą tę klasykę. To nie jest aż takie ryzykowne. Żaden tam Steinbeck czy Dos Passos. Nawet polik mógłby popaść w kłopoty. Jeżeli zdecydujecie się tu zostać, lepiej pozbądźcie się tego. – Postukał palcem w *Braci Karamazow* Dostojewskiego.

– Jeżeli zdecydujemy się zostać?! A co innego możemy zrobić?

– Chcecie tu zostać?

– Nie – odpowiedziała cicho Mary.

Douglas posłał jej krótkie spojrzenie. – No właśnie. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Jeżeli nie opuścicie tego miejsca, na pewno was rozdziela. Dzieci trafią do Kanadyjskich Ośrodków Przesiedleńczych. Kobiety są umieszczane w obozach pracy – podziemnych fabrykach. Wszystkich mężczyzn automatycznie wcielają do armii.

– To samo spotkało tych, którzy przed chwilą odjechali? – upewniał się Tim.

– No, chyba że komuś uda się dostać kategorię pp.

– Co to znaczy?

– Projektowanie Przemysłowe i Nowe Technologie. Jakie ma pan wykształcenie? Nauki ścisłe?

– Nie. Księgowość.

Douglas wzruszył ramionami. – No cóż, poddadzą pana standardowym testom. Jeżeli pański iloraz inteligencji będzie wystarczająco wysoki, być może dostanie się pan do Służby Politycznej. Potrzebujemy mnóstwa ludzi. – Przerwał na chwilę i zamyślił się. Cały obładowany był książkami. – Lepiej będzie dla was wszystkich, McLean, jeżeli zdecydujecie się wrócić. Byłoby wam ciężko przyzwyczać się do nowych warunków. Gdybym tylko mógł, również bym wrócił. Niestety, nie mogę.

– Wrócić? – powtórzyła za nim Mary. – Ale jak?

– Tą samą drogą, którą przybyliście.

– Nie wiemy jak. Po prostu znaleźliśmy się tutaj, i już.

Douglas zatrzymał się w drzwiach frontowych.

– Atak psr-ów, do którego doszło ubiegłej nocy, był najgorszy ze wszystkich. Cały ten teren znalazł się pod ostrzałem.

– Psr-y? Co to takiego?

– Pociski sterowane przez roboty. Sowietci systematycznie przypuszczają atak na kontynentalną Amerykę, niszcząc ją kawałek po kawałku. Psr-y są tanie. Produkują ich miliony i wystrzeliwiają. Cały proces odbywa się automatycznie. Fabryki robotów bezustannie wypuszczają w naszym kierunku nowe pociski. Ubiegłej nocy fala ognia zalała właśnie ten teren – był to zmasowany atak. Gdy rano przybył tutaj patrol, nie pozostało absolutnie nic. Poza wami, oczywiście.

Tim wolno skinął głową.

– Zaczynam rozumieć.

– Uderzenie skoncentrowanej energii musiało naruszyć struktury czasu i spowodowało ich dyslokację. Podobnie jak w przypadku tworzenia się uskoków tektonicznych. Sami jesteście winni temu, że ciągle dochodzi do trzęsień ziemi. Ale żeby wstrząsy doprowadziły do rozerwania struktur czasu u... Interesujące. Przypuszczam, że właśnie coś takiego nastąpiło. Uwolniona energia spowodowała destrukcję materii i przy okazji pociągnęła was za sobą w przyszłość. Zostaliście przez nią wessani. Przenieśliście się w czasie o siedem lat do przodu. Wszystko, co tu widzicie, ta ulica, to miejsce, w którym teraz jesteście, uległo pulweryzacji. Wasz dom, ten sprzed siedmiu lat, znalazł się w zasięgu powracającej fali uderzeniowej. Podmuch najprawdopodobniej porwał was ze sobą i przemieścił w czasie.

– Zostaliśmy wessani przez przyszłość – powtórzył Tim. – W nocy. W czasie snu.

Douglas uważnie mu się przyjrzał.

– Dziś w nocy – powiedział – dojdzie do kolejnego ataku przy użyciu psr-ów. Dopełni on

działa zniszczenia. – Spojrzał na zegarek. – W tej chwili jest czwarta po południu. Atak rozpocznie się za kilka godzin. Powinniście zejść do schronu. Tutaj, na powierzchni, nic nie ocaleje. Możecie się ze mną zabrać, jeśli chcecie. Jeżeli jednak zdecydujecie się podjąć ryzyko...

– Myśli pan, że możemy zostać wrzuceni z powrotem w nasz czas?

– To całkiem prawdopodobne. Nie mam jednak pewności. Przedsięwzięcie jest ryzykowne. Może uda się wam wrócić do czasu, z którego zostaliście wyrwani, a może nie. Jeśli wam się nie poszczęści...

– Wówczas nie będziemy mieli żadnych szans na przeżycie.

Douglas wyszarpnął z kieszeni mapę i rozłożył ją na kanapie.

– Patrol będzie na tym terenie jeszcze przez pół godziny. Jeżeli zdecydujecie się zejść z nami do schronu, musicie iść tą ulicą. – Przejechał palcem po mapie. – Dotrzecie do pustego placu. Ten patrol podlega pod pion polityczny. Oni poprowadzą was dalej w głąb. Jak sądzicie, traficie do tego miejsca?

– Myślę, że tak – powiedział Tim, studiując mapę. Wykrzywił usta. – Na tym placu stała kiedyś szkoła, do której chodziły moje dzieci. Właśnie zbierały się do wyjścia, gdy zatrzymali ich żołnierze. Było to całkiem niedawno, niemalże przed chwilą.

– Siedem lat temu – poprawił go Douglas. Złożył mapę i wsadził ją na powrót do kieszeni. Nałożył na twarz maskę i wyszedł przez drzwi frontowe na ganek. – Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. Decyzja należy do was. W każdym razie, życzę powodzenia.

Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z domu.

– Tato! – krzyknął Earl. – Czy wstąpisz do armii? Będziesz nosił maskę i strzelał z tej ich broni? – W jego oczach widać było podekscytowanie. – Będziesz kierował wężem?

Tim McLean kucnął i przyciągnął do siebie syna. – Chciałbyś, żeby tak właśnie było? Chcesz tu zostać? Jeżeli mam nosić maskę i strzelać z tej broni, nie możemy wracać.

Chłopiec zawahał się. – Czy nie moglibyśmy wrócić trochę później?

Tim pokręcił głową. – Niestety, nie. Musimy zdecydować teraz, czy chcemy wracać, czy nie.

– Chyba słyszałeś, co powiedział pan Douglas – z urazą w głosie odezwała się Virginia. – Atak rozpocznie się za kilka godzin.

Firm wyprostował się, zaczął przemierzać pokój.

– Jeżeli zostaniemy teraz w domu, porozrywa nas na kawałki. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć. Szansa na powrót do czasu, z którego zostaliśmy wyrwani, jest bardzo niska. To zaledwie cień szansy – ogromne ryzyko. Czy rzeczywiście chcemy tu zostać i przyglądać się, jak spadają na nas psr-y, wiedzieć, że w każdej chwili może nastąpić koniec... słyszeć, jak nadciąga nawałnica, pociski spadają coraz bliżej – leżeć na podłodze, czekać i nasłuchiwać...

– Czy ty aby chcesz wracać? – dopytywała się Mary.

– Naturalnie, tylko że ryzyko...

– Nie pytam cię o ryzyko, pytam cię, czy naprawdę jesteś zdecydowany wracać. Może wolałbyś zostać tutaj? Może Earl ma rację? Nosiłbyś mundur i maskę, chodziłbyś z tą cienką, podobną do igły bronią. Kierowałbyś wężem.

– No tak, a ty trafiłabyś do obozu pracy, do fabryki! Dzieci do Rządowego Ośrodka dla Przesiedleńców! Wyobrażasz sobie coś takiego? Jak sądzisz, czego by ich tam nauczylili? Na jakich ludzi by wyrosli? W co by wierzyli...

– Pewnie nauczylili by ich, jak być użytecznymi.

– Użytecznymi? Dla kogo? Dla siebie? Dla ludzkości? A może dla samej wojny...?

– Przynajmniej by przeżyły – powiedziała Mary. – Byłyby bezpieczne. Jeżeli jednak zostaniemy w domu i będziemy czekać, aż nadejdzie atak...

– Jasne – zdenerwował się Tim. – Pozostaną przy życiu. Najprawdopodobniej będą w miarę zdrowe. Dobrze ubrane, odżywione i zadbane. – Przyjrzał się uważnie dzieciom, jego twarz nagle stężała. – Rzeczywiście, miałyby szansę przetrwać. Mogłyby spokojnie dorastać, aż stałyby się dorosłymi. Ale cóż to byliby za ludzie? Słyszałaś, co ten człowiek powiedział! W 1977 spalono wszystkie książki. Z czego by się uczyły? Jakie idee mogły jeszcze przetrwać po 1977 roku? Jakie przekonania zostaną im wpojone, gdy znajdą się w Rządowym Ośrodku dla Przesiedleńców? Jakim wartościom będą hołdować?

– Jest jeszcze ta kategoria pp – przypomniała Mary.

– Projektowanie Przemysłowe i Nowe Technologie. Dla wybitnie inteligentnych. Tych najbardziej uzdolnionych, z dużą dozą wyobraźni. Suwak logarytmiczny i ołówek, w ciągłym użytkowaniu. Rysowanie, planowanie i dokonywanie odkryć. Dziewczynki też miałyby swoją szansę. Mogłyby opracowywać nowe prototypy uzbrojenia. Earl spróbowałby swoich sił w Służbie Politycznej. Mógłby kontrolować, czy broń faktycznie zastosowano. Jeżeli jacyś żołnierze sprzeniewierzyliby się sprawie i nie chcieli strzelać, Earl mógłby na nich donieść i sprawić, by zostali poddani reedukacji. Po to, by wzmocnić ich polityczne przekonania – w świecie, gdzie jednostki myślące projektują broń, a te, które utraciły zdolność myślenia – robią z niej użytek.

– Dzieci miałyby przynajmniej szansę przetrwać – z uporem powtórzyła swoje Mary.

– Masz dziwne pojęcie na temat życia! Czy, twoim zdaniem, to w ogóle byłoby życie! Może i tak. – Tim pokręcił głową, okazując znużenie. – Może racja leży po twojej stronie i powinniśmy pójść za Douglasem, zejść do schronu. Zostać w tym świecie. Przetrwać.

– Tego nie powiedziałam – odezwała się cicho Mary. – Ja po prostu chciałam sprawdzić, czy ty rzeczywiście jesteś przekonany, że warto spróbować. Zostać we własnym domu, na powierzchni, ryzykując, że nie przeniesiemy się z powrotem w swój czas.

– A więc chcesz jednak podjąć to ryzyko?

– Oczywiście! Musimy dać sobie szansę. Przecież nie możemy powierzyć im dzieci –

zezwoić na umieszczenie ich w Ośrodku dla Przesiedleńców. Po to, żeby nauczyły się nienawidzić, zabijać i niszczyć. – Na twarzy Mary pojawił się nikły uśmiech. – W końcu do tej pory zawsze chodziły na zajęcia do Jefferson School. A tutaj, w tym świecie, w miejscu gdzie była szkoła, jest tylko pusty plac.

– Czy to znaczy, że będziemy wracać? – zapiszczała Judy. Chwyciła ojca błagalnie za rękaw i powtórzyła: – Czy będziemy już wracać?

Tim delikatnie uwolnił ramię z uścisku. – Niedługo, kochanie – powiedział.

Mary otworzyła szafki kuchenne i zaczęła je przetrząsać. – Wszystko zostało. Co w takim razie żołnierze zabrali ze sobą?

– Skrzynkę z puszkami groszku. Całą zawartość lodówki. No i rozwalili drzwi frontowe.

– Mogę się założyć, że to my jesteśmy górą i dajemy im tęgiego łupnia! – krzyknął Earl. Podbiegł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Znajomy widok unoszącego się w powietrzu pyłu bardzo go rozczarował. – Nic nie widać! Wciąż tylko ta mgła! – Odwrócił się, posyłając ojcu pytające spojrzenie. – Czy tutaj zawsze tak wygląda?

– Tak – odpowiedział Tim.

Chłopcu zrzedła mina. – Tylko ta mgła? Nic więcej? Czy nigdy nie świeci słońce?

– Zrobię kawę – zaproponowała Mary.

– Dobry pomysł. – Tim poszedł do łazienki i przyjrzał się w lustrze swojej twarzy. Miał rozcięte usta, oblepione kroplami zakrzepłej krwi. Bolała go głowa. Odczuwał mdłości.

– To wszystko wygląda zupełnie nierealnie – powiedziała Mary, gdy zasiedli wspólnie przy kuchennym stole.

– Rzeczywiście – przytaknął Tim, popijając kawę. Z miejsca, w którym siedział, mógł obserwować, co dzieje się za oknem. Chmury popiołu. Majaczące w oddali, poszarpane kontury na wpół zburzonych budynków.

– Czy ten pan jeszcze tu wróci? – trajkotała Judy. – Był taki chudy i śmiesznie wyglądał. On już tu nie wróci, prawda?

Tim spojrzął na zegarek. Wskazywał dziesiątą. Ustawił go na nowo, przestawiając wskazówki na godzinę czwartą piętnaście. – Douglas mówił, że atak rozpocznie się z nadejściem nocy. To już niedługo.

– A więc naprawdę zostajemy w domu – powiedziała Mary.

– Tak.

– Mimo że istnieje tylko mała szansa?

– Mimo iż naszą szansę na powrót są naprawdę niewielkie. Jesteś zadowolona?

– Tak, Tim – odparła Mary. Spojrzenie miała jasne i pogodne. – Warto spróbować. Wiesz, że warto. Trzeba wykorzystać choćby najmniejszą szansę. Żeby móc wrócić. I jeszcze coś. Tu, w domu, będziemy wszyscy razem... Nie pozwolimy, żeby nas rozdzielili.

Tim dolał jeszcze kawy. – Powinniśmy ten czas jakoś sobie uprzyjemnić i spędzić go tak miło, jak się da. Nie mamy nic do stracenia. I tak do momentu ataku pozostało jeszcze około trzech godzin.

O szóstej trzydzieści spadły pierwsze psr-y. Poczuli wstrząs, nad domem przetoczyła się potężna fala uderzeniowa.

Judy przybiegła z jadalni. Na jej pobladłej twarzy malował się strach. – Tatusiu! Co się dzieje!

– Nic takiego, kochanie. Nie martw się.

– Wracaj – krzyczała za nią zniecierpliwiona Virginia. – Teraz twoja kolej. – Siostry grały razem w Monopol.

Earl poderwał się. – Chcę to zobaczyć. – Rozgorączkowany podbiegł do okna. – O, widać, w co trafili.

Tim podciągnął roletę. W oddali unosił się biały, oślepiający słup światła, które płonęło niespokojnym rytmem. Z kolumny ognia wydobywał się gęsty dym.

Drugi wstrząs targnął całym domem. Jedno z naczyń spadło z półki do zlewozmywaka i rozbiło się.

Na zewnątrz było już prawie zupełnie ciemno. Tim niczego nie dostrzegał, poza dwoma białymi słupami ognia. Kłęby popiołu tonęły w mroku. Podobnie zresztą jak i poszarpane krawędzie rozsypujących się budynków.

– Ten drugi pocisk spadł gdzieś bliżej – stwierdziła Mary.

Trzeci psr. Wysadziło okna w dużym pokoju. Na dywan spadły odłamki potłuczonego szkła.

– Lepiej stąd uciekajmy – powiedział Tim.

– Dokąd?

– Do piwnicy. Chodźcie. – Otworzył drzwi i zdenerwowani zaczęli zbiegać na dół.

– A co z jedzeniem? – zapytała Mary. – Powinniśmy zabrać ze sobą to, co zostało.

– Rzeczywiście, masz rację. Dzieci, idźcie na dół, a ja i mama za chwilę do was dołączymy.

– Ja też mogę coś przynieść – zaproponował Earl.

– Natychmiast zejść na dół. – Uderzył czwarty psr, nieco dalej od domu niż poprzedni. – Trzymajcie się z dala od okien.

– Zasłonię je czymś – oznajmił Earl. – Wezmę ten duży kawałek sklejki, którego używaliśmy przy zabawach kolejką.

– Dobry pomysł. – Tim i Mary wrócili do kuchni. – Mamy jedzenie, naczynia, co jeszcze by się przydało?

– Książki. – Mary rozejrzała się nerwowo dookoła. – Nie mam pojęcia. Chyba nic więcej nam nie trzeba. Chodź już.

Rozdzierający ryk zagłuszył jej ostatnie słowa. Wyleciało okno w kuchni, obsypując ich

odłamkami szkła. Naczynia stojące na suszarce nad zlewozmywakiem gruchnęły na dół, niczym rwący potok niosący kawałki potłuczonej porcelany. Tim chwycił Mary w pól i pociągnął na ziemię. Przez rozbite okno do środka wdzierały się szare, złowróżbne opary. W wieczornym powietrzu rozchodził się kwaśny, nieprzyjemny odór. Tim wzdrygnął się.

– Mniejsza o jedzenie. Schodzimy na dół.

– Ale...

– Za późno. – Chwycił Mary i poprowadził za sobą do piwnicy. Przewrócili się i spadli na dół. Tim zatrzasnął drzwi.

– A gdzie macie jedzenie? – dopytywała się natarczywie Virginia.

Tim wytarł czoło. Drżały mu ręce. – Nieważne. Nie musimy niczego jeść.

– Nie mogę sobie poradzić – wystękał Earl. Tim pomógł mu umieścić w oknie płytę zrobioną ze sklejki. Umocował ją ponad pojemnikami na pranie. W piwnicy panowała cisza i było dość zimno. Od betonowej podłogi ciągnęło wilgocią. Jednocześnie eksplodowały dwa psr-y. Tima rzuciło na podłogę. Uderzył ciałem o beton i jęknął. Przez moment leżał zupełnie zamroczony. Chwilę potem dźwignął się na klęczki i po omacku wstawał.

– Czy nikomu nic się nie stało? – zamruczał.

– Nic mi nie jest – odezwała się Mary. Judy zaczęła żałośnie zawodzić. Earl, posuwając się trochę na oślep, ruszył w ich stronę.

– Mnie także nic nie jest – oznajmiła Virginia. – Tak mi się przynajmniej zdaje.

Światło migotało i co chwilę przygasało. Nagle zupełnie zgasło. W piwnicy zapadły kompletne ciemności.

– No cóż – powiedział Tim – zaczęło się na dobre.

– Mam ze sobą latarkę – Earl włączył ją. – No i jak?

– Nie najgorzej – odparł Tim.

Kolejny atak psr-ów. Czuli, jak ziemia pod nimi zaczyna drżeć, poszczególne wstrząsy sprawiały, iż wszystko poczęło falować. Uderzenie było tak potężne, że dom zatrząsł się w posadach.

– Chyba powinniśmy położyć się na podłodze – powiedziała Mary.

– Masz rację, tak będzie bezpieczniej. – Tim nieporadnie rozciągnął się na ziemi. Od ścian oderwało się kilka płatów tynku.

– Kiedy to się skończy? – zapytał zaniepokojony Earl.

– Już niedługo – odparł Tim.

– I wtedy wrócimy?

– Tak. Wrócimy.

Następny wybuch nastąpił zaraz po poprzednich. Tim poczuł, że beton, na którym leżał, wypiętrza się. Wybrzuszał się i unosił. Również on sam wędrował do góry. Zamknął oczy

i przywarł do podłoża. Pęczniejący beton unosił go coraz to wyżej i wyżej. Dookoła zaczęły pękać belki i dźwigary. Tynk odpadał już całymi płatami. Słychać było brzęk tłukącego się szkła. Z daleka dobiegał trzask palącego się ognia.

– Tim – wyszeptała Mary.

– Tak?

– Chyba... nie damy rady.

– Nie wiadomo.

– Nie uda nam się. Czuję to.

– Może i nie. – Jęknął z bólu, gdy jedna z desek uderzyła go w plecy. Tynk i spadające z góry deski grzebały go pod sobą. W nocnym powietrzu unosił się zapach popiołu. Przenikał do wnętrza piwnicy przez rozbite okno.

– Tatusiu – cichutko powiedziała Judy.

– Słucham?

– Czy my już nie wrócimy?

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć. Rozdzierający ryk przeszył powietrze, zagłuszając jego słowa. Szarpnęło nim i cisnęło o ziemię. Wszystko wokół zaczęło wirować. Potężny podmuch targnął nim, smagał i szarpał. Tim opierał się ze wszystkich sił. Fala rozgrzanego powietrza nie dawała jednak za wygraną, pociągając go za sobą. Krzyknął z bólu, gdy powiew gorąca przeszedł mu po twarzy i rękach.

– Mary...

Wszędzie wokół panowały ciemności i absolutna cisza. Samochody. Usłyszał pisk hamulców. Jakieś rozmowy. Odgłos czyichś kroków. Tim poruszył się pod deskami, usiłując się spod nich wydobyć i podnieść.

– Mary. – Rozejrzał się dookoła. – Wróciliśmy.

Piwnica została niemal doszczętnie zniszczona. Mury popękały, ściany powybrzuszały się. Przez olbrzymie, ziejące pustką dziury prześwitywała zielona trawa. Dostrzegł znajomy betonowy chodnik i różany ogródek. Otynkowany na biało dom sąsiadów. Druty telefoniczne. Dachy. Domy. Miasto. Takie samo jak zawsze. Każdego ranka.

– Wróciliśmy! – Poczul, że ogarnia go szalona radość. Wrócili. Są bezpieczni. Było po wszystkim. Tim wydostał się prędko spod sterty gruzów, w którą zamienił się ich dom.

– Mary, wszystko w porządku?

– Jestem tutaj. – Usiadła, sypał się z niej pył. Włosy, skórę i ubranie miała zupełnie białe. Na twarzy widniały liczne skaleczenia i zadrapania. Sukienka była rozdarta.

– Czy my naprawdę wróciliśmy?

– Panie McLean! Co z panem?

Policjant ubrany w granatowy mundur wskoczył do piwnicy. Za nim podążyły dwie osoby

w białych kitlach. Na zewnątrz zebrała się spora grupka sąsiadów, którzy z niepokojem zaglądali do środka.

– Nic mi nie jest – oświadczył Tim. Pomógł Judy i Virginii wstać. – Myślę, że nikomu z nas nic się nie stało.

– Co tu właściwie zaszło? – Policjant przerzucił deski na bok, podchodząc bliżej. – Czy to mógł być wybuch bomby?

– Dom został prawie doszczętnie zniszczony – oznajmił jeden z ubranych na biało lekarzy. – Jest pan pewien, że nikomu nic się nie stało?

– Wszyscy siedzieliśmy tu na dole.

– Co z tobą, Tim! – zawołała pani Hendricks, ostrożnie schodząc do piwnicy.

– Co się stało? – krzyknął Frank Foley, skacząc w dół. – Mój Boże, Tim! Coś ty, u diaska, tam robił?

Dwóch lekarzy ostrożnie przeszukiwało ruiny. – Miał pan cholerne szczęście. Niesamowite. Na górze nie zostało nic.

Foley podszedł bliżej do Tima. – Ażeby cię, chłopie! Przecież mówiłem, że trzeba kogoś wezwać do tego kotła!

– Co takiego? – wymamrotał Tim.

– Podgrzewacz do wody! Mówiłem ci, że coś jest nie tak z wyłącznikiem. Piec musiał grać wodę bez końca, bo nie mógł się wyłączyć... – Foley nerwowo zamrugał oczami. – Ale nie martw się. Ja nic nie powiem. Wiesz, chodzi o ubezpieczenie. Możesz mi zaufać.

Tim otworzył usta. Słowa uwięzły mu jednak w gardle. Cóż miał mu odpowiedzieć? Nie, to nie była sprawa uszkodzonego bojlera, którego zapomniał oddać do naprawy. Nie chodziło też o żadną wadliwą instalację w piecu. Nic z tych rzeczy. Nie był to też wyciek gazu ani wtyczka grzejnika pozostawiona w sieci, ani żaden szybkowar, którego ktoś zapomniał wyłączyć na czas.

Wszystkiemu winna była wojna. Wojna totalna. Wojna, która nie była tylko sprawą moją lub mojej rodziny. Nie chodziło tylko o mój dom. Także o twój. Twój, mój i wszystkie inne. Tutaj i kilka przecznic dalej, w sąsiednim mieście, kraju i na innym kontynencie. Miała ogarnąć cały świat. Wszędzie tylko ruiny. Mgła i nędzne chwasty porastające hałdy skorodowanego, metalicznego żużlu. Wojna groziła nam wszystkim. Wszystkim, którzy teraz tłoczyli się wokół piwnicy, mieli pobladłe, przerażone twarze i w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób przeczuwali nadejście czegoś strasznego. Kiedy to zło nastąpi, za jakieś pięć lat, nie będzie już dokąd uciekać. Nie będzie powrotu do przeszłości. Gdy to się już stanie, wszyscy utkną tam na wieczność, nikomu nie uda się uciec, tak jak jemu.

Mary przyglądała mu się z uwagą. Policjant, sąsiedzi, lekarze spoglądali w jego stronę. Czekali, aż im wytłumaczy. Wyjaśni, co właściwie się stało.

– Czy winien był ten kocioł? – nieśmiało zapytała pani Hendricks. – To pewnie z tego

powodu nastąpił wybuch, prawda? Takie rzeczy się zdarzają. Nie można być pewnym...

– A może Tim zabawił się w bimbrownika – odezwał się ktoś inny, nieśmiało próbując rozładować atmosferę. – Co ty na to, Tim?

Nie mógł im powiedzieć. I tak by nie zrozumieli, bo nie chcieli rozumieć. Nie chcieli wiedzieć. Potrzebowali, by ktoś dodał im otuchy, uspokoił. Widział to w ich oczach. Żałosny, budzący współczucie strach. Wyczuwali coś, co napawało ich lękiem – bali się. Zaglądali mu w twarz, szukając w niej ratunku. Czekali na słowa pocieszenia. Słowa, które pomogą im zdławić to niepokojące uczucie.

– Tak – zdecydowanym głosem odezwał się Tim. – To na pewno był ten kocioł.

– Właśnie tak przypuszczałem! – odetchnął Foley. Tłum poruszył się, wszyscy poczuli ulgę. Tu i ówdzie słychać było pomrukiwania, nerwowy śmiech. Niektórzy kiwali ze zrozumieniem głowami, uśmiechali się.

– Powinienem go dawno oddać do naprawy, przed rozregulowaniem – mówił dalej Tim. Rozejrzał się dookoła. Przebiegł wzrokiem po zatroskanych twarzach ludzi, uważnie wsłuchujących się w każde jego słowo. – Powinienem być oddać go do naprawy. Zanim zrobiło się za późno.

Miniaturowe miasto

Verne Haskel wszedł wolnym, ociężałym krokiem na stopnie prowadzące do domu, płaszcz ciągnął się za nim po schodach. Haskel był zmęczony. Zmęczony i zniechęcony. Bolały go nogi.

– Mój Boże! – krzyknęła Madge, gdy zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz i kapelusz. – Tak prędko w domu?

Haskel cisnął w kąt aktówkę i zaczął rozwiązywać buty. Ciało miał zwiotczałe. Twarz poszarzała i ściągnięta.

– Powiedz coś!

– Jest obiad?

– Nie, jeszcze nie ma. Co się znowu stało? Kolejna utarczka z Larsonem?

Haskel, ciężko stąpając, udał się do kuchni i napełnił szklanek ciepłą wodą z dodatkiem sody.

– Wyprowadźmy się stąd – powiedział.

– Chcesz się wyprowadzić?

– Stąd, z Woodland. Do San Francisco. Dokądkolwiek. – Pił wodę, sflaczałe ciało mężczyzny w średnim wieku oparł o błyszczący zlewozmywak. – Czuję się paskudnie. Może znowu powinienem się wybrać do doktora Barnes'a. Szkoda, że dzisiaj nie jest piątek.

– Co chcesz na obiad?

– Właściwie nic. Sam nie wiem. – Haskel pokręcił głową, był znużony. – Cokolwiek – powiedział i opadł na krzesło stojące przy stole kuchennym. – Tak naprawdę to marzę tylko o wypoczynku. Otwórz puszkę z gulaszem. Może być wieprzowina z fasolą.

– A może poszlibyśmy do restauracji Dona, wiesz, oni specjalizują się w stekach. W poniedziałki serwują tam całkiem niezłe befsztyki z polędwicy.

– Nie. Dosyć się dzisiaj napatrzyłem na ludzi.

– Jak sądzę, jesteś także zbyt zmęczony, żeby mnie zawieźć do Helen Grant?

– Samochód znowu nawalił. Stoi w garażu.

– Gdybyś lepiej o niego dbał...

– Czego ty ode mnie chcesz, do diabła? Mam się obchodzić z nim jak z jajkiem?

– Nie krzycz na mnie! – twarz Madge zaczerwieniła się. Ogarnął ją gniew. – Może byś sam przyrządził sobie obiad.

Haskel, bardzo już zmęczony, wstał. Poczłapał w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy.

– To na razie.

– Dokąd idziesz?

– Na dół.

– Mój Boże! – krzyknęła Madge, przestając nad sobą panować. – Ciągłe tylko te pociągi! Zabawki! Jak to możliwe, że dorosły, dojrzały mężczyzna...

Haskel nic nie odpowiedział. Był już w połowie drogi do piwnicy, po omacku szukał kontaktu, żeby zapalić światło.

Pomieszczenie było zimne i wilgotne. Haskel zdjął z wieszaka czapkę maszynisty i nałożył ją. Pomimo zmęczenia poczuł podekscytowanie i nagły przyływ energii. Pełen werwy podszedł do dużego, zrobionego ze sklejk stołu.

Wszędzie kursowały pociągi. Mknęły po podłodze, pod skrzynią na węgiel, pomiędzy rurami parowymi pieca. Tory zbiegały się na stole, wznosząc się w górę, po starannie wyprofilowanych podjazdach. Roilo się tu od transformatorów, sygnalizatorów, rozmaitych przełączników, stosów wszelakiego sprzętu i przewodów. Było tam także... miniaturowe miasto.

Szczegółowa, niezwykle dokładna makieta przedstawiająca Woodland. Można było na niej odnaleźć każde drzewo i dom, każdy sklep, budynek, ulicę, nawet hydrant przeciwpożarowy. Maleńkie miasto zostało wykonane z niezwykłą precyzją. Budowane pieczołowicie całymi latami. Odkąd tylko sięgał pamięcią. Zaczęło powstawać w czasach, gdy był jeszcze małym chłopcem – kleił je i ulepszał codziennie po powrocie ze szkoły.

Haskel uruchomił główny transformator. Wzdłuż trakcji kolejowej rozblęły światła sygnałowe. Włączył zasilanie ciężkiej lokomotywy Lionel, która stała z doczepionymi do niej wagonami towarowymi. Natychmiast ruszyła i zaczęła sunąć po torach. Mknęła niczym czarny stalowy pocisk, przyprawiając go o przyspieszony oddech. Przełączył zwrotnicę i lokomotywa zjechała po pochylni w dół, minęła tunel i pędem wjechała pod stół warsztatowy.

To było jego królestwo – pociągi i makieta miasta. Haskel pochylił się nad miniaturowymi domkami i ulicami, serce rosło mu z dumy. To on je zbudował – zupełnie sam. Kawalek po kawałku. Całe miasto. Dotknął rogu ulicy, na którym stał sklep spożywczy „U Freda”. Nie brakowało żadnego szczegółu. Nawet okna były identyczne. Witryna z artykułami spożywczymi. Wszystkie napisy. Lady.

Hotel Miejski. Przejechał ręką po jego płaskim dachu. W holu stały sofy i krzesła. Widać je było przez małe okienka.

Drogeria „U Greena”. Na wystawie plastry na haluksy. Ilustrowane czasopisma. Sklep Frazier'a oferujący części zamienne do samochodów. Restauracja meksykańska. Salon odzieżowy Sharpsteina. Sklep z alkoholem „U Boba”. Klub bilardowy „As”. Całe miasto. Położył na nim dłoń. To on je zbudował. Było jego.

Pociąg wyjechał spod stołu i pędził z powrotem. Z chwilą, gdy jego koła minęły jeden z automatycznych przełączników, natychmiast opuścił się zwodzony most. Maszyna przetoczyła się po nim w szaleńczym tempie i pomknęła dalej, ciągnąc za sobą wagony.

Haskel zwiększył moc. Słychać było przeciągły gwizd lokomotywy. Pociąg nabrał szybkości, wziął ostry zakręt i przejechał z łoskotem przez rozjazd. Jeszcze większa prędkość. Ręce Haskela

kurczowo zacisnęły się na dźwigni transformatora. Pojazd skoczył do przodu i pognął przed siebie. Kołysał się i podskakiwał na zakrętach. Transformator był nastawiony na maksimum. Pociąg klekotał i z nieziemską szybkością pędził po torach, mostach i zwrotnicach, za wielkimi rurami pieca.

Wjechał pod skrzynię na węgiel. Chwilę później wynurzył się po drugiej stronie, wściekle kołysząc się na boki.

Haskel zmniejszył moc i pociąg zaczął zwalniać. Mężczyzna oddychał ciężko, jego klatka piersiowa z trudem unosiła się ku górze. Opadł na taboret stojący przy stole roboczym i drżącymi rękami zapalił papierosa.

Zarówno pociąg, jak i makieta miasta dziwnie go nastrajały. Trudno to było wytłumaczyć. Zawsze uwielbiał modele lokomotyw, wagonów, urządzeń sygnalizacyjnych, lubił też miniaturowe domki. Od czasu, gdy był małym chłopcem, sześć – lub siedmioletnim. Pierwszą kolejkę podarował mu ojciec. Była to lokomotywa i fragment trakcji kolejowej. Stara, nakręcana zabawka. Kiedy skończył dziewięć lat, dostał pierwszą w życiu kolejkę elektryczną. Do tego dwie zwrotnice.

Z każdym rokiem wzbogacał swoją kolekcję. Dokupował tory, lokomotywy, zwrotnice, wagoniki, sygnalizatory. Nowe transformatory o coraz większej mocy. Ustawiał pierwsze miejskie budynki.

Budował swoje miasto z niezwykłą starannością. Kawaleczek po kawaleczku. Najpierw, gdy był jeszcze w gimnazjum, skonstruował model Stacji Kolejowej Linii Południowego Pacyfiku. Następnie pobliski postój taksówek. Bar, chętnie odwiedzany przez kierowców. Broad Street.

I tak dalej. Wciąż przybywały nowe elementy. Domy, budynki, sklepy. Całe miasto, które w miarę upływu lat coraz bardziej się rozrastało. Każdego popołudnia po powrocie ze szkoły zasiadał nad makietą. Sklejał, piłował, wycinał i malował.

Teraz replika miasta była prawie zupełnie gotowa. Miał czterdzieści trzy lata i praca, której poświęcił tyle czasu, zbliżała się do końca.

Haskel chodził dookoła wielkiego, zrobionego ze sklejk stołu. Jego ręce z czcią wyciągały się ponad makietą. Nabożnie dotykał miniaturowych sklepików. Była tam także kwaciarnia. Kino. Budynek firmy telekomunikacyjnej. Fabryka pomp i zaworów Larsona.

Ją także zrekonstruował. Właśnie tam pracował. Zarabiał na życie. Fabryka została odtworzona z niesamowitą precyzją, do ostatniego szczegółu.

Haskel zmarszczył brwi. Jim Larson. Harował dla niego jak niewolnik od dwudziestu lat, dzień po dniu. I po co to wszystko? Żeby patrzeć, jak inni otrzymują awans, podczas gdy on stoi w miejscu. Młodszy od niego. Ulubieńcy szefa. Bezmyślni potakiwacze z szerokimi, głupawymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy, w jaskrawych krawatach i wyprasowanych na kant spodniach.

W Haskelu narastała nienawiść i poczucie zawodu. Przez całe życie pracował dla Woodland. Nigdy nie czuł się szczęśliwy. Tutaj zawsze ktoś rzucał mu kłody pod nogi. W szkole średniej – panna Murphy. W college’u – koledzy. W luksusowych domach towarowych – sprzedawcy. Sąsiedzi. Gliniarze, listonosze i kierowcy autobusów, chłopcy na posyłki. Nawet jego własna żona. Nawet Madge.

Nigdy nie integrował się z miastem. Prawdę mówiąc, nie było to miasto, lecz ekskluzywne przedmieścia San Francisco, położone u nasady półwyspu, poza pasem mgły. Woodland zbyt trąciło wyższą klasą średnią. Obszerne domy, trawniki, połyskujące limuzyny, leżaki. Zadęcie i przepych. Zawsze tak było, odkąd sięgał pamięcią. W szkole. W pracy...

Larson i jego fabryka pomp i zaworów. Dwadzieścia lat harówki. Ręce Haskela zacisnęły się na niewielkim budynku, który stanowił kopię fabryki Larsona. Z wściekłością wyrwał go z makiety i rzucił na podłogę. Następnie rozgniół butem, miażdżąc kawałki szkła, metalu i tektury w bezkształtną masę.

– Mój Boże – dygotał na całym ciele. Wpatrywał się w to, co pozostało z zakładu, serce waliło mu jak oszalałe. Targały nim niesamowite, szalone emocje. Nawiedzały go dziwne myśli, jakich nigdy wcześniej nie miewał. Dłuższą chwilę przyglądał się pogniecionej kupie śmieci leżącej u jego stóp. Tyle pozostało z tego, co kiedyś było miniaturowym modelem fabryki Larsona.

Nagle jakby wpadł w trans. Zawrócił w stronę stołu, przy którym zazwyczaj pracował. Usiadł sztywno na stołku. Przygotował potrzebne narzędzia i materiały, włączył wiertarkę.

Zajął mu to tylko krótką chwilę. Pracował w niezwykłym pośpiechu, wszystko robił sprawnie, ze znanstwem. Pod jego palcami powstawał nowy model. Malował go, sklejał, dopasowywał części. Umieścił na nim mikroskopijny napis i dorobił zielony trawnik. Następnie przeniósł go ostrożnie na stół z makietą i przykleił w stosownym miejscu. Tam, gdzie wcześniej mieściła się fabryka Larsona. Lampa wisząca pod sufitem oświetliła budynek, który wciąż jeszcze błyszczał i lśnił od mokrej farby: KOSTNICA MIEJSKA.

Haskel aż zatarł ręce, tak był zadowolony ze swego dzieła. Fabryka zaworów nareszcie zniknęła. Zniszczył ją. Zrównał z ziemią. Usunął z miasta. Patrzył na Woodland, w którym nie było już fabryki zaworów. Zamiast niej pojawiła się kostnica.

Oczy błyszczały mu z radości. Usta drgały. Kipiały emocje. Wreszcie zrobił z fabryką porządek. Zajął mu to krótką chwilę. Sekundę. Wszystko poszło nadspodziewanie gładko – zdumiewająco gładko.

Dziwne, że wcześniej nie wpadł na podobny pomysł.

Madge sączyła z wysokiej szklanki mocno schłodzone piwo. Była głęboko zamyślona.

– Z Verne’em jest coś nie tak. Szczególnie wyraźnie zauważyłam to wczoraj wieczorem.

Gdy wrócił z pracy.

Doktor Paul Tyler mruknął coś w odpowiedzi. Myślni był gdzie indziej.

– To typowy przypadek neurozy. On cierpi na kompleks niższości. Zamyka się w sobie i żyje we własnym świecie.

– Ale ten stan się nasila. On i te jego pociągi. Ta przeklęta kolejka. Mój Boże, Paul! Czy ty wiesz, że tam na dole, w piwnicy, wybudował całe miasto?

Tyler wykazał zainteresowanie.

– Naprawdę? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Zawsze się nimi bawił, odkąd go znam. Zaczął, gdy był jeszcze chłopcem. Wyobrażasz sobie – dorosły mężczyzna bawiący się wagonikami! To przecież zupełny... koszmar. Co wieczór ta sama historia.

– To ciekawe. – Tyler potarł podbródek. – Zajmuje się tym przez cały czas? Niezmiennie?

– Schodzi tam co wieczór. Ostatnim razem nie zjadł nawet kolacji. Po prostu przyszedł do domu i od razu zszedł do piwnicy.

Gładkie rysy Paula Tylera ściągnęły się, przybierając wyraz z troskaniem. Naprzeciwko niego siedziała Madge i wolno popijała piwo. Dochodziła druga po południu. Dzień był pogodny i ciepły. W salonie panowała całkiem przyjemna, leniwa i spokojna atmosfera. Nagle doktor poderwał się.

– Chodźmy je obejrzyć. Te jego modele. Nie wiedziałem, że sprawy zaszły aż tak daleko.

– Naprawdę chcesz je zobaczyć? – Madge podciągnęła rękaw zielonej jedwabnej piżamy i spojrzała na zegarek. – On nie wróci do domu przed piątą. – Wstała i odstawiła na bok szklanekę. – Mamy więc trochę czasu.

– To świetnie. Chodźmy w takim razie na dół. – Tyler ujął Madge pod ramię i pospiesznie zeszli do piwnicy.

Oboje czuli jakieś dziwne podekscytowanie. Madge zapaliła światło i podeszli do wielkiego stołu. Chichotali nerwowo jak dzieci, które planują zrobić jakąś psotę.

– Widzisz? – powiedziała Madge, ściskając Tylera za rękę. – Tylko popatrz. Budował to latami. Przez całe życie.

– Rzeczywiście – pokiwał wolno głową, a jego głos wyrażał bezgraniczny podziw. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Ta precyzja wykonania... On ma talent.

– Tak. Verne faktycznie potrafi zrobić wiele rzeczy. – Madge wskazała ręką na stół warsztatowy. – Przez cały czas dokupuje nowe narzędzia.

Tyler wolno obchodził stół dookoła. Pochylał się nad makietą i dokładnie wszystkiemu przyglądał.

– To zdumiewające. Odtworzył każdy budynek. Calutkie miasto. Zobacz! To mój dom.

Wskazał luksusowy apartamentowiec, położony kilka ulic dalej za domem Haskela.

– Tak, myślę, że tu można odnaleźć wszystko – zgodziła się Madge. – Wyobraź sobie tylko – dorosły mężczyzna przychodzi bawić się pociągami!

– Tu chodzi o moc. – Tyler pchnął po torach lokomotywę. – To dlatego pociągi tak bardzo przykuwają uwagę chłopców. Są ogromne. Duże i hałaśliwe. Symbolizują siłę i seks. Chłopiec przygląda się, jak pociąg pędzi po torach. Potężna bezwzględna maszyna, która budzi w nim lęk. Potem dostaje zabawkową kolejkę. Model, taki jak ten. Może nad nim panować. Sam wprawia go w ruch i zatrzymuje. Zmusza, żeby jechał wolno. Szybko. To on nim kieruje. Coś takiego przemawia do wyobraźni.

Madge poczuła, że drży.

– Wracajmy już na górę. Tu jest okropnie zimno.

– Jednakże, gdy chłopiec zaczyna dorastać, sam staje się coraz większy i silniejszy. Małe modele przestają być dla niego atrakcyjne. Jest w stanie zapanować nad prawdziwym pociągiem, naturalnej wielkości. Przejąć faktyczną kontrolę nad mnóstwem rzeczy. – Doktor pokręcił głową. – Substytut w postaci dziecięcej kolejki już mu nie wystarcza. To niezwykle, że dorosła osoba może nadal tak bardzo się tym pasjonować. – Zmarszczył brwi:

– Nigdy nie widziałem kostnicy na State Street.

– Kostnica?

– Tak, i jeszcze coś. Sklep zoologiczny Steubena. Obok punktu naprawczego RTV. Przecież w tym miejscu nie ma niczego takiego. – Tyler zaczął się zastanawiać. – Co tam właściwie jest? Obok tego warsztatu.

– Salon kuśnierski „Futra paryskie”. – Madge oplotła rękami swoje ramiona. – Brrrr. Jak tu zimno. Chodźmy stąd wreszcie, Paul. Za chwilę zamrznę na kość.

Tyler roześmiał się.

– W porządku, zmarzłaczku. – Zamyślony skierował się w stronę schodów.

– Zastanawiam się, skąd ta nazwa: Sklep zoologiczny Steubena. Nigdy o takim nie słyszałem. Wszystko opracowane jest tak szczegółowo. On musi świetnie znać topografię miasta. To, że umieścił tam ten sklep, nie jest... – Tyler wyłączył światło w piwnicy. – No i ta kostnica. Ciekawe, co to ma oznaczać? Czy...

– Nieważne, daj sobie spokój – krzyknęła Madge, wyprzedzając go na schodach i pędząc w stronę ciepłego pokoju. – Szczerze mówiąc, to wcale nie jesteś od niego lepszy. Mężczyźni potrafią być tacy dziecinni.

Tyler nic nie odpowiedział. Przestał być uprzedzająco grzeczny i pewny siebie; wyglądał na poruszonego i zdenerwowanego.

Madge spuściła żaluzje. Pokój spowijał złoty mrok. Opadła na kanapę i przyciągnęła do siebie Tylera.

– No, nie rób już takiej ponurej miny – zażądała. – Nigdy cię nie widziałam aż tak

poruszonego. – Szczupłymi ramionami objęła go za szyję, a usta przybliżyła do jego ucha. – Nie wpuściłabym cię tam, gdybym wiedziała, że to z jego powodu zaczniesz się zamartwiać.

Tyler bąknął coś, nadal głęboko zamyślony.

– Dlaczego właściwie mnie wpuściłaś?

Madge jeszcze mocniej objęła go ramionami. Jej jedwabna piżama zaszeleściła, gdy przybliżyła się do niego.

– Ależ z ciebie głuptas – powiedziała.

Potęźnie zbudowany, rudowłosy Jim Larson otworzył ze zdumienia usta.

– O czym ty mówisz? Co ci strzeliło do głowy?

– Odchodzę. – Haskel zgarnął z biurka swoje rzeczy i wrzucił wszystko do teczki. – Czekaj, prześlę ci do domu.

– Ale...

– Zejdź mi z drogi – potrącił Larsona i poszedł dalej w stronę holu.

Twarz Haskela wyrażała absolutną determinację. Szklisty wzrok, nieugięte spojrzenie. Jim był kompletnie zaskoczony, nigdy wcześniej nie widział, żeby Verne patrzył w ten sposób.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Oczywiście. Nic mi nie jest. – Haskel szybkim krokiem wyszedł z fabryki. Drzwi frontowe zamknęły się za nim z trzaskiem.

– To chyba oczywiste, że dobrze się czuję – mruzczył do siebie. Przeciskał się przez tłum ludzi robiących popołudniowe zakupy. Usta mu drżały. – Czuję się świetnie, nie musisz się obawiać, do jasnej cholery.

– Uważaj, człowieku – burknął złowrogo jeden z robotników, gdy Haskel go potrącił, przechodząc obok.

– Przepraszam. – Popędził dalej, ściskając w rękę aktówkę. Na szczycie wzgórza zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Za plecami zostawił fabrykę pomp i zaworów. Zaśmiał się szyderczo. Dwadzieścia lat – przekreślił w sekundę. Skończył z tym. Larson przestał dla niego istnieć. Koniec ze żmudną, monotonną harówką. Bez szans na awans i bez perspektyw. Zerwał z tym wreszcie. Rozpoczął nowe życie.

Przyspieszył kroku. Słońce zaczęło zachodzić. Mijały go samochody, to biznesmeni wracali właśnie do domów. Jutro znowu pojedą do pracy – ale on już nie. Nigdy więcej.

Dotarł do swojej ulicy. Przed nim pojawił się dom Eda Tildona, wielki, reprezentacyjny budynek z betonu i szkła. Pies Eda wybiegł do bramy i zaczął szczeleć. Minął go szybkim krokiem. „Pies Tildona, też coś”, Haskel zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka! – krzyknął w kierunku czworonoga. Doszedł do swojego domu i wbiegł prędko po schodach frontowych, pokonując po dwa stopnie naraz. Pchnął

drzwi i otworzył je na oścież. W salonie było ciemno i panowała cisza. Nagle coś się poruszyło. Jakieś postaci odkleily się od siebie i szybko wstały z kanapy.

– Verne! – zawołała zaskoczona Madge. – Co tutaj robisz o tej porze?

Haskel upuścił teczkę na podłogę, kapelusz i płaszcz rzucił na krzesło. Pokryta zmarszczkami twarz wyrażała napięcie, była dziwnie wykrzywiona, targana emocjami.

– Co się stało, na Boga! – Madge zatrzepotała rżęsami i pełna najgorszych przeczuc ruszyła w jego stronę, obciągając po drodze piżamę. – Czy coś się wydarzyło? Nie spodziewałam się, że przyjdiesz tak... – Przerwała, rumieniąc się. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że...

Paul Tyler zbliżył się wolno do Haskela.

– Cześć, Verne – bąknął zażenowany. – Wpadłem na chwilę, żeby zwrócić twojej żonie książkę.

W odpowiedzi Haskel jedynie skinął głową.

– Witaj. – Odwrócił się i poszedł od razu w stronę piwnicy, zupełnie ich ignorując. – Będę na dole.

– Ależ Verne! – zaprotestowała Madge. – Co się stało?

Na moment zatrzymał się w drzwiach.

– Rzuciłem pracę.

– Co takiego?

– Rzuciłem pracę. Skończyłem z Larsonem. Przestał dla mnie istnieć.

Drzwi od piwnicy zamknęły się z hukiem.

– Mój Boże! – krzyknęła Madge, chwytając za rękę Tylera. – On oszalał!

Na dole, w piwnicy, Verne Haskel niecierpliwym gestem włączył światło. Założył czapkę maszynisty i przyciągnął do stołu swój taboret.

– Co by tu dalej?

Salon meblowy Morrisa. Wielki, luksusowy dom towarowy. Ekspedienci z tego sklepu zawsze patrzyli na niego z góry i traktowali lekceważąco.

Zatarł z zadowoleniem ręce. Koniec z nimi. Ci okropni, zarozumiali sprzedawcy, unoszący ze zdziwieniem brwi, ilekroć wstępował do sklepu. Wyfiokowani, z muszkami pod szyją i chusteczkami w butonierkach.

Zdjął z planszy model Salonu meblowego Morrisa i rozebrał go na części. Pracował gorączkowo, w szaleńczym pośpiechu. Teraz, gdy już przystąpił do dzieła, nie tracił ani sekundy. Chwilę później sklejał już następne dwa budynki. Punkt czyszczenia butów „Ritz” oraz kręgielnię „U Pete’a”.

Haskel aż zachichotał z podniecenia. Z jakąż lubością niszczył luksusowy, ekskluzywny sklep meblowy. Zamiast niego ustawił zwykły punkt usługowy i kręgielnię. Na więcej sobie nie zasłużyli.

Kalifornijski Bank Stanowy. Nie znosił tej instytucji. Kiedyś odmówili mu pożyczki. Oderwał bank od planszy.

Dom Eda Tildona. Ten jego cholerny pies. Któregoś popołudnia ugryzł go w kostkę. Haskel usunął model z makiety. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Był zdolny do wszystkiego.

Sklep radiowo-telewizyjny Harrisona. Kiedyś wcisnęli mu kiepskie radio. Precz z nimi.

Sklep z artykułami tytoniowymi. W maju 1949 roku, właściciel trafiki, Joe, wydał mu fałszywą ćwierćdolarówkę. Precz z nim i jego sklepem.

Fabryka farb. Nie znosił zapachu farby drukarskiej. Lepiej byłoby ulokować w tym miejscu piekarnię. Uwielbiał dobrze wypieczony chleb. Fabryka farb zniknęła z planszy.

Elm Street miała słabe oświetlenie. Kilka razy potknął się, gdy wracał tamtędy do domu. Dokleił kilka latarni.

Przy High Street było zbyt mało barów. Za dużo sklepów odzieżowych, eleganckich salonów dla pań, oferujących futra i kapelusze, ekskluzywnych butików. Zgarnął z makiety całą garść budynków i przeniósł je wszystkie na stół warsztatowy.

Nagle uchyliły się drzwi do piwnicy. Do środka zajrzała Madge. Była blada i przestraszona.

– Verne?

Haskel skrzywił się, wyraźnie niezadowolony.

– Czego chcesz? – mruknął zniecierpliwiony.

Madge z pewnym wahaniem zeszła na dół. Za nią podążał doktor, dystyngowany, przystojny, w nieskazitelnym szarym garniturze.

– Verne, czy ty naprawdę dobrze się czujesz?

– Oczywiście, że tak.

– I... faktycznie rzuciłeś pracę?

Haskel skinął głową. Właśnie przystąpił do rozbiórki fabryki farb. Zupełnie nie zwracał uwagi ani na żonę, ani na Tylera.

– Ale dlaczego to zrobiłeś?

Haskel odburknął mu zniecierpliwiony:

– Nie mam czasu.

Doktor zasepił się.

– Czy dobrze zrozumiałem? Jesteś zbyt zajęty, żeby chodzić do pracy?

– No właśnie.

– Możesz zdradzić, co tak bardzo cię pochłania? – Tyler podniósł głos. Poczul, że zaczyna drzeć ze zdenerwowania. – Czy chodzi o tę makiety? Pewne rzeczy trzeba by na niej zmienić?

– Odejdź – mruknął Haskel. Z dużą wprawą składał właśnie piękny, nieduży budynek – Zakłady Piekarnicze Langendorf. Formował go bardzo starannie, pieczołowicie. Całość pomalował farbą w sprayu na biały kolor, dorobił jeszcze wyłożoną żwirem alejkę, a od frontu

umieścił rząd krzewów. Odłożył wszystko na bok i zabrał się za park. Rozległy, kipiący zielenią. W Woodland zawsze brakowało parku. Zaplanował go przy State Street, na miejscu hotelu.

Tyler odciągnął Madge od stołu, w kącie piwnicy.

– Mój Boże! – Drżącymi rękami zapalił papierosa, który wyleciał mu z rąk i potoczył się po podłodze. Zostawił go i sięgnął po następnego. – Czy ty widzisz, co się z nim dzieje? Czy to rozumiesz?

Madge tylko pokręciła głową.

– Co mu jest? Ja nie...

– Od jakiego czasu on nad tym pracuje? Przez całe życie?

Madge skinęła głową, była blada jak ściana.

– Tak, poświęcił temu życie.

Tyler wykrzywił twarz.

– Madge, to graniczy z obłędem. Aż trudno w to uwierzyć. Musimy podjąć jakieś kroki.

– Co to będzie! – jęknęła Madge. – Co...

– On zupełnie się w tym zatracił. – Na twarzy Tylera malowało się zdumienie i krańcowe niedowierzanie. – W dodatku jego stan gwałtownie się pogarsza.

– Zawsze przesiadywał w tej piwnicy – drżącym głosem wyjaśniła Madge. – To nic nowego. Powtarzał, że chce się stąd wyrwać.

– No tak, wyrwać się stąd. – Tyler wzdrygnął się i zacisnął dłonie, próbując wrócić do równowagi. Przeszedł przez piwnicę i zbliżył się do stołu, przy którym pracował Haskel.

– Czego chcesz? – mruknął Verne, gdy wreszcie go zauważył.

– Dodasz nowe elementy, prawda? Nowe budynki. – Tyler oblizał usta.

Haskel potwierdził skinieniem głowy.

Doktor drżącymi rękami dotknął Zakładów Piekarniczych Langendorfa. – A co to za budynek? Piekarnia? Gdzie zamierzasz go postawić? – Okrążył stół dookoła. – Nie pamiętam, żeby w Woodland była jakakolwiek fabryka chleba. – Gwałtownie się odwrócił. – Chyba nie zamierzasz niczego ulepszać? Wprowadzasz jakieś poprawki?

– Do diabła, wynoście się stąd! – zgromił ich Haskel. – Oboje!

– Ależ, Verne! – pisnęła Madge.

– Czeka mnie mnóstwo roboty. O jedenastej możesz mi przynieść kanapki. Mam nadzieję, że przed nocą uda mi się skończyć.

– Skończyć? – zapytał Tyler.

– Tak – odparł Haskel, wracając do swojej pracy.

– Chodź, Madge. – Tyler chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę schodów. – Wyjdźmy stąd. – Wyprzedził ją i po chwili znalazł się w holu. – Prędej! – Gdy tylko Madge weszła na górę, dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Kobieta zaczęła histerycznie pocierać oczy.

– On zupełnie zwariował, Paul! I co my teraz zrobimy?

– Uspokój się. Muszę wszystko przeanalizować. – Wzburzony, chodził tam i z powrotem po pokoju. – To nastąpi wkrótce. Już niedługo się to stanie, skoro wszystko zmierza ku temu w tak zawrotnym tempie. Może nawet dzisiaj w nocy.

– Co takiego? O czym ty mówisz?

– Oderwanie się od rzeczywistości. Stworzenie form zastępczych. Ucieczka w wymagowany, ulepszony model świata, który podda się jego władzy. W nim się schroni.

– Czy możemy mu jakoś pomóc?

– Pomóc? – Tyler uśmiechnął się blade. – A czy faktycznie tego chcemy?

Madge wyrwał się okrzyk zdumienia:

– Przecież nie możemy tak po prostu...

– Być może tego właśnie było nam potrzeba i w ten sposób rozwiążemy nasze problemy. – Doktor z uwagą spojrział w oczy pani Haskel. – Może to właśnie jest nasz łut szczęścia?

Dochodziła druga nad ranem, gdy zaczął zbliżać się do końca. Był zmęczony, ale nadal... skupiony. Praca posuwała się szybko. Zadanie zostało już prawie wykonane.

Jego dzieło było bliskie ideału.

Na chwilę przerwał, przyglądając się temu, co udało mu się stworzyć. W mieście nastąpiły zasadnicze zmiany. Około godziny dziesiątej przystąpił do przebudowy ulic, zmieniając ich układ. Usunął większość państwowych budynków, przekształcił centrum administracyjno-kulturalne oraz okalający je rozległy teren zajmowany przez firmy i rozmaite biura.

Postawił nowy ratusz, posterunek policji, a także ogromny park z fontannami, skąpany w rozproszonym świetle lamp. Uporządkował dzielnice slumsów, odnowił stare zaniedbane sklepy, domy i ulice. Wszystkie drogi były teraz szersze i dobrze oświetlone. Domy stały się co prawda mniejsze, ale czyste i zadbane. Sklepy wyglądały nowocześnie i przykuwały wzrok przechodniów, ale pozbawione zostały wszelkiej pretensjonalności i przesady.

Wszystkie reklamy zostały zdjęte. Zniknęła również większość stacji benzynowych oraz ogromna dzielnica przemysłowa. Na obszarze dawniej zajmowanym przez fabryki, ciągnęły się teraz tereny wiejskie. Nic tylko drzewa, pagórki i zielona trawa.

Zmienił się również wygląd dzielnicy zamieszkaney przez zamożnych obywateli Woodland. Pozostało tam tylko kilka rezydencji. Wszystkie należały do osób, które Haskel považał i cenił. Cała reszta została bardzo okrojona. Na ich miejscu powstały bliźniaczo podobne, skromne, trzypokojowe, parterowe domki, każdy z garażem na jeden samochód.

Ratusz stracił swój wyszukany, rokokowy styl. Był niższy i odznaczał się prostotą formy, wzorowaną na ulubionym przez niego Partenonie.

Dziesięć czy dwanaście osób, które szczególnie mu się naraziły, musiało przenieść się do starszych budynków położonych w odległej części miasta. Każdy z nich mieścił po sześć rodzin. Wiatr wiał tam od strony zatoki, przynosząc zapach rozkładającego się szlamu i błota.

Dom Jima Larsona zupełnie zniknął z makiety. Przestał istnieć, jako że w nowym Woodland nie było dla niego miejsca. Miasto było prawie na ukończeniu.

Prawie. Haskel z wielką uwagą przyglądał się swojej pracy. Nastąpił czas tworzenia. Wszystkie zmiany muszą dokonać się teraz, albo nigdy. Nie można odsunąć ich na później.

Nowe Woodland prezentowało się całkiem nieźle. Panowały w nim czystość, porządek i... prostota. Zamożna dzielnica została sprowadzona do właściwych rozmiarów. Uboższe rejony miasta były odnowione. Krzykliwe reklamy, szyldy, witryny – wszystkie zostały zmienione lub w ogóle usunięte. Teren zajmowany przez biura i firmy był teraz poważnie okrojony. W miejsce fabryk powstały parki i zielone skwery. Centrum administracyjno-kulturalne zapierało dech w piersiach.

Dodał kilka placów zabaw dla małych dzieci. Nieduże kino zamiast wielkiego molocha z jaskrawym neonem migającym wściekle nad wejściem. Po zastanowieniu usunął większość barów, które zdążył już wcześniej nanieść na planszę. Obywatele nowego Woodland mieli prowadzić się przyzwoicie. Ściśle przestrzegać wszystkich norm moralnych. Barów było tu niewiele, żadnych klubów bilardowych czy dzielnic rozpusty. Dla tych, którzy nie chcieliby się podporządkować, przygotował więzienie – porządne, o wysokim standardzie.

Najtrudniejszym zadaniem było wykonanie mikroskopijnego napisu na głównych drzwiach ratusza. Zostawił to sobie na sam koniec. Z niezwykłą precyzją zaczął nanosić poszczególne słowa: MER MIASTA VERNON R. HASKEL.

Kilka ostatnich, kosmetycznych zmian. Zamiast nowego cadillaca Edwardsowie otrzymali stary model plymouth 39. W centrum miasta dodał jeszcze drzewa. Dobudował kolejny posterunek straży pożarnej. Zlikwidował sklep z odzieżą. Nigdy nie lubił taksówek. Pod wpływem impulsu zdjął z makiety postój taksówek, a zamiast niego ustawił kwaciarnię.

Co by tu jeszcze? Chyba już wystarczy... Doskonale... Uważnie lustrował każdą część miasta. Czy coś przeoczył?

A tak, szkoła średnia. Zdjął z planszy istniejący budynek i zamiast niego postawił dwa nowe, nieco mniejsze, każdy w innym końcu miasta. Jeszcze jeden szpital. Zajęło mu to prawie pół godziny. Był bardzo zmęczony. Jego palce nie pracowały już tak sprawnie. Drżącą ręką otarł pot z czoła. Jeszcze coś? Usiadł znużony na stołku, potrzebował wytchnienia i czasu do namysłu.

Wszystko gotowe. Zapięte na ostatni guzik. Przepeliwała go radość. Wreszcie zakończył pracę.

– Koniec! – krzyknął na cały głos.

Niepewnie podniósł się. Zamknął oczy, rozpostarł ramiona i ruszył w kierunku makiety.

Pragnął wszystkiego dotknąć, dosięgnąć wyciągniętymi przed siebie rękami. Coraz bardziej przybliżał się do stołu. Poorana zmarszczkami twarz mężczyzny w średnim wieku była rozpromieniona, pełna uniesienia.

Na górze Tyler i Madge usłyszeli jego okrzyk. Dźwięk dobiegł z oddali i rozszedł się falą po całym budynku. Kobieta wzdrygnęła się przerażona.

– Co to było?

Tyler uważnie nasłuchiwał. Słyszał, jak Haskel chodzi po piwnicy. Nagle zgasił papierosa.

– Myślę, że to się już stało, szybciej, niż się spodziewałem.

– To? Sądzisz, że on...

Tyler zerwał się z miejsca.

– On już stąd odszedł. Przeniósł się do własnego świata. W końcu jesteśmy wolni.

Madge chwyciła go za ramię.

– Może popełniamy błąd. To straszne. Czy nie powinniśmy postarać się jakoś mu... pomóc?

Wyciągnąć go z tego... spróbować przywrócić rzeczywistości.

– Przywrócić? – Tyler roześmiał się nerwowo. – Nie sądzę, by to w ogóle było teraz możliwe. Nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli. Jest za późno.

Energicznie ruszył w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy.

– No, szybciej, chodźmy tam.

– To straszne. – Poczwała, że przechodzi ją dreszcz i niechętnie poszła za nim. – Szkoda, że w ogóle to zaczęliśmy.

Tyler na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

– Straszne? Przecież jemu jest tam teraz o wiele lepiej, czuje się znacznie szczęśliwszy. Tobie też będzie lepiej. Ten stary układ nikomu nie był na rękę. To najlepsze, co mogło się zdarzyć.

Otworzył drzwi do piwnicy. Madge poszła za nim. Ostrożnie zeszli po schodach. Na dole było ciemno i zupełnie cicho. Od ścian ciągnęło nocnym chłodem i wilgocią.

Piwnica była pusta. Tyler odetchnął. Poczł niesamowitą, obezwładniającą ulgę.

– Nie ma go. Wszystko w porządku. Poszło dokładnie tak, jak powinno.

– Nic z tego nie rozumiem – z rozpaczą w głosie powtarzała Madge, gdy buick Tylera pędził, warcząc cicho, przez ciemne, opustoszałe ulice. – Dokąd on poszedł?

– Przecież wiesz – odparł Tyler. – Zbudował sobie zastępczy, wyimaginowany świat i przeniósł się do niego. – Auto z piskiem opon pokonało zakręt. – Reszta powinna pójść dość gładko. Trzeba będzie wypełnić kilka formularzy. Same rutynowe czynności, naprawdę niewiele pozostało do zrobienia.

Noc była zimna i posępna. Od czasu do czasu mrok rozpraszała jakaś latarnia. W oddali

słysząc było żałobny gwizd pociągu, odbijający się ponurym echem. Po obu stronach ulicy migwały rzędy domów, z których nie dochodził żaden dźwięk.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Madge. Siedziała skulona przy drzwiach. Ze strachu i przerażenia zrobiła się śmiertelnie blada, drżała, choć miała na sobie płaszcz.

– Na posterunek policji.

– Po co?

– Żeby złożyć raport, to chyba oczywiste. Powinni wiedzieć, że zaginał. Będziemy musieli trochę poczekać. Może upłynąć kilka lat, zanim uznają go za zmarłego. – Tyler nachylił się ku niej i na chwilę przygarbował do siebie. – Do tego czasu wszystko się jakoś ułoży, jestem tego pewien.

– A co będzie, jeśli go znajdą?

Tyler pokręcił ze złością głową. Nadal odczuwał napięcie. Był na skraju wytrzymałości.

– Czy ty nie rozumiesz? Oni go nigdy nie znajdą – on nie istnieje. A przynajmniej nie ma go tutaj. Jest już zupełnie gdzie indziej, we własnym świecie. Sama widziałaś. Ten jego model. Ulepszoną wersję miasta.

– Czy on tam jest?

– Gały czas nad nią pracował. Upodabiał do rzeczywistości. Powołał ten świat do życia i... w końcu sam w nim zamieszkał. Tego właśnie chciał. W tym celu go budował. Nie ograniczał się do marzeń o świecie, w którym mógłby się schronić. On go faktycznie skonstruował, kawałek po kawałku. Teraz po prostu wyrwał się z tej rzeczywistości i przeniósł w inną. Zniknął z naszego życia.

Madge w końcu zaczynała rozumieć.

– A więc naprawdę zatracił się w tym swoim świecie. To właśnie miałeś na myśli, mówiąc, że chciał się stąd... wyrwać.

– Zrozumienie tego zajęło mi trochę czasu. Umysł konstruuje pewną rzeczywistość. Umieszcza ją w jakichś ramach. Wszyscy budujemy taki sam obraz świata, mamy o nim zbliżone wyobrażenie. Ale Haskel odwrócił się do tego plecami i stworzył własną rzeczywistość. Pomogły mu w tym nadzwyczajne uzdolnienia, daleko przekraczające możliwości przeciętnego człowieka. Całe swoje życie, swój talent poświęcił konstruowaniu własnego, odrębnego świata. Teraz w nim jest.

Tyler zawahał się i zmarszczył brwi. Mocniej uchwycił kierownicę i zwiększył prędkość. Buick sunął po ciemnej ulicy.

– Zastanawia mnie tylko jedno – kontynuował swój wywód – jedna rzecz, której nie rozumiem.

– Co takiego?

– Ten model. Gdzieś się rozplątał. Myślałem, że Verne... się po prostu skurczył, wniknął

w ten miniaturowy świat. Ale replika miasta również przepadła. – Tyler wzdygnął się. – To nie ma pewnie żadnego znaczenia. – Usiłował przebić wzrokiem ciemności. – Jesteśmy prawie na miejscu. To Elm Street.

W tym momencie Madge krzyknęła.

– Spójrz!

Na prawo od samochodu znajdował się nieduży, schludny budynek. I napis, doskonale widoczny w ciemnościach: KOSTNICA MIEJSKA.

Madge zaczęła histerycznie płakać. Silnik zawył i samochód popędził do przodu, machinalnie prowadzony przez Tylera, który ścisnął kierownicę zupełnie zeszywniałymi palcami. Kawałek dalej, gdy znaleźli się blisko ratusza, zobaczyli inny napis: SKLEP ZOOLOGICZNY STEUBENA.

Ratusz był wspaniale oświetlony ukrytymi w załomach muru lampami. Niski, szlachetny w formie budynek, wzniesiony na planie kwadratu, połyskiwał bielą. Do złudzenia przypominał marmurową grecką świątynię.

Tyler zatrzymał samochód. Nagle zapiszczwały opony i buick znów poderwał się do jazdy. Manewr okazał się jednak zbyt wolny.

Dwa lśniące policyjne wozy bezszelestnie zbliżyły się do auta Tylera i zablokowały go z obu stron. Czterech śmiertelnie poważnych policjantów tylko czekało, aż będzie można otworzyć drzwi. Po chwili wysiedli i zaczęli iść w jego kierunku, zupełnie nieskorzy do żartów i gotowi do działania.

Ojcowskie alter ego

– Obiad na stole! – zdecydowanym głosem obwieściła pani Walton. – Idź po ojca i powiedz mu, żeby umył ręce. Ty powinienesz zrobić to samo, kawalerze. – Trzymała dymiący garnek i zmierzała w kierunku starannie nakrytego stołu. – Ojciec jest w garażu – dodała.

Charles zawahał się. Miał tylko osiem lat, a to, co go trapiło, stanowiłoby niezły orzech do zgryzienia nawet dla samego Hillela. [Hillel (ok. 30-ok. 10 p.n.e.), przewodniczący synhedrionu w Jerozolimie za czasów Heroda I. Autorytet doktrynalny, wybitny humanista w etyce (przyp. tłum.).]

– Ja... – zaczął trochę niepewnie.

– Coś się stało? – June Walton wyczuła niepokój w głosie syna i jej obfity biust lekko zafalował wskutek zdenerwowania. – Czy Teda nie ma w garażu? Skaranie boskie, przecież jeszcze przed chwilą siedział tam i ostrzył nożyce do strzyżenia żywopłotu. Chyba nie poszedł do Andersonów? Mówiłam mu, że obiad jest już prawie gotowy.

– On jest w garażu – odparł Charles. – Ale... rozmawia sam ze sobą.

– Mówi do siebie! – pani Walton zdjęła kolorowy fartuch uszyty z ceraty i powiesiła go na klamce. – Ted? To chyba niemożliwe, nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Idź po niego i powiedz mu, żeby zaraz tu przyszedł. – Nalała gorącą kawę do maleńkich, niebiesko-białych chińskich filiżanek i chochlą zaczęła nakładać na talerze gotowaną kukurydzę. – Co się z tobą dzieje? Zawołaj go!

– Nie wiem, któremu z nich mam to powiedzieć – wypalił nagle Charles przyparty do muru. – Obaj wyglądają zupełnie tak samo.

June Walton nieomal wypuściła z rąk uchwyt aluminiowej patelni. Przez chwilę wydawało się, że kukurydza rozbryzgnie się po podłodze. – Mój drogi – zwróciła się do syna porządnie już rozgniewana, ale dokładnie w tym momencie do kuchni wkroczył Ted Walton. Wdychał z upodobaniem zapach potraw i zacierał ręce.

– No, no, gulasz z baraniny – powiedział zadowolony.

– To wołowina – mruknęła pod nosem June. – Ted, co tam tak długo robiłeś?

Mąż zwałił się na krzesło i rozłożył na kolanach serwetkę.

– Ostrzyłem i naoliwiłem nożyce. Są teraz jak brzytwa. Lepiej ich nie dotykać, bo można stracić rękę.

Był to przystojny, trzydziestokilkuletni mężczyzna. Miał gęste blond włosy, muskularne ramiona, zręczne ręce, kwadratową twarz i błyszczące brązowe oczy.

– O rany, ten gulasz wygląda naprawdę apetycznie. Miałem dzisiaj w biurze ciężki dzień. Jak to w piątek, sama wiesz. Sterty spraw do załatwienia, a wszystkie raporty muszą być sporządzone do godziny piątej. Al McKinley twierdzi, że nasz dział mógłby rozpatrywać nawet o 20 procent

spraw więcej, gdybyśmy zróżnicowali godziny, w których pracownicy wychodzą na lunch. Wówczas biuro mogłoby pracować nieprzerwanie przez cały czas. – Skinął na Charlesa: – Usiądź i zabierzmy się do jedzenia.

Pani Walton podała groszek przygotowany z mrożonki.

– Ted – powiedziała, wolno zajmując swoje miejsce przy stole – czy coś cię martwi?

– Martwi? Mnie? – zamrugął oczami. – Nie, nic takiego. Zwykłe sprawy. Dlaczego pytasz?

June Walton spojrzała niepewnie na syna. Charles siedział wyprostowany na krześle, miał twarz zupełnie pozbawioną wyrazu, bladą jak ściana. Nie poruszył się, nie rozłożył serwetki, nawet nie tknął mleka. Atmosfera była napięta. Czowała to. Charles odsunął się od ojca, starał się trzymać jak najdalej od niego. Siedział skulony i zdenerwowany. Jego usta poruszały się, ale matka nie mogła zrozumieć, co mówił.

– O co ci chodzi? – zapytała, nachylając się w jego stronę.

– To ten drugi – wymamrotał Charles. – To ten drugi przyszedł tutaj do kuchni.

– O czym ty mówisz, kochanie? – Chwilę później zapytała głośniejszym głosem: – Jaki drugi?

Mąż gwałtownie się poruszył. Na jego obliczu pojawił się dziwny wyraz i natychmiast zniknął. Przez moment twarz Teda Waltona przestała wydawać się znajoma – było w niej coś obcego i zimnego. Coś, co ją wykrzywiło i zniekształciło mu rysy. Oczy zmętniały i przygasły, zaciągnęły się jakąś pierwotną mgłą. Przestał wyglądać jak każdy inny, znużony pracą mężczyzna.

Trwało to jednak krótko. Po chwili Ted znowu wyglądał zupełnie normalnie – prawie. Uśmiechnął się i z wielkim apetytem zaczął pochłaniać gulasz, wcinać groszek i gotowaną kukurydzę. Śmiał się, mieszał kawę i żartował. W powietrzu wisiało jednak coś groźnego.

– To ten drugi – uparcie powtarzał Charles. Jego twarz nadal była śmiertelnie blada, nie mógł opanować drżenia rąk. Nagle zerwał się na równe nogi. – Wynoś się! – krzyknął. – Wynoś się stąd!

– Uważaj – zagrzemiał złowieszczo Ted. – Co w ciebie wstąpiło? – Zdecydowanym ruchem ręki wskazał na krzesło. – Masz tu usiąść i dokończyć swój obiad, chłopcze. Twoja matka nie po to go szykowała, żeby teraz stygł nietknięty.

Charles odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z kuchni. Pobiegł na górę do swego pokoju. June Walton nie mogła złapać tchu ze zdziwienia, czuła, że ciarki zaczynają przebiegać jej po plecach. – Co, u licha, w niego...

Ted jadał spokojnie dalej. Sposępniał. Oczy mu pociemniały, jego wzrok był stanowczy i surowy.

– Ten dzieciak – wycedził przez zęby – powinien dostać porządną nauczkę. Muszę z nim porozmawiać.

Charles przycupnął w kącie i nasłuchiwał. Ojcowskie alter ego wchodziło po schodach, było

coraz bliżej. – Charles! – krzyczało gniewnym głosem. – Jesteś tam?

Nie odpowiedział. Bezszelestnie zawrócił do pokoju i zamknął drzwi. Serce waliło mu jak oszalałe. „To” było już na półpiętrze. Za chwilę wejdzie do niego.

Podbiegł prędko do okna. Był przerażony. „To” chwyciło już za klamkę, szukało jej po omacku w ciemnym korytarzu. Charles podciągnął okno do góry i wspiął się na dach. Zeskoczył na rabatkę, która znajdowała się tuż przy wejściu do domu. Stęknął, na moment stracił równowagę, nie mógł złapać tchu, po czym zerwał się i pobiegł dalej, starannie omijając smugę światła, wylewającą się żółtym strumieniem z okna pośród ciemności.

Odnalazł drogę do garażu, który nagle wyłonił się przed nim z mroku. Czarny kwadrat odcinał się wyraźnie na tle nieba. Chłopiec z trudnością łapał oddech, macał po kieszeniach w poszukiwaniu latarki. Następnie ostrożnie pchnął drzwi w górę i wszedł do środka.

Garaż był pusty. Samochód stał przed domem. Po lewej stronie znajdował się stół warsztatowy ojca. Na drewnianych ścianach wisiały rozmaite młotki oraz piły. W głębi kosiarka, a obok niej grabie, łopata i motyka. Pojemnik z naftą. Wszędzie przybite gwoździami do ścian samochodowe tablice rejestracyjne. Betonowa posadzka była mocno zabrudzona. Na środku widniała wielka oleista plama. W migocącym świetle latarki można też było dojrzeć kępki chwastów, czarne i oblepione smarem.

Tuż przy drzwiach stała beczka na odpady. Na samym jej wierzchu leżały sterty zawilgoconych, zapleśniałych gazet i czasopism. Gdy Charles zaczął je rozgrzebywać, do jego nozdrzy dotarł odór zgnilizny i rozkładu. Na podłogę spadły pająki, które natychmiast rozpierzchły się we wszystkie strony. Chłopiec przydeptał je butem i dalej rozgarniał gazety.

Widok, który ujrzał, napełnił go grozą. Krzyknął przeraźliwie, upuścił latarkę i rzucił się do tyłu. Garaż tonął w mroku. Charles zmusił się, żeby uklęknąć i przez chwilę, która wydawała się trwać całe wieki, szukał w ciemności latarki, pomiędzy pająkami i poczerniałymi od smaru chwastami. W końcu udało mu się ją odzyskać. Przemógł się i skierował snop światła w głąb beczki, pomiędzy sterty gazet.

Sobowtór ojca coś w nią wepchnął, na samo dno. Pomiedzy stare liście, zużyte tektury, gnijące resztki zastłon, sterty innych śmieci, które matka zniosła ze strychu do garażu z przeznaczeniem na spalenie. To, co zobaczył, nadal przypominało trochę jego ojca – na tyle że był w stanie go rozpoznać. Znalezisko przyprawiło go o mdłości. Nachylił się nad beczką i zamknął oczy. Dopiero po chwili odważył się znów zajrzeć do środka. Wewnątrz znajdowały się szczątki jego prawdziwego ojca. Części, które alter ego uznało za niepotrzebne. Kawałki, które porzuciło.

Chłopiec wziął do rąk grabie i włożył je do beczki, żeby przesunąć to, co znajdowało się na dnie. Szczątki były suche. Pękały i łamały się przy każdym dotknięciu. Przypominały wyschniętą, porzuconą skórę węża, łuszczącą się i rozsypującą, szeleszczącą w dotyku. Skórę po

wylince, pustą. Wnętrznosci zginęły. Wszelkie ważne organy. Została tylko sama skóra zwinięta na dnie beczki. To było wszystko, co alter ego zdecydowało się pozostawić. Całą resztę pozarło. Wchłonęło w siebie wnętrznosci i... przejęło rolę ojca.

Jakiś szmer.

Charles rzucił grabie i pędem podbiegł do drzwi. Ojcowskie alter ego podążało w kierunku garażu. Na żwirowej ścieżce słychać było odgłos jego kroków. „To” niepewnie posuwało się do przodu. – Charles! – krzyczało gniewnym głosem. – Jesteś tam? Poczekaj no, niech cię tylko dopadnę!

W jaskrawo oświetlonym wejściu do mieszkania widać było krągłą i wydatną sylwetkę matki. – Ted, proszę cię, nie rób mi krzywdy – mówiła zdenerwowana. – On strasznie się czymś martwi.

– Nie mam zamiaru go krzywdzić – chrapliwym głosem odpowiedział sobowtór. Zatrzymał się i zapalił zapalkę. – Chcę z nim tylko porozmawiać. Muszę go nauczyć dobrych manier. Odszedł od stołu jak gdyby nigdy nic, zeskoczył z dachu na podwórze i chowa się gdzieś w ciemnościach...

Charles wysunął się z garażu. Ojcowskie alter ego dostrzegło go w świetle zapalki i rzuciło się z krzykiem w jego kierunku.

– Natychmiast chodź tutaj!

Chłopiec zaczął uciekać. Znał teren o wiele lepiej niż alter ego. „To” i tak nauczyło się sporo, dowiedziało się wszystkiego, gdy wchłonęło ojca, nikt jednak nie znał drogi tak dobrze jak on sam. Dobiegł do płotu, wspiął się na ogrodzenie, przeskoczył na podwórze Andersonów, minął po drodze sznur do suszenia bielizny, przebiegł ścieżką prowadzącą wokół domu sąsiadów i znalazł się na Maple Street.

Nasłuchiwał skulony, niemalże przestał oddychać. Ojcowskie alter ego przestało go ścigać. Zawróciło. Albo też zbliżało się okrężną drogą, chodnikiem.

Odetchnął tak głęboko, że wstrząsnął nim dreszcz. Musiał uciekać dalej. Prędzej czy później „to” mogłoby go dopaść. Rozejrzał się na prawo i lewo, sprawdził, czy nie jest obserwowany i znowu puścił się pędem do przodu.

– Czego chcesz? – zapytał wojowniczo nastawiony Tony Peretti. Miał czternaście lat. Siedział przy stole w wyłożonej dębową boazerią jadalni, dookoła leżały rozrzucone książki i ołówki, połówka kanapki z szynką i masłem orzechowym oraz cola. – Nazywasz się Walton, prawda?

Tony Peretti zajmował się rozładunkiem kuchenek i lodówek. Po szkole pracował w mieście, u Johnsona, w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Tony był roslym chłopakiem, o tępych wyrazie twarzy. Czarnowłosa, oliwkowa skóra, białe zęby. Kilka razy pobił Charlesa.

Bił każde dziecko w sąsiedztwie.

Charles wiercił się niespokojnie.

– Powiedz, Peretti, zrobisz coś dla mnie?

– O co chodzi? – Peretti był w złym humorze. – Szukasz guza?

Charles zwiesił głowę, zacisnął kurczowo dłonie i z nieszczęśliwą miną zaczął pokrótce wyjaśniać, co się wydarzyło.

Kiedy skończył, Peretti gwizdnął przeciągle.

– Nie nabierasz mnie?

– To wszystko prawda – Charles skinął szybko głową. – Pokażę ci. Chodź ze mną, to sam się przekonasz.

Peretti wolno podniósł się z krzesła.

– Dobra, chodźmy tam. Chcę to zobaczyć.

Przyniósł z pokoju swój pistolet pneumatyczny i razem z Charlesem ruszył ciemną ulicą w kierunku jego domu. Starali się zachowywać cicho, żaden z nich nie mówił za wiele. Peretti zamyślił się głęboko, był poważny i posepnny. Charles nadal przeżywał szok spowodowany tym, co się stało. W głowie miał pustkę.

Skęcili na podjazd Andersonów, przeszli skrótem przez posesję, wspięli się na płot i ostrożnie zeskoczyli na podwórze Charlesa. Wokół panowała idealna cisza, nic się nie poruszało. Drzwi frontowe prowadzące do domu były zamknięte.

Zajrzeli do wewnątrz przez okno w salonie. Rolety były spuszczone, ale ze środka wyływała na zewnątrz wąska smuga światła. Pani Walton siedziała na kanapie i szyła bawełnianą koszulkę. Na jej szerokiej twarzy malowały się smutek i przygnębienie. Nie widać było po niej żadnego zainteresowania wykonywaną pracą. Naprzeciwko niej zobaczyli ojcowskie alter ego. Rozsiadło się w fotelu ojca, zdjęło buty i zatopiło się w lekturze gazety. W kącie włączony telewizor nie przyciągał niczyjej uwagi. Na poręczy fotela stała puszka piwa. Ojcowskie alter ego siedziało dokładnie tak jak ojciec Charlesa. Sporo zdążyło się nauczyć.

– Wygląda zupełnie tak jak on – szepnął Peretti podejrzliwie. – Na pewno mnie nie nabierasz?

Charles zaprowadził go do garażu i pokazał beczkę na odpadki. Peretti wsunął do środka długie, opalone ręce i ostrożnie wyciągnął suche, łuszczące się szczątki. Skóra rozwinęła się, rozprostowała i na ziemi ukazał się zarys sylwetki ojca. Peretti ułożył na posadzce porzucone kawałki i umieścił je na właściwych miejscach. Ojcowskie szczątki zupełnie straciły kolor, były nieomal przezroczyste. Żółtawe niczym bursztyń, cienkie jak papier. Suche i zupełnie pozbawione nawet najmniejszych śladów życia.

– To wszystko – powiedział Charles. W jego oczach zabłyśły łzy. – Tyle z niego pozostało. „To” wchłonęło w siebie całe jego wnętrze.

Peretti zbladł. Drżącymi rękami wepchnął wszystkie pozostałości z powrotem do beczki.

– Rzeczywiście, aż trudno w to uwierzyć – mruknął. – A więc widziałeś ich obu stojących obok siebie?

– Rozmawiali ze sobą. Wyglądali identycznie. Wbiegłem akurat do środka. – Charles wytarł łzy i pociągnął nosem. Nie mógł się już dłużej powstrzymać. – „To” zwyczajnie go zjadło, w czasie gdy ja byłem w domu. Potem przyszło do kuchni. Udawało, że jest moim ojcem. Ale to nie jest mój ojciec. „To” zabiło go i pożarło wnętrzności.

Przez moment Peretti milczał.

– Coś ci powiem – odezwał się nagle. – Słyszałem już kiedyś podobną historię. To ciemne sprawy. Trzeba dobrze ruszać głową i nie dać się zastraszyć. Chyba się nie boisz, co?

– Nie – zdołał wybąkać Charles.

– Przede wszystkim musimy ustalić, w jaki sposób możemy „to” zabić. – Potrząsnął pistoletem. – Nie wiem, czy ta moja pukawka wystarczy. Musi być bardzo silne, skoro poradziło sobie z twoim ojcem. Był przecież wysoki i dobrze zbudowany. – Peretti zastanawiał się. – Lepiej się stąd zrywajmy. „To” może przecież wrócić. Mówią, że tak właśnie postępuje morderca.

Wyszli z garażu. Peretti przykucnął i jeszcze raz zerknął przez okno do wnętrza. Pani Walton wstała. Mówiła coś, bardzo zaniepokojona. Ze środka przenikały na zewnątrz tylko niewyraźne dźwięki. Sobowtór ojca rzucił gazetą. Zaczęli się kłócić.

– Na miłość boską! – krzyczało alter ego. – Nie rób głupstw.

– Coś jest nie w porządku – żaliła się pani Walton. – Musiało się stać coś złego. Pozwól mi tylko zadzwonić do szpitala i sprawdzić, czy tam go nie ma.

– Nie trzeba do nikogo wydzwaniać. Na pewno nic mu się nie stało. Prawdopodobnie bawi się gdzieś na ulicy.

– Nigdy wcześniej nie zostawał do późna na dworze. Zawsze był bardzo posłuszny. Dopiero dzisiaj popadł w przygnębienie... bał się ciebie! Nie mogę go za to winić. – Jej głos załamał się. – Co się z tobą dzieje? Jesteś jakiś dziwny. – Wyszła z pokoju na korytarz. – Zadzwonię do sąsiadów i popytam.

Ojcowski alter ego patrzyło za nią gniewnie, dopóki nie zniknęła z pola widzenia. Następnie zdarzyło się coś niesamowitego. Charles aż się zachłysnął ze zdumienia. Nawet Peretti nie mógł złapać tchu.

– Spójrz – wymamrotał Charles. – Co...

– O Boże! – krzyknął Peretti. Jego czarne oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

Gdy tylko pani Walton wyszła z pokoju, alter ego opadło na fotel jak worek. Zupełnie zwiotczało. Otworzyło bezwiednie usta. Oczy patrzyły tępo przed siebie. Głowa opadła bezwładnie do przodu, jakby należała do porzuconej w kącie szmacianej lalki.

Peretti odwrócił się od okna.

– A więc to tak – szepnął. – Na tym to polega.

– O co tu chodzi? – dopytywał się natarczywie Charles. Był zszokowany i zdumiony. – Wygląda, jakby mu ktoś wyłączył zasilanie.

– Właśnie – Peretti skinął głową, był pośepny i wstrząśnięty. – Ktoś tym steruje z zewnątrz.

Charles poczuł, że napełnia go groza.

– Myślisz, że kieruje nim ktoś spoza tego świata?

Peretti pokręcił głową, okazując zniecierpliwienie.

– Ktoś, kto znajduje się na zewnątrz, poza domem! Gdzieś na podwórzu. Wiesz, jak go odszukać?

– Nie za bardzo. – Charles zastanawiał się chwilę. – Znam jednak kogoś, kto jest dobry w odnajdywaniu różnych rzeczy. – Usiłował przypomnieć sobie nazwisko. – Już wiem, nazywa się Bobby Daniels.

– Ten Murzynek? Rzeczywiście jest taki świetny?

– Najlepszy.

– No, dobra – powiedział Peretti. – Chodźmy więc po niego. Musimy odnaleźć tę rzecz, która steruje wszystkim. To coś stworzyło sobowtóra twojego taty i teraz nim kieruje...

– Trzeba szukać w pobliżu garażu – powiedział Peretti do czarnego chłopca o szczupłej twarzy, który przysiadł skulony obok nich w ciemnościach. – Kiedy „to” złapało tatę Charlesa, akurat coś tam robił.

– W samym garażu? – zapytał Daniels.

– Niedaleko. Walton już szukał w środku. My musimy zacząć na zewnątrz. Gdzieś w okolicy.

Przy garażu znajdowała się nieduża rabatka, wielka kępa bambusów i nie wywiezione sterty śmieci, zwalone pomiędzy garażem a tylną ścianą domu. Nie niebie ukazał się księżyc. Jego zimne i zamglone światło spowijało wszystko dookoła.

– Jeżeli zaraz tego nie znajdziemy – powiedział Daniels – będę musiał wracać do domu. Nie mogę tak długo zostawać na dworze. – Był niewiele starszy od Charlesa. Miał nie więcej niż dziewięć lat.

– W porządku – oświadczył Peretti. – Zabierajmy się więc do roboty.

Cała trójka rozeszła się i z wielką uwagą zaczęła przeczesywać teren. Daniels pracował z niewiarygodną szybkością. Jego chude, drobne ciało poruszało się niezwykle zwinnie. Wczołgiwał się pomiędzy kwiaty, zaglądał pod kamienie, badał fundamenty domu, rozchyłał zarośla, ze znanstwem przejeżdżał dłonią po liściach i łodygach roślin złożonych na kompost, szperał po różnych kątach porośniętych zielskiem i chwastami. Nie przeoczył niczego.

Peretti wkrótce zaniechał poszukiwań.

– Będę stał na straży – oświadczył. – Na wypadek, gdyby zrobiło się niebezpiecznie. To coś, co udaje twojego ojca, może tu w każdej chwili nadejść i próbować nas powstrzymać.

Usadowił się na stopniach z tyłu domu i czekał z pistoletem gotowym do strzału, podczas gdy Charles i Bobby Daniels kontynuowali poszukiwania. Charles pracował powoli. Był zmęczony, zmarznięty i odrętwiały. Wszystko zdawało mu się snem, czymś nierealnym: alter ego i to, co przytrafiło się ojcu, jego prawdziwemu ojcu. Nagle poraził go strach. A co będzie, jeżeli ten sam los spotka mamę lub jego samego? Może „to” zechce pożreć ich wszystkich. Opanować cały świat.

– Mam! – krzyknął Daniels cienkim, wysokim głosem. – Chodźcie wszyscy tutaj, prędko!

Peretti uniósł broń i ostrożnie wstał. Charles podbiegł do przodu. Oświetlił latarką miejsce, w którym stał Daniels.

Bobby podniósł kawałek betonu. Pośród wilgotnej, rozkładającej się próchnicznej ziemi światło latarki wydobyło z mroku jakiś połyskujący metalicznie kształt. Od szczupłego, podzielonego na segmenty korpusu odchodziła na boki nieskończona liczba nóg. Stwór zapamiętale przebierał zagiętymi haczykowato odnóżami, usiłując jak najszybciej skryć się w ziemi. Okrywała go powłoka podobna do tej, jaką mają mrówki. Był rudobrazowy i przypominał bezskrzydłego owada. Stwór w szalonym tempie zaczął znikać sprzed oczu. Rzędy nóg pracowały wytrwale, wiły się i zaciskały. Insekt z niesamowitą prędkością chował się pod ziemię. Groźnie wyglądający ogon uderzał wściekle na boki, gdy stwór pospiesznie starał się wcisnąć do korytarza, który przed chwilą sobie wygrzebał.

Peretti pognął do garażu i chwycił grabie. Wrócił błyskawicznie i przycisnął nimi ogon stwora. – Prędko, strzel do niego z pistoletu!

Daniels złapał pistolet i wymierzył. Już pierwszy strzał naderwał mu ogon, który zwisał zupełnie bezwładnie. Niektóre z nóg poodpadały. Owad wił się i skręcał przerażony. Był długi na stopę i przypominał ogromną stonogę. Desperacko próbował się schować do dziury w ziemi.

– Strzel jeszcze raz – polecił Danielsowi Peretti.

Chłopiec nieporadnie zaczął majstrować przy broni. Insekt zwijał się i syczał. Jego głowa co rusz wysuwała się gwałtownie do przodu i znowu chowała. Skręcał się, próbując ukąsić grabie, które przyciskały go do ziemi. Jego małe złośliwe oczka bluzgały nienawiścią. Przez chwilę walczył zupełnie bezskutecznie, usiłując wydostać się z potrzasku. Potem nagle, zupełnie nieoczekiwanie, konwulsyjnie wygiął cielsko. Na ten widok chłopcy odskoczyli od niego przerażeni.

Charles odniósł wrażenie, że słyszy jakiś przeraźliwy szum. Ostry, nieprzyjemny dźwięk przewiercał mu mózg, tak jakby ktoś nagle wprawił w ruch miliardy drutów, które drgały i wibrowały jednocześnie. Owa tajemnicza siła targnęła nim gwałtownie. Metaliczny trzask

rozszedł się falą i ogłuszył go. Przez chwilę stracił rozeznanie, co się z nim dzieje. Zachwiał się i zrobił krok do tyłu. Pozostali chłopcy uczynili dokładnie to samo. Ich twarze były śmiertelnie blade, drżeli na całym ciele.

– Jeśli nie daje się go zabić strzałem z pistoletu – sapał Peretti – to może uda się go utopić. Albo spalić. Albo przebić mu mózg jakimś ostrzem. – Usilnie starał się trzymać grabie i nie wypuścić spod nich insekta.

– W domu mam słoń formaldehydu – mruknął Daniels. Przez cały czas nerwowo majstrował coś przy pistolecie. – Jak to działa? Nie mogę sobie z tym...

Charles wyjął pistolet z rąk Bobby'ego.

– Ja go zabiję. – Przykucnął, zamknął jedno oko, wycelował i położył palec na spuście. Insekt miotał się i atakował. Pole siłowe, które wytworzył, brzęczało chłopcu w uszach, ale nie wypuszczał broni z rąk. Już miał pociągnąć za spust, gdy...

– Wystarczy, Charles – odezwał się sobowtór ojca. Mocne dłonie schwyciły chłopca i oplótły mu nadgarstki, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Pistolet upadł na ziemię. Charles szamotał się na próżno. Alter ego natarło na Perettego. Chłopak uskoczył, a wówczas insekt wywinął się i umknął spod grabi, chowając się czym prędzej w podziemnym tunelu.

– Czeka cię porządne lanie, Charles – powiedział sobowtór. – Co w ciebie wstąpiło? Twoja biedna matka odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

„To” musiało przez cały czas ukrywać się gdzieś w cieniu. Przycupnęło w ciemnościach, obserwując rozwój sytuacji. Jego beznamiętny, pozbawiony emocji głos – przerażająca parodia głosu ojca – grzmiał mu ciągle w uszach, gdy „to” zdecydowanie i nieustępliwie wlokło go w stronę garażu. Jego zimny oddech owionął mu twarz. Lodowaty, słodkawy odór przywodził mu na myśl zapach rozkładającej się ziemi. „To” miało ogromną siłę. Nic nie można było zrobić.

– Nie próbuj ze mną walczyć – powiedziało alter ego. – Pójdziemy teraz razem do garażu. To dla twojego własnego dobra. Już ja wiem, co dla ciebie najlepsze, Charles.

– Znalazłeś go? – z daleka dobiegło ich wołanie matki, która zaniepokojona stanęła w otwartych drzwiach prowadzących do ogrodu.

– Tak, mam go.

– Co chcesz z nim zrobić?

– Mam zamiar spuścić mu lanie. – Alter ego pchnęło w górę drzwi. – Zamkniemy się w garażu. – Na słabo oświetlonej twarzy sobowtóra pojawił się nikły uśmiech, ponury i zupełnie wyzbyty emocji. – Wracaj do domu, June. Ja się nim zajmę. To robota dla mnie. Ty nigdy nie lubiłaś wymierzać mu kary.

Matka Charlesa niechętnie zamknęła za sobą drzwi. Gdy tylko smuga światła zniknęła i wokół zapadły ciemności, Peretti schylił się i po omacku zaczął szukać pistoletu. Sobowtór

momentalnie znieruchomiał.

– Wracajcie do domu, chłopcy – odezwał się chrapliwym głosem.

Peretti nie mógł się zdecydować, nadal stał w miejscu, ściskając w dłoni broń.

– No już, zmykajcie – powtórzyło ojcowskie alter ego. – Odłóż tę zabawkę i wynoś się stąd. – „To” ruszyło wolno w stronę przerażonych dzieci, jedną ręką trzymając Charlesa, a drugą wyciągając w kierunku Perettiego. – Posiadanie broni tego typu jest nielegalne, chłopcze. Ciekawe, czy twój ojciec wie, że trzymasz coś takiego. To niezgodne z rozporządzeniem władz miasta. Lepiej oddaj mi tę pukawkę, zanim...

Peretti strzelił mu prosto w oko.

Sobowtór jęknął i zakrył okaleczone miejsce ręką. Nagle zaatakował Perettiego, uderzając na oślep. Chłopak zaczął uciekać po podjeździe, próbując odbezpieczyć pistolet. Alter ego rzuciło się na niego. Potężne i silne dłonie wyrwały broń z rąk chłopca. Bez słowa sobowtór rozwalil pistolet, uderzając nim o ścianę domu.

Charles wyswobodził się z uścisku i cały odrętwiały ponowił próbę ucieczki. Gdzie mógłby się ukryć? „To” odcinało mu drogę do domu. Już po chwili podążało jego śladem. Czarny kształt ostrożnie przesuwiał się do przodu, usiłując przebić wzrokiem ciemności i wypatrzeć chłopca. Charles cofnął się. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakąś kryjówkę...

Bambus.

Prędko wczołgał się pomiędzy bambusowe pędy. Były ogromne i stare. Zamknęły się za chłopcem, szeleszcząc przy tym cicho. Alter ego szukało czegoś w kieszeni. Zapaliło najpierw jedną zapalniczkę, a potem całą wiązkę.

– Charles – powiedziało. – Wiem, że gdzieś tu jesteś. Przestań się ukrywać, to nie ma sensu. Niepotrzebnie komplikujesz tylko sprawę.

Serce Charlesa waliło jak oszalałe. Chłopiec siedział skulony pomiędzy pędami bambusa. Czuł zapach rozkładających się resztek i zgnilizny. Chwasty, śmieci, papiery, pudła, stare ubrania, deski, puszki, butelki. Tuż obok przebiegały pająki i salamandry. Bambus chwiał się lekko, kołysany nocnym wiatrem. Wszędzie tylko robactwo i brud.

I jeszcze coś.

Jakiś kształt. Niemy, zupełnie nieruchomy kształt wyłaniający się z mroków nocy. Wyrastał ze sterty śmieci, podobny do odrażającego grzyba. Biała nóżka oraz mięsista, gąbczasta masa, lśniąca od wilgoci w świetle księżycy. Grzyb opleciony był pajęczynami, przypominał pokryty pleśnią kokon. Miał niewyraźne, jakby nie do końca ukształtowane ramiona i nogi. Na wpół uformowaną głowę. Nie w pełni wykształcone rysy twarzy. A jednak Charles bez trudu mógł odgadnąć, co to było.

Sobowtór jego własnej matki. Rósł sobie spokojnie tutaj, w otoczeniu brudu i wilgoci, pomiędzy garażem a ścianą domu. Schowany za olbrzymią kępą bambusów.

Był już prawie w pełni uformowany. Jeszcze kilka dni i osiągnąłby dojrzałość. Na razie to jeszcze larwa, biała, miękka i galaretowata. Słońce wkrótce by ją osuszyło i ogrzało. Usztyniło zewnętrzną powłokę. Opaliło i wzmocniło. W końcu larwa opuściłaby kokon i któregoś dnia, gdy matka znalazłaby się w pobliżu garażu... Tuż za alter ego matki znajdowały się inne białe larwy, całkiem niedawno wyklute z jaj złożonych tu przez wielkiego insekta. Małe. Jeszcze słabo rozwinięte. Charles znalazł również miejsce, w którym wcześniej przebywało alter ego jego ojca. Właśnie tu rośło i dojrzewało. Aż w końcu ojciec spotkał je w garażu.

Charles, cały skostniały, rzucił się do ucieczki. Biegł pomiędzy butwiejącymi deskami, kupami gruzu i śmieci oraz mięsistymi, podobnymi do grzybów larwami. Bardzo już wyczerpany dotarł do płotu, chwycił się sztachet i... osunął się na ziemię.

Dostrzegł jeszcze jedną. Kolejną larwę. Z początku jej nie zauważył. Nie była biała, tak jak inne, ale już w pełni przeistoczona. Zdążyła przybrać ciemny kolor. Lekko drżała, delikatnie poruszała ramionami. Pajęczyny, gąbczasta miękkość, warstewka wilgoci – wszystko zniknęło.

Był to jego własny sobowtór.

Pędy bambusa rozchyliły się i ojcowskie alter ego żelaznym uściskiem chwyciło chłopca za nadgarstki.

– Zostań tu – powiedziało. – Wybrałeś doskonałe miejsce. Dobrze trafiłeś. Nie ruszaj się. – Drugą ręką zaczęło zdzierać resztę kokonu, który okrywał alter ego Charlesa. – Pomogę mu – powiedziało. – Wciąż jeszcze jest słabe.

Po chwili opadły ostatnie strzępy szarego, wilgotnego kokonu i ze środka wynurzył się sobowtór Charlesa. Poruszał się trochę niepewnie, szedł chwiejnym krokiem, zataczając się na boki. Ojcowskie alter ego torowało mu drogę między bambusami, ułatwiając dotarcie do chłopca.

– Tędy – powiedziało. – Przytrzymam ci go. Gdy się już pożywisz, będziesz mocniejszy.

Usta nowego alter ego otwierały się i zamykały. Chciwie i zachłannie wyciągało ręce w kierunku Charlesa. Chłopiec szarpnął gwałtownie, próbując się wyrwać, ale olbrzymia łapa ojcowskiego alter ego trzymała go nadal w żelaznym uścisku.

– Lepiej się uspokój, młody człowieku – zażądało. – Będzie lepiej dla ciebie, jeśli...

Nagle ojcowskie alter ego krzyknęło, cofnęło się i wypuściło Charlesa. Zaczęło zwijać się w konwulsjach, ciałem wstrząsnęły drgawki. Uderzyło z impetem o drzwi garażu, gwałtownie poruszając rękami i nogami. Przez jakiś czas tarzało się po ziemi i miotało w agonii. Skomlało i jęczało, próbując odczołgać się gdzieś dalej. Stopniowo wyciszyło się i uspokoiło. Alter ego Charlesa opadło miękko i bezgłośnie na ziemię. Spoczywało pomiędzy pędami bambusa i gnijącymi resztkami. Było zupełnie wiotkie, a na jego twarzy malowała się pustka. W końcu „to” przestało się poruszać. Słychać było jedynie delikatny szelest bambusowych pędów kołyszających się nocą na wietrze.

Charles nieporadnie wstał. Wyszedł na betonowy podjazd. Tam spotkał Perettiego i Danielsa.

Oczy mieli szeroko otwarte ze zdumienia i zachowywali się bardzo ostrożnie.

– Nie zbliżaj się znowu – polecił ostro Daniels. – Jeszcze żyje. To chwilę potrwa.

– Co zrobiliście? – wymamrotał Charles.

Daniels postawił na ziemi spryskiwacz, którego zasobnik wypełniony był naftą, i odetchnął z wyraźną ulgą.

– Znalazłem to w garażu. W naszej rodzinie zawsze używało się nafty do zwalczania plagi komarów, jeszcze gdy mieszkaliśmy w Wirginii.

– Daniels wlał naftę do podziemnego tunelu, w którym ukrył się ten wielki insekt – wyjaśnił Peretti, wciąż jeszcze nie posiadający się ze zdumienia. – To był jego pomysł.

Daniels kopnął wykręcone konwulsyjnie ciało ojcowskiego alter ego. – Już nie żyje. Zginął jednocześnie z insektem.

– W takim razie, te pozostałe larwy chyba również zginą – powiedział Peretti. Rozchylił pędy bambusa, żeby sprawdzić, co stało się z larwami dojrzewającymi pomiędzy stertami śmieci. Alter ego Charlesa nawet się nie poruszyło, gdy Peretti wbił w jego klatkę piersiową koniec kija. – Ta na pewno jest martwa – powiedział.

– Lepiej całkiem je zniszczmy – ponurym głosem odezwał się Daniels.

Dźwignął ciężki pojemnik napełniony naftą i przestawił go w pobliżu bambusa.

– Ten twój fałszywy ojciec upuścił na podjeździe zapalniczkę – powiedział do Charlesa. – Idź po nią, Peretti.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Nie ma sprawy – potulnie zgodził się starszy chłopak.

– Polejmy wszystko naftą – powiedział Charles. – Musimy mieć pewność, że je zniszczyliśmy.

– Bierzmy się do roboty – ponaglał Peretti.

Charles szybko podążył za nim i razem zaczęli szukać zapalniczek. Panujące wokół ciemności rozświetlał jedynie blask księżyca.

W lepszym świecie

Zbliżała się szósta, dzień pracy dobiegał końca. Mnóstwo statków pasażerskich przypominających z wyglądu latające talerze unosiło się w górę i odlatywało ze strefy przemysłowej ku rozciągającym się wokół miasta dzielnicom mieszkalnym. Flotyllę tych pojazdów, niczym roje ciem, przesuwały się po wieczornym niebie. Lekko i bezszelestnie przewoziły swych pasażerów w kierunku domów, gdzie czekała rodzina, ciepła kolacja i łóżko.

Don Walsh wszedł na statek jako trzeci. Pojazd miał więc komplet. Gdy tylko mężczyzna wrzucił monetę do automatu, latający talerz wzbił się w powietrze. Walsh usadowił się wygodnie, oparł o niewidzialną barierkę bezpieczeństwa i rozwinął popołudniową gazetę. To samo zrobili pozostali dwaj współpasażerowie, zajmujący miejsca naprzeciwko.

POPRAWKA HORNEYA ZARZEWIEM KONFLIKTU

Don zastanowił się przez chwilę nad wagą tej informacji. Opuścił gazetę nieco niżej, żeby nie targały nią prądy powietrzne opływające statek, i przeniósł wzrok na sąsiednią szpalnę.

PRZEWIDYWANA WYSOKA FREKWENCJA WYBORCZA

W PONIEDZIAŁEK CAŁA PLANETA DO URN

Na odwrotnej stronie znajdowała się codzienna dawka sensacji.

ŻONA ZABIJA MĘŻA W POLITYCZNEJ SPRZECZCE

I kolejny komunikat, który sprawił, że przeszły go ciarki. Mimo że takie wiadomości pojawiały się od czasu do czasu i były mu znane, zawsze budziły w nim niepokój.

BOSTON – TŁUM PURYSTÓW LINCZUJE NATURALISTĘ WYBITE SZYBY, ZNACZNE STRATY MATERIALNE

A zaraz obok następny nagłówek:

CHICAGO – TŁUM NATURALISTÓW LINCZUJE PURYSTĘ PODPALENIA I DUŻE STRATY MATERIALNE

Jeden ze współpasażerów mruczał coś pod nosem. Był to krzepki, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, o rudych włosach i pełnej, nalanej twarzy piwosza. Ni stąd, ni zowąd zmiął gazetę i wyrzucił ją na zewnątrz.

– Nie uda się im tego przegłosować! – krzyknął. – Zapłacą za to!

Walsh próbował koncentrować się na czytaniu, za wszelką cenę nie chciał brać udziału w dyskusji. Znowu wszystko zmierzało ku temu, czego najbardziej się obawiał. Spory na tle politycznym. Trzeci towarzysz podróży zmierzył rudego wzrokiem i kontynuował lekturę. Trwało to jedynie krótką chwilę.

Rudzielec zwrócił się do Walsh:

– Podpisał pan petycję Butte'a?

Gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni blok papieru myślącego i podsunął go Donowi pod sam nos.

– Powinien pan opowiedzieć się za wolnością, śmiało, proszę się nie bać i złożyć tu swój podpis.

Walsh ścisnął gazetę i nerwowo spoglądał w dół. Poniżej ciągnęły się dzielnice mieszkaniowe Detroit – za chwilę będzie w domu.

– Dziękuję – wymamrotał – ale nie jestem zainteresowany.

– Daj mu pan spokój – odezwał się trzeci pasażer – przecież widać, że on wcale nie chce tego podpisywać.

– A pan czego się wtrąca? – ostro zareagował rudowłosy.

Przysunął się bliżej do Walsh'a i uparcie podtykał mu petycję. Nastawiony był niezwykle wojowniczo.

– Posłuchaj, przyjacielu. Wiesz, co czeka ciebie i twoją rodzinę, gdy oni przeforsują ten swój projekt? Łudzisz się, że będziesz bezpieczny? Obudź się, stary. Jeżeli Poprawka Horneya przejdzie, to po wolności i swobodach obywatelskich nie zostanie ani śladu.

Szpakowaty jegomość, który do tej pory pochłonięty był lekturą, odłożył na bok gazetę. Smukły, elegancko ubrany, wyglądał na człowieka o szerokich horyzontach.

– Pan to chyba jest naturalistą, wystarczy powąchać – wycedził, zdejmując okulary.

Rudy zmierzył go wzrokiem. Zauważył plutonowy kastet na szczupłej dłoni mężczyzny. Taki drobiazdek mógłby pogruchotać szczękę.

– A ty coś za jeden? Cacany purysta, co?

Udał, że spluwa z obrzydzeniem, a potem zwrócił się do Dona.

– Posłuchaj, kochany, chyba wiesz, o co chodzi tym purystom. Chcą z nas zrobić degeneratów. Zmienić w bandę zniewieściałych bubków. Jeżeli Bóg stworzył świat takim, jakim go widzimy – mnie to całkowicie zadowala. Występując przeciwko naturze, sprzeciwiają się również Bogu. Ta planeta osiągnęła swoją świetność dzięki prawdziwym ludziom, z krwi i kości,

którzy nie wstydzili się swoich ciał i byli dumni z tego, jak wyglądają i pachną.

Grzmotnął dłonią w swoją zwalistą klatkę piersiową.

– Jak mi Bóg miły! Jestem naprawdę dumny ze swego zapachu!

Zrozpaczony Walsh zaczął się plątać.

– Ja... – mamrotał pod nosem. – Niestety, nie mogę tego podpisać.

– Bo już podpisałeś?

– No... nie.

Na nalanej twarzy rudowłosego pojawił się wyraz podejrzliwości. Wzbierał w nim gniew.

– Jesteś więc za Poprawką Horneya? Czyżbyś chciał być świadkiem upadku naturalnego porządku tego...

– Właśnie wysiadam... – przerwał mu Walsh. Pospiesznie nacisnął guzik: „Przystanek na żądanie”. Pojazd zbliżał się do lądowiska. Z góry osiedle przypominało szereg białych kostek ustawionych na zielono-brązowym zboczu wzgórza.

– Nie tak szybko, przyjacielu. – Gdy statek dotykał płyty lądowiska, rudzielec chwycił Walsha za rękaw, co nie wróżyło niczego dobrego. W pobliżu parkowały rzędy pojazdów naziemnych, w których żony czekały na swych mężów, ażeby zabrać ich do domu.

– Twoja postawa mi się nie podoba. Boisz się odważnie głosić własne przekonania? Wstydziś się swojej rasy? Na Boga, co z ciebie za mężczyzna, skoro...

W tym momencie szczupły, szpakowaty oponent rudego zdzielił go kastetem z plutonu, a wówczas uścisk krępujący ramię Walsha zelżał. Petycja upadła na podłogę, a dwóch zwolenników przeciwstawnych idei wszczęło zacieklą walkę, zachowując całkowite milczenie.

Don odchylił barierkę i wyskoczył ze statku. Pokonał trzy stopnie w dół i znalazł się na wyłożonym żużlobetonem parkingu. W szarości zapadającego zmierzchu dostrzegł auto żony. Betty siedziała zapatrzona w ekran telewizorka wbudowanego w deskę rozdzielczą, zupełnie nieświadoma obecności męża i toczącej się tuż obok walki.

– Bydlę! – odezwał się w końcu szpakowaty mężczyzna. – Ty śmierdzący zwierzaku! – dorzucił jeszcze, prostując się i ciężko dysząc.

Półprzytomny zwolennik naturalizmu leżał oparty o barierkę bezpieczeństwa.

– Przeklęty... zniewieściały bubek! – wystękał z trudem.

Szpakowaty purysta włączył przycisk „start”; statek oderwał się od ziemi i powoli unosił się w górę. Walsh stał na dole i zadowolony machał ręką na pożegnanie.

– Dzięki! – krzyknął do swego wybawiciela. – Bardzo mi pan pomógł! – dodał, wyrażając w ten sposób wdzięczność.

– Drobiazg – z uśmiechem odparł szpakowaty triumfator, obmacując swój złamany ząb. Jego głos był coraz cichszy w miarę, jak pojazd nabierał wysokości. – Zawsze chętnie pomogę koledze, każdemu z nas... – ostatnie słowa ledwie dotarły do uszu Walsha – ...nas purystów.

– Nie jestem purystą – na próżno wołał za nim Don. – Ani naturalistą, rozumiecie?!
Ale nikt go już nie słyszał.

– Nie jestem ani jednym, ani drugim – mamrotał pod nosem Walsh, pałaszując żeberka z ziemniakami i gotowaną kukurydzą. – Nie chcę się opowiedzieć za żadną z tych możliwości. Dlaczego koniecznie muszę należeć do którejś ze stron? To już nie można mieć własnych poglądów?

– Jedz, kochanie, bo obiad ci stygnie – odezwała się półgłosem Betty.

Przez cienkie ściany ich niewielkiej, jasno oświetlonej jadalni słychać było szcęk naczyń kuchennych i odgłosy rozmów dobiegające z sąsiednich mieszkań. Towarzyszył temu ryk nastawionych na cały regulator telewizorów, głośny szmer lodówek i kuchenek, a także brzęczenie klimatyzatorów i grzejników. Po drugiej stronie stołu siedział Carl – brat Betty, który pochłaniał drugą porcję dymiącego jeszcze jedzenia. Obok niego piętnastoletni Jimmy, syn Walsh, przeglądał broszurowe wydanie *Finnegans Wake* Joyce’a, zakupione na dole, w sklepie, gdzie zaopatrywało się całe osiedle.

– Nie czyta się przy stole – upomniał syna Walsh.

Jimmy podniósł wzrok znad lektury.

– Daj spokój, tato. Dobrze znam regulamin naszego osiedla. Na sto procent nie ma tam żadnej wzmianki na ten temat. A w ogóle, muszę zdążyć to przejrzeć jeszcze przed wyjściem.

– Dokąd się wybierasz, synku? – spytała Betty.

– Sprawy wewnętrzpartyjne – wymijająco odparł Jimmy. – Więcej nie mogę wam zdradzić. Don próbował zająć się jedzeniem i uspokoić myśli, które kłębiły się w jego głowie.

– W drodze do domu – powiedział – byłem świadkiem bójki.

– Kto wygrał? – syn przejawiał zainteresowanie.

– Purysta.

Blask dumy opromienił oblicze chłopca. W Lidze Młodych Purystów Jimmy doszedł bowiem do stopnia sierżanta.

– Tato, najwyższy czas, abys i ty się zapisał. Będiesz mógł wtedy głosować. Wybory są już w najbliższy poniedziałek.

– Nie omieszkam wziąć w nich udziału.

– Mogą pójść do nich tylko członkowie jednej lub drugiej partii.

Jimmy mówił prawdę. Walsh odwrócił od niego wzrok i pełen najgorszych przeczuć pomyślał o przyszłości. Oczyma wyobraźni widział siebie wmieszanego w kolejne, godne pożalowania utarczki, podobne do dzisiejszej. Raz dopadną go naturaliści, a kiedy indziej znów banda rozwścieczonych purystów (jak to się zdarzyło w poprzednim tygodniu).

– Zdajesz sobie sprawę – wtrącił szwagier – że zachowując pasywną postawę, chcąc nie

chcąc, pomagasz purystom.

Odbiło mu się, po czym z zadowoleniem odsunął od siebie pusty talerz i kontynuował:

– Takich jak ty nazywamy w naszej partii biernymi propurystami. A tobie, zarozumiały smarkaczu – spiorunował Jimmy’ego wzrokiem – gdybyś tylko był pełnoletni, natychmiast wygarbowałbym skórę!

– Proszę – westchnęła Betty. – Chociaż raz przestańcie się spierać przy stole i nie rozprawiajcie o polityce. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy będzie już po wyborach.

Carl i Jimmy spojrzeli na siebie złowrogo i zachowując czujność, powrócili do jedzenia.

– Powinieneś siedzieć w kuchni – odezwał się ponownie Jimmy. – Wśród garów. Tam jest twoje miejsce. Popatrz na siebie – cały jesteś spocony. Jak już przepchniemy tę poprawkę, będziesz musiał coś ze sobą zrobić, no chyba że wolisz trafić do pudła. – Uśmiechnął się szyderczo.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

– Parszywe gnojki! Nigdy wam się nie uda jej przeforsować!

Napuszonej odżywcce Carla brakowało jednak przekonania. Naturaliści zaczęli się bać. Purystom udało się już zdominować Radę Federalną. Jeżeli wybory poszłyby po ich myśli, przestrzeganie pięciopunktowego kodeksu purystów dotyczyłoby wszystkich obywateli.

– Nikt nie ma prawa wycinać mi gruczołów potowych – grzmiał Carl. – Nigdy nie zgodzę się, by kontrolowano świeżość mojego oddechu, wybielano mi zęby czy zagęszczano owłosienie. Brudzenie się, łysienie, tycie i starzenie się to naturalne procesy nieodmiennie towarzyszące ludzkiej egzystencji.

– Czy to prawda, że stałeś się biernym propurystą? – zwróciła się Betty do męża.

Walsh ze złością wbił widelec w żeberka, których resztki pozostały mu jeszcze na talerzu.

– Nie należę do żadnej z dwóch partii, więc obie strony coś mi przypisują: jedna nazywa mnie biernym propurystą, a druga biernym pronaturalistą. Oba te określenia znoszą się wzajemnie. Jeżeli dwie przeciwstawne sobie partie uważają mnie za swego wroga, to znaczy, że naprawdę nie jestem wrogiem żadnej z nich. Ani też przyjacielem – dodał po chwili.

– Wy, naturaliści, nie potraficie podjąć wyzwań przyszłości, przed jakimi stoi nasza planeta – powiedział Jimmy do wujka. – Co takiego możecie zaoferować młodzieży, komuś takiemu jak ja? Zezwierzęcenie, życie w jaskiniach i żywienie się surowym miechem? Tworzycie antycywilizację.

– Puste frazesy – bronił się Carl.

– Chcielibyście, żebyśmy znowu wiedli prymitywny żywot, stracili zdolność do funkcjonowania w wysoko zorganizowanym społeczeństwie. – Jimmy wyciągnął przed siebie chudy palec i z przejęciem wymachiwał nim tuż przed nosem wuja. – Kierują wami pierwotne odruchy!

– Zaraz dam ci popalić – charczał Carl, na wpół unosząc się z krzesła. – Wy, purystowskie siuśmajtki, nie macie za grosz szacunku dla starszych.

Chłopiec zarechotał przeraźliwie.

– Tylko byś spróbował. Za napaść na nieletniego grozi pięć lat więzienia. No, śmiało – wal!

Don Walsh z trudem wstał i ciężkim krokiem opuścił jadalnię.

– A ty dokąd? – rzuciła za nim poirytowana Betty. – Jeszcze nie skończyłeś jeść.

– Przyszłość należy do młodych – uświadamiał Carla Jimmy. – A młodzi tej planety stoją murem za purystami. Nie macie żadnych szans. Nadchodzi rewolucja purystowska.

Don wyszedł z mieszkania i zdążył głównym korytarzem w kierunku zejścia na niższą kondygnację. Po obu stronach mijał rzędy zamkniętych drzwi. Zewsząd dobiegał go hałas, w mieszkaniach paliły się światła i toczyło się normalne życie. Przemknął obok skrytej w ciemnościach pary nastolatków zatraconych w miłosnym uniesieniu i znalazł się przy schodach. Na moment zatrzymał się, a po chwili zdecydowanym krokiem ruszył ku najniższemu poziomowi budynku.

Na dole było pusto, wiało chłodem i wilgocią. Odgłosy współmieszkańców ledwie tu dochodziły, odbijając się słabym echem od betonowego sufitu. Walsh napawał się ciszą i samotnością. Zatopiony w myślach minął po drodze sklep spożywczy i pasmanterię, w których wygaszono już światła, drogerię i sklep z alkoholami, pralnię, aptekę, dwa gabinety: dentystyczny oraz lekarski, aż wreszcie dotarł pod przeszklone drzwi poczekalni osiedlowego psychoanalityka.

W półmroku dostrzegł jego nieruchomą sylwetkę. Psychoanalityk znajdował się w swoim gabinecie, nikomu nie udzielał konsultacji, z nikim nie rozmawiał. Miał wyłączony obwód zasilania. Walsh zawahał się, po czym przeszedł przez bramkę kontrolną odgradzającą poczekalnię od gabinetu i zapukał do drzwi. Natychmiast zapaliły się światła. Jego obecność spowodowała automatyczne uruchomienie robota, który wyprostował się i unióś z fotela. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Don! – zawołała maszyna. – Zapraszam do środka.

Wszedł ciężkim krokiem i usiadł.

– Przyszedłem do ciebie, Charley, żeby porozmawiać – wyjaśnił.

– Dobrze zrobiłeś – robot wychylił się nieco do przodu i spojrzał na zegar stojący na masywnym mahoniowym biurku. – Ale czy to nie pora obiadu?

– No, tak – przyznał Walsh. – Ale nie jestem głodny. Chyba pamiętasz, Charley, o czym rozmawialiśmy poprzednim razem... Przypominasz sobie, co mówiłem? Na pewno wiesz, co mnie gnębi.

– Ależ oczywiście, Don. – Robot rozsiadł się wygodnie w obrotowym fotelu, łokcie familiarnym gestem oparł o biurko, starając się stworzyć klimat zaufania, i z uwagą przyglądał

się pacjentowi. – Jak minęły ci ostatnie dni?

– Nie za dobrze, Charley. Muszę w końcu coś zdecydować. Przyszedłem z tym problemem do ciebie, bo jesteś bezstronny.

Walsh spojrział w quasi-ludzką twarz psychoanalityka, wykonaną z metalu i plastiku.

– Ty potrafisz ocenić wszystko obiektywnie. Czy wstępowanie do którejś z tych partii ma jakikolwiek sens? Te ich slogany i propagandowa wrzawa są takie beznadziejnie... głupie. Jak można, do diabła, tak bardzo się ekscytować stanem swojego uzębienia albo tym, czy się pocimy, czy też nie? Ludzie są skłonni zabijać się z powodu takich błaheństw... Przecież to absurd. Jeżeli ta poprawka zostanie przyjęta, grozi nam samobójcza wojna domowa, a wszyscy chcą, bym się zadeklarował i przyłączył do którejś ze stron.

Charley pokiwał głową.

– Rozumiem cię, Don.

– Czy od dzisiaj mam zacząć walić przypadkowe osoby po głowach tylko dlatego, że nieodpowiednio pachną? Zaczepiać ludzi skądinąd zupełnie mi obcych? Nie mogę się na to zgodzić. Odmawiam współpracy. Czemu nie zostawią mnie w spokoju? Nie wolno mi mieć własnych poglądów? Dlaczego trzeba uczestniczyć w tym... szaleństwie?

Psychoanalityk uśmiechnął się wyrozumiale.

– Trochę przesadziłeś, Don. Izolujesz się od społeczeństwa, odżegnujesz od jego kultury, ignorujesz akceptowane w nim normy postępowania – wydają ci się błahe i nieistotne. A przecież żyjesz wśród ludzi tworzących zorganizowaną społeczność. Nie wolno doprowadzać do takiej alienacji.

Walsh próbował rozluźnić zaciśnięte dłonie.

– Jestem odmiennego zdania. Jeżeli ktoś chce pachnieć potem, ma do tego prawo. Jeśli nie, powinien się poddać operacji wycięcia gruczołów potowych. Czy to nie jest dobre rozwiązanie?

– Don, unikasz sedna sprawy.

Głos robota był spokojny, pozbawiony emocji.

– To, co powiedziałeś, sprowadza się do stwierdzenia, że żadna ze stron nie ma racji. To chyba niezbyt mądry wniosek, nie sądzisz? Ktoś przecież musi mieć rację.

– Niby dlaczego?

– Bo trzeciej drogi nie ma. Twoje stanowisko... to jedynie unik. Widzisz, Don, nie potrafisz poradzić sobie z tym wyzwaniem. Nie chcesz się opowiedzieć po żadnej stronie, bo paraliżuje cię strach, że zostaniesz zniewolony i utracisz swoją niezależność. Chciałbyś, aby twój umysł pozostał czysty i nietknięty.

Walsh zamyślił się.

– Ja tylko pragnę być sobą.

– Ależ, Don, nie jesteś przecież samotną wyspą. Należysz do społeczeństwa... idee nie są

zawieszono w próżni.

– Mam prawo do własnych przekonań.

– To nie tak, Don – łagodnym głosem odpowiedział robot. – Żadne idee nie są tak naprawdę twoje, bo nie ty je stworzyłeś. Nie możesz nimi dowolnie żonglować, ilekroć przyjdzie ci na ochota. Jesteś tylko ich przekazicielem... a one wypadkową warunków, w jakich przychodzi nam żyć. To, co uważasz za swoje przekonania, jest jedynie odbiciem określonych procesów społecznych i rozmaitych tarć. W twoim wypadku dwa wykluczające się wzajemnie trendy doprowadziły do impasu. Utknąłeś w martwym punkcie, walczysz sam ze sobą... Nie potrafisz się zdecydować, kogo powinieneś poprzeć, bo każda z tych ideologii wywarła na ciebie pewien wpływ. – Robot pokiwał głową ze zrozumieniem. – W końcu jednak będziesz musiał dokonać wyboru. Zażegnać ten wewnętrzny konflikt i przystąpić do działania. Nie możesz pozostać biernym widzem... trzeba włączyć się w bieg zdarzeń. Nie da się przejść przez życie jedynie w charakterze obserwatora... tak to już jest.

– Chcesz przez to powiedzieć, że poza zębami, potem czy stanem owłosienia niczym więcej nie powinniśmy zwracać sobie głowy?

– Logicznie rzecz ujmując, na pewno istnieją jakieś inne społeczności. Ale ty urodziłeś się i wychowałeś w tym środowisku... i tak już pozostanie. Jeżeli doprowadzisz siebie do całkowitego wyalienowania, zginiesz.

Don wstał.

– Innymi słowy, powinienem się dostosować. Ktoś musi ustąpić i tym kimś mam być właśnie ja.

– To chyba jedyne wyjście. Byłoby niedorzecznością oczekiwać, że świat dostosuje się do ciebie. Trzy i pół miliarda ludzi musiałoby zmienić poglądy tylko po to, żeby zadowolić Dona Walsha. Widzisz, w głębi duszy nadal pozostałeś samolubnym dzieckiem. Nie potrafisz dorosnąć na tyle, by móc stawić czoło rzeczywistości. Ale z czasem ci się to uda – robot uśmiechnął się.

Walsh w nie najlepszym nastroju zbierał się do wyjścia.

– Pomyślę o tym.

– Zrób to dla własnego dobra, Don.

W drzwiach Walsh chciał się jeszcze odwrócić, aby coś dodać, ale robot już nie działał. Zatopił się w milczeniu i ciemnościach, wciąż oparty łokciami o biurko. W blasku gasnących świateł Don dostrzegł jeszcze coś, czego wcześniej nie zauważył. Do kabla zasilania, tej pępowiny maszyny, przyczepiono kawałkiem drutu białą plakietkę. W półmroku odczytał drukowany napis:

WŁASNOŚĆ RADY FEDERALNEJ TYLKO DO UŻYTKU PUBLICZNEGO

Psychoanalityk, podobnie zresztą jak całe osiedle, stanowił część ogólnospołecznego systemu kontroli. Był wytworem państwa, biurokratą mającym własny gabinet i stanowisko. Jego rola polegała na godzeniu ze światem i społeczeństwem takich właśnie osób jak Don Walsh.

Jeżeli jednak nie chciał iść za radą osiedlowego psychoanalityka, to do kogo powinien się zwrócić? Gdzie miałby się udać?

Trzy dni później odbyły się wybory. Krzykliwe nagłówki gazet obwieściły mu to, co i tak od dawna wiedział; w biurze przez cały dzień aż huczało od nowin. Schował gazetę do kieszeni płaszcza i nie sięgnął po nią aż do chwili, gdy znalazł się w domu.

PRYZGNIATAJĄCE ZWYCIĘSTWO PARTII PURYSTOWSKIEJ. POPRAWKA HORNEYA NIEZAGROŻONA

Walsh ciężko opadł na krzesło. Żona uwijała się przy obiedzie. W kuchni swojsko brzękały naczynia, a zapach gotowanych potraw niósł się po niedużym, jasnym mieszkaniu, przyjemnie drażniąc nozdrza.

– Puryści wygrali – oznajmił Don, gdy Betty pojawiła się obładowana sztucami i talerzami.
– To już koniec.

– Jimmy będzie się cieszył – odparła wymijająco. – Ciekawe, czy Carl zdąży na obiad. – A ciszej dodała: – Może powinnam skoczyć dokupić trochę kawy.

– Niczego nie rozumiesz? – zdenerwował się Walsh. – Stało się! Puryści zdobyli pełnię władzy!

– Owszem, rozumiem – odburknęła Betty. – Nie musisz tak krzyczeć. Podpisywałeś tę... no, wiesz, petycję Butte'a, pod którą naturaliści zbierali podpisy?

– Nie.

– I chwała Bogu. Wiedziałam, że tego nie zrobisz. Ty nigdy nie zwracasz uwagi na to, co ludzie nachalnie podtykają ci pod nos. – Stała w drzwiach. – Mam nadzieję, że Carl zachował dosyć zdrowego rozsądku, by coś ze sobą zrobić. Nie podobało mi się, że ciągle tylko żłopał piwo i cuchnął, nie przymierzając, jak ten wieprz.

Drzwi do mieszkania otworzyły się i do środka wpadł Carl, czerwony na twarzy, spoglądający wokół spode łba.

– Dla mnie nie nakładaj, Betty. Mamy zebranie nadzwyczajne. – W przelocie spojrzął na Dona. – Jesteś zadowolony? Jakbyś przyłożył rękę do słusznej sprawy, to może nie doszłoby do tego.

– Jak szybko poprawka zostanie przegłosowana? – zapytał Walsh.

– Już to zrobiono – Carl wybuchnął nerwowym śmiechem.

Porwał z biurka stertę papierów i upchnął je wszystkie w otworze zsypu na śmieci.

– W kwaterze głównej purystów mamy swoich informatorów. Nowi członkowie Rady Federalnej zaraz po zaprzysiężeniu przegłosowali poprawkę. Chcą nas zaskoczyć, ale my się nie damy.

Drzwi trzasnęły. Z korytarza dobiegał odgłos oddalających się pospiesznie kroków.

– Dotąd nigdy nie widziałam, żeby mój brat tak żwawo się poruszał – zauważyła ze zdumieniem Betty.

Ciężki stukot butów, który wciąż dochodził z korytarza, wprowadził Walsh'a w przerażenie. Carl szybko wyszedł z budynku i wszedł do auta. Silnik zaryczał i pojazd naziemny szwagra natychmiast się oddalił.

– Boi się – odezwał się Don. – Grozi mu niebezpieczeństwo.

– Myślę, że da sobie radę. Nie jest przecież dzieckiem.

Drżącymi dłońmi Walsh zapalił papierosa.

– Sądzę, że mimo wszystko może mieć problemy, i to spore. Chociaż wydaje się to dość niewiarygodne, że puryści skrupulatnie zaczną wypełniać wszystkie swoje postulaty. Jak można było przegłosować taką poprawkę, zmuszać wszystkich do przyjęcia jednego, narzuconego punktu widzenia? No, ale z drugiej strony, od lat się na to zanosilo... to tylko ostatni etap długiej drogi.

– Mam już tego wszystkiego dosyć – skarżyła się Betty. – Przecież dawniej czegoś takiego nie było. Nie przypominam sobie, żebym jako dziecko musiała ciągle wysłuchiwać o polityce.

– Bo wtedy nikt tego nie nazywał polityką. Lobby przemysłowe bezustannie wbijało ludziom do głowy, że mają kupować i konsumować. Reklamy wciąż mówiły o tym samym: czystości włosów, zębów i skóry. Z czasem ludzie, a zwłaszcza mieszkańcy miast, to podchwycili i dorobili do reklam stosowną ideologię.

Betty nakryła do stołu i wniosła półmiski z jedzeniem.

– To znaczy, że komuś bardzo zależało na tym, ażeby powstał oddolny purystowski ruch polityczny?

– Nikt sobie wówczas nie zdawał sprawy, w jakim kierunku to zmierza. Niepostrzeżenie dzieci wyrastające w takiej atmosferze zaczęły uważać problemy związane z poceniem się, utrzymaniem czystości zębów i włosów za fundamenty swojego światopoglądu. Za idee, dla których warto żyć i umierać. Uznały, że w obronie tych wartości można nawet zabijać.

– A mieszkańcy wsi stali się naturalistami?

– Poparli ten program wszyscy, którzy mieszkali z dala od miast i nie byli tak wystawieni na działanie reklam. – Walsh pokręcił głową z niedowierzaniem. – To wręcz nieprawdopodobne, że człowiek może zabić drugiego dla jakiejś błahostki. Ale przecież zawsze tak było. Ludzie potrafili się mordować z powodu nedorzecznych haseł, które kładł im do głowy ktoś, kto stał

z boku i czerpał z tego wymierne korzyści.

– A jednak, skoro tyle osób w nie wierzy, coś musi się za tym kryć.

– Nie powiesz mi chyba, że należy zabijać ludzi tylko dlatego, że mają nieswieży oddech! Absurdem jest napastować drugiego człowieka, bo nie pozwolił sobie usunąć gruczołów potowych lub wszczepić sztucznego systemu wydalania. Pograżymy się w bezsensownych walkach. Naturaliści zgromadzili sporo broni w swoich sztabach partyjnych. Ludzie będą ginąć dla tych głupot, jakby walczyli o wielką sprawę.

– Czas na posiłek, kochanie – powiedziała Betty.

– Nie jestem głodny.

– No, rozchmurz się i zjedz coś, bo nabawisz się rozstroju żołądka, a wiesz, czym to grozi.

Jasne, że wiedział. Kłopoty z trawieniem stwarzały kolejne zagrożenie. Gdyby mu się odbiło w obecności purysty, mógł to przyplacić życiem. Nie było już na świecie miejsca dla tych, którym się odbija, i tych, którym takie odgłosy przeszkadzają. Jedna ze stron musiała ustąpić... i zrobiła to. Przyjęto poprawkę, a to oznaczało, że dni naturalistów są policzone.

– Jimmy wróci późno – oznajmiła Betty, nakładając sobie na talerz porcję kotletów jagnięcych, zielonego groszku i gotowanej kukurydzy. – Będą dzisiaj świętować. Wygłoszą przemówienia, zorganizują wiece i marsze z pochodniami. A może tak wyskoczmy popatrzeć? – dodała z nadzieją. – Na pewno będzie pięknie. Jak pomyślę o tych wszystkich światłach, przemówieniach i paradach...

– Proszę cię, idź, skoro tak bardzo chcesz.

Walsh jadł zupełnie machinalnie, w ogóle nie czując smaku potraw.

– Baw się dobrze – dodał.

Nie skończyli jeszcze kolacji, gdy drzwi otwarły się z hukiem i do mieszkania wpadł Carl.

– Zostało coś dla mnie? – zapytał.

Betty aż wstała z krzesła, tak była zdziwiona.

– Carl, ty już nie pachniesz... brzydko.

Mężczyzna usiadł i łapczywie sięgnął po półmisek z kotletami. Po chwili zreflektował się i wybrał dla siebie najmniejszą porcję, dokładając odrobinę groszku.

– Jestem głodny – stwierdził – ale nie do przesady. – Jadł w skupieniu i w ogóle nie mlaskał.

Walsh gapił się na niego w osłupieniu.

– Co ci się, u licha, stało? – zapytał. – Twoje włosy... zęby i oddech... Coś ty ze sobą zrobił?

– To tylko zagranie taktyczne – rzucił Carl, nie podnosząc wzroku. – Pozorujemy odwrót.

W obliczu tej poprawki nie ma sensu dłużej ryzykować. Do diabła, nie możemy przecież dać się wyciąć w pień.

Pociągnął łyk letniej kawy.

– Jeżeli chcecie znać prawdę, to zeszliśmy do podziemia.

Don powoli opuścił widelec.

– To znaczy, że nie będziecie już walczyć?

– Ale gdzie tam. To byłoby samobójstwo. – Carl rozejrzał się badawczo dookoła. – Zdradzę wam tajemnicę. Całkowicie zastosowałem się do postanowień Poprawki Horneya. Niczego nie można mi zarzucić. Jak gliny zaczną węszyć, to nie puszczajcie pary z ust. Poprawka daje prawo do zmiany przekonań, i to właśnie zrobiliśmy, dla niepoznaki. Poddaliśmy się puryfikacji i nie mogą nas teraz tknąć. Ani słowa więcej na ten temat. – Pokazał im małą niebieską kartę. – To legitymacja purystowska. Antydatowana. Byliśmy przygotowani na wszelką ewentualność.

– Och, Carl! – krzyknęła zachwycona Betty. – Tak się cieszę. Wyglądasz... po prostu wspaniale!

Walsh nie odezwał się ani słowem.

– O co ci chodzi tym razem? – dopytywała się Betty. – Przecież tego właśnie chciałeś. Zależało ci, żeby przestali wreszcie walczyć i wyrzynać się nawzajem – głos kobiety stał się piskliwy. – Czy ciebie nic nie zdoła zadowolić? Stało się to, o czym marzyłeś, a tobie ciągle mało. Czego ty jeszcze, do licha, oczekujesz?

Z dołu dobiegł ich jakiś hałas. Carl wyprostował się i zbladł. Jeśli byłoby to możliwe, w tym momencie oblały się pewnie potem.

– To tylko policja stabilizacyjna – powiedział stłumionym głosem. – Nie przejmujcie się. Zrobią rutynową kontrolę i pójdą dalej.

– Ojej! – westchnęła Betty. – Mam nadzieję, że nic ich nie usposobi niechętnie. Na wszelki wypadek pójde się odświeżyć.

– Siedz spokojnie! – rzucił szorstko Carl. – Nie mają powodu, by nas podejrzewać.

Gdy otworzyły się drzwi, zobaczyli rosnących policjantów w zielonych mundurach, wraz z Jimmym, który wydawał się przy nich znacznie niższy, niż był w rzeczywistości.

– To on! – zapiszczał chłopiec, wskazując na Carla. – To działacz naturalistowski! Powąchajcie go tylko!

Policjanci obstawili pomieszczenie. Przystąpili do znieruchomiałego w bezruchu Carla, skontrolowali go i odsunęli się.

– Żadnych woni osobniczych – oznajmił sierżant. – Nie stwierdzam też cuchnącego oddechu. Włosy mocne i wypielęgnowane. – Na jego znak Carl posłusznie otworzył usta. – Zęby białe, dokładnie wyczyszczone. Nie odnotowuję żadnych uchybień, wszystko w porządku.

Jimmy spojrzał na wujka, nie kryjąc wściekłości.

– Sprytnie to urządziłeś.

Carl ze stoickim spokojem powrócił do kolacji i nie zwracał najmniejszej uwagi ani na chłopca, ani na policję.

– Wygląda na to, że zdusiliśmy zarzewie naturalistowskiego oporu – zameldował sierżant

przez radiotelefon. – Przynajmniej w tej okolicy nie ma zorganizowanej opozycji.

– Doskonale – padła odpowiedź. – Wasz rejon był ich bastionem. Nie możemy jednak spocząć na laurach. Powinniśmy uruchomić wszystkie procedury puryfikacyjne i wprowadzić je w życie tak szybko, jak się da.

Jeden z policjantów zwrócił uwagę na Dona Walsha. Nozdrza mu drgnęły, a twarz przybrała szorstki, oficjalny wyraz.

– Nazwisko? – rzucił.

Walsh przedstawił się.

Policjanci otoczyli go, zachowując ostrożność. – Zapach osobniczy – zauważył jeden z nich. – Ale owłosienie kompletne i zadbane. Otwórz usta.

Don zastosował się do polecenia.

– Uzębienie czyste i białe, natomiast... – funkcjonariusz wciągnął nosem powietrze – oddech nie całkiem w porządku... z powodu kłopotów z żołądkiem. Sam już nie wiem, co myśleć. Może to jednak naturalista?

– Na pewno nie jest purystą, bo wtedy nie wykazywałby zapachów osobniczych. W takim razie musi być naturalista.

Jimmy wysunął się do przodu.

– Ten człowiek – wyjaśnił – jest tylko ich sympatykiem. Nie należy jednak do partii.

– Znasz go?

– Tak, to mój... krewny – niechętnie przyznał chłopiec.

Policjant robił notatki.

– Chcesz powiedzieć, że miał kontakty z naturalistami, ale nie stoi po ich stronie?

– Jedną nogą – stwierdził Jimmy. – To quasinaturalista. Można go jeszcze naprostować, na pewno nie jest przestępcą.

– Konieczna interwencja, musimy podjąć środki zaradcze – zanotował policjant. – W porządku, Walsh – zwrócił się do Dona. – Zabierz swoje rzeczy i chodź z nami. Nowe przepisy wprowadzają przymusową puryfikację takich osób jak ty. Nie traćmy czasu.

Walsh wymierzył policjantowi cios prosto w szczękę. Sierżant wyłożył się jak długi i z rozrzuconymi ramionami leżał, patrząc ogłupiałym wzrokiem. Policjanci wpadli w panikę, wyciągnęli broń i zaczęli biegać po mieszkaniu, wrzeszcząc i wpadając na siebie nawzajem. Betty przeraźliwie krzyczała. Piskliwy głos Jimmy'ego utonął w ogólnym zamieszaniu.

Don porwał ze stołu lampę i rzucił nią w policjanta, trafiając go w głowę. Światła w mieszkaniu zamigotały i zgasły. Pokój pogrążył się w chaosie i ciemności. Zewsząd dobiegały krzyki. Walsh natknął się na kogoś. Uderzył z całej siły kolanem i czyjeś ciało osunęło się na podłogę. Wrzawa i kołujący się tłum sprawiały, że Don na chwilę stracił orientację. W końcu jego dłonie trafiły na klamkę. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wybiegł na klatkę

schodową.

Ktoś dogonił go w pobliżu windy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zawodził niepokieszony Jimmy. – Wszystko było ukartowane, nie miałeś powodów do obaw!

Jego cienki, piskliwy głos stawał się coraz słabiej słyszalny, w miarę jak winda przybliżała się do parteru. Policjanci, zachowując ostrożność, wybiegali na korytarz. Z oddali dobiegał Walsh groźny tupot ich butów.

Spojrzał na zegarek. Prawdopodobnie zostało mu jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Potem wpadnie w ich łapy, to nieuniknione. Wziął głęboki oddech i wyszedł z windy. Starając się iść jak najciszej, przesuwiał się mrocznym, zupełnie opustoszałym korytarzem części usługowo-handlowej. Sklepy były pozamykane, po drodze mijał rzędy ciemnych, nie oświetlonych drzwi.

Charley pracował, gdy Walsh wkroczył do poczekalni. Dwóch mężczyzn czekało w kolejce, a z trzecim robot odbywał właśnie rozmowę, ale na widok wyrazu twarzy Dona natychmiast przywołał go gestem.

– Czy coś się stało? – zapytała maszyna, przyjmując poważny ton i wskazując mu krzesło. – Siadaj i mów, co cię gnębi.

Walsh przystąpił do relacjonowania ostatnich wydarzeń. Kiedy skończył, psychoanalityk odchylił się w fotelu i wydał z siebie przeciągły, cichy gwizd.

– Popełniłeś ciężkie przestępstwo, Don. Zostaniesz zneutralizowany zimnym promieniowaniem. Tak przewiduje nowa poprawka.

– Wiem o tym. – Wszystko mu zobojętniało. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie odczuwał gonitwy myśli, nie targają też nim żadne sprzeczne uczucia. Był tylko nieco zmęczony.

Robot pokręcił głową.

– Wreszcie opowiedziałeś się po jednej ze stron. To już coś. W końcu wyszedłeś z impasu i zacząłeś działać. – W zamyśleniu sięgnął do górnej szuflady biurka i wyciągnął notes. – Czy furgonetka policyjna już nadjechała?

– Wchodząc tutaj, słyszałem syreny. Lada chwila się zjawi.

Metalowe palce robota zabębniły nerwowo po blacie dużego mahoniowego biurka.

– To, że nagle dałeś upust skrywanym emocjom, oznacza, iż rozpoczął się proces integracji twojej osobowości. Już nie jesteś niezdecydowany, prawda?

– Nie – odparł Walsh.

– W porządku. Kiedyś musiało to nastąpić. Przykro mi jednak, że skończyło się tak niefortunnie.

– A mnie wcale nie jest przykro – powiedział Don. – Nie mogłem inaczej postąpić. Dopiero

teraz w pełni to rozumiem. Niezdecydowana postawa niekoniecznie musi być od razu czymś nagannym. To, że człowiek nie dowierza hasłom i poglądom głoszonym przez oficjalne partie, zachętom do oddania życia za ich sprawę – również jest światopoglądem, systemem określonych wartości, dla których warto nawet ponieść śmierć. Myślałem, że brak mi życiowego credo, ale teraz widzę, że je mam, i to bardzo ugruntowane.

Robot nie słuchał. Pospiesznie gryzmołił coś w notesie, w końcu złożył swój podpis i wprawnym ruchem wydarł kartkę z bloczka.

– Proszę – wręczył Walshowi dokument.

– Co to takiego?

– Nie chcę, żeby cokolwiek przeszkodziło w twojej terapii. W końcu zacząłeś wychodzić z marazmu i trzeba to kontynuować. – Charley wstał z miejsca. – Powodzenia, Don. Pokaż ten dokument policjantom. W razie jakichkolwiek kłopotów skieruj ich do mnie.

Kartka była zaświadczeniem firmowanym przez Federalne Stowarzyszenie Psychoanalityków. Walsh obracał je w dłoni bez przekonania.

– Chcesz powiedzieć, że to mi pomoże?

– Stwierdzam w nim, że nie panowałeś nad emocjami, nie byłeś w pełni poczytalny. Naturalnie, skierują cię na rutynowe badania, ale nie ma się czym martwić. – Robot poklepał Dona przyjaźnie po plecach, starając się dodać mu otuchy. – To było ostatnie stadium twojej neurozy... masz je już za sobą. Po prostu dałeś upust skrywanym wcześniej emocjom. Klasyczna manifestacja libido... bez żadnych politycznych podtekstów.

– No tak, rozumiem – powiedział Walsh.

Maszyna popchnęła go delikatnie, lecz zdecydowanie w kierunku wyjścia. – Idź już do nich i pokaż moje zaświadczenie.

Ze skrytki ulokowanej w metalowej klatce piersiowej Charley wydobyl małą butelkę.

– Przed snem zażyj po jednej kapsułce. Nie są mocne. To łagodny środek uspokajający, który pomoże ci ukoić nerwy. Wszystko będzie dobrze. Wkrótce znowu się zobaczymy. I pamiętaj, że odniosłeś sukces – wreszcie zacząłeś z tego wychodzić.

Walsh wymknął się na zewnątrz. Było już ciemno. Przed budynkiem stała duża furgonetka policyjna. Jej czarny kontur rysował się groźnie na tle zmatowiałego nieba. Tłum ciekawskich zgromadził się w bezpiecznej odległości, próbując dowiedzieć się, o co chodzi.

Don machinalnie wsunął lekarstwo do kieszeni płaszcza. Przez chwilę stał, rozkoszując się chłodem wieczoru. Nad jego głową świeciło w oddali zaledwie kilka białych gwiazd.

– Hej, ty tam – krzyknął jeden z policjantów. Nabierając podejrzeń, oświetlił latarką twarz Walsha. – Chodź no tutaj!

– To chyba on – dodał inny. – No już, chłopie! Ruszaj się!

Walsh wyjął zaświadczenie od psychoanalityka.

– Idę! – powiedział. – Po drodze starannie podarł dokument na drobne kawałki, które następnie rozrzucił na wietrze. Podmuch rozniósł strzępy papieru po okolicy.

– Coś ty, u diabła, zrobił? – zapytał policjant.

– Nic takiego. Wyrzuciłem papier, który nie będzie mi już potrzebny.

– Ten to dopiero jest dziwak – mruknął jeden z funkcjonariuszy, poddając Walsha zimnemu promieniowaniu. – Aż mnie ciarki przeszły.

– Na szczęście nie ma ich zbyt wielu – dodał inny. – Trafiają się jedynie sporadycznie, na ogół wszystko idzie gładko.

Bezwładne ciało Walsha wrzucili do wnętrza ciężarówki i zatrzasnęli klapę. Urządzenia utylizacyjne rozpoczęły pracę. Rozkładały ciało Dona na podstawowe składniki mineralne. Po chwili pojazd ruszył, udając się do miejsca kolejnej interwencji.

Zautomatyzowana fabryka

I

Trzej mężczyźni czekali w napięciu. Palili papierosy, chodzili w tę i z powrotem po drodze i bezmyślnie kopali w rosnące na poboczu chwasty. Gorące, południowe słońce spoglądało na brązowe pola, rzędy schludnych plastikowych domów. W oddali widniała linia gór rysujących się na zachodzie.

– Już prawie pora – rzucił Earl Perine, splatając palce kościstych dłoni. – Wszystko zależy od ładunku, każde dodatkowe pół funta to pół sekundy.

– Samżeś to wymyślił? – spytał cierpko Morrison. – Jesteś tak samo kiepski jak tamci. Udawajmy, że zdarzyło im się spóźnić.

Trzeci mężczyzna nie odzywał się. O'Neill przybył z innej osady; nie znał Perine'a i Morrisona na tyle, by się z nimi kłócić. Siedział więc w kucki i porządkował dokumenty przypięte do aluminiowej tabliczki. W palącym słońcu na jego owłosionych, śniadych rękach połyskiwały kropelki potu. Żyłasty, włosy zmierzwione, okulary w rogowej oprawie – był starszy od tamtych. Miał na sobie spodnie, koszulę i buty z podeszwą na słońnie. Spomiędzy palców zręcznie błyskało metalem wieczne pióro.

– Co piszesz? – burknął Perine.

– Rozpisuję procedurę, którą zastosujemy – odparł spokojnie O'Neill. – Lepiej wszystko teraz poukładać, niż później robić na chybił trafił. Musimy wiedzieć, czego już próbowaliśmy i co nie zadziało. Inaczej się zakałapuczkamy. Problemem jest komunikacja; tak to widzę.

– Komunikacja – przytaknął Morrison tubalnym głosem. – Jasne, przecież nie możemy nawiązać kontaktu z tym cholerstwem. Przyjeżdża, zrzuca ładunek i jedzie dalej – zero kontaktu.

– Przecież to maszyna – powiedział Perine podnieconym głosem. – Martwa, ślepa i głucha.

– Ale utrzymuje łączność z otaczającym światem – zwrócił uwagę O'Neill. – Trzeba znaleźć sposób, żeby do niej dotrzeć. Na pewno odbiera jakieś sygnały i musimy się dowiedzieć, właściwie odkryć, jakie. To jedyne, co możemy zrobić. Zaledwie kilka szans na miliard.

Przerwał im cichy pomruk. Nieufni, czujnie podnieśli wzrok. Już pora.

– I proszę, jest – powiedział Perine. – Dobra, mądrało, zobaczymy, czy cokolwiek się zmieni w twoim schemacie działania.

Ciężarówka była ogromna, dudniła pod ciężarem ładunku. Pod wieloma względami przypominała konwencjonalne, obsługiwane przez ludzi pojazdy transportowe, z jedną różnicą – nie miała kabiny kierowcy. Ładownię tworzyła pozioma platforma, a na miejscu zajmowanym zazwyczaj przez reflektory i chłodnicę widniała gąbczasta masa włóknistych receptorów.

Tworzyły one prymitywny aparat zmysłowy, będący użytecznym uzupełnieniem tego pojazdu.

Ciężarówka na widok trzech mężczyzn przyhamowała, przełączyła biegi, uruchomiła hamulec bezpieczeństwa. Po chwili zadziałały przekaźniki; część platformy ładowni przechyliła się i kaskada ciężkich pudeł zsunęła się na szosę. Za nimi sfrunął szczegółowy spis towarów.

– Wiecie, co robić – rzucił prędko O’Neill. – Migiem, zanim się stąd wyniesie.

Mężczyźni z wprawą i zacięciem zabrali się do zrzuconych pudeł i pozrywali z nich opaski ochronne. Zażłonięci: dwuokularowy mikroskop, stos plastikowych naczyń, zapasy lekarstw, żyłki, odzież, jedzenie. Większość transportu stanowiła, jak zwykle, żywność. Trójka mężczyzn zaczęła systematycznie niszczyć przedmioty. Po kilku minutach pozostały tylko smętnie porozrzucane szczątki.

– Otóż to – powiedział O’Neill, cofając się o krok. Rozglądał się za swoją tabliczką. – No to przekonajmy się, co to dało.

Samochód zaczął się oddalać; raptem zatrzymał się i cofnął. Stwierdził, że mężczyźni zniszczyli zrzuconą część ładunku. Ze zgrzytem zawrócił w półobrocie i wlepił w nich rząd swoich receptorów. Wysunął czułki i nawiązał łączność z fabryką. Instrukcje były w drodze.

Ciężarówka zrzuciła drugi ładunek, taki sam.

– Nie udało się – jęknął Perine, po chwili sfrunął identyczny jak poprzednio spis towarów. – Po cośmy to zniszczyli?

– I co teraz? – zapytał Morrison O’Neilla. – Jaki fortel mamy w planie?

– Pomóż mi. – O’Neill chwycił pudło i postawił je z powrotem na ciężarówkę. Wsunął na platformę i pobiegł po następne. Pozostała dwójka, ociągając się, poszła w jego ślady. Umieścili ładunek na aucie. Gdy ruszało, ostatnie kwadratowe pudło ładowało na swoim miejscu.

Ciężarówka zawahała się. Receptory zarejestrowały ponowny załadunek. Z wnętrza dochodziło ciche ciągle bzyczenie.

– Może to jej namiesza – rzucił O’Neill zlany potem. – Bo zrobiła swoje i nic.

Pojazd szarpnął, kierując się w swoją stronę, ale zaraz z determinacją nawrócił i jeszcze zanim zdążył zahamować, zrzucił wszystko na drogę.

– Brać to! – wrzasnął O’Neill. Chwycili za pudła i w zapamiętaniu powtórzyli całą operację. Pudła jednak tak samo szybko ładowały z powrotem na platformie, jak zsuwały się po przeciwnej stronie pochylni na drogę, za sprawą działania wysięgników ciężarówki.

– Bez sensu – wydyszał Morrison. – To przelewanie wody sitem.

– Dostaliśmy łupnia! – przytaknął niechętnie Perine. – Jak zwykle. Ludzie zawsze z nimi przegrywają.

Ciężarówka spokojnie im się przyglądała. Jej receptory nie reagowały. Wykonywała swoją robotę. Planetarna sieć zautomatyzowanych fabryk sprawnie wywiązywała się z zadania wyznaczonego jej przed pięcioma laty, w pierwszych dniach Totalnego Konfliktu Globalnego.

– Odjeżdża – zauważył Morrison ponuro.

Pojazd schował czułki, wrzucił bieg i zwolnił hamulec ręczny.

– Spróbujmy jeszcze raz, ostatni – powiedział O’Neill. Chwycił pudło i otworzył. Ze środka wyjął czterdziestolitrową bańkę z mlekiem i odkręcił pokrywę. – Nawet jeżeli to idiotyczne.

– Nonsens – zaprotestował Perine. Ociągając się, wyszukał pośród porzucanych szczątków kubek i nabrał mleka. – Dziecinada!

Ciężarówka z rezerwą obserwowała ich.

– Do roboty – rozkazał ostro O’Neill. – Dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy.

Cała trójka napiła się z pojemnika, pozwalając spływać mleku po podbródkach; to, co robili nie mogło budzić żadnych wątpliwości.

Zgodnie z planem, pierwszy zaczął O’Neill. Wykrzywił twarz ze wstrętem, odrzucił kubek i gwałtownie wypłuł mleko na drogę.

– Na miłość boską! – wykrztusił.

Dwaj pozostali zrobili to samo; tupiąc i przeklinając, wywalili pojemnik z mlekiem i wlepili oskarżycielskie spojrzenie w ciężarówkę.

– Paskudne! – wrzasnął Morrison.

Ciężarówka, zaciekawiona, zaczęła zawracać. Elektroniczne synapsy trzaskały i bzyczały, reagując na sytuację: czułki wysunęły się i sterczały jak maszty.

– Chyba mamy – powiedział O’Neill, drżąc.

Ciężarówka obserwowała, a on wyciągnął drugą bańkę z mlekiem, odkręcił pokrywę i posmakował. – To samo! – krzyknął w stronę pojazdu. – Tak samo paskudne!

Ciężarówka wypłuła metalowy cylinder. Spadł u stóp Morrisona. Ten błyskawicznie go podniósł i otworzył: OKREŚLIĆ CHARAKTER WADY.

Na kartkach z instrukcjami widniały wyszczególnione ewentualne niedociągnięcia; przy każdym puste pole; ponadto był załączony dziurkacz służący do zaznaczenia konkretnej wady produktu.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał Morrison. – Zatrute? Skażone przez bakterie? Skwaśniałe? Skisłe? Nieprawidłowo oznaczone? Zepsute? Popękane? Potłuczone? Zabrudzone?

O’Neill błyskawicznie zastanowił się i odpowiedział:

– Nie, zostaw. Fabryka na pewno jest na to przygotowana i przyśle nowe próbki. Wykona własne analizy, a potem nas oleje. – Nagle go natchnęło i twarz mu się rozjaśniła. – Wpisz w tym pustym polu na dole. To wolne miejsce na przyszłe dane.

– Co mam wpisać?

– Że produkt jest całkowicie piżnięty – powiedział O’Neill.

– Że co? – dopytywał się zbity z tropu Perine.

– No pisz! To taki kalambur. Fabryka tego nie przełknie i może uda nam się ją zakorkować.

Morrison wziął od O'Neilla pióro i starannie napisał, że mleko jest piżnięte. Kręcąc głową, ponownie zapieczętował cylinder. Zwrócił go ciężarówce, która zgarnęła bańki z mlekiem, z trzaskiem poskładała wysięgniki i z piskiem opon ruszyła. Z otworu wyrzuciła jeszcze cylinder i pośpiesznie odjechała, pozostawiając go w kurzu.

O'Neill otworzył go, wyciągnął kartkę i pokazał ją pozostałym: „PRZYBĘDZIE PRZEDSTAWICIEL FABRYKI.

PROSZĘ SIĘ PRZYGOTOWAĆ NA DOSTARCZENIE PEŁNYCH DANYCH DOTYCZĄCYCH WAD PRODUKTU”.

Zapadło milczenie. Wreszcie Perine zachichotał.

– Udało się. Nawiązaliśmy kontakt. Przebiliśmy się.

– A jakże – przytaknął O'Neill. – Przecież nigdy nie słyszeli o piżniętym produkcie.

Wielki metalowy sześcian fabryki z Kansas City wrzynał się w podnóże góry. Jego skorodowana powierzchnia, pokancerowana i oszpecona przez promieniowanie, nosiła na sobie ślady pięciu lat toczącej się wojny. Większą część zakładu ukryto pod ziemią. Na powierzchni widać było tylko wejścia. Punkcik ciężarówki, dudniąc, mknął w stronę czarnej metalowej płaszczyzny. Po chwili w jednorodnej powierzchni otworzyło się wejście: pojazd zanurzył się w nim i zniknął. Wejście natychmiast zamknęło się.

– Teraz najtrudniejsze zadanie – powiedział O'Neill. – Musimy fabrykę przekonać, żeby wstrzymała swoje operacje, żeby się wyłączyła.

II

Judith O'Neill podała kawę ludziom siedzącym w salonie. Jej mąż mówił, pozostali słuchali. O'Neill powoli wyrastał na jedyny autorytet w dziedzinie zautomatyzowanych fabryk.

Na swoim własnym terenie, w rejonie Chicago, przeciął ogrodzenie ochronne miejscowej fabryki, tak, że udało mu się uciec z taśmami zawierającymi dane przechowywane w jej pamięci. Fabryka z miejsca odbudowała ogrodzenie; było teraz lepsze. Ale dzięki temu wyczynowi oczywiste stało się to, że nawet fabryki można wywieść w pole.

– Instytut Cybernetyki Stosowanej – wyjaśniał O'Neill – ma pełną kontrolę nad siecią. A wszystko przez wojnę. Przez te zakłócenia linii komunikacyjnych, które zniszczyły całą potrzebną nam wiedzę. Tak czy inaczej, Instytut nie przekazał nam swoich informacji, więc my nie możemy przekazać swoich do tych fabryk – wiadomości, że wojna się skończyła i że gotowi jesteśmy z powrotem przejąć kontrolę nad przemysłem.

– A tymczasem – wtrącił cierpko Morrison – cholerna sieć bez przerwy się rozrasta i pożera nasze zasoby naturalne.

– Odnoszę wrażenie – powiedziała Judith – że jakby tak mocno tupnąć, to by się wpadło

prosto do tunelu fabryki. Teraz to już pewnie wszędzie mają kopalnie.

– I nie ma żadnych zakazów? Są tak ustawieni, że mogą rozwijać się w nieskończoność? – zapytał nerwowo Perine.

– Każda fabryka jest podporządkowana obszarowi swojego funkcjonowania – odparł O’Neill – lecz sieć zdolna jest działać bez ograniczeń. Może już do końca świata wysysać nasze zasoby. Instytut postanowił nadać jej najwyższy priorytet; my, zwykli ludzie, jesteśmy na drugim planie.

– A dla nas coś zostanie? – dopytywał się Morrison.

– Nie, jeśli nie powstrzymamy operacji sieci. Zdążyła już zużyć pół tuzina podstawowych minerałów. Jej zespoły badawcze, w każdej fabryce, bez przerwy pracują w terenie, przetrząsają wszystko w poszukiwaniu najmniejszej drobiny, którą mogłyby zgarnąć.

– A co by się stało, gdyby tunele dwóch fabryk nagle się przecięły?

O’Neill wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy raczej się nie zdarzają. Każda fabryka ma swój własny wycinek naszej planety, kawałek tortu wyłącznie dla siebie.

– Ale to nie jest wykluczone...

– Zależy im na surowcach; szukają, póki cokolwiek zostało. – Ta myśl zaczęła coraz bardziej nurtować O’Neilla. – Warto by to rozważyć. Przypuszczam, że w miarę ubywania zasobów...

Przerwał. Do pokoju weszła jakaś postać; w milczeniu stanęła przy drzwiach i zaczęła się badawczo przyglądać zgromadzonym.

W przyćmionym świetle wyglądała prawie jak człowiek. Przez krótką chwilę O’Neill odnosił wrażenie, że to po prostu jakiś spóźnialski, ale gdy ruszyła do przodu, skonstatował, że to tylko istota człekokształtna: funkcjonalna pionowa dwunożna konstrukcja z receptorami danych w górnej części, efektorami i prioceptorami umieszczonymi w dolnej części tułowia, zakończonych chwytnymi odnóżami. Jej podobieństwo do istoty ludzkiej było świadectwem skuteczności natury; nie było mowy o jakimkolwiek naśladownictwie czy sentymentalizmie.

Przybył przedstawiciel fabryki, który bez wstępów przystąpił do rzeczy:

– Jest to urządzenie zbierające dane, zdolne do komunikacji ustnej. Posiada aparaturę nadawczo-odbiorczą i potrafi uwzględniać fakty istotne dla prowadzonego przez nie postępowania.

Głos był przyjemny, przekonujący. Pochodził oczywiście z taśmy nagranej przed wojną przez jakiegoś fachowca z Instytutu, lecz emitowany przez istotę zaledwie podobną do człowieka, brzmiał dziwnie; O’Neill z łatwością wyobraził sobie zapewne nieżyjącego już młodego człowieka, do którego należał ów głos, wydobywający się obecnie z mechanicznych ust tej pionowej, okablowanej, stalowej konstrukcji.

– Jeszcze słówko ostrzeżenia – kontynuował przyjemny głos. – Próby traktowania tego odbiornika jak człowieka i wciągania go w dyskusje, do których nie jest odpowiednio

wyposażony, mijają się z celem. Wykonuje, co prawda, działania sensowne, ale nie jest zdolny do operowania pojęciami; potrafi jedynie zbierać przygotowane już dla niego materiały.

Tchnący optymizmem głos wyłączył się i rozległ się inny. Przypominał poprzedni, lecz brakowało mu intonacji czy osobistego tonu. Maszyna po prostu wykorzystywała dla własnych celów fonetyczny schemat mowy jakiegoś nieboszczyka.

– Analiza zakwestionowanego produktu – oznajmiła – nie wykazała istnienia żadnych obcych elementów ani zauważalnych śladów pogorszenia jakości. Produkt spełnia standardy prób stosowanych w trybie ciągłym w całej sieci. Podstawą zakwestionowania są zatem czynniki nie uwzględnione w sferze prób; zastosowano standardy nieosiągalne w sieci.

– Otóż to – przytaknął O’Neill i starannie dobierając słowa, wyjaśniał: – Stwierdziliśmy, że mleko nie spełnia standardów. Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego. Domagamy się starannejszej kontroli produkcji.

Minęła chwila i maszyna odpowiedziała:

– Znaczenie określenia „piźnięte” nie jest sieci znane. Nie figuruje w zarejestrowanym słownictwie. Czy może pan przedstawić realną analizę mleka w kategoriach występowania bądź niewystępowania konkretnych elementów?

– Nie – odpowiedział nieufnie O’Neill; prowadził zawiłą i niebezpieczną grę. – „Piźnięty” to określenie ogólne, niesprowadzalne do składników chemicznych.

– Co znaczy „piźnięte” – zapytała maszyna. – Czy możecie zdefiniować to w kategoriach alternatywnych symboli znaczących?

O’Neill zawahał się. Chodziło o to, by przedstawicielem tak pokierować, aby od konkretnego śledztwa przeszedł do zagadnień ogólniejszych, do zasadniczej sprawy zamknięcia sieci. Gdyby tylko mógł w którejś chwili zainicjować dyskusję teoretyczną...

– Słowo „piźnięty” – oznajmił – oznacza produkt wytwarzany niepotrzebnie. Przedmiot odrzucony dlatego, że jest już zbędny.

– Przeprowadzane przez sieć analizy wykazują istnienie w tym rejonie zapotrzebowania na pasteryzowane substytuty mleka wysokiej jakości. Alternatywnego źródła nie ma; sieć kontroluje cały istniejący sprzęt mlekotwórczy – powiedział przedstawiciel i dodał. – W pierwotnych, utrwalonych na taśmie informacjach mleko zostało opisane jako istotny składnik diety człowieka.

O’Neill został przechytrzony; maszyna sprowadziła dyskusję do konkretnego.

– Uznaliśmy – rzucił w desperacji – że już nie potrzebujemy mleka. Że obejdziemy się bez niego, przynajmniej do czasu, gdy znajdziemy krowy.

– To jest sprzeczne z informacjami zapisanymi na taśmach sieci – oponował przedstawiciel. – Krów nie ma. Całe mleko produkuje się syntetycznie.

– No więc sami je sobie syntetycznie wyprodukujemy – wtrącił zniecierpliwiony Morrison. – Dlaczego nie możemy przejąć maszyn? Przecież nie jesteśmy dziećmi! Sami sobie poradzimy!

Przedstawiciel fabryki ruszył do drzwi.

– Dopóki wasza społeczność nie znajdzie innych źródeł mleka, będzie ono dostarczane przez sieć. Aparatura analityczno-oceniająca pozostanie tu, by nadal badać losowo wybrane próbki.

– Jak mamy znaleźć inne źródła? Przecież cała struktura należy do was! Wy tu rządźcie! – bezradnie krzyknął Perine, a potem wrzasnął: – Skąd wiecie? Nie dajecie nam szansy! I nigdy jej nie dostaniemy!

O'Neill zamarł. Maszyna wychodziła; jej ciasny mózdzek bez reszty triumfował.

– Słuchaj no – powiedział obcesowo, zastępując jej drogę. – Chcemy was zamknąć, rozumiesz. Chcemy przejąć wasz sprzęt i prowadzić to samodzielnie. Wojna się skończyła. Cholera jasna, jesteście już niepotrzebni!

Przedstawiciel fabryki zatrzymał się na krótko przy drzwiach.

– Urządzenia przestawi się na cykl jałowy dopiero po stwierdzeniu, że sieć produkuje to, co już wytwarza się poza nią. Tymczasem według naszych stałych obserwacji na zewnątrz nic się nie wytwarza. Dlatego produkcja w sieci trwa.

Morrison bez ostrzeżenia machnął stalową rurą. Trafił maszynę w ramię i przebił skomplikowany układ sensoryczny na jej piersi. Pojemnik z receptorami rozpadł się i trysnęły kawałki szkła, przewodów i drobniutkich części.

– Istny paradoks! – krzyczał Morrison. – To sprawka cybernetyków. Przecież wciągając nas w grę słówek – ponownie zamierzył się i jeszcze raz wściekle walnął w nie stawiającą oporu maszynę – ubezwłasnowolnili nas. Jesteśmy zupełnie bezradni.

W salonie zawrzało.

– To jedyne wyjście – wyrzucił z siebie Perine, odpychając O'Neilla. – Musimy je zniszczyć – albo my, albo sieć. – Chwycił lampę i rzucił nią w „twarz” przedstawiciela fabryki. Lampa i misterna plastikowa osłona rozpadły się. Wkroczył Perine i na oślep dopadł maszyny. Teraz już wszyscy, kipiąc bezsilną złością, stłoczyli się wokół stojącego pionowo cylindra, który po chwili upadł i zniknął w tłumie otaczających go postaci.

O'Neill, rozdygotany, odwrócił się. Żona chwyciła go za ramię i odprowadziła na stronę.

– Idioci – odezwał się przygnębiony. – Przecież w ten sposób ich nie pokonają, a tylko pogorszą sprawę i nauczą budowania lepszych zabezpieczeń.

Do salonu wtoczył się zespół remontowy sieci. Mechaniczne jednostki sprawnie oddzieliły się od pojazdu-matki i pośpiesznie ruszyły w stronę kłębowiska ludzi. Wdarły się między nich i zanurkowały. Po chwili bezwładne cielsko przedstawiciela fabryki zostało wciągnięte do pojazdu-matki; walające się części poskładane, a poniszczone resztki pozbierane i wyniesione. Odnaleziono plastikową rozpórkę z przekładnią. Potem jednostki zajęły swoje stanowiska na pojeździe i zespół odjechał.

W drzwiach ukazał się drugi przedstawiciel fabryki, dokładna kopia pierwszego. Na

zewnątrz, w holu czekały jeszcze dwie pionowe maszyny. Wkrótce cała osada została na chybił trafił przeszukana przez oddział przedstawicieli. Niczym horda mrówek ruchome maszyny do zbierania danych przeczesywały miasto, aż jedna z nich natknęła się na O'Neilla.

– Zniszczenie należącego do sieci sprzętu zbierającego dane szkodzi najlepszym interesom człowieka – oznajmił przedstawiciel sieci ludziom powtórnie zgromadzonym w salonie. – Pozyskiwanie surowca jest na niebezpiecznie niskim poziomie; wszelkie istniejące jeszcze podstawowe materiały należy zutylizować w manufakturze.

O'Neill stał twarzą w twarz z maszyną.

– O? – mruknął pod nosem. – To ciekawe. Zastanawiam się, czego najbardziej wam brakuje i o co naprawdę gotowi byłibyście walczyć.

Wirniki helikoptera świszczały nad głową O'Neilla. Nie zwracał na nie uwagi i przez okno kabiny pilota obserwował niezbyt odległą ziemię.

Jak okiem sięgnąć ruiny i zgliszcza. Chwasty strzelały w górę rachitycznymi badyłami, między którymi uwijały się owady. Tu i ówdzie kolonie szczerów: wyłożone matami nory zbudowane z gruzu i kości. Promieniowanie wywołało u szczerów mutacje, tak samo jak u większości owadów i innych zwierząt. Nieco dalej O'Neill zauważył eskadrę ptaków ścigających wiewiórkę. Dała nura do starannie przygotowanej szczeliny i zawiedzione ptaki zawróciły.

– Myślisz, że kiedykolwiek to odbudujemy? – zapytał Morrison. – Niedobrze mi się robi, jak patrzę.

– Minie sporo czasu – odpowiedział O'Neill. – Oczywiście zakładając, że odzyskamy kontrolę nad przemysłem. No i że cokolwiek jeszcze zostanie dla nas. W najlepszym razie, bardzo powoli. Musimy stopniowo wychodzić z osad.

Na prawo widniała ludzka kolonia obszarpanych strachów na wróble, wymizerowanych, lecz wolnych, żyjących pośród ruin tego, co kiedyś było miastem. Parę akrów uprzątniętej jałowej ziemi; przywiedłe warzywa marniejące na słońcu, błakające się tu i ówdzie apatyczne kurczaki i nękany przez muchy koń dyszący w cieniu zbitej z surowych desek szopy.

– Dzicy lokatorzy ruin – powiedział O'Neill ponuro. – Za daleko od sieci, nie sąsiadują z żadną fabryką.

– Sami sobie winni – odparł Morrison ze złością. – Mogli przyłączyć się do którejś z osad.

– Ale to było ich miasto. Próbuja zrobić to co my – samodzielnie wszystko odbudować. Zaczynają dopiero teraz, bez narzędzi i maszyn, gołymi rękami, pazurami wbijając się w kawałki gruzu. Ale to na nic. Potrzebujemy maszyn, a złomu nie naprawimy. Musimy rozpocząć produkcję przemysłową.

Przed nimi wyszczerzone pasmo wzgórz, szczerbata pozostałość tego, co kiedyś tworzyło

grań. Za nimi rozpościerała się potworna rana krateru po bombie wodorowej – na wpół wypełnione stojącą wodą i szlamem, śródlądowe morze chorób. Jeszcze dalej – lśniące rojowisko.

– Tam – rzucił O'Neill nerwowo. Raptownie obniżył lot helikoptera. – Możesz powiedzieć, z której fabryki pochodzą?

– Według mnie niczym się nie wyróżniają – mruknął Morrison, wychylając się, żeby lepiej widzieć. – Będziemy musieli odczekać i śledzić ich, gdy już zdobędą ładunek.

– Jeśli zdobędą – poprawił O'Neill.

Ekipa poszukiwawcza zautomatyzowanej fabryki nie zwracała uwagi na helikopter bzycaący im nad głowami i koncentrowała się na swojej pracy. Przed główną ciężarówką uwijały się dwa ciągniki – przebijały się przez zwały gruzu, wypuszczając sondy niczym kolce, ruszyły ku przeciwnemu zboczowi i zniknęły w dywanie popiołu, pokrywającego żużel. Dwie maszyny rozpoznawcze zakopały się tak, że widać im było tylko anteny. Przebiły się na powierzchnię i pognały dalej, furkocząc i łomocząc bieżnikami.

– Za czym tak gonią? – spytał Morrison.

– Bóg jeden wie. – O'Neill uważnie przeglądał dokumenty na tabliczce. – Będziemy musieli przeanalizować wszystkie kiksy w naszych zamówieniach.

Gdzieś pod nimi przepadła ekipa poszukiwawcza zautomatyzowanej fabryki. Helikopter przeleciał nad opustoszałą połacią piachu i żużlu; ani żywego ducha. Wyłonił się krzaczasty zagajnik, a potem w oddali na prawo szereg maleńkich ruchomych kropek.

Po nieosłoniętej przestrzeni pokrytej żużlem ciągnęła kawalkada automatycznych wózków z rudą, sznur szybko poruszających się metalicznych, jadących jedna za drugą ciężarówek. O'Neill skierował w ich stronę helikopter, który po kilku minutach zawisł nad samą kopalnią.

Sprzęt górniczy ruszał do boju. Sztolnie przebite, puste wózki cierpliwie czekały rzędami. Te załadowane, równomiernym strumieniem tłukły się w stronę horyzontu, znacząc swoją drogę smugą rudy. Cały rejon wypełniało dudnienie pracujących maszyn, które nieoczekiwanie przekształcały ponure ugory w ośrodek przemysłowy.

– Nadchodzi ekipa poszukiwawcza – rzucił Morrison, uważnie oglądając się za siebie. – Myślisz, że się pożrą z tamtymi? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Nie, no aż tak dobrze to chyba nie ma.

– A jednak – odpowiedział O'Neill. – Zdaje się, że każda z ekip szuka innej substancji, a normalnie odruchowo ignorują się nawzajem.

Pierwszy ze szperaczy dojechał do wózków z rudą, lekko skrzył i kontynuował swoją pracę; wózki ciągnęły niepowstrzymanym szeregiem, jakby niczego nie zauważały.

Morrison, zawiedziony, odwrócił się i zaklął. – Nic z tego. Zupełnie jakby dla siebie nawzajem nie istniały.

Ekipa poszukiwawcza powoli oddalała się od linii wózków i minawszy kopalniane urządzenia, znikła za granią. Wycofywała się właściwie bez pośpiechu, nie reagując na zespół wydobywcy rudy.

– Może są z tej samej fabryki – rzucił Morrison, nie tracąc nadziei.

O'Neill wskazał czułki sterczące na głównej jednostce górniczej.

– Ich anteny skierowane są w inną stronę, więc ekipy pochodzą z różnych fabryk. Ciężka sprawa; musimy od razu trafić, bo inaczej nie będzie reakcji. – Włączył radio i nastawił kontrolkę na osadę. – Wiadomo coś w sprawie tych zamówień?

Centrala przełączyła go do biur zarządu osady.

– Pojawiają się pierwsze wyniki – usłyszał Perine'a. – Gdy tylko zdobędziemy wystarczającą ilość, spróbujemy określić, jakich surowców brakuje w poszczególnych fabrykach. Takie wyciąganie wniosków na podstawie niejednorodnych produktów jest ryzykowne. Identyczne składniki podstawowe mogą występować w kilku grupach produktów.

– A jeśli zidentyfikujemy brakujący składnik? – zapytał O'Neilla Morrison. – Jeśli uda nam się doprowadzić do konfliktu dwóch fabryk, którym brakuje tego samego surowca, co wtedy?

– Wtedy sami zaczniemy zbierać surowiec, nawet gdybyśmy musieli przetopić wszystko, co mamy, w osadzie – odparł ponuro O'Neill.

III

Ciemna noc wypełniona rojowiskiem ciem. Powiało niewyraźnym chłodem. Metaliczny szcęk zbitego podszycia. Tu i ówdzie żerujący nocny gryzoń: wytężone zmysły, wypatruje, obmyśla, szuka pożywienia.

Dzicz. Na przestrzeni wielu mil ani jednej ludzkiej osady; ziemia do cna wypalona przez ponawiane wybuchy bomb wodorowych. W gęstwie ciemności niemrawy strumień drażył muł i chwasty, sącząc się grubą kroplą w rozbudowany ongi system kanałów ściekowych. Wyszczерzone w ciemność nocy, połamane i spękane rury, zarośnięte pełznącą nieustępliwie roślinnością. Wiatr wzniecił tumany czarnego popiołu, tańczące kłębami wśród chwastów. Ogromny zmutowany strzyżyk poruszył się sennie, okrył bezpiecznie szmacianym płaszczem nocy i przysnął.

Przez jakiś czas żadnego ruchu. Wysoko nad głowami zajaśniały jaskrawe smugi gwiazd. Earl Perine zadygotał, spojrział w niebo i przysunął się do grzejnika stojącego na ziemi między trójką mężczyzn.

– I co? – rzucił Morrison, szcękając zębami.

O'Neill nie odpowiedział. Dopalił papierosa, zgasił go na stercie wietrzącego żużla, wyciągnął zapalniczkę i zapalił następnego. Sto metrów przed nimi leżała przynęta: gruda

wolframu..

Kilka dni temu fabrykom w Detroit i w Pittsburghu zabrakło wolframu. A przynajmniej w jednym sektorze obszary działania ich aparatury kontrolnej pokrywały się. Tę nieruchomo spoczywającą stertę tworzyły precyzyjne narzędzia tnące, elementy wyrwane z przekaźników elektrycznych, sprzęt chirurgiczny wysokiej jakości, części stałych magnesów, urządzeń pomiarowych – wolfram pochodzący z wszelkich możliwych źródeł, zbierany gorączkowo po wszystkich osadach.

Mgielka mroku spowijała stertę. Od czasu do czasu pojawiała się ćma, skuszona odbitym światłem gwiazd. Na moment zawisała w powietrzu, uderzając bezradnie rozpostartymi skrzydłami o płataninę metalu, a potem odpływała w cienie gęstych pnączy wyrastających z kikutów rur kanalizacyjnych.

– Nie ma co, śliczniunie miejsce – rzucił szyderczo Perine.

– A jakże, nie mylisz się – odparł O’Neill. – Najpiękniejsze na świecie. To miejsce to grób sieci zautomatyzowanych fabryk. Któregoś dnia ludzie zaczną tu przychodzić, by je obejrzeć. Będzie wysoka na miłę tablica pamiątkowa.

– Próbujesz się podbudować – prychnął Morrison. – Chyba nie sądzisz, że się nawzajem powyrzynają z powodu sterty narzędzi chirurgicznych i żarówkowych włókien. Pewnie mają na dole jakąś maszynę do wysysania wolframu ze skał.

– Może – odparł O’Neill, zamachnąwszy się na komara. Owad sprytnie umknął i dalej bzyczał, zabierając się do Perine’a. Ten machnął wściekle i nagle przycupnął pośród wilgotnych roślin.

Pojawiło się to, na co czekali.

O’Neill aż drgnął, uprzytomniwszy sobie, że od kilku minut patrzy i nie rozpoznaje. Szperacz tkwił nieruchomo. Stał na szczycie niewielkiego żuźlowego nasypu z lekko uniesionym tyłem i wysuniętymi receptorami. Sprawiał wrażenie porzuconej skorupy: żadnego ruchu, żadnych oznak życia ni świadomych istot. Idealnie wtapiał się w zdewastowany, wypalony przez ogień krajobraz. Metalowa skorupa, z przekładniami na płaskich bieżnikach, stała spokojnie i czekała. Obserwowała. Badała stertę wolframu. Przynęta zwabiła pierwszą ofiarę.

– Bierze – burknął niewyraźnie Perine. – Żyłka się napręży i spławik chyba idzie na dno.

– Co ty tam u licha mamrociesz? – spytał Morrison i naraz sam zauważył pojazd. – Jezu – szepnął. Lekko przysiadł i pochylił do przodu masywny tułów. – No i jednego już mamy. Teraz jeszcze tylko jednostka z innej fabryki. Skąd jest ten, jak myślicie?

O’Neill zlokalizował antenę pojazdu i określił jej ustawienie.

– Pittsburgh, no to módlcie się o Detroit... módlcie się ze wszystkich sił.

Szperacz, zadowolony, oderwał się od sterty i potoczył dalej. Ostrożnie zbliżył się do nasypu i rozpoczął serię skomplikowanych manewrów, tocząc się to w jedną, to w drugą stronę.

Mężczyźni patrzyli, dziwiąc się, dopóki nie zauważyli sterczących sond kolejnego pojazdu.

– Porozumiewają się jak pszczoły – szepnął O’Neill. I oto pięć szperaczy z Pittsburgha zbliżało się do sterty wyrobów z wolframu. Poruszając energicznie receptorami, przyśpieszyły i podniecone odkryciem ruszyły z boczem na szczyt. Pojazd zaczął kopać i raptem zapadł się. Sterta zadygotała, szperacz wylądował w środku i badał rozmiary znaleziska.

Po dziesięciu minutach pojawiły się pierwsze transportery z Pittsburgha i zaczęły pracowicie zbierać łup.

– Cholera! – powiedział O’Neill rozeźlony. – Zgarną wszystko, zanim pojawią się ci z Detroit.

– Możemy je jakoś powstrzymać? – spytał bezradnie Perine. Zerwał się, chwycił kamień i cisnął nim w najbliższy pojazd. Pocisk odbił się, a transporter z niezmaconym spokojem kontynuował swoją pracę.

O’Neill też wstał i zaczął krążyć, aż sztywny z bezsilnej wściekłości. Gdzie oni są? Obie fabryki były identyczne pod każdym względem, a to miejsce znajdowało się w takiej samej odległości od każdego z ośrodków. Właściwie i jedni, i drudzy powinni przybyć jednocześnie. Ale z Detroit nie było żadnego sygnału – a ostatnie kawałki wolframu właśnie załadowywano na transportery.

I wtedy coś przemknęło obok niego.

Nie zdążył rozpoznać, bo obiekt poruszał się zbyt szybko. Wystrzelił niczym pocisk pomiędzy splątanych pnączy, ruszył wzdłuż zbocza na szczyt, na chwilę zawisł, wymierzył i pędem pomknął drugą stroną w dół.

Morrison zerwał się.

– Co u licha?

– To oni! – krzyknął Perine, tańcząc i wymachując chudymi kończynami. – Ci z Detroit!

Pojawił się drugi szperacz z Detroit. Zawahał się, ocenił sytuację, a potem rzucił się wściekle na wycofujące się transportery z Pittsburgha. Posypały się skrawki wolframu – części, druty, płytki, a przekładnie, sprężyny i bolce należące do przeciwników latały na wszystkie strony. Pozostałe transportery ruszyły z piskiem; jeden z nich zrzucił ładunek i, terkocząc, pomknął z pełną prędkością. Za nim drugi – choć nadal załadowany wolframem. Szperacz z Detroit dogonił go, zajechał mu drogę, sprawnie wywrócił. Szperacz i transporter stoczyły się płytkim żlebem do zbiornika stojącej wody, gdzie dalej walczyły do połowy zanurzone, mokre, ociekające.

– Więc udało nam się – powiedział O’Neill niepewnie. – Możemy się zbierać do domu. – Nogi ugięły się pod nim. – Gdzie nasz pojazd?

Gdy odpałał silnik ciężarówki, w oddali coś błysnęło – duże, metaliczne, poruszało się wśród stert żużla i popiołów. Był to konwój ciężkich, wytrzymałych transporterów wkraczających

pędem do akcji. Z której fabryki?

W sumie bez znaczenia, bo z gąszczu czarnych ociekających pnączy wypełzły im na spotkanie siły przeciwuderzenia. Obie fabryki ściągały swoje ruchome jednostki. Zewsząd skradały się, pełzną, szperacze. Otaczały ocalałą stertę wolframu. Żadna ze stron nie chciała dopuścić do utraty surowca; żadna też nie zamierzała rezygnować ze znaleziska. Obie, wykonując kategoryczne rozkazy, na oślep, automatycznie starały się ściągnąć przeważające siły.

– No już – popędzał Morrison. – Wyośmy się stąd. Za chwilę rozpęta się tu piekło.

O'Neill pośpiesznie nawrócił i ciężarówka ruszyła w kierunku osady. Przez ciemność zaczęli się przebijać do domu. Co chwila mijali metaliczne bryły pędzące tam, skąd jechali.

– Widzieliście, jaki ładunek wiózł ostatni transporter? – spytał zatroskany Perine. – Pusty nie jechał.

Sunęła cała kawalkada załadowanych pojazdów kierowanych przez rozbudowaną jednostkę dowodzenia.

– Armaty – powiedział Morrison, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. – Zwożą broń. Ale kto będzie z niej strzelać?

– Oni – odpowiedział O'Neill, wskazując na tumult po prawej stronie. – Spójrzcie tam. Nie tego się spodziewaliśmy.

Spojrzeli. Do akcji wkraczał pierwszy z przedstawicieli fabryki.

Gdy ciężarówka wjeżdżała do osady Kansas City, dopadła ich zdyszana Judith. W rękę trzymała trzepoczący skrawek metalowej folii.

– Co to? – spytał O'Neill, biorąc od niej folię.

– Chodźcie. – Jego żona starała się złapać oddech. – Wpadł pojazd, rzucił to i odjechał. Okropny zamęt. Fabryka w ogniu – widać na wiele mil.

O'Neill rzucił okiem na dokument. Było to wystawione przez fabrykę potwierdzenie ostatnich zamówień osady – sumaryczne zestawienie dostarczonych przez fabrykę artykułów. Na liście widniało pięć odcisniętych czarną pieczęcią słów: WSZYSTKIE DOSTAWY ZAWIESZONE DO ODWOŁANIA.

O'Neill ciężko odetchnął i przekazał dokument Perine'owi.

– Koniec z dobrami konsumpcyjnymi – powiedział ironicznie, a po ustach przemknął mu nerwowy uśmiezek. – Sieć wkracza na wojenną ścieżkę.

– Więc udało nam się? – spytał niepewnie Morrison.

– A jakże – odpowiedział O'Neill. Konflikt wybuchł i O'Neill czuł już tylko chłód ogarniającego go przerażenia. – Pittsburgh i Detroit już się nie cofną i szukają sojuszników. Dla nas też jest za późno na zmianę zdania.

Chłodne poranne słońce oświetlało zdewastowaną równinę pokrytą czarnym metalicznym popiołem, który, wciąż ciepły, tlił się przyćmioną czerwienią.

– Uważaj, stopień – ostrzegł żonę O’Neill. Chwycił ją za rękę i poprowadził z zardzewiałej, rozpadającej się ciężarówki na szczyt stosu betonowych bloków, pozostałych po zniszczonym bunkrze. Obok nich ostrożnie i z wahaniem posuwał się Earl Perine.

Za sobą pozostawili osadę w rozsypce: szachownicę bezładnie poustawianych domów, budynków i ulic. Osada popadła w stan niemal całkowitego barbarzyństwa, odkąd skończyły się dostawy i opieka oferowane przez zautomatyzowaną fabrykę. Ocalałe towary niszczały i tylko częściowo nadawały się do użytku. Ponad rok minął od czasu, gdy zawitała tu ostatnia ciężarówka z fabryki z ładunkiem pożywienia, narzędzi, odzieży i części zamiennych. I już żaden pojazd nie zmierzał w ich stronę z rozpościerającej się u podnóża góry przestrzeni metalu i ciemnego betonu.

Spełniło się ich życzenie – odcięli się, oderwali od sieci.

Bez niczyjej pomocy.

Wokół strzępiły się pola porośnięte pszenicą i badyłami spalonych na słońcu warzyw. Używano prostych, ręcznie wykonanych narzędzi i prymitywnych wyrobów produkowanych po osadach ogromnym nakładem sił. Komunikacja między ludzkimi siedzibami odbywała się w rytmie wyznaczonym przez wolne tempo terkoczącego telegrafu i zaprzęgów konnych.

Jednak udało się im zachować dawną strukturę. Trwała niemrawa, lecz stała wymiana dóbr i usług. Utrzymywano produkcję i dystrybucję towarów. Chodzili w zgrzebnych, ale mocnych ubraniach. Udało im się przerobić zasilanie w kilku ciężarówkach: napędzane były teraz nie benzyną, lecz drewnem.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział O’Neill. – Stąd wszystko widać.

– A warto patrzeć? – spytała wyczerpana Judith. Schyliła się i bezmyślnie grzebała w bucie, usiłując wydłubać kamyczek z miękkiej, skórzanej podeszwy. – Tyle się nachodzić, żeby zobaczyć to, co widzimy dzień w dzień od trzynastu miesięcy.

– Nie da się ukryć – przytaknął O’Neill i na moment położył dłoń na szczupłym ramieniu żony. – Ale może to już ostatni raz. Przecież chcemy to zobaczyć.

Nad ich głowami, wysoko i daleko, po szarym niebie krążył czarny matowy punkcik. Wirował, mknął jak strzała, obierając skomplikowany kurs. Spiralnym ruchem stopniowo zbliżał się do gór, u których podnóża tonął posępny przestwór zrujnowanej przez bomby budowli.

– San Francisco – wyjaśnił O’Neill. – Jeden z tych pocisków dalekiego zasięgu przyleciał tu aż z Zachodniego Wybrzeża.

– I myślisz, że ostatni? – spytał Perine.

– To jedyny, jaki widzieliśmy w tym miesiącu. – O’Neill usiadł i drobinami wysuszonego

tytoniu posypywał pasek brązowego papieru... – A kiedyś widywało się ich setki.

– Może mają coś lepszego – rzuciła Judith. Wypatrzyła gładki kamień i zmęczona usiadła. – A nie?

Jej mąż uśmiechnął się ironicznie.

– Nie. Niczego lepszego nie mają.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Wysoko nad ich głowami czarny punkcik obniżał lot. Żadnych oznak aktywności w rejonie pokrytych metalem i betonem przestrzeni: w fabryce Kansas City panował bezwład i martwota. Jedna jej część rozsypała się już w ruinę, na całym obszarze unosiły się kłęby czarnego popiołu. Stała się celem wielu bezpośrednich ataków. Teren zryty przez bruzdy odsłoniętych podziemnych tuneli, zaanektowanych przez gruz i wąsy gęstych pnączy poszukujących wody.

– Te cholerne pnącza – burknął Perine, drapiąc starą ranę na zarośniętym policzku. – Opanowują cały świat.

Wokół fabryki, w porannej rosie tu i ówdzie rdzewiały wraki zniszczonych pojazdów. Transportery, ciężarówki, szperacze, przedstawiciele fabryki, wozy bojowe, armaty, pociągi towarowe, podziemne pociski, najprzeróżniejsze części maszyn wymieszane i rzucone na wspólne, bezkształtne stosy. Sama fabryka – a raczej to, co z niej pozostało – tkwiła chyba głębiej w ziemi. Jej górna płaszczyzna była ledwie widoczna, omal ginęła pod tumanami popiołu.

W ciągu czterech dni nie było śladu po znanych przejawach życia, żadnego widocznego ruchu.

– To trup – orzekł Perine. – Przecież widać.

O'Neill nie odpowiedział. Przykucnął, usadowił się wygodnie i czekał. Był przekonany, że jakaś część automatyki ocalała w zniszczonej fabryce. Czas pokaże. Rzucił okiem na zegarek; ósma trzydzieści. Dawniej o tej porze w fabryce zaczynałby się dzień pracy. Kawalkady ciężarówek i rozmaitych pojazdów załadowane towarami wyjeżdżały na powierzchnię i ruszały do ludzkich osad.

Na prawo coś drgnęło. Od razu się tym zainteresował.

W stronę fabryki niezdarnie pełzł pojedynczy, pokiereszowany transporter. Ostatnia ruchoma jednostka, która próbowała wypełniać swoje zadanie. Był prawie pusty: w jego ładowni spoczywało zaledwie kilka skrawków metalu. Hiena... metal pochodził z wyposażenia wyrwanego z napotkanych po drodze maszyn. Bojaźliwie i niepewnie, niczym ślepy owad, zbliżał się do fabryki. Poruszał się niesamowitymi szarpanymi ruchami. Raz po raz zatrzymywał się, podskakiwał, dygotał i bez powodu zbacał.

– Problem ze sterowaniem – zauważyła Judith z nutką przerażenia w głosie. – Fabryka ma kłopot ze sterowaniem w powrotnym kursie.

Tak, widywał już takie rzeczy. W okolicach Nowego Jorku fabryka na dobre straciła

przekładnik wysokiej częstotliwości. Należące do niej pojazdy poruszały się dziwnymi spiralnymi ruchami, miały się w miejscu, rozbijając o skały i drzewa, wpadały do kanałów, przewracały, aż w końcu uspokajały się i przechodziły w stan biernego oporu.

Transporter dotarł na skraj pokrytej zgliszczami równiny i przystanął. Nad nim wciąż krążył po niebie czarny punkcik. Pojazd zastygł na chwilę w bezruchu.

– Fabryka próbuje podjąć decyzję – stwierdził Perine. – Potrzebuje surowca, ale boi się tamtego pocisku.

Fabryka zastanawiała się i wszystko trwało w bezruchu. Nagle transporter niepewnie zastartował. Minał gęste pnącza i ruszył przez zdewastowaną równinę. Ostrożnie skierował się w stronę ciemnej betonowo-metalowej płyty u podnóża gór.

Punkcik przestał krążyć.

– Padnij! – krzyknął O’Neill. – Wyposażyli go w nowe bomby.

Judith i Perine przykucnęli obok i cała trójka ostrożnie obserwowała równinę, którą mozolnie przemierzał metalowy owad. Pocisk przeciął niebo prostą linią, zawisł dokładnie nad transporterem. I wtedy, bez ostrzeżenia, przeszedł w bezgłośny lot nurkowy. Judith zakryła twarz dłońmi i zaczęła krzyczeć:

– Nie mogę na to patrzeć! To jest okropne! Jak dzikie bestie!

– Wcale nie celuje w transporter! – stwierdził O’Neill.

Gdy pocisk pikował, pojazd desperacko ruszył z pełną prędkością. Pędził hałaśliwie w stronę fabryki, pobrząkując i klekocząc, próbując po raz ostatni dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Na próżno. Fabryka, zapominając o zagrożeniu z powietrza, w podnieceniu otworzyła wejście i wpuściła pojazd bezpośrednio do środka. Pocisk na to tylko czekał.

Zanim brama zdążyła się zamknąć, pocisk z nurkowania przeszedł w ślizg i sunął równolegle do ziemi. Gdy transporter zniknął w czeluściach fabryki, pocisk puścił się za nim i z metalicznym błyskiem przemknął obok. Fabryka, nagle oprzytomniawszy, zatrzasnęła bramę. Pojazd zaczął się groteskowo szamotać; na dobre utknął w półotwartej bramie.

Już nieważne, czy uda mu się uwolnić. Dało się słyszeć głucho dudnienie. Grunt poruszył się, wzdął i opadł. Fala potężnego wstrząsu przeszła pod miejscem, w którym stała obserwująca zdarzenia trójka. Z fabryki trysnął słup czarnego dymu. Betonowa powierzchnia pękała niczym wysuszona łupina; łuszczyła się, trzaskała, rozsypywała na kawałki w nawałnicy zniszczenia. Dym na chwilę zawisł, po czym odpłynął z porannym wiatrem.

Z fabryki pozostał zwalony, wybebeszony wrak. Pocisk przeniknął do niej i zniszczył ją.

O’Neill stanął na zeszywniałych nogach.

– To wszystko. Koniec. Mamy to, czego chcieliśmy – zniszczyliśmy sieć zautomatyzowanych fabryk. – Zerknął na Perine’a. – A nie o to nam chodziło?

Spojrzeli w stronę rozpościerającej się za nimi osady. Niewiele zostało ze znanego

z poprzednich lat widoku: rzędów domów i ulic. Bez sieci osada prędko popadła w ruinę. Zniknęła dawna, świadcząca o bogactwie schludność. Zamiast niej – nędza i nieład.

– Oczywiście, że o to – odpowiedział Perine niepewnie. – Gdy tylko dobierzemy się do fabryk i zaczniemy budować własne linie montażowe...

– A czy coś w ogóle zostało? – dopytywała się Judith.

– Coś musiało zostać. Przecież to się ciągnęło całymi milami pod ziemią!

– Te bomby, które spuszczali pod koniec, były strasznie duże – zauważyła Judith. – I tak lepiej od innych wyszliśmy na wojnie.

– Pamiętacie tamten obóz? Mieszkańców ruin?

– Mnie wtedy nie było – powiedział Perine.

– Zachowywali się jak dzikie zwierzęta. Żywili się korzeniami i larwami. Kamienne narzędzia, garbowane skóry. Zdziczenie i zezwierzęcenie.

– Ale tego właśnie tacy ludzie chcą – odparł Perine, broniąc się.

– Naprawdę? Tego? – O'Neill wskazał na osadę. – Czy to chcieliśmy zobaczyć, gdy zaczęliśmy zbierać wolfram? Albo wtedy, gdy ciężarówce z fabryki powiedzieliśmy, że mleko jest... – nie mógł sobie przypomnieć słowa.

– Piźnięte – podpowiedziała Judith.

– No to już – powiedział O'Neill. – Bierzmy się do roboty. Przekonajmy się, co zostało dla nas.

Późnym popołudniem dotarli do ruin fabryki. Cztery ciężarówki, dudniąc, podjechały niepewnie na skraj leja i zatrzymały się. Silniki ucichły, z rur wydechowych dymiło. Robotnicy, rozglądając się, wysiedli i ostrożnie ruszyli przez gorące popioły.

– Może jeszcze za wcześnie – zawahał się jeden z nich.

– No już – rzucił rozkazująco O'Neill. Nie miał zamiaru czekać. Trzymając wysoko latarkę, schodził do leja.

Dokładnie przed sobą mieli chroniony przez bunkier korpus fabryki Kansas City. We wrotach do jej trzewi nadal tkwił transporter. Przestał się już szamotać. Za nim rozpościerała się ponura złowieszczą otchłań. O'Neill błysnął latarką w stronę prześwitu: ukazały się splątane, pogieęte pozostałości konstrukcji nośnej.

– Musimy zejść głębiej – powiedział do Morrisona, który podążał za nim.

Morrison chrząknął.

– Te krety z Atlanty przechwyciły większość głębokich poziomów.

– Dopóki inni nie zatopili im kopalni. – O'Neill ostrożnie przesunął się przez nadwątlone wejście, wszedł na stertę gruzu tarasującą szczelinę od wewnątrz i znalazł się w środku fabryki – przestrzeni wypełnionej pomieszanych bez ładu i składu szczątkami.

– Entropia – westchnął przygnębiony Morrison. – To, czego tu nie znosili, co zawsze

zwalczali. Wszędzie przypadkowo porozmieszczane drobiny. Bez żadnej myśli.

– Niżej możemy znaleźć jakieś odcięte enklawy – powiedział, nie rezygnując, O’Neill. – Wiem, że takie mieli, bo schodzili do autonomicznych oddziałów, chcąc uchronić jednostki remontowe, by odbudować całą fabrykę.

– Ale krety do większości z nich dotarły – zauważył Morrison, lecz począł za O’Neillem.

Za nimi powoli nadchodzili robotnicy. Zagruzowana część niebezpiecznie się przemieściła i ruszyła lawina rozpalonych elementów.

– Wracajcie do ciężarówek – powiedział O’Neill do robotników. – Nie ma sensu bez potrzeby narażać wszystkich. Jeśli my z Morrisonem nie wrócimy, zapomnijcie o nas i nie próbujcie wysyłać ekipy ratowniczej. – Gdy zostali sami, wskazał Morrisonowi częściowo nadającą się do użytku pochylnię. – Zejdźmy niżej.

Mężczyźni w milczeniu pokonywali kolejne wymarłe poziomy. Wszędzie całe mile pogrążonych w mroku ruin. Niewyraźne kształty wyłaniających się z ciemności maszyn, częściowo widoczne nieruchome taśmociągi, nie wykończone łuski pocisków bojowych – pokrzywione i poskręcane po eksplozji.

– Co nieco możemy z tego ocalić – rzucił O’Neill, ale raczej bez przekonania. Urządzenia stopione, powyginane. Wszystko leżało kupą w bezkształtnej masie. – Gdy już wydobędziemy to na powierzchnię...

– Nie damy rady – przerwał z goryczą Morrison. – Nie mamy ani wind, ani wciągarek. – Kopnął stertę zwęglonych zapasów, które zalegały na taśmociągu i do połowy tarasowały pochylnię.

– Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł – mówił O’Neill, gdy mijali opustoszałe hale zastawione maszynami. – Ale teraz, z perspektywy czasu, nie jestem taki pewien.

Weszli daleko w głąb fabryki. Przed nimi rozpościerał się ostatni już poziom. O’Neill świecił tu i ówdzie latarką, starając się znaleźć nie zniszczone części, nie naruszone zespoły procesu montażowego.

Pierwszy wyczuł je Morrison. Potem także O’Neill. Spod podłogi dobiegało uporczywe wibrujące buczenie, miarowy odgłos aktywności. A więc nie mieli racji: pociskowi nie do końca udało się dzieło zniszczenia. W głębi, na jeszcze niższym poziomie fabryka wciąż żyła, nadal funkcjonowała na ograniczoną skalę.

– Samoczynnie – mruknął O’Neill, rozglądając się za wejściem do dźwigu. – Samoczynny proces, zaprogramowany na działanie, gdy wszystko inne padnie. Jak się dostaniemy na dół?

Winda była zatarasowana przez potężną metalową płytę. Funkcjonujący pod spodem poziom był kompletnie odcięty. Żadnego wejścia.

O’Neill pokonał w ekspresowym tempie drogę, którą przyszedł, i gdy dotarł na powierzchnię, przywołał machnięciem ręki pierwszą ciężarówkę. – Gdzie jest, do diabła, palnik? Dawaj!

Dostał bezcenny palnik i pędem zawrócił, znikając w otchłaniach zrujnowanej fabryki, gdzie czekał Morrison. Zaczęli się wspólnie przebijać przez spaczoną metalową podłogę, rozdzielając płomieniem warstwy siatki ochronnej. – Idzie – wyrzucił z siebie Morrison, patrząc zmrużonymi oczami na płomień pochodni. Płyta oderwała się z brzękiem i znikła w czeluściach dolnego poziomu. Bluznął snop białego światła i obaj odskoczyli.

Po zamkniętej hali niósł się łoskot wytężonej pracy, przesuwających się taśmociągów, warczących maszyn-narzędzi, błyskawicznie przemieszczających się automatycznych nadzorców. Na jednym krańcu surowce, spokojnym przepływem dające początek linii, na drugim – produkt końcowy, odbierany, kontrolowany i pakowany do cylindrycznego przenośnika.

Wszystko to mignęło w ułamku sekundy, bo ich wtargnięcie natychmiast zostało wykryte. Do akcji wkroczyły automatyczne przekaźniki. Światła rozbłyskiwały i gasły. Linia montażowa zastygła w bezruchu, przerywając intensywną pracę.

Wyłączone maszyny zamilkły.

Z jednego krańca ruszyła jednostka jezdna i nabierając prędkości, zmierzała ku dziurze, którą wycięli O'Neill z Morrisonem. Wcisnęła z trzaskiem awaryjną płytę i fachowo przyspawała. Zniknęła widziana przez otwór sceneria. Po chwili podłoga zadrżała i pod spodem wszystko ponownie ruszyło.

Morrison, błąd i roztrzęsiony, spojrzał na O'Neill.

– Co oni robią? Co produkują?

– To nie jest broń – odpowiedział O'Neill.

– Wysyłają to – Morrison wykonał spazmatyczny gest – na powierzchnię.

– Da się zlokalizować to miejsce? – O'Neill wstał, chwiejąc się na nogach.

– Chyba tak.

– Lepiej, żeby się dało. – Wziął latarkę i ruszył w stronę pochylni prowadzącej na górę. – Będziemy musieli sprawdzić, co to za pociski, którymi strzelają.

Ujście transportera cylindrycznego schowane było w pokrytych gęstym pnączem ruinach, jakieś ćwierć mili za fabryką. Końcowy zawór tkwiący w skalnym wyłobieniu u podnóża gór przypominał dyszę. Z odległości dziesięciu metrów był niewidoczny. Dwaj mężczyźni zauważyli go dopiero wtedy, gdy prawie nań wpadli.

Co kilka chwil z zaworu wyskakiwał pocisk i strzelał prosto w niebo. Dysza obracała się i zmieniała kąt odchylenia: każdy pocisk leciał nieco inną trajektorią.

– Dokąd lecą? – zastanawiał się Morrison.

– Pewnie różnie. Dystrybucja odbywa się na chybił trafił. – O'Neill ostrożnie ruszył naprzód, ale urządzenie nie zareagowało. W wyniosłej skalnej ścianie utkwiał zgnieciony pocisk, przypadkowo wypuszczony przez dyszę. O'Neill wspiął się, wyjął go i zeskoczył.

Był to cylindryczny pojemnik wypełniony drobnymi metalowymi elementami, zbyt małymi, aby można je było badać bez mikroskopu.

– To nie jest broń – stwierdził O’Neill.

Cylinder rozsunał się. Zrazu trudno było powiedzieć, czy pod wpływem uderzenia, czy działającego wewnętrznego mechanizmu. Z otworu wysypywało się mnóstwo metalowych elementów. O’Neill przykucnął i przyglądał się im.

Cząsteczki były ruchome. Mikroskopijne urządzenia, mniejsze od mrówki, nawet od główki szpilki, pracowały żwawo i w konkretnym celu – wytwarzając jakby maleńkie stalowe prostokąty.

– Budują – powiedział O’Neill z podziwem. Podniósł się i ruszył w bok, na drugą stronę żlebu, gdzie natknął się na o wiele bardziej skomplikowany konstrukcyjnie pocisk. Najwyraźniej został wypuszczony już jakiś czas temu. Konstrukcję, choć była maleńka, dało się jednak rozpoznać – machina budowała miniaturowe repliki zniszczonej fabryki.

– No to wracamy do punktu wyjścia – powiedział O’Neill w zamyśleniu. – Dobrze to czy źle... nie mam pojęcia.

– W tej chwili pewnie opanowali już całą Ziemię – stwierdził Morrison. – Spadają, gdzie popadnie i przystępują do dzieła.

Nagle coś zastanowiło O’Neilla.

– Może niektóre z nich potrafią osiągać prędkość kosmiczną. To by dopiero było – sieć zautomatyzowanych fabryk we wszechświecie.

Z tyłu dysza nadal tryskała strumieniem metalowych zarodków.

Epoka Beztroskiej Pat

O dziesiątej rano Sama Regana wyrwał ze snu potworny, dobrze mu znany dźwięk rogu. Sklął opiekuna. Wiedział, że wywołał on ten harmider celowo – nerwowo krążył, bo chciał mieć pewność, iż paczki z pomocą, które miał rzucić, trafią gdzie trzeba, a nie staną się na przykład zdobyczą dzikich zwierząt.

– Dostaniemy je, dostaniemy – mrucał pod nosem Sam, zapinając zamek swojego przeciwpyłowego kombinezonu. Włożył buty i gderając, poczłapał, najwolniej jak mógł, w stronę rampy. Dołączyło do niego kilku innych fuksiarzy okazujących podobne rozdrażnienie.

– Coś wcześniej dzisiaj – narzekał Tod Morrison. – Założę się, że same żelazne produkty: cukier, mąka i smalec – nic ciekawego...

– Powinniśmy być wdzięczni – wtrącił Norman Schein.

– Wdzięczni! – Tod aż przystanął. – Wdzięczni?

– Tak – odparł Schein. – A co byśmy, według ciebie, jedli, gdyby nie oni? Gdyby dziesięć lat temu nie zauważyli chmur?

– Po prostu nie lubię, kiedy są tak wcześnie – odparł urażony Tod. – A to, że w ogóle przylatują, właściwie mi nie przeszkadza.

– Aleś ty tolerancyjny. Opiekunowie byliby na pewno zachwyceni, słysząc cię – powiedział dobrodusznie Schein, napierając barkami na pokrywę zamykającą wyjście.

Jako ostatni z całej trójki na powierzchni ukazał się Sam Regan. Nie lubił wychodzić i nie obchodziło go, czy ktoś o tym wie. A zresztą i tak nikt by go nie zmusił do opuszczenia bezpiecznego miejsca w Jamie Mamałykowej; to była wyłącznie jego sprawa. Jak zdążył już zauważyć, większość podobnych mu fuksiarzy postanowiła zostać na dole w swoich siedzibach, w przekonaniu, że ci, którzy zareagują na dźwięk rogu, i tak im coś przyniosą.

– Jasno – mruknął Tod, mrużąc oczy przed słońcem.

Statek powietrzny opieki błyszczał na tle szarego nieba, unosząc się tuż nad głowami, jakby wisiał na niepewnej nici. „Dobry pilot z tego nygusa – z uznaniem pomyślał Tod. – Steruje sobie taki, a raczej toto, od niechcenia, bez pośpiechu”. Pomachał mu ręką na powitanie. Ponownie zadał przeraźliwie róg, zmuszając go do zatkania uszu.

– No, na żarty nie ma rady – mruknął pod nosem i nagle ucichło. Opiekun zlitował się.

– Daj mu znak, żeby rzucił – Norman Schein podpowiedział Todowi. – Masz sygnalizator.

– Oczywiście. – Tod pracowicie wymachiwał czerwoną chorągiewką, dostarczoną dawno temu przez Marsjan: raz-dwa, raz-dwa.

Spod statku wyłonił się zasobnik, wystawił stabilizatory i spiralnym ruchem powoli osiadał.

– Jak rany – powiedział Sam z obrzydzeniem. – Znowu podstawowe produkty. I to bez spadochronu. – Odwrócił się, tracąc zainteresowanie.

„Jak nędznie dzisiaj na górze”, pomyślał, przyglądając się otaczającej scenerii. Na prawo, niedaleko od ich jamy – nie dokończona budowa domu, z rupieci wyrwanych cudem z Vallejo, dziesięć mil na północ. Zwierzęta albo pył popromienny zmogły budowniczego, toteż nikt już nie będzie miał z tego pożytku. Ale od czasu, gdy Sam Regan był tu ostatnio, w czwartek czy piątek, myliło mu się, pojawił się niezwykle obfity osad. Przekłety pył. Same kamienie, gruz i jeszcze kurz. Nieregularnie przecierany, zakurzony sprzęt – ot, czym był teraz świat. „Co z tobą? – zapytał bezgłośnie marsjańskiego opiekuna wykonującego w powietrzu powolne ewolucje. – Wasza technika nie może wszystkiego? Nie da się tak przylecieć któregoś dnia z wielką ścierką od kurzu i doprowadzić naszą planetę do stanu nieskazitelnej czystości, żeby znowu była jak nowa? A raczej stanu nieskazitelnej dawności, jak powiedziałyby dzieci. Spróbuj, skoro już koniecznie chcesz coś dla nas zrobić w ramach dalszej pomocy”.

Opiekun nadal krążył, wypatrując na ziemi słów – wiadomości od pozostających na dole fuksiarzy.

„Napiszę mu: PRZYWIEŹ ŚCIERKĘ OD KURZU. ODBUDUJCIE NASZĄ CYWILIZACJĘ. Dobra, mały?” pomyślał Sam.

Nagle statek odleciał, na pewno z powrotem do bazy na Księżycu, a może nawet na Marsa.

Z otworu jamy, z której wyszła cała trójka, wychnęła jeszcze jedna głowa, kobiety. Była to Jean Regan, żona Sama. Jej głowę przed szarym i jednocześnie oślepiającym słońcem chronił czepek. Marszcząc nos, zapytała:

– Jest coś? Coś nowego?

– Raczej nie – odparł Sam, a gdy zasobnik z paczkami z pomocą wylądował, podszedł, zostawiając w kurzu ślady butów. Ładownia otworzyła się pod wpływem wstrząsu i widać już było pojemniki. Wyglądało na to, że dostali pięć tysięcy funtów soli. „Równie dobrze można by tę dostawę tu zostawić, żeby zwierzęta nie wyzdychały z głodu”, pomyślał. Czuł się zniechęcony.

Osobliwa była ta troska opiekunów. Cały czas dbali o dostarczanie podstawowych środków egzystencji z własnej planety na Ziemię. „Pewnie sobie wyobrażają, że przez cały dzień się opychamy”, myślał Sam. Boże drogi... jama pękała od zgromadzonej żywności. A był to jeden z najmniejszych ogólnie dostępnych schronów w północnej Kalifornii.

– Ejże – zawołał Schein, nachylając się nad pojemnikiem i zaglądając do środka przez boczną szczelinę. – Widzę coś, co może nam się przydać. – Znalazł zardzewiały metalowy pręt, służący kiedyś do wzmacniania betonowych ścian gmachów publicznych, i szturchnął zasobnik, pobudzając do działania jego mechanizm wylądowczy. Urządzenie drgnęło, otwierając tylną część i ukazując jej zawartość.

– To chyba są radia – powiedział Tod. – Tranzystorowe. – Zastanawiając się, pogmerzał w krótkiej czarnej brodzie i dorzucił: – Może dałoby się je wykorzystać do czegoś nowego w naszych makietach.

– W mojej już jest radio – zaznaczył Schein.

– No to zbuduj elektroniczną samosterującą kosiarkę – podsunął Tod. – Przecież nie masz, nie?

Dość dobrze znał makietę Beztroskiej Pat Scheinów. Obie pary, on ze swoją żoną i Schein ze swoją, od dawna razem grały i były mniej więcej na tym samym poziomie.

– Zaklepuję sobie te radia, bo mi się przydadzą – wtrącił Sam Regan. W jego makiecie brakowało automatycznego urządzenia otwierającego drzwi do garażu, które posiadali i Schein, i Tod. Wyraźnie był w tyle.

– No to do roboty – zgodził się Schein. – Wytaszczymy tylko te odbiorniki. Jak komu potrzebne towary żelazne, to niech sobie przyjdzie i je weźmie. Zanim zabiorą się za nie psokoty.

Pozostali dwaj mężczyźni kiwnęli głowami i zaczęli wносить do jamy zawartość zasobnika: będą mogli ją wykorzystać w swoich ukochanych makietach Beztroskiej Pat.

Timothy Schein, chłopiec dziesięcioletni, lecz świadomy swoich rozlicznych obowiązków, siedział, założywszy nogę na nogę, i systematycznie, fachowo ostrzył na osełce nóż. Tymczasem ojciec z matką przeszkadzali mu, kłócąc się za przepierzeniem z państwem Morrisonami. Znowu grali w Beztroską Pat.

„Jak długo zamierzają siedzieć przy tej durnej grze? – zastanawiał się Timothy. – Pewnie bez końca”. Nie widział w niej nic szczególnego, a rodzice poświęcali jej tak wiele czasu. I to nie tylko oni. Dzieciaki, nawet z innych jam, mówiły, że ich rodzice też całymi dniami grają w Beztroską Pat, czasami nawet do późna w nocy.

Matka głośno perorowała:

– Beztroska Pat idzie do sklepu spożywczego, w którym drzwi działają za pomocą fotokomórki. Ooo. – Cisza. – Widzicie, otworzyły się przed nią i już jest w środku.

– Pcha wózek – przyszedł jej w sukurs ojciec.

– Nie, nie pcha – zaprzeczyła pani Morrison. – Podaje sprzedawcy listę, a on przynosi zakupy.

– Tak jest tylko w lokalnych sklepikach – pospieszyła z wyjaśnieniem matka Timothy’ego. – A to supermarket, przecież można poznać po fotokomórce przy wejściu.

– Fotokomórki są we wszystkich sklepach spożywczych – upierała się przy swoim pani Morrison, a mąż zgodnie jej przytakiwał. W głosach narastała złość i szykowała się kolejna sprzeczka. Jak zwykle.

– A w dupę z nimi – mruknął pod nosem Timothy, używszy najmocniejszego z repertuaru znanych sobie i kolegom słów. Zresztą, co za supermarket? Zbadał ostrze noża – wykonanego własnoręcznie od początku do końca z ciężkiego, metalowego rondla – a potem zerwał się na nogi. Chwilę później pędził przez hol i w charakterystyczny dla siebie sposób zastukał do

kwatery Chamberlainów.

Otworzył Fred, jego rówieśnik.

– Cześć. Idziemy? Widzę, że naostrzyłeś ten stary nóż. Jak myślisz, co złapiemy?

– Tylko nie psokota – odparł Timothy. – Wszystko, tylko nie to. Już mi się przejadły. Za bardzo pieprzne.

– Twoi starzy grają w Beztroską Pat?

– Tak

– Moi wyszli na dłużej... w tym samym celu, do Bentleyów – powiedział Fred. Zerknął na Timothy'ego i w momencie udzieliło im się wspólne rozczarowanie co do rodziców. Licho nadało, przecież ta cholerna gra mogła rozpanoszyć się po całym świecie i nikogo by to nie zdziwiło.

– Dlaczego w ogóle zaczęli w to grać? – spytał Timothy.

– Z tych samych powodów co twoi – odparł Fred. Timothy, wahając się, ciągnął dalej: – No więc dlaczego? Bo ja nie wiem. Nie możesz powiedzieć?

– No dlatego... Sam się dowiedz. – Fred przerwał. – Dawaj, chodźmy na górę i zapolujmy – ponaglał z błyskiem w oku. – Zobaczmy, co uda nam się dzisiaj ukatrupić.

Po chwili, gdy już przeszli rampę i wypchnęli pokrywę, kucali na zewnątrz w kurzu pośród kamieni i obserwowali horyzont. Timothy'emu serce waliło jak młot. Ta chwila, w której lądowali na górze, zawsze go porażała – budzący grozę widok otwartej przestrzeni nigdy nie był taki sam. Wydawało się, że pył, dzisiaj bardziej szary niż kiedykolwiek, jest gęściejszy, nieprzenikniony.

Tu i ówdzie wałały się pokryte licznymi warstwami pyłu paczki, dostarczane przez kolejne statki z pomocą – zrzucane i skazywane na zniszczenie. Nikt się po nie nie zgłaszał. W dodatku Timothy zobaczył jeszcze jeden zasobnik, który przybył rano. Widać było cały jego ładunek: dla dorosłych okazał się on dzisiaj prawie w całości bezużyteczny.

– Popatrz – powiedział cicho Fred.

Dwa psokoty, mutanty psa lub kota, delikatnie obwąchiwały zasobnik. Zwabiła je nie odebrana zawartość.

– Nie chcemy ich – stwierdził Timothy.

– Ten jest całkiem tłuściutki – zauważył Fred.

Ale to Timothy miał nóż, a on dysponował tylko procą, za której pomocą można było zabić najwyżej ptaka lub drobne zwierzę, ale zupełnie nieprzydatną w przypadku psokotów, ważących na ogół od piętnastu do dwudziestu funtów, a czasami więcej.

Wysoko na niebie z ogromną prędkością mknął jakiś punkt. Timothy wiedział, że to statek opieki zmierzający z zapasami do kolejnej jamy. „Jaki zapracowany. Ci opiekunowie zawsze są

w ruchu i ani na chwilę się nie zatrzymują, bo w przeciwnym razie dorośli by poumierali. Czy to byłoby aż takie złe? – pomyślał z ironią. – Na pewno smutne”.

– Pomachaj mu, to może coś zrzuci – powiedział Fred. Wyszczrzył zęby do kolegi i nagle obaj wybuchnęli śmiechem.

– A jak – odparł Timothy. – Zaraz, czego ja chcę? – Ponownie roześmiali się na taką myśl. Cały świat nad jamą, jak okiem sięgnąć, należał przecież do nich... posiadali więcej niż sami opiekunowie, a ci mieli całe mnóstwo.

– Myślisz, że wiedzą, iż nasi rodzice grają w Beztroską Pat meblami zrobionymi z tego, co jest w zrzutach? – spytał Fred. – Założę się, że nie mają pojęcia o Beztroskiej Pat. Na oczy nie widzieli tej lalki. Gdyby się dowiedzieli, toby się dopiero wściekli.

– Racja – odparł Timothy. – Obraziliby się i pewnie przestaliby robić zrzuty. – Zerknął na kolegę, chwytając jego spojrzenie.

– O, nie – odparł Fred. – To nie mówmy im. Za coś takiego ojciec znowu by cię sprął, i mnie pewnie też.

Ale pomysł był ciekawy. Już sobie wyobrażał zaskoczenie, a potem złość opiekunów. Jednak miałby ubaw, obserwując reakcję ośmionogich stworzeń z Marsa, o pokrytych brodawkami mięczakowatych ciałach chronionych jednorodną skorupą. Istot, z własnej woli ruszających na ratunek ginącym resztkom ludzkości... przepełnionych miłosierdziem, za które odpłacano im bezmyślnym trwonieniem dostarczanych przez nich dóbr. Choćby na taką Beztroską Pat, ulubioną zabawę dorosłych.

A zresztą i tak trudno byłoby ich o tym poinformować. Porozumienie się z opiekunami właściwie nie wchodziło w rachubę. Tak bardzo się różnili. Gesty, działania, owszem, coś wyrażały... ale słowa, znaki, gdzie tam. Zresztą...

Z prawej strony, obok na wpół wykończonego domu, kicał wielki, brunatny królik. Timothy błyskawicznie wyciągnął nóż.

– Stary! – krzyknął poruszony. – Ruszamy! – puścił się przez gruzowisko, a za nim Fred. Powoli dopadali zwierzaka – taka gonitwa to dla nich fraszka, mieli w końcu zaprawę.

– Rzuć nożem! – wysapał Fred.

Timothy zahamował poślizgiem, uniósł prawą rękę, wymierzył i cisnął dobrze naostrzoną bronią – najcenniejszym ze swoich skarbów.

Ostrze trafiło dokładnie w trzewia. Królik przeokoziółkował i padł, wznecając tuman kurzu.

– Zakład, że dostaniemy za niego dolara! – zawołał Fred, podskakując z radości. – Za samą skórkę, założę się, że dadzą pięćdziesiąt centów za samą skórkę!

Pospiesznie ruszyli do zabitego stworzenia, uważając, by z szarego nieba nie zaatakowała sowa albo jastrząb, udaremniając ich zamiary.

Norman Schein nachylił się i zabierając swoją Beztroską Pat, powiedział obrażonym tonem:

– Idę sobie. Mam dość zabawy.

Żona, zrozpaczona, zaprotestowała.

– Ale nasza Beztroska Pat dojechała już do centrum miasta swoim nowiutkim hardtopem, zaparkowała, wrzuciła dziesiątkę do parkometru, zrobiła zakupy, a teraz siedzi w poczekalni psychoanalityka, gdzie czyta „Fortune”. Bijemy na głowę Morrisonów! Dlaczego chcesz już iść, Norm?

– Po prostu nie możemy się dogadać – burknął. – Ty twierdzisz, że psychoanalitycy liczą sobie dwadzieścia dolarów za godzinę, a ja dokładnie pamiętam, że tylko dziesięć. Nikt nie bierze dwudziestu. Dlatego dostajemy karę, i za co? Nasi przeciwnicy wiedzą, że tylko dziesięć, prawda? – zwrócił się do Morrisonów siedzących w kucki po drugiej stronie makiety.

– Częściej ode mnie chadzałeś do psychoanalityka. Jesteś pewien, że brał tylko dziesięć? – spytała męża Helen Morrison.

– Przeważnie uczestniczyłem w zajęciach grup terapeutycznych – odparł Tod. – W Stanowej Klinice Zdrowia Psychicznego w Berkeley, i brali, co łaska... A Beztroska Pat leczy się prywatnie u psychoanalityka.

– Będziemy musieli kogoś zapytać – zdecydowała Helen. – Możemy chyba tylko odłożyć grę – dodała, zwracając się do Normana.

Ten stwierdził, że ona także wpatruje się teraz w niego, bo przez swój upór z powodu jednego punktu zmuszeni są odłożyć grę na całe popołudnie.

– Zrobimy tak? – powtórzyła pytanie Helen. – Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by dokończyć rozgrywkę po kolacji.

Norman Schein rzucił okiem na połączony zestaw makiet: eleganckie sklepy, oświetlone ulice z najnowszymi modelami samochodów, a każdy z nich lśni. Wreszcie dom z wielopoziomowym mieszkaniem, które zajmuje sama Beztroska Pat i gdzie przyjmuje Leonarda, swojego chłopaka. I właśnie ów dom był obiektem jego westchnień – prawdziwe centrum każdej makiety, choćby nie wiadomo jak bardzo się różniły.

Taka na przykład garderoba. Pat miała u siebie w sypialni ogromną szafę. Majtki capri, białe bawełniane szorty, dwuczęściowy kostium kąpielowy w kropki, puszyste swetry... i jeszcze zestaw hi-fi z kolekcją płyt...

Tak się naprawdę kiedyś żyło, tak było. Norman przypominał sobie swój własny zbiór płyt i nawet ciuchy miał kiedyś tak eleganckie jak Leonard: kaszmirowe marynarki, garnitury z tweedu, włoskie sportowe koszulki oraz buty made in England. Nie posiadał, co prawda, sportowego jaguara xke, ale cieszył się oldtimerem marki Mercedes-Benz z 1963 roku, którym dojeżdżał do pracy.

„Żyło się wtedy dokładnie tak, jak teraz Beztroska Pat i Leonard – pomyślał. – Właśnie tak”.

– Pamiętasz nasze radio GE z zegarem? – powiedział do żony, wskazując identyczny odbiornik, który Beztroska Pat trzymała przy łóżku. – Jak kiedyś nas budził rano muzyką klasyczną nadawaną przez KSFR FM? *Wolfgangsterzy* – tak się nazywał ten program. Codziennie rano od szóstej do dziewiątej.

– Tak – Fran z powagą skinęła głową. – A ty wstawiałeś przede mną. Wiem, że powinnam wcześniej przygotować ci bekon i kawę, ale jak cudnie było sobie poleniuchować, poleżeć jeszcze pół godzinki, dopóki nie obudzą się dzieci.

– Akurat – wtrącił Norman. – Już nie pamiętasz? Siedziały już i do ósmej oglądały w telewizji *Trzy łamagi*. Potem ja wstawiałem, robiłem im płatki i szedłem do roboty w Ampeksie, w Redwood City.

– No przecież – ocknęła się Fran – telewizor. – Ich Beztroska Pat nie miała telewizora. Przegrali z Reganami podczas partyjki w zeszłym tygodniu i Normanowi nie udało się jeszcze wykombinować nowego, który wyglądałby wystarczająco realistycznie. Dlatego w trakcie gry udawali tymczasem, że „zabrał go do naprawy spec od telewizorów”. W taki właśnie sposób zwykli tłumaczyć to, że ich Beztroska Pat nie ma czegoś, co naprawdę powinna posiadać.

„Zabawiając się w ten sposób – myślał Norman – wracamy tam, do tego przedwojennego świata. Przecież chyba dlatego gramy”. Ogarnęło go uczucie żalu, ale tylko przelotnie, bo zaraz ustąpiło pragnieniu, by kontynuować partię.

– No dalej – powiedział nagle. – Zgodzę się, by psychoanalityk wziął od Pat dwadzieścia dolarów. Dobra?

– Dobra – odrzekli zgodnie Morrisonowie i ponownie się usadowili, by dokończyć grę.

Tod Morrison wziął ich Beztroską Pat, głaskał po blond włosach (była blondynką, w odróżnieniu od lalki Scheinów – brunetki) i bawił się fałdami jej spódniczki.

– Co ty wyprawiasz? – spytała zaintrygowana żona.

– Ma ładną spódniczkę – powiedział Tod. – Świetnie sobie poradziłaś z jej uszyciem.

– Czy znałeś w dawnych czasach dziewczynę, która wyglądałaby jak Beztroska Pat? – zagadnął Norman.

– Nie – odparł z powagą Tod Morrison. – Choć żałuję. Widywałem takie w Los Angeles, gdzie mieszkałem podczas wojny koreańskiej. Ale jakoś nie udało mi się poznać żadnej osobiście. I jeszcze oczywiście te niesamowite piosenkarki, jak Peggy Lee i Julie London... bardzo przypominały Beztroską Pat.

– Graj – powiedziała stanowczo Fran.

Norman, na którego właśnie przyszła kolej, wziął bąka i nim zakręcił.

– Jedenaście – zakomunikował. – Tym samym mój Leonard wyskakuje z garażu i jedzie sobie na tor wyścigowy. – Przesunął lalkę do przodu.

Tod Morrison zamyślił się i powiedział:

– Wiecie, byłem któregoś dnia na zewnątrz, żeby poszperać w asortymencie artykułów nietrwałych zrzuconych przez opiekunów... Spotkałem tam Billa Fernera, od którego usłyszałem coś ciekawego. Natknął się na fuksiarza z jamy dawnego Oakland. I wiecie, w co oni tam grali? Wcale nie w Beztroską Pat, nawet o niej nie słyszeli.

– No to w co, u licha? – spytała Helen.

– Mają zupełnie inną lalkę. – Tod ciągnął dalej: – Bili mówi, że fuksiarze z Oakland nazwali ją Towarzystką Connie. Słyszeliście kiedyś?

– Towarzystka Connie – zastanawiała się Fran. – Jakoś dziwnie. Ciekawe, jaka jest. Ma chłopaka?

– No pewnie – odparł Tod. – Paula. Connie i Paul. Wiecie co, powinniśmy któregoś dnia wyskoczyć do Jamy Oakland i zobaczyć, jak ta ich parka wygląda, jak żyje. Moglibyśmy coś podpatrzeć i dodać do naszych makiet.

– A może udałoby nam się zagrać – rzucił Norman.

– Żeby Beztroska Pat bawiła się z Towarzystką Connie? Czy to realne? Ciekawe, jak by to było?

Nikt nie pospieszył z odpowiedzią, bo też nikt jej nie znał.

Gdy ściągali skórę z królika, Fred zapytał Timothy'ego:

– Właściwie skąd się wzięła nazwa „fuksiarz”? To pewnie jakieś paskudztwo. Dlaczego tak się mówi?

– Fuksiarz to ktoś, kto przeżył wojnę wodorową – wyjaśnił Timothy. – No wiesz, udało mu się fuksem. Nie rozumiesz? Bo prawie wszyscy zginęli, a kiedyś żyły tysiące ludzi.

– No i na czym ten fuks polega? Gdy mówisz, że udało się fuksem...

– Fuks jest wtedy, gdy los postanowił cię oszczędzić – tłumaczył Timothy i właściwie to było wszystko, co miał na ten temat do powiedzenia. Więcej sam nie wiedział.

– No, ale my nie jesteśmy fuksiarzami, bo gdy wybuchła wojna, to nas jeszcze nie było na świecie. Urodziliśmy się później.

– Racja – przytaknął Timothy.

– Więc każdy, kto mnie nazwie fuksiarzem, może zarobić w oko z mojej procy – powiedział Fred.

– Tak samo „opiekun” – dodał Timothy – jest wymyślonym słówkiem. To od tego, że z odrzutowców robiono rzuty dla ludzi na terenach katastrofy. Nazywano je „paczkami z opieki”, bo pochodziły od tych, którzy zajmowali się opieką.

– Wiem – odparł Fred. – O to nie pytałem.

– No, ale ci powiedziałem.

Chłopcy dalej oprawiali królika.

Jean Regan zagadnęła męża:

– Czy słyszałeś o lalce Towarzyska Connie? – Omiotła spojrzeniem długi, zbity z surowych desek stół, by się upewnić, że inne rodziny nie słyszą. – Bo wiesz, Sam – ciągnęła – usłyszałam o niej od Toda, a on, zdaje się, od Billa Fernera. Więc to chyba prawda.

– Że niby co? – odpowiedział pytaniem Sam.

– No, podobno w Jamie Oakland nie mają Beztroskiej Pat, lecz Towarzyską Connie... i przyszło mi na myśl, że ta, no wiesz, pustka i znużenie, jakie odczuwamy... może gdybyśmy zobaczyli Towarzyską Connie i dowiedzieli się, jak żyje, to udałoby nam się wzbogacić naszą makietę na tyle, by... – zastanawiała się przez chwilę – by była pełniejsza.

– Mniejsza o imię – odparł Sam Regan – choć Towarzyska Connie brzmi tandetnie. – Nabrał łyżkę postnej gotowanej kaszy, dostarczanej ostatnio przez opiekunów. „Założę się – pomyślał, przeżuując kęs – że Towarzyska Connie nie jada takiej papki, założę się, że wsuwa cheeseburgery z tymi wszystkimi dodatkami w dobrym barze dla zmotoryzowanych”.

– Czy moglibyśmy się do nich wybrać? – spytała Jean.

– Do Jamy Oakland? – mąż spojrzał na nią. – To piętnaście mil stąd, daleko za Jamą Berkeley!

– Ale to ważne – upierała się. – A Bili twierdzi, że fuksiarz z Oakland dotarł aż tutaj w poszukiwaniu jakiejś elektronicznej części czy czegoś takiego... więc skoro on mógł, to i my możemy. Mamy przecież kombinezony przeciwpyłowe ze zrzutu. Wiem, że się uda.

Mały Timothy Schein, który siedział ze swoją rodziną, usłyszał, o czym mowa, i nagle się wtrącił. – Gdyby nam pani zapłaciła, Fred Chamberlain i ja moglibyśmy się nawet tam wybrać. Co wy na to? – Szturchnął siedzącego obok Freda. – Co nie? Za jakieś pięć dolarów.

Fred z poważną miną zwrócił się do pani Regan. – Zdobylibyśmy dla pani Towarzyską Connie. Po pięć dolarów na łebka.

– Dobry Boże! – zawołała oburzona Jean Regan i zmieniła temat rozmowy.

Później jednak, po kolacji, wróciła do niego, gdy na kwaterze byli już tylko we dwoje z mężem.

– Muszę ją zobaczyć! – wybuchła. Sam zażywał właśnie cotygodniowej kąpieli w ocynkowanej wannie, więc był skazany na słuchanie. – Skoro już wiemy, że istnieje, musimy zagrać przeciw komuś z Jamy Oakland. Tyle przynajmniej możemy. Prawda? Proszę. – Chodziła w tę i z powrotem po niewielkim pokoju, w napięciu zaciskając dłonie. – Towarzyska Connie może ma dworzec kolejowy i terminal lotniczy z pasem dla odrzutowców, do tego kolorowy telewizor i francuską restaurację, gdzie podają ślimaki, jak ta, do której poszliśmy, gdy się pobraliśmy... Ja po prostu muszę zobaczyć jej makietę!

– No, ale – powiedział z wahaniem Sam – jest coś w tej Towarzyskiej Connie... co mnie niepokoi.

– Co niby?

– Nie wiem.

– Może to, że ma makietę lepszą od naszej i jest o wiele lepsza od Beztroskiej Pat.

– Może i tak – mruknął Sam.

– Jeśli nie pójdziesz, nie spróbujesz nawiązać kontaktu z tymi w Jamie Oakland, to ktoś inny to zrobi... ktoś, kto ma większą ambicję i cię wyprzedzi.

Sam nie odpowiedział, nadal siedział w wannie. Ale ręce mu drżały.

Opiekun niedawno zrzucił skomplikowane części, najwyraźniej pochodzące z mechanicznego urządzenia. Od kilku tygodni po Jamie bezużytecznie wały się komputery w kartonach, jeśli to były komputery. Norman Schein już wiedział, jak wykorzystać jeden z nich, i właśnie przerabiał jego przekładnie, by pasowały do urządzenia usuwającego odpadki z kuchni Beztroskiej Pat.

Stał przy swoim warsztacie, operując specjalnymi mikroskopijnymi narzędziami, zaprojektowanymi i wykonanymi przez mieszkańców jamy, niezbędnymi do konstruowania przedmiotów stanowiących otoczenie Pat. Był całkowicie pochłonięty tą czynnością, ale od razu wyczuł obecność stojącej za nim i obserwującej go Fran.

– Wnerwia mnie, kiedy się mnie podgląda – powiedział, przytrzymując peseta maleńką zębatkę.

– Posłuchaj – zaczęła Fran – wpadło mi coś do głowy. Czy to ci nic nie mówi? – Postawiła przed nim jeden z tranzystorowych radioodbiorników zrzuconych dzień wcześniej.

– Mówi mi o urządzeniu otwierającym drzwi do garażu, które zdążyłem już wymyślić – odpowiedział rozdrażniony, nie przerywając pracy. Fachowo dopasowywał miniaturowe elementy w kuchennym zlewie Pat. Taka precyzja wymagała maksymalnej koncentracji.

– A mnie mówi, że na Ziemi muszą istnieć nadajniki radiowe, bo inaczej opiekunowie by tego nie zrzucali.

– I? – burknął Norman zdawkowo.

– Może jest gdzieś taki u nas albo nasz burmistrz ma – ciągnęła Fran – i moglibyśmy w ten sposób skontaktować się z Jamą Oakland. Ich przedstawiciele spotkaliby się z nami w połowie drogi... powiedzmy, w Jamie Berkeley. I tam byśmy sobie zagrali. Wtedy nie musielibyśmy drałować piętnastu mil.

Norman odłożył pęsetę i powiedział powoli:

– Kto wie, czy nie masz racji. Ale gdyby burmistrz Hooker Glebe posiadał nadajnik radiowy, to czy pozwoliłby mi go użyć? A gdyby...

– Przecież możemy spróbować – nalegała Fran. – To nic nie kosztuje.

– Dobra – zakończył rozmowę Norman, odrywając się od warsztatu.

Burmistrz Jamy Mamałygowej, niski mężczyzna o przebiegłej twarzy, ubrany w wojskowy mundur, wysłuchał Normana Scheina w milczeniu. Potem uśmiechnął się rozumnie i chytrze.

– Oczywiście, że jest u mnie nadajnik. Przez cały czas go mam. Pięćdziesięciowatowy. Ale dlaczego chcecie się kontaktować z Jamą Oakland?

– To nasza sprawa – odparł nieufnie Norman.

Hooker namyślił się i powiedział:

– Pozwolę wam skorzystać, ale za piętnaście dolarów.

Paskudny wstrząs. Norman wzdrygnął się. Dobry Boże, wszystkie pieniądze, jakie oboje z żoną mieli, a przecież każdy banknot chowali z myślą o grze w Beztroską Pat. Pieniądze stanowiły ważny element gry, bez nich nie sposób było ustalić, kto wygrał, a kto przegrał; to jedyne kryterium.

– To za dużo – odparł w końcu.

– No to niech będzie dziesięć – powiedział burmistrz, wruszając ramionami.

Ostatecznie zgodzili się na sześć banknotów dolarowych i pięćdziesięciocentówkę.

– Sam się połączę – rzucił Hooker Glebe. – Bo wy nie wiecie jak. To trochę potrwa. – Zakręcił korbką z boku generatora nadajnika. – Powiadomię was, gdy już nawiążę kontakt. Ale pieniądze proszę teraz. – Wyciągnął po nie rękę, a Norman z bólem serca zapłacił.

Dopiero późnym wieczorem udało się Hookerowi połączyć z Oakland. Zadowolony z siebie i dumny jak paw pojawił się w kwaterze Scheinów w porze kolacji.

– Wszystko gotowe – obwieścił. – Czy wiecie, że w Oakland jest aż dziewięć jam? Nie miałem pojęcia. Którą chcecie? Wybrałem Czerwoną Wanilię, taki ma kryptonim radiowy. – Zachichotał. – Są nieustępliwi i podejrzliwi. Trudno było cokolwiek z nich wycisnąć.

Norman porzucił wieczorny posiłek i pospiesznie ruszył do kwatery burmistrza. Za nim, sapiąc, podążał Hooker.

Nadajnik, faktycznie, był nastawiony, choć głośnik świszcział. Norman, zakłopotany, zajął miejsce przy mikrofonie.

– Mam po prostu mówić? – spytał burmistrza.

– Powiedz: tu Jama Mamałygowa. Powtórz to parę razy, a gdy się zgłoszą, poinformuj, o co ci chodzi. – Burmistrz Hooker z miną ważniaka bawił się kontrolkami nadajnika.

– Tu Jama Mamałygowa – Norman przemówił głośno do mikrofonu.

Prawie od razu z głośnika wyraźnie dobiegło: – Zgłasza się Czerwona Wanilia Trzy. – Głos, zimny i ostry, uderzył Normana wyraźną obcością. Hooker miał rację. – Macie tam u siebie Towarzyską Connie?

– Owszem – odparł fuksiarz z Oakland.

– No to rzucamy wam wyzwanie – Norman poczuł pulsowanie żył w napiętej szyi. – My mamy Beztroską Pat. Nasza Pat przeciwko waszej Towarzyskiej Connie. Gdzie się możemy spotkać?

– Beztroska Pat – powtórzył fuksiarz z Oakland. – Tak, słyszałem o niej. Jakie proponujecie stawki?

– U siebie gramy na ogół na banknoty... – rzucił Norman, ale wiedział, że nie była to mocna odpowiedź.

– Banknotów mamy całe mnóstwo – przyciął fuksiarz z Oakland. – Nikt z naszych na to nie poleci. Co jeszcze?

– Bo ja wiem... – czuł się nieswojo, rozmawiając z kimś, kogo nie widzi. Nie przywykł do czegoś takiego. Uważał, że ludzie powinni w trakcie rozmowy patrzeć na siebie, obserwować wyraz swoich twarzy. To nie było naturalne. – Spotkajmy się w połowie drogi i omówmy to. Może na przykład w Jamie Berkeley, co ty na to?

– To za daleko – odparł fuksiarz z Oakland. – Mielibyśmy taki kawał wlec makietę naszej Connie? Jest za ciężka i moglibyśmy ją uszkodzić.

– Nie, chodzi tylko o omówienie reguł i stawek – odpowiedział Norman.

Fuksiarz z Oakland nie do końca był przekonany.

– To chyba dałoby się zrobić. Ale żebyśmy się rozumieli... naszą Towarzyską Connie traktujemy cholernie poważnie. Lepiej bądźcie przygotowani do rozmów.

– Będziemy – zapewnił go Norman.

Przez cały czas rozmowy burmistrz kręcił korbką generatora. Spocił się, twarz nabrzmiała mu od wysiłku, machnął wściekle ręką, żeby Norman już kończył swoją paplaninę.

– Przy Jamie Berkeley – dodał jeszcze Norman. – Za trzy dni. Przyślijcie najlepszego gracza, z największą i najoryginalniejszą makietą. Makiety naszej Beztroskiej Pat to, sam wiesz, dzieła sztuki.

– Pożyjemy, zobaczymy – odpalił fuksiarz z Oakland. – Poza tym do naszych makiet mamy u siebie stolarzy, elektryków i tynkarzy. Założę się, że u was sami amatorzy.

– Nie aż tak bardzo – odciął się Norman i odłożył mikrofon. – Dołożymy im – rzucił do Hookera Glebe'a, który natychmiast przestał kręcić korbą. – Niech no tylko zobaczą mój wynalazek do usuwania odpadków, który robię dla mojej Pat. Czy ty masz pojęcie, że w dawnych czasach ludzie, to znaczy prawdziwi ludzie z krwi i kości, nie mieli takich urządzeń?

– Przecież wiem – odparł cierpko Hooker. – Trochę się nakręciłem za te twoje pieniądze. Ktoś tu mnie naciągnął tym długim gadaniem. – Łypnął tak nieprzyjaźnie, że Norman poczuł się nieswojo. W końcu burmistrz miał prawo dowolnie wyeksmitować każdego fuksiarza. Taki był kodeks.

– Dam ci alarmową budkę przeciwpożarową. Niedawno ją skończyłem – powiedział

Norman. – W mojej makiecie stoi na rogu ulicy, przy której mieszka Leonard, chłopak Beztroskiej Pat.

– Niech będzie – zgodził się Hooker i złość mu przeszła, ale za to pojawiła się chciwość. – No to obejrzyjmy ją. Głowę daję, że się nada do mojej makiety, bo akurat takiej budki mi brakowało, żeby dokończyć pierwszą przecnicę. Mam tam skrzynkę pocztową. Dzięki.

– Proszę bardzo – Norman westchnął filozoficznie.

Gdy wrócił z dwudniowej wyprawy do Jamy Berkeley, twarz miał tak ponurą, że jego małżonka od razu się domyśliła, iż pertraktacje z Oaklandczykami nie poszły dobrze.

Rano opiekunowie zrzucili kartony z syntetycznym, herbatopodobnym napojem. Przyrządzała go Normanowi, słuchając relacji z tego, co się wydarzyło osiem mil na południe.

– Targowaliśmy się – powiedział i usiadł znużony na łóżku, na którym sypiali wszyscy: on, żona i dzieci. – Pieniądzy nie chcą, towarów też nie, co naturalne, bo oni także otrzymują zrzuty od tych cholernych opiekunów.

– No to czego chcą?

– Samą Beztroską Pat.

– Dobry Boże.

– Ale jeśli wygramy – zaznaczył Norman – to będziemy mieli Towarzyską Connie.

– A makiety? Co z nimi?

– Zatrzymujemy. Chodzi o samą Pat, nie o Leonarda i inne rzeczy.

– Ale co zrobimy, jeśli przegramy naszą Beztroską Pat?

– Mogę wykonać nową – odparł Norman. – Jest jeszcze duży zapas plastiku i sztucznych włosów. Mam mnóstwo najprzeróżniejszych farb. Trochę to potrwa. Przynajmniej miesiąc roboty, ale sobie poradzę. Przyznaję, że nie palę się do tego, ale – błysnął oczami – nie trzeba od razu przewidywać najgorszego. Pomyśl, a jakbyśmy tak wygrali Towarzyską Connie... Z powodzeniem możemy wygrać. Ich delegat sprawiał wrażenie bystrzaka i, jak powiedział Hooker, twardziela... ale ten, z którym ja rozmawiałem, nie wyglądał na fuksiarza. Rozumiesz, trzeba mieć szczęście.

Bo właśnie za sprawą bąka element szczęścia, przypadek, odgrywał istotną rolę na każdym etapie gry.

– To chyba niedobry pomysł, żeby stawiać Pat – powiedziała Fran. – Ale skoro się upierasz... – próbowała się uśmiechnąć – to się zgadzam. I wygrasz Towarzyską Connie, kto wie? Może zostaniesz wybrany burmistrzem po śmierci Hookera. Pomyśl tylko, wygrać czyjaś lalkę, nie samą grę, pieniądze, ale właśnie lalkę.

– Uda mi się – oświadczył z powagą – bo jestem straszny fuksiarz. – Wyczuwał, że trafi mu się taki sam fuks, który pozwolił mu przeżyć wojnę wodorową. Albo się go ma, albo nie. „Ja

mam”, pomyślał.

– Może powinniśmy poprosić Hookera o zwołanie wszystkich mieszkańców jamy i wysłanie najlepszego zawodnika z całej naszej grupy, żeby mieć pewność, że wygramy?

– Posłuchaj – odparł stanowczo Norman Schein. – Najlepszym graczem jestem ja, i ja idę. Z tobą, bo razem tworzymy dobrą drużynę i nie ma powodu jej rozbijać. Tak czy inaczej, do niesienia makiety Beztroskiej Pat, ważącej w sumie sześćdziesiąt funtów, potrzeba dwojga ludzi.

Plan wydawał mu się dobry. Ale gdy wspominał o nim pozostałym mieszkańcom Jamy Mamałygowej, spotykał się z ostrą krytyką. Spory trwały cały następny dzień.

– Przecież sami nie możecie przez całą drogę taszczyć tej makiety – przekonywał Sam Regan. – Albo zabierzcie jeszcze kogoś do pomocy, albo przewieźcie ją jakimś pojazdem. Choćby wózkiem – tłumaczył z gniewną miną.

– A skąd ja wytrzasnę wózek? – dopytywał się Norman.

– Może uda się coś przerobić – odparł Sam. – Będę ci pomagał, zrobię, co w mojej mocy. Poszedłbym z tobą, ale, jak już mówiłem mojej żonie, cały ten pomysł mnie martwi. – Klepnął Normana w plecy. – Podziwiam odwagę, twoją i Fran, że tak po prostu wyruszacie. Szkoda, że sam nie mogę. – Wyraźnie było mu przykro.

Ostatecznie Norman zdecydował się na taczki. Mieli je z żoną pchać na zmianę, w ten sposób żadne z nich nie musiałyby nieść dodatkowego bagażu, oprócz jedzenia i wody, no i oczywiście noży dla obrony przed psokotami.

Gdy ostrożnie ładowali części makiety na taczki, pojawił się Timothy.

– Weź mnie ze sobą, tato – prosił. – Za pół dolara będę przewodnikiem i zwiadowcą, a przy tym pomogę wam zdobywać po drodze pożywienie.

– Świetnie sobie poradzimy – odpowiedział Norman. – Zostań w jamie; tu będziesz bezpieczniejszy. – Złościło go, że na taką ważną wyprawę miałby ciągnąć ze sobą syna. Toż to zakrawało na świętokradztwo.

– Pocałuj nas na do widzenia – powiedziała Fran do Timothy’ego i zdawkowo się uśmiechnęła, by następnie od razu zająć się makieta. – Mam nadzieję, że się nie wywrócą – powiedziała zaniepokojona do męża.

– Nie ma szans, jeśli będziemy ostrożni. – Czuł się pewnie.

Po chwili zaczęli pchać taczki podjazdem do góry, pod pokrywę i dalej, na zewnątrz. Ruszyli w podróż do Jamy Berkeley.

Miłą przed Jamą Berkeley Scheinowie zaczęli potykać się o porozrzucane pojemniki, niektóre tylko częściowo opróżnione: była to pozostałość po paczkach z pomocą, takich samych, jakie wałały się koło ich jamy. Norman odetchnął, nie kryjąc ulgi. Ostatecznie podróż nie okazała

się aż tak trudna, nie licząc tego, że dłonie miał pokryte pęcherzami od trzymania metalowych uchwytów tacek, a Fran skręciła kostkę – teraz boleśnie utykała. Ponadto zajęła im mniej czasu, niż przewidywali, i Norman był w raczej pogodnym nastroju.

Przed nimi zarysowała się postać przycupnięta wśród popiołów. Był to chłopiec. Norman pomachał i zawołał:

– Hej, jesteśmy z Jamy Mamałykowej. Mieliśmy tu spotkać się z ekipą z Oakland... pamiętasz mnie?

Chłopiec bez słowa odwrócił się i czmychnął.

– Nie ma się czego obawiać – powiedział Norman do żony. – Poszedł powiadomić swojego burmistrza. To sympatyczny staruszek, nazywa się Ben Fennimore.

Niebawem pojawiło się kilku dorosłych. Zbliżali się ostrożnie.

Norman ustawił taczki na nóżkach, z ulgą oparł je na pokrytej popiołem ziemi i przetarł twarz chusteczką.

– Czy drużyna z Oakland już jest? – zawołał.

– Jeszcze nie – odparł wysoki starszy mężczyzna w białej opasce i przystrojonej czapce. – To ty, Schein? – spytał, przypatrując się. Był to Ben Fennimore. – Już z powrotem z makieta.

Fuksiarze z Berkeley stłoczyli się wokół tacek Scheinów. Na ich twarzach malował się podziw.

– Mają tu Beztroską Pat – wyjaśnił Norman żonie. – Ale – ściszył głos – ich makiety zaopatrzone są tylko w podstawowe rzeczy: dom, szafa, samochód... prawie niczego nie zbudowali. Brakuje im wyobraźni.

Jedna z tamtejszych fuksiar z zaciekawieniem zapytała Fran:

– I te wszystkie meble zrobiliście własnoręcznie? – Nie mogąc się nadziwić, odwróciła się do stojącego obok mężczyzny. – Widzisz, Ed, czego dokonali?

– No – odpowiedział, kiwając głową. – A czy możemy to sobie wszystko obejrzeć? – spytał Scheinów. – Chcecie to zainstalować w naszej jamie, tak?

– A jakże – odpowiedział Norman.

Fuksiarze z Berkeley pomogli w pchaniu tacek przez ostatnią milę, aż wreszcie zaczęli schodzić pod powierzchnię.

– Duża ta jama – rzucił ze znanstwem Norman do żony. – Pomieści ze dwa tysiące ludzi. To tutaj był Uniwersytet Kalifornijski.

– No – przytaknęła Fran, nieśmiało wchodząc do nie znanego sobie pomieszczenia. Po raz pierwszy od lat – w sumie od wojny – widziała obcych. I to tylu naraz. Aż za wielu dla niej. Norman poczuł, jak Fran się kuli i przestraszona przyciska do niego.

Gdy dotarli na pierwszy poziom i zaczęli rozładowywać taczki, podszedł Ben Fennimore i powiedział cicho:

– Namierzyliśmy chyba Oaklandczyków – poinformował. – Właśnie otrzymaliśmy raport o tym, że coś się dzieje na górze. Więc przygotujcie się. Będziemy wam kibicować, bo macie Beztroską Pat, tak samo jak my.

– Czy widział pan kiedyś Towarzyską Connie? – spytała go Fran.

– Nie, proszę pani – odparł uprzejmie Fennimore. – Choć oczywiście wiedzieliśmy o niej jako sąsiedzi Oaklandczyków i w ogóle. Ale słyszałem... że Towarzyska Connie jest trochę starsza od Beztroskiej Pat. Rozumie pani, bardziej, hm, dojrzała. Chciałem tylko was o tym uprzedzić.

Scheinowie spojrzeli po sobie.

– Dziękujemy – odparł powoli Norman. – Rzeczywiście, trzeba się przygotować jak najlepiej. No a Paul?

– On się nie liczy – powiedział Fennimore. – Rządzi tylko Connie. Nie sądzę nawet, by miał własne mieszkanie. Ale lepiej poczekać na Oaklandczyków, nie mam zamiaru wprowadzać was w błąd. To wszystko wiem jedynie ze słyszenia.

Wtrącił się inny fuksiarz z Berkeley, który akurat stał w pobliżu.

– Raz widziałem Connie, jest znacznie starsza od Beztroskiej Pat.

– A jak pan myśli, w jakim wieku jest Pat? – zapytał go Norman.

– No, dałbym jej siedemnaście lub osiemnaście lat.

– A Connie? – czekał w napięciu.

– Może nawet dwadzieścia pięć.

Z tyłu, z rampy dobiegły ich hałasy. Ściągali kolejni fuksiarze z Berkeley, a za nimi dwóch mężczyzn niosących platformę, na której Norman zobaczył wielką, okazałą makietę.

Była to drużyna z Oakland, której nie tworzyła para, mąż i żona, lecz dwaj mężczyźni o poważnych obliczach i surowych, nieobecnych spojrzeniach. Skinęli głowami, uznając obecność Normana i Fran, a potem jak najostrożniej zestawili platformę.

Po chwili pojawił się trzeci fuksiarz z Oakland, z metalowym pudełkiem przypominającym pojemnik na lunch. Norman przyglądał mu się w napięciu, instynktownie wyczuwając, że w środku znajduje się Towarzyska Connie. Oaklandczyk wyciągnął klucz i powoli otwierał pudełko.

– W każdej chwili jesteśmy gotowi do rozpoczęcia gry – oznajmił wyższy Oaklandczyk. – Jak już uzgodniliśmy, będziemy używać bąka z numerami, a nie kości. To zmniejsza prawdopodobieństwo oszustwa.

– Zgoda – powiedział Norman. Wahając się, wyciągnął rękę. – Jestem Norman Schein, a to moja żona i partnerka, Fran.

Oaklandczyk, najwyraźniej szef, przedstawił się:

– Jestem Walter R. Wynn. To mój partner, Charley Dowd, a ten z pojemnikiem to Peter

Foster. On nie będzie grał, zajmuje się tylko pilnowaniem makiety. – Wynn obrzucił spojrzeniem fuksiarzy z Berkeley, jakby chciał powiedzieć: wiem, że wszyscy, jak tu stoicie, jesteście za Beztroską Pat, ale nie robi to na nas najmniejszego wrażenia, nie boimy się.

– To zaczynajmy, panie Wynn – rzuciła Prań cichym, lecz opanowanym głosem.

– A pieniądze? – zapytał Fennimore.

– Obu drużynom chyba ich nie brakuje – odparł Wynn. Wyłożył kilka tysięcy dolarów w zielonych banknotach, po czym Norman uczynił to samo. – Pieniądze mają tutaj znaczenie wyłącznie jako środek umożliwiający prowadzenie gry.

Norman kiwnął głową; rozumiał doskonale. Liczą się wyłącznie lalki. I właśnie teraz po raz pierwszy ujrzał Towarzyską Ginnie.

Pan Foster, który najwyraźniej sprawował nad nią opiekę, umieścił ją w sypialni. Na jej widok Normanowi zaparło dech w piersi. Owszem, miała więcej lat, to dojrzała kobieta, bynajmniej nie dziewczyna... trudno było nie zauważyć, że różniła się od Beztroskiej Pat. A przy tym – jak żywa. Rzeźba, żaden odlew; najpierw oczywiście wystrugana, a potem pomalowana – nic z plastiku. I te jej włosy. Wyglądały jak prawdziwe.

Był pod ogromnym wrażeniem.

– I co pan sądzi? – spytał Walter Wynn z lekkim uśmiechem.

– Naprawdę godna podziwu – przyznał Norman.

Teraz Oaklandczycy przystąpili do oględzin Beztroskiej Pat.

– Odlew z masy termoplastycznej – orzekł jeden z nich. – Sztuczne włosy. Choć ładne ubranko, ręcznie szyte, to widać. No i zgadza się z tym, co słyszeliśmy. Beztroska Pat nie jest dorosła, to nastolatka.

Teraz przyszła kolej na partnera Connie; ulokowano go w sypialni obok niej.

– Chwileczkę – wtrącił Norman. – Umieszczacie Paula, czy jak mu tam, w sypialni z Connie? Nie ma własnego mieszkania?

– Są po ślubie – odparł Wynn.

– Po ślubie! – Norman i Fran patrzyli na niego w osłupieniu.

– No jasne – ciągnął Wynn. – Więc nic dziwnego, że mieszkają razem. A wasze lalki nie?

– Nnnie – odparła Fran. – Leonard jest chłopakiem Beztroskiej Pat... – Głos jej się załamał. –

Norm – powiedziała, kurczowo ściskając jego ramię – ja mu nie wierzę. On tylko tak mówi, że są po ślubie, żeby uzyskać przewagę. Bo jeśli oboje wystartują z tego samego pokoju...

– Posłuchajcie, kochani – powiedział Norman głośno. – To nie w porządku, że nazywacie ich małżeństwem.

– To nie to, że my ich tak nazywamy, oni są małżeństwem – podkreślił Wynn. – To Connie i Paul Lathrope, mieszkają przy Arden Place 24 w Piedmont. Są po ślubie od roku, co wam potwierdzi większość graczy. – Tchnął spokojem.

„Może i prawda”, pomyślał Norman. Był autentycznie zdruzgotany.

– Spójrz na nich – powiedziała Fran, klękając, by przyjrzeć się makiecie Oaklandczyków. – W jednym domu, w jednej sypialni. I co, Norm, widzisz? Łóżko też jest tylko jedno. Wielkie i podwójne. – Spojrzała na niego obłądnym wzrokiem. – Jak Beztroska Pat i Leonard mogą grać przeciwko nim? To jest naganne moralnie.

– Ten wasz typ makiety jest zupełnie inny – powiedział Norman do Waltera Wynn. – Kompletnie inny od tego, do czego się przyzwyczailiśmy, jak pan widzi. – Wskazał na własną makietę. – Nalegam, by w tej grze Connie i Paul nie mieszkali razem i nie byli uważani za małżeństwo.

– Ależ oni są małżeństwem – wtrącił się Foster. – To fakt. Proszę, ubrania trzymają w tej samej szafie. – Wskazał mebel. – I w tych samych szufladach. – Także im je pokazał. – Proszę zajrzeć do łazienki. Dwie szczoteczki do zębów. Jego i jej, zajmują ten sam stojak. Widzicie więc, że nie zmyślamy.

Zapadła cisza, po czym Fran odezwała się zdławionym głosem:

– Skoro są małżeństwem... to znaczy... że doszło między nimi do zbliżenia?

Wynn uniósł brew i przytaknął skinieniem głowy.

– Oczywiście, skoro są małżeństwem. Czy jest w tym coś złego?

– Beztroska Pat i Leonard jeszcze nigdy... – usiłowała tłumaczyć Fran, ale potem dała spokój.

– Naturalnie, że nie – zgodził się Wynn – przecież tylko ze sobą chodzą. To rozumiałe.

– Więc my nie możemy grać. Po prostu nie możemy – orzekła Fran. Chwyliła męża za ramię. – Wracajmy do Jamy Mamałygowej, Norm... proszę.

– Chwileczkę – wtrącił się Wynn. – Jeśli nie dojdzie do rozgrywki, to znaczy, że przegrywacie walkowerem i musicie nam oddać Beztroską Pat.

Wszyscy trzech Oaklandczycy kiwnęli głowami. Jak zauważył Norman, wielu fuksiarzy z Berkeley wykonało ten sam gest, nie wyłączając Bena Fennimore'a.

– Mają rację – powiedział Norman twardo do żony. – Musielibyśmy ją oddać. Już lepiej zagrajmy, kochanie.

– Dobrze – zgodziła się Fran matowym głosem. – Zagramy. – Pochyliła się i apatycznym gestem uruchomiła bąka. Zatrzymał się na szóstce. Walter Wynn z uśmiechem przyklęknął i zakręcił. Wypadła mu czwórka. Gra się rozpoczęła.

Timothy Schein, kucając za rozsypaną, psującą się zawartością dawno temu zrzuconych paczek z opieki, zauważył swoich rodziców, którzy wracali przez pokrytą popiołem ziemię, pchając przed sobą taczki. Wyglądali na zmęczonych i znużonych.

– Cześć – zawołał chłopiec, podskakując z radości, że ich znowu widzi. Jakże za nimi

tęsknił.

– Cześć, synu – mruknął ojciec, kiwając głową. Puścił uchwyty tacek, zatrzymał się i wytarł chusteczką twarz.

Teraz podbiegł zdyszany Fred Chamberlain.

– Witam, panie Schein, witam, pani Schein. Ejże, wygraliście? Pokonaliście fuksiarzy z Oakland? Na pewno, co? – Patrzył to na jedno, to na drugie.

Fran cichutko odpowiedziała:

– Tak, Freddy, wygraliśmy.

– Zajrzyj do tacek – powiedział Norman.

Chłopcy zagłębili: pośród sprzętów Beztroskiej Pat leżała nowa lalka. Była większa, pełniejsza i znacznie starsza od Pat. Wlepili w nią wzrok, podczas gdy ona wpatrywała się w szare niebo nad ich głowami. „A więc to jest Towarzyska Connie – pomyślał Timothy. – Ojej”.

– Mieliśmy szczęście – odezwał się Norman.

Coraz więcej ludzi wyłaniało się z jamy. Gromadzili się wokół przybyłych, słuchali. Jean i Sam Reganowie, Tod Morrison z żoną Helen i wreszcie, niebywałe, burmistrz Hooker Glebe we własnej osobie – wytoczył się, podekscytowany i podenerwowany, czerwony z wysiłku, zasapany od wspinania się po rampie. Fran opowiadała:

– Gdy było z nami zupełnie kiepsko, dostaliśmy kartę „anulowanie długów”. Mieliśmy pięćdziesiąt tysięcy i zrównaliśmy się z fuksiarzami z Oakland. I wtedy, dzięki kolejnej karcie „dziesięć pól do przodu”, stanęliśmy na polu, gdzie była kumulacja, przynajmniej na naszej makiecie. I poszło między nami na noże, bo okazało się, że na makiecie Oaklandczyków to pole oznaczało zastawienie nieruchomości za długi, ale, że wypadła nam liczba nieparzysta, mogliśmy wrócić na własną planszę. – Westchnęła. – Jakże się cieszę, że już jesteśmy z powrotem. Nie było łatwo, Hooker.

Hooker Glebe sapnął.

– A popatrzmy sobie, kochani, na tę Towarzyską Connie. Mogę ją wyciągnąć i pokazać? – spytał Scheinów.

– Jasne – odpowiedział Norman, skinąwszy głową.

Burmistrz wziął lalkę.

– A jakże, jak prawdziwa – ocenił, przyglądając się jej. – Ciuszki już nie takie ładne jak u naszej, szyte chyba na maszynie.

– Owszem – przytaknął Norman – ale sama lalka to rzeźba, a nie odlew.

– Tak, widzę. – Hooker obracał ją, oglądając ze wszystkich stron. – Niezła robota. Jest... hmmm, pełniejsza niż Beztroska Pat. Co to za strój ma na sobie? Jakby jakiś tweed.

– To kostium służbowy – wyjaśniła Fran. – Też go wygraliśmy, zgodzili się na to zawczasu.

– Rozumiecie, Connie ma pracę – tłumaczył Norman. – Jest psychologiem konsultantem

w firmie prowadzącej badania marketingowe. Preferencje konsumentów. Dobrze płatna posada... zarabia dwadzieścia tysięcy rocznie, tak chyba mówił Wynn.

– Rany – powiedział Hooker. – A Pat chodzi dopiero do college’u, jeszcze się uczy. – Wyglądał na zmartwionego. – Więc pewnie pod paroma względami byli górą. Najważniejsze, że wygraliście. – Na jego twarzy znowu zagościł jowialny uśmiech. – Beztroska Pat ostatecznie okazała się lepsza. – Podniósł wysoko Towarzystką Connie, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. – Spójrzcie, kochani, z czym wrócili Norman i Fran!

– Uważaj, Hooker, bo zrobisz jej krzywdę – powiedział stanowczym tonem Norman.

– He? – burmistrz zastygł w bezruchu. – O co chodzi, Norman?

– Spodziewa się dziecka.

Zapadło milczenie. Słysząc było tylko nieznaczny szmer wirujących popiołów.

– Skąd wiesz? – spytał Hooker.

– Powiedzieli nam. Oaklandczycy. I wygraliśmy też to... po ostrym sporze, rozstrzygniętym przez Fennimore’a. – Sięgnął do taczek, wyjął skórzane zawiniątko, a z niego różowego, rzeźbionego niemowlaka. – Fennimore uznał, że z technicznego punktu widzenia jest to część Towarzystkiej Connie.

Hooker dłuższy czas przyglądał się maleństwu.

– Jest zameźna – wyjaśniła Fran. – Z Paulem. Ale nie są już razem. Jest w trzecim miesiącu ciąży, jak nas poinformował pan Wynn, dopiero po tym, jak wygraliśmy; nawet wtedy nie chciał, ale uznał, że musi. Chyba słusznie, przecież przemilczenie tego i tak by nic nie dało.

– W dodatku jest jeszcze płód...

– A tak – potwierdziła Fran. – Żeby zobaczyć, musicie, oczywiście, otworzyć Connie...

– Nie – wtrąciła się Jean Regan. – Proszę, nie.

– Nie, pani Schein, proszę tego nie robić – Hooker odsunął się.

– Najpierw, oczywiście, sami byliśmy zaszokowani, ale... – tłumaczyła Fran.

– Przecież to logiczne – wpadł jej w słowo Norman. – Wystarczy pomyśleć. No cóż, w końcu Beztroska Pat...

– Nie – zaprotestował gwałtownie burmistrz. Schylił się, podniósł z popiołów kamień. – Nie – powtórzył i zamierzył się. – Przestańcie, oboje. Ani słowa.

Reganowie też chwycili za kamienie. W milczeniu. Wreszcie odezwała się Fran:

– Norm, musimy się stąd wynosić.

– Masz rację – przytaknął Tod Morrison. Jego żona posępnie zwiesiła głowę.

– Wracajcie sobie do Oakland – rzucił Hooker do Scheinów. – Już tu nie mieszkacie. Jesteście jacyś inni. Wy się... zmieniliście.

– Tak. Miałem rację. Było czego się bać – powiedział powoli, ni to do siebie, ni to do innych, Sam Regan i dodał, zwracając się do Normana: – Ciężka jest droga do Oakland?

– Ale przecież byliśmy w Berkeley – odparł Norman. – W Jamie Berkeley. – Był oszołomiony i zdumiony tym, co się dzieje. – Mój Boże, przecież nie możemy tak z miejsca zawrócić i ruszyć z tym taczkami z powrotem... jesteśmy wyczerpani, musimy odpocząć!

– A gdyby ktoś inny popchał taczki? – odezwał się Sam Regan. Podszedł do Scheinów i stanął przy nich. – Ja to zrobię. Ty prowadź, Schein. – Rzucił spojrzenie swojej żonie, ale ta ani drgnęła. Nie wypuściła też kamienia z dłoni.

Timothy Schein uwiesił się u ramienia ojca.

– A teraz mogę iść, tato? Proszę, pozwól.

– Dobra – powiedział Norman trochę do siebie. Zdążył się już pozbierać. – Więc nas tu nie chcą. Chodźmy – rzucił do Fran. – Sam popcham taczki; chyba zdążymy przed nocą. Jeśli nie, prześpiemy się pod gołym niebem. Timothy pomoże nam bronić się przed psokotami.

– Zdaje się, że nie mamy wyboru – powiedziała Fran. Była blada.

– Jeszcze to – Hooker podał im maleńką rzeźbę niemowlęcia. Fran Schein odebrała ją i z powrotem czule ulokowała w skórzanym zawiniątku. Norman włożył Towarzyską Connie do tacek, na jej miejsce. Mogli się już zabierać.

– Tutaj w końcu też to nastąpi – powiedział Norman do stojącej grupy, do fuksiarzy z Jamy Mamałygowej. – Oakland jest po prostu nowocześniejsze. To wszystko.

– Dalej – rzucił Hooker Glebę. – Idźcie już.

Norman skinął głową i przymierzył się do uchwytów tacek, lecz Sam Regan odsunął go i sam się nimi zajął. – Ruszajmy – powiedział.

Trójka dorosłych skierowała się na południe, do Oakland. Na czele szedł Timothy Schein z obnażonym nożem, na wypadek ataku psokotów. Nikt się nie odzywał. Nie było o czym mówić.

– Szkoda, że tak się musiało skończyć – przerwał milczenie Norman, gdy przeszli już milę, a mieszkańcy Jamy Mamałygowej zniknęli za ich plecami.

– Może nie – odparł Sam Regan. – Może to i dobrze. – Nie wyglądał na przygnębionego. A przecież stracił żonę; oddał więcej niż inni, a mimo to się trzymał.

– Cieszę się, że tak uważasz – powiedział z niewesołą miną Norman.

I szli dalej, każdy zatopiony w swoich myślach. Po chwili Timothy odezwał się do ojca:

– A w tych wszystkich dużych jamach na południu... to chyba jest więcej do roboty, co? No, że nie gra się w kółko w tę grę. – Miał oczywiście taką nadzieję.

– Chyba tak – odparł ojciec.

W górze przemknął ze świstem statek z opieki i prawie natychmiast zniknął. Timothy śledził go wzrokiem, ale tak naprawdę bez zainteresowania, skoro tyle działo się przed nim, na ziemi i pod ziemią, daleko na południe.

– Ach, ci Oaklandczycy – mruknął Norman. – Ta gra, a zwłaszcza ta lalka, czegoś ich

nauczyła. Connie dorastała i to sprawiło, że wszyscy musieli dorosnąć wraz z nią. Nasi fuksiarze nie mieli na to szans, na pewno nie przy Beztroskiej Pat. Ciekawe, czy kiedykolwiek się nauczą. Przecież Connie musiała być kiedyś taka jak Pat. Dawno temu.

Ojciec niczego ciekawego nie mówił... kogo naprawdę obchodziły lalki i gry? Timothy wysforował się naprzód, uważnie wypatrując drogi, szans i sposobności dla siebie samego, dla mamy, dla taty, także dla pana Regana.

– Nie mogę się doczekać! – zawołał do ojca, który w odpowiedzi zdobył się na słaby, zmęczony uśmiech.

Zastępca

Na godzinę przed porannym programem na kanale szóstym Jim Briskin, czołowy błazen z wiadomości telewizyjnych, zasiadł w swoim biurze z ekipą produkcyjną i zaczął naradę w sprawie relacji na temat nieznaney, przypuszczalnie wrogiej flotylli wykrytej w osiemsetnej jednostce astronomicznej od Słońca. To był news. Ale jak go przekazać kilku miliardom widzów rozproszonych na trzech planetach i siedmiu księżycach?

Peggy Jones, jego sekretarka, zapaliła papierosa i powiedziała:

– Tylko bez straszenia, Jim-Jam. Zrób to po swojsku. – Rozsiadła się, przerzuciła doniesienia, jakie wpłynęły do ich komercyjnej stacji z dalekopisów Unicephalon 40-D.

Unicephalon 40-D był stałą komórką do rozwiązywania problemów w Białym Domu w Waszyngtonie i to właśnie on wykrył potencjalnego wroga zagrażającego z zewnątrz; w ramach kompetencji Prezydenta Stanów Zjednoczonych z miejsca wysłał liniowce z zadaniem patrolowania tamtego obszaru. Flotylla najwyraźniej nadciągała od strony zupełnie innego systemu słonecznego, lecz określenie kursu należało już do statków patrolowych.

– Po swojsku – burknął posępnie Jim. – Tak, wyszczerzę zęby i powiem: „Słuchajta no, w końcu nas dopadło, a tak żeśmy się bali, chłe, chłe”. – Spojrzał na sekretarkę. – Będzie z tego może kupa śmiechu na Ziemi i Marsie, ale raczej nie na zewnętrznych księżycach, bo w razie jakiegoś ataku mieszkańcy najdalszych kolonii oberwaliby pierwsi.

– Nie, raczej nie będzie im do śmiechu – przytaknął Ed Fineberg, jego doradca ds. planowania. Jemu także nie było wesoło; miał rodzinę na Ganimesesie.

– Czy jest jakaś wiadomość lżejszego kalibru, którą mógłbyś rozpocząć program? Tak wolałby sponsor. – Peggy przekazała Briskinowi naręczę depesz z newsami. – Zobacz, co się da zrobić. O, krowa-mutantka uzyskała w sądzie w Alabamie prawo wyborcze... rozumiesz.

– Rozumiem – przytaknął Briskin, przystępując do przeglądania depesz. Żeby choć jeden oryginalny materiał, taki jak ten o błękitnej sójce-mutantce, która dzięki ogromnemu samozaparciu nauczyła się szyć – przecież poruszyła serca milionów. Pewnego kwietniowego poranka sobie i swojemu potomstwu uszyła gniazdo w Bismarck, w Dakocie Północnej, i to w obecności kamer telewizyjnych z sieci Briskina.

Jeden news się wyróżniał; Jim z miejsca wiedział, gdy tylko się na niego natknął, że jest w nim to, czego potrzebował, by złagodzić złowieszczy ton codziennego serwisu. Na jego widok od razu się rozluźnił. Światy niezmiennie zajmują się biznesem, pomimo takiej bomby w osiemsetnej j. a.

– Słuchaj – powiedział, szczerząc zęby – stary Gus Schatz nie żyje. Nareszcie.

– A kto to? – spytała zaintrygowana Peggy. – Nazwisko... brzmi dość znajomo.

– Związkowiec – odpowiedział Jim Briskin. – Powinnaś pamiętać. Zastępca prezydenta,

przysłany do Waszyngtonu przez związek dwadzieścia dwa lata temu. Umarł, a związek... – podrzucił jej depeşe: była klarowna i krótka. – A teraz wysyłają nowego pracownika na jego miejsce. Chyba przeprowadzę z nim wywiad. Zakładając, że umie mówić.

– Racja – powiedziała Peggy – wciąż zapominam. Przecież mamy zastępcę-człowieka, na wypadek, gdyby Unicephalon zawiódł. A zawiódł kiedykolwiek?

– Nie – powiedział Ed Fineberg. – I nigdy nie zawiedzie. To tylko kolejny przypadek upychania swoich przez związek. Istna plaga społeczna.

– Ale przecież ludzie muszą mieć rozrywkę – zauważył Jim Briskin. – Życie rodzinne najważniejszego zastępcy w kraju... dlaczego związek go wybrał, jakie ma zainteresowania. Co facet, niezależnie od tego, kim jest, zamierza w tym okresie zrobić, żeby nie wściec się z nudów. Gus nauczył się oprawiać książki, zbierał stare czasopisma motoryzacyjne i oprawiał je w papier welinowy ze złożonymi napisami.

Ed i Peggy kiwnęli głowami potakująco.

– No, do dzieła – ponaglała go sekretarka. – To może całkiem interesująco wypaść, Jim-Jam; zresztą, jak wszystko, co robisz. Połączę się z Białym Domem, może ten nowy już tam jest?

– Przypuszczalnie nadal siedzi w głównej siedzibie związku w Chicago – odpowiedział Ed. – Spróbuj pod tym adresem: Rządowy Związek Służby Cywilnej, Oddział Wschodni.

Peggy podniosła słuchawkę i błyskawicznie wybrała numer.

O godzinie siódmej rano do Maximiliana Fischera dobiegł przez sen hałas. Uniósł głowę z poduszki i usłyszał odgłosy coraz poważniejszego zamieszania w kuchni, ostry ton gospodyni, potem nieznanych mu mężczyzn. Mimo że był półprzytomny, usiadł, ostrożnie przemieszczając swoje cielsko. Nie śpieszył się, lekarz zalecił, by się nie nadwierał, ze względu na ewentualne przeciążenie powiększonego już mięśnia sercowego. Toteż ubierał się powoli.

„Pewnie z powodu przystąpienia do jednego z funduszy – myślał sobie Max. – Wygląda na to, że faciów jest kilku. Dość wcześnie”. Nie miał powodu do niepokoju. „Pozycję mam dobrą – upewniał się w myślach. – Nie ma strachu”.

Ostrożnie zapinał guziki swej ulubionej jedwabnej koszuli w różowo-zielone paski. „Będzie mnie taki uczył, jak postępować – myślał, gdy z trudem udało mu się pochylić na tyle, by włożyć oryginalne pantofle ze sztucznej skóry z renifera. – Przygotuj się i rozmawiaj z nimi jak równym z równym. – Przyglądził przed lustrem rzednące włosy. – Jak mnie za bardzo przycisną, poskarżę się u samego Pata Noble’a w nowojorskiej centrali; znaczy się, nie muszę się za nikim opowiadać. Zbyt długo jestem w związku”.

Z drugiego pokoju ktoś ryknął:

– Fischer, wkładaj ciuchy i wyłaż. Mamy dla ciebie robotę, i to od dzisiaj.

Robota. Maxa ogarnęły mieszane uczucia; nie wiedział, cieszyć się, czy płakać. Już od blisko

roku korzystał z funduszu związkowego, jak większość jego kolegów. Wiadomo, jak jest. „Szlag, a jak to ciężka robota – myślał – i na przykład cały czas będę musiał ganiać albo pochylać się”. Czuł narastającą złość. Co za zaszary interes. Że niby kim oni są? Otworzył drzwi i stanął z nimi oko w oko.

– Słuchajcie no – zaczął, ale jeden ze związkowców z miejsca mu przerwał.

– Pakuj swoje manatki, Fischer. Gus Schatz odwalił kitę. Masz jechać do Waszyngtonu i przejąć fuchę zastępcy numer jeden; chcemy, żebyś się tam znalazł, zanim zlikwidują stanowisko albo co innego i będziemy musieli zastrajkować lub iść do sądu. Chodzi nam głównie o wsadzenie kogoś uczciwego, spokojnego, żeby nie było kłopotów; rozumiesz? Przekazanie ma się odbyć bez zakłóceń, prawie niezauważalnie.

Max z miejsca zapytał:

– Ile płacą?

– Nie masz nic do gadania, zostałeś wybrany. Bo jak nie, to odetną ci, darmozjadzie, pieniądze, które dostajesz z funduszu. Koniecznie chcesz w swoim wieku szukać pracy?

– No, no – zaprotestował Max. – Bo podniosę słuchawkę i zadzwonię do Pata Noble’a...

Urzednicy związkowi zbierali po mieszkaniu rzeczy.

– Pomożemy ci się spakować. Pat chce cię widzieć w Białym Domu o dziesiątej rano.

– Pat! – powtórzył Max. No tak, został sprzedany.

Związkowcy z uśmiechem na ustach wyciągnęli z szafy walizki.

Niedługo potem mknęli koleją jednoszynową przez niziny Środkowego Zachodu. Maximilian Fischer patrzył ze smutkiem na migający krajobraz; nie odzywał się do siedzących po jego bokach związkowców, bo bez końca przeżuwał w myślach całą sprawę. Co wiedział o pracy zastępcy numer jeden? Zaczynał o ósmej rano – przypomniał sobie, że o tym czytał. I że po Białym Domu zawsze pałęta się mnóstwo turystów, chcących choćby przelotnie zerknąć na Unicephalona 40-D, zwłaszcza uczniaków... a on nie lubił takich, bo zawsze wyśmiewali się z niego z powodu jego tuszy. Zgodnie z prawem, musiał być przez cały czas, we dnie i w nocy, w promieniu stu metrów od Unicephalonu 40-D, a może i pięćdziesięciu? W każdym razie znalazł się na samej górze, więc gdyby stały system rozwiązywania problemów zawiódł... „Może już lepiej obkuję się w tej dziedzinie. Zamówię telewizyjny kurs edukacyjny na temat administracji rządowej, tak na wszelki wypadek”.

Max zwrócił się do związkowca po prawej:

– Słuchaj, kolego, czy w tej pracy, którą mi, chłopaki, podsuwacie, będę miał jakieś uprawnienia? To znaczy, czy mogę...

– To związkowa robota, jak każda inna – odpowiedział znużonym głosem związkowiec. – Siedzisz. Zastępujesz. Co, nie pamiętasz, bo za długo byłeś bez pracy? – roześmiał się,

szturchając kompana. – Słuchaj, ten Fischer chce wiedzieć, czy ta robota daje jakąś władzę. – Wybuchnęli śmiechem. – Wiesz ty co, Fischer – powiedział przeciągle związkowiec – kiedy już się urządzisz w tym Białym Domu, będziesz miał własny fotel i wyrko, i jadalnię, i pralnię, i swój czas w telewizji, przejdź się no do Unicephalona 40-D i powyj tam sobie, rozumiesz, wyj i drap, to może cię zauważy.

– Odwał się – mruknął Max.

– A potem – ciągnął związkowiec – po prostu powiedz: Unicephalonie, słuchaj no, jestem twoim koleżką. A może byśmy się tak trochę podrapali po plecach, ja ciebie, a ty mnie. Masz dla mnie rozporządzenie...

– Ale co on może zrobić w zamian? – spytał drugi związkowiec.

– Zabawiać go. Opowiadać mu o sobie, jak wyszedł z ubóstwa i ciemnoty i wykształcił się, oglądając przez cały boży tydzień telewizję, aż w końcu, nie zgadniesz, doszedł na sam szczyt, dostał robotę... – związkowiec zarżał – zastępcy prezydenta.

Maximilian zaczerwienił się. Milczał. Wpatrywał się drętwo w okno wagonu.

W Waszyngtonie, gdy znaleźli się już w Białym Domu, Maximiliana Fischera zaprowadzono do małego pokoju. Należał poprzednio do Gusa, i chociaż uprzątnięto już czasopisma motoryzacyjne, na ścianach pozostało jeszcze kilka fotografii: volvo S-122 z 1963 r., peugeot 403 z 1957 r., i innych klasycznych staroci z minionej epoki. A na regale z książkami Max ujrzał ręcznie wykonane, plastikowy model studebakera starlight coupe z 1950 r., z idealnie oddanymi detalami.

– Akurat go robił, kiedy wykitował – powiedział jeden ze związkowców, siadając na walizce Maxa. – O tych starych samochodach z epoki przedturbinowej wiedział wszystko – miał w głowie każdy bezużyteczny bit samochodowej wiedzy.

Max kiwnął głową.

– Czy masz w ogóle pojęcie, czym się będziesz zajmował? – spytał związkowiec.

– Gdzie tam – odpowiedział Max. – Tak z miejsca miałem coś wymyślić? Dajcie mi czas.

Nadal markotny wziął model studebakera i obejrzał go od spodu. Nagle naszła go chęć, żeby auto roztrzaskać w drobny mak.

– Rób piłkę z gumek – zaproponował związkowiec.

– Co? – spytał Max.

– Zastępca, który był przed Gusem, Louis czy ktoś taki... zbierał gumki i zrobił ogromną piłkę, taką dużą jak dom, aż umarł. Zapomniałem, jak się nazywał, ale ta piłka jest teraz w muzeum nauki, techniki i sztuki.

Na korytarzu zapanowało poruszenie. Recepcjonistka Białego Domu, z surową elegancją ubrana kobieta w średnim wieku, zajrzała do pokoju i powiedziała:

– Panie prezydencie, błazen z wiadomości telewizyjnych chce przeprowadzić z panem wywiad. Proszę jak najszybciej go spławić, bo mamy dzisiaj sporo wycieczek i może któraś zechce pana obejrzeć.

– Dobra – odparł Max. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z czołowym błaznem telewizyjnym. Był to Jim-Jam Briskin. – Chciał się pan ze mną spotkać? – spytał niepewnie. – To znaczy, czy na pewno ze mną chciał pan przeprowadzić wywiad? – nie mieściło mu się w głowie, co takiego Briskina mogło w nim zainteresować. Wyciągnął rękę i dorzucił: – To mój pokój, ale te samochody i fotki należały do Gusa. Nic nie mogę powiedzieć na ich temat.

Na głowie Briskina lśniła jaskrawą czerwienią błazeńska czapka, nadając jej właścicielowi wygląd tak wyraźnie eksponowany przez kamery telewizyjne. Wyglądał jednak starzej niż na ekranie, choć miał ten słynny, przyjazny uśmiech: był przecież oznaką jego bezpośredniości, gościa naprawdę sympatycznego, zrównoważonego, który jednak – gdy sytuacja tego wymagała – potrafił się wykazać zjadliwym dowcipem. „Briskin reprezentował gatunek ludzi, którzy... no – pomyślał Max – rodzaj facetów, których chciałoby się widzieć we własnej rodzinie”.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Jest pan na wizji, panie Fischer – zaczął Briskin i zaraz się poprawił – a raczej, powinienem powiedzieć, panie prezydencie. Tu mówi Jim-Jam. Pozwoli pan, że w imieniu miliardów naszych widzów mieszkających dosłownie w każdym zakątku i zakamarku naszego, jakże obszernego systemu słonecznego, zadam następujące pytanie: co pan czuje, wiedząc, że jeśli Unicephalon 40-D zawiedzie, choćby na chwilę, z miejsca znajdzie się pan na najważniejszym stanowisku, jakim w ogóle można obarczyć istotę ludzką, stanowisku faktycznego, a nie tylko rezerwowego prezydenta Stanów Zjednoczonych? Nie męczy to pana po nocach? – uśmiechnął się. Za jego plecami kamerzyści operowali obiektywami.

Światła raziły Maxa w oczy. Czuł, że zaczyna się pocić, pod pachami, na karku i górnej wardze.

– Jakie uczucia pana ogarniają w tej chwili? – pytał Briskin. – Gdy stoi pan u progu tego nowego zadania. Może całkowicie zmieniającego pana życie? Jakie myśli nawiedzają pana teraz, gdy faktycznie przebywa pan już w Białym Domu?

Minęła chwila milczenia i Max odpowiedział:

– To... wielka odpowiedzialność. – I wtem oprzytomniał, widząc, że Briskin śmieje się z niego, bezgłośnym śmiechem, w jego obecności. Bo to był tylko żart. Jego publiczność na planetach i księżycach połapała się, bo znała dowcip Jim-Jama.

– Jest pan dużym facetem, panie Fischer – ciągnął Briskin. – Grubym, jeżeli mogę tak to ująć. Dużo pan ćwiczy? Pytam akurat o to, ponieważ pana nowa praca będzie właściwie polegała tylko na siedzeniu w tym pomieszczeniu i ciekaw jestem, co się zmieni wskutek tego w pana życiu.

– No cóż – odparł Max – uważam oczywiście, że urzędnicy państwowi zawsze powinni być na swoich stanowiskach. To prawda, co pan powiedział: będę musiał siedzieć tutaj dzień i noc, ale to dla mnie nie problem. Jestem na to przygotowany.

– Proszę mi powiedzieć – pytał dalej Briskin – czy pan... – wtem przerwał. Odwrócił się do siedzących za nim techników. – Schodzimy z anteny – powiedział zmienionym głosem.

Obok kamer precyzyjnie się mężczyzna w słuchawkach.

– Słuchaj na podglądzie. – Pospiesznie dał słuchawki Briskinowi. – Ściągnął nas z anteny Unicephalon; to biuletyn rozgłośni.

Briskin przycisnął słuchawki do ucha. Przez twarz przemknął mu skurcz.

– Te statki w odległości ośmiuset j. a. Okazało się, że są wrogie. – Spojrzał ostro na techników, czerwona czapeczka zsunęła mu się na bakier. – Zaatakowały.

W ciągu następnej doby obcym udało się nie tylko przeniknąć do systemu słonecznego, lecz także wyeliminować Unicephalona 40-D.

Wiadomość ta zastała Maxa Fischera w bufecie przy kolacji. Otrzymał ją bezpośrednio.

– Pan Maximilian Fischer?

– Tak – odparł, spoglądając na grupę tajnych pracowników ochrony, którzy otoczyli stół.

– Jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Obecnie – powiedział Max – jestem zastępcą prezydenta, a to różnica.

– Unicephalon 40-D został rozbrojony, być może nawet na miesiąc – oznajmił tajny pracownik ochrony. – Toteż zgodnie z poprawką do konstytucji zostaje pan prezydentem i wodzem naczelnym sił zbrojnych. Jesteśmy tu po to, by pana chronić. – Ochroniarze roześmiali się głupkowato. Max odwzajemnił się uśmiechem. – Czy pan rozumie? – spytał tajny pracownik ochrony. – To znaczy, czy dotarło?

– Jasne – odparł Max. Dopiero teraz pojął gwar rozmów, gdy w stołówce stał z tacą w kolejce. To tłumaczyło, dlaczego personel Białego Domu tak dziwnie na niego patrzył. Odstawił filiżankę z kawą, wytarł usta chusteczką, powoli i z namysłem, udając, że jest zatopiony w poważnych rozważaniach, choć faktycznie miał pustkę w głowie.

– Dowiedzieliśmy się – powiedział tajny pracownik ochrony – że ma pan natychmiast stawić się w bunkrze Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Chcą, żeby pan uczestniczył w zakończeniu obrad strategicznych.

Ze stołówki przeszli do windy.

– Co do polityki strategicznej – rzucił Max, gdy zjeżdżali – mam pewne poglądy na ten temat. Chyba już czas, żeby się ostro zabrać za te obce statki, nieprawdaż?

Tajni pracownicy ochrony kiwnęli głowami.

– Tak, musimy pokazać, że się nie boimy – orzekł Max. – Jasne, że będzie zakończenie;

zmieciemy gnojzków.

Tajni pracownicy ochrony roześmiali się głośno. Max, zadowolony, dźgnął łokciem szefa grupy.

– Jesteśmy chyba cholernie mocni, znaczy, Ameryka ma czym się odgryźć.

– Powiedz im to, Max – rzucił jeden z ochroniarzy i wszyscy ponownie zarechotali. Max także.

Przy wyjściu z windy zatrzymał ich wysoki, elegancko ubrany mężczyzna.

– Panie prezydencie, jestem Jonathan Kirk, rzecznik prasowy Białego Domu – powiedział nagłym tonem. – Myślę, że w tej chwili najpoważniejszego niebezpieczeństwa, przed naradą, powinien pan zwrócić się do narodu. Społeczeństwo chce wiedzieć, jak wygląda jego nowy przywódca. – Podał dokument. – To oświadczenie przygotowane przez Polityczne Biuro Doradcze; ustala pańskie...

– Durniu – powiedział Max, oddając tekst, nawet nań nie spojrzawszy. – To ja jestem prezydentem. Kirk? Burke? Shirk? Nigdy o tobie nie słyszałem. Dawaj mikrofon. Wygłoszę własne przemówienie. Albo dajcie mi Pata Noble'a, może ma jakieś pomysły. – Wtem przypomniał sobie, że to właśnie Pat Noble go sprzedał, on go w to wpakował. – Nie, jego też nie. Chcę tylko mikrofon.

– To krytyczna sytuacja – zgrzytnął Kirk.

– Pewnie – odparł Max – więc zostawcie mnie w spokoju. Nie wchodźcie mi w drogę, a ja nie będę wchodził wam. Czy to jasne? – klepnął dobrodusznie Kirka w plecy. – A obaj lepiej na tym wyjdziemy.

Pojawiła się grupa ludzi z przenośnymi kamerami i oświetleniem. Wśród nich Max dostrzegł Jim-Jama Briskina z ekipą.

– Cześć, Jim-Jam – zawołał. – Jestem prezydentem!

Jim Briskin podszedł do niego z obojętną miną.

– Nie zamierzam kręcić piłek z gumek – ciągnął Max – lepić modeli łódek, nic z tych rzeczy. – Serdecznie uścisnęli sobie z Briskinem dłonie. – Dzięki – powiedział – za twoje gratulacje.

– Gratulacje – odezwał się w końcu półgłosem Briskin.

– Dzięki – powtórzył Max, ściskając mu rękę aż kości zaczęły trzeszczeć. – Oczywiście, prędzej czy później załatają to hałaśliwe pudło i znowu będę tylko zastępcą, ale... – uśmiechnął się radośnie do wszystkich.

W korytarzu było już pełno: ekipy telewizyjne, personel Białego Domu, wojskowi i tajni pracownicy ochrony.

– Wielkie przed panem zadanie – powiedział Briskin.

– Tak – przytaknął Max.

Oczy Briskina mówiły: zastanawiam się, czy sobie poradzisz. Ciekawe, czy akurat ty

udźwigniesz taką władzę.

– Z pewnością mi się uda – powiedział Max do mikrofonu Briskina, ale zarazem do wszystkich.

– Pewnie tak – dopowiedział Briskin, ale nie umiał ukryć wątpliwości.

– I co, już mnie nie lubicie – dopytywał się Max. – Jak to?

Briskin nie odpowiedział, ale coś błysnęło mu w oczach.

– Słuchaj no – powiedział Max. – Jestem teraz prezydentem i jeśli zechcę, zamknę całą tę twoją głupią sieć, w każdej chwili mogę wysłać ludzi z FBI. Żebyś wiedział, zaraz wyrzucę na zbity pysk prokuratora generalnego, nawet nie wiem, jak się nazywa, i zatrudnię znajomego, kogoś, komu mogę ufać.

– Rozumiem – odparł Briskin. Nie było już widać wątpliwości na jego twarzy. Pojawiła się natomiast zupełnie niepojęta dla Maxa pewność. – Owszem – mówił dalej – przecież masz prawo to nakazać, jeśli naprawdę jesteś prezydentem...

– Uważaj – przestrzegł go Max. – Nie masz się co ze mną porównywać, nawet jeśli masz taką wielką publiczność. – Odwrócił się następnie tyłem do kamer i przez otwarte drzwi wkroczył do bunkra Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Parę godzin później, wczesnym rankiem Maximilian Fischer przysypiał w podziemnym bunkrze Rady Bezpieczeństwa Narodowego i słyszał w tle biadolenie telewizji emitującej najnowsze wiadomości. Tymczasem źródła wywiadowcze doniosły o nadciągnięciu kolejnych trzydziestu wrogich statków do systemu słonecznego. Oceniano, że w sumie wtargnęło ich siedemdziesiąt. Śledzono ruchy każdego z nich.

Ale Max zdawał sobie sprawę, że nie koniec na tym. Prędzej czy później będzie musiał wydać rozkaz zaatakowania przybyszy. Wahał się. Kim oni byli? Tego nie wiedział nikt, nawet CIA. Jaką dysponowali siłą? Tego też nikt nie wiedział. Wobec tego, czy atak się powiedzie?

Poza tym wystąpiły problemy wewnętrzne. Unicephalon zajmował się gospodarką, stymulując z konieczności jej rozwój, tnąc podatki, obniżając stopy zysku... a to skończyło się wraz z jego zniszczeniem. „Jezu – myślał ponuro Max – nie mam pojęcia o bezrobociu. Skąd mam wiedzieć, w których fabrykach i gdzie wznawiać produkcję?”

– Czy rozlokowali już wszystkie statki? – zwrócił się do generała Tompkinsa, dowódcy połączonych szefów sztabu, który siedział obok niego i czytał raport o wystrzeleniu taktycznych statków obronnych chroniących Ziemię.

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział Tompkins.

Max skrzywił się. Lecz ton generała najwyraźniej był pozbawiony ironii, tchnął szacunkiem.

– Dobra – mruknął. – Miło mi słyszeć, że rakiety pokrywają cały obszar i nie ma żadnych luk. Nie chcę, żeby doszło do czegoś takiego.

– Siły obronne znajdują się w stanie najwyższej gotowości – powiedział generał Tompkins. – Pełna gotowość do działań wojennych o szóstej naszego czasu.

– A co z tymi, no, statkami strategicznymi? – już wiedział, że taka jest obiegowa nazwa ofensywnych sił uderzeniowych.

– W każdej chwili możemy przeprowadzić atak – odparł generał, spoglądając na siedzących przy stole współpracowników, oczekując, iż skinieniem głowy potwierdzą jego słowa. – Jesteśmy przygotowani na zaopiekowanie się każdym z siedemdziesięciu intruzów znajdujących się obecnie w naszym systemie.

Max jęknął i spytał:

– Czy ma ktoś sode? – Przygnębiło go to wszystko. „Ile to się trzeba napocić – myślał. – I cały ten cholerny zamęt, dlaczego te gnojki po prostu nie zostawią w spokoju naszego systemu? Znaczy się, musimy przystąpić do wojny? Ani słowa o tym, jak zareagują w odwecie; nigdy nie wiadomo, co zrobią, takie nieludzkie formy życia są nieobliczalne”.

– Jest coś, co mnie dręczy – powiedział na głos. – Odwet. – Westchnął.

– Negocjacje są najwyraźniej niemożliwe – oświadczył generał Tompkins.

– No to już, dalej, zabierać się za nich. – Max rozglądał się za sodą.

– Myślę, że podejmujemy rozsądną decyzję – powiedział generał Tompkins. Zza stołu potakującymi kiwnięciami odpowiedzieli mu doradcy.

– Jest dość dziwna wiadomość – odezwał się jeden z doradców. Podał depeszę z dalekopisu. – James Briskin wniósł przeciwko panu sprawę do sądu federalnego w Kalifornii, twierdząc, że nie jest pan legalnym prezydentem, ponieważ nie ubiegał się pan o urząd.

– Znaczy się, dlatego że nie było wyborów? – spytał Max – I tylko z tego powodu?

– Tak, panie prezydencie. Briskin pyta sąd federalny o podstawę prawną i tymczasem zgłosił własną kandydaturę.

– Że co!?

– On twierdzi, że nie tylko musi pan ubiegać się o urząd i stanąć do wyborów, ale także konkurować z nim i uważa za oczywiste, że przy swojej popularności...

– Co za świr – powiedział zdesperowany Max. – I co wy na to?

Bez odpowiedzi.

– No cóż... i tak wszystko postanowione. Wojaki do boju i rozwalić te obce statki. A my tymczasem – Max podjął natychmiastową decyzję – wywrzemy nacisk ekonomiczny na sponsorów Jim-Jama, na Reinllande Beer i Calbest Electronics, żeby nie startował.

Zgromadzeni przy długim stole mężczyźni przytaknęli skinieniem głów. Dokumenty zniknęły wraz z teczkami i narada – tymczasem – dobiegła końca.

„Nieuczciwie wykorzystuje swoją przewagę – myślał Max. – Jak mam rywalizować przy takiej nierównowadze, z nim, słynną osobistością telewizyjną; a ja co? To nie tak; nie mogę do

tego dopuścić.

Jim-Jam może sobie startować, ale to nie przyniesie mu niczego dobrego. Nie pokona mnie, ponieważ i tak nie dożyje”.

Na tydzień przed wyborami Telsca, międzyplanetarna agencja badania opinii publicznej opublikowała najświeższe wyniki. Po zapoznaniu się z nimi Maximilian Fischer zrobił się bardziej ponury niż kiedykolwiek.

– No popatrz tylko – powiedział do swojego kuzyna, Leona Lait, któremu niedawno powierzył obowiązki prokuratora generalnego. Pokazał mu raport.

On sam oczywiście wypadł mizernie. W wyborach Briskin bez trudu i zdecydowanie wygra.

– Dlaczego tak jest? – spytał Lait, popijając piwo z puszki. Podobnie jak Max był dużym brzuchatym mężczyzną, który już od lat wykonywał pracę zastępcy. Nie przywykł do jakiegokolwiek aktywności fizycznej i nowe stanowisko okazało się dlań trudne. Ale poczuwał się do rodzinnej lojalności wobec Maxa i pozostał. – Czy to przez to, że ma te wszystkie stacje telewizyjne?

– Nie. Dlatego że nawet pępek mu świeci po ciemku – odparł złośliwie Max. – No przecież, że to przez te jego stacje, cymbale... ślęczy przy nich dzień i noc i kreuje ten swój *image*. To błazen. Ta jego czerwona czapka, dobra dla prezentera, ale nie dla prezydenta – zmarkotniał i wpadł w tak ponury nastrój, że aż zaniemówił.

Najgorsze miało dopiero nadejść.

O dziewiątej wieczorem Jim-Jam rozpoczął siedemdziesięciogodzinny maraton telewizyjny we wszystkich swoich stacjach, z wielką akcją na finiszu, która miała wywindować jego popularność na szczyt i zapewnić mu zwycięstwo.

Tymczasem Max Fischer leżał w łóżku w specjalnej sypialni Białego Domu z tacą zastawioną jedzeniem. W ponurym nastroju patrzył w telewizor.

„Ten Briskin”, pomyślał z furią milionowy raz z rzędu. – No popatrz – powiedział do swojego kuzyna, prokuratora generalnego, który siedział na fotelu po przeciwnej stronie – to dureń. – Wskazał na ekran.

– Ohyda – odparł Leon Lait, jedząc cheeseburgera.

– Wiesz, skąd transmitują? Z głębi przestrzeni, zza Plutona. Z najdalej położonego w zewnętrznej przestrzeni nadajnika, którego naszym chłopakom z FBI nigdy nie uda się dopaść.

– Uda się, uda – zapewnił go Leon. – Już im powiedziałem, że mają go zdobyć, że tak rozkazał prezydent, mój kuzyn.

– Ale tak zaraz to go nie dopadną – odparł Max. – Leon, ślimaczysz się jak cholera. Powiem ci coś. Mam tam liniowiec „Dwight D. Eisenhower”. On naprawdę może im popsuć przedstawienie, rozumiesz, wystarczy tylko jedno moje słowo i bam, bam.

- Racja.
- Nie chcem, ale muszę – powiedział Max.

Program zaczął się rozkręcać. Rozbłyły reflektory i na scenę swobodnym krokiem weszła Peggy Jones w błyszczącej sukni z odsłoniętymi ramionami. Jej włosy lśniły. „No to teraz będziemy mieli odjazdowy striptiz w wykonaniu naprawdę ślicznej dziewczyny”, pomyślał Max. Aż usiadł na łóżku. No, może nie striptiz, ale ten cały Briskin nawet seksu nie waha się wykorzystywać dla swoich celów. Po drugiej stronie pokoju prokurator generalny kończył przeżuwanie cheeseburgera. Publiczność w telewizorze umilkła, po czym znowu przypomniała o swoim istnieniu gromkimi brawami. Na ekranie Peggy śpiewała:

To Jim-Jam, za nim jestem ja, W Ameryce Najcudowniejszy, To Jim-Jam najlepszy, jestem za, Kandydat, jakiego masz ty i ja.

– O Boże – jęknął Max, choć nie dlatego, by sam występ i detale jej smukłego ciała mu się nie podobały. – Chyba będę musiał polecić, by „Dwight D. Eisenhower” ruszył do ataku – powiedział, patrząc na ekran.

– Jak sobie życzysz, Max – powiedział Leon. – Tak to załatwię, że wszystko będzie zgodne z prawem, spokojna głowa.

– Podaj mi czerwony telefon – rzucił Max. – To jest superbezpieczne łącze do użytku wodza naczelnego, służące do przekazywania ściśle tajnych rozkazów. Niezłe, co? – Wziął aparat od prokuratora generalnego. – Dzwonię do generała Tompkinsa, a on przekaze rozkazy na statek. Fatalnie, Briskin – dodał, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ekran. – Ale sam sobie jesteś winien. Nie musiałeś tego wszystkiego robić i przeciwstawiać mi się.

Dziewczyna w srebrzystej sukni znikła i zamiast niej pojawił się Jim-Jam Briskin. Max odczekał jeszcze chwilę.

– Witam, kochani widzowie – powiedział Briskin, gestem prosząc o ciszę. Brawa z taśmy – Max wiedział, że na rubieżę Układu Słonecznego na pewno nie sprowadzili prawdziwej publiczności – ucichły, a potem znowu rozbrzmiały. Briskin wyczekiwał z uprzejmym uśmiechem.

– Podróża – chrząknął Max. – Lipna publiczność. A spryciarze, on i ta jego ekipa. Notowania lecą mu w górę.

– Nie inaczej, Max – przytaknął prokurator generalny. – Zdążyłem zauważyć.

– Przyjaciele – mówił z powagą Jim Briskin – jak może wiecie, prezydent Maximilian Fischer i ja byliśmy kiedyś w bardzo dobrych stosunkach.

Max z ręką na czerwonym telefonie zastanawiał się, czy Jim-Jam aby nie kłamie.

– Poróżniła nas – ciągnął Briskin – kwestia siły, użycia jawnej, nagiej siły. Dla Maxa Fischera biuro prezydenta to tylko maszyna, będąca przedłużeniem pragnień, narzędzie, którym można się posłużyć dla zaspokojenia swoich potrzeb. Jestem szczerze przekonany, że jego cele są pod wieloma względami słuszne: usiłuje realizować dobrą politykę Unicephalonu. Co innego środki. To inna sprawa.

– Posłuchaj go, Leon – powiedział Max i zamyślił się: „A mów sobie, co chcesz, nie zamierzam rezygnować i nikt mi nie przeszkodzi, bo to jest mój obowiązek jako urzędnika, i gdybyś został prezydentem, postępowałbyś podobnie”.

– Nawet prezydent – mówił Briskin z ekranu telewizora – musi być posłuszny prawu, nie może stawiać się ponad nim, choćby był najpotężniejszy. – Na chwilę zamilkł, a potem powiedział powoli: – Wiem, że w tej właśnie chwili FBI na bezpośredni rozkaz Leona Laita, prokuratora generalnego mianowanego przez Maxa Fischera, próbuje zamknąć te stacje, żeby mnie uciszyć. I oto znowu pan Fischer używa siły i policji dla swoich własnych celów, traktując je jak przedłużenie...

Max podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. Od razu usłyszał w niej głos:

– Tak, panie prezydencie. Tu SSŁ generała Tompkinsa.

– A co to takiego?

– Szef Służby Łączności, Armia 600-1000, panie prezydencie, na pokładzie „Dwighta D. Eisenhowera” przyjmuje przekaz za pośrednictwem nadajnika na Plutonie.

– A tak – odparł Max, kiwając głową. – Słuchajcie no, macie być w pogotowiu, zrozumiano? Czekać na instrukcje. – Przykrył dłonią słuchawkę. – Leon – zawołał kuzyna, który właśnie skończył cheeseburgera i zabierał się do truskawkowego szejka. – Jakże mam to zrobić? Znaczy się, przecież Briskin nie kłamie.

– Wydaj rozkaz Tompkinsowi – odpowiedział Leon. Beknął. Potem pięścią walnął się w pierś. – Przepraszam.

Jim Briskin kontynuował wypowiedź:

– Wcale niewykluczone, że przemawiając do was, ryzykuję życie, ale to właśnie musimy sobie uświadomić: mamy prezydenta, który gotów jest zatrudnić nawet mordercę, by osiągnąć swoje cele. To polityczna taktyka tyranii i tego właśnie jesteśmy świadkami, tyranii rodzącej się w naszym społeczeństwie, tyranii wypierającej racjonalne reguły, jakimi kieruje się Unicephalon 40-D, zaprojektowany, zbudowany i uruchomiony przez najświetniejsze umysły, jakie dane nam było znać, umysły oddane sprawie zachowania wszystkiego, co wartościowe w naszej tradycji. Jakże przygnębia rugowanie tej tradycji przez tyranie jednego człowieka.

– Przecież nie mogę – powiedział spokojnie Max.

– Dlaczego nie? – spytał Leon.

– Nie słyszałeś? To o mnie. Mnie ma na myśli, mówiąc o tyranie. Chryste – Max odłożył słuchawkę czerwonego telefonu. – Za długo zwlekałem. Trudno mi to powiedzieć, ale to by, do diabła, znaczyło, że on ma rację.

„Ja wiem, że ma – myślał – ale czy oni o tym wiedzą? Opinia publiczna wie? Nie mogę kazać im siebie osądzać. Powinni podziwiać swojego prezydenta, szanować go. Czcić. A ja... Nic dziwnego, że tak kiepsko wypadam w sondażu. Nic dziwnego, że Jim Briskin postanowił wystartować przeciwko mnie, gdy tylko dowiedział się, że obejmuję urząd. Dobrze wiedzą, kim jestem; wyczuwają, że Jim-Jam nie kłamie. Po prostu nie mam prezydenckiego formatu.. Nie nadaję się na ten urząd”.

– Posłuchaj, Leon – powiedział. – Zamierzam dołożyć temu całemu Briskinowi, a potem ustąpić. To będzie mój ostatni urzędowy akt. – Jeszcze raz podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. – Wydam im rozkaz wykończenia Briskina. A potem niech ktoś inny zostanie prezydentem. Obojętnie, kogo ludzie zechcą. Choćby Pat Nobel albo ty; mnie jest wszystko jedno. – Potrząsnął aparatem. – Cześć SSL – powiedział głośno. – No już, zgłaszaj się. A ty zostaw mi trochę szejka. Właściwie w połowie jest mój – rzucił w stronę kuzyna.

– Max, no pewnie – odparł lojalnie Leon.

– Nikogo tam nie ma? – krzyknął w słuchawkę i czekał. Telefon nadal milczał. – Coś poszło nie tak. Łączą siadły. To pewnie znowu ci obcy.

I wtedy spojrzął w stronę telewizora. Ekran był pusty.

– Co się dzieje? – spytał Max. – Co oni ze mną wyprawiają? Kto to robi? – Rozglądał się przerażony. – Nie zniosę tego.

Leon ze stoickim spokojem popijał mlecznego szejka. Wzruszył ramionami na znak, że nie wie. Ale jego mięsista twarz zbladła.

– Za późno – powiedział Max. – Z pewnych powodów już za późno. – Powoli odłożył słuchawkę. – Mam wrogów, Leon. Są potężniejsi ode mnie. I nawet nie wiem, kim są.

Usiadł w milczeniu przed ślepym i głuchym telewizorem. Czekał.

Nagle odezwał się spiker:

– Pseudoautonomiczny biuletyn informacyjny. Proszę czekać. – Potem ponownie zapadła cisza.

Jim Briskin patrzył na Eda Fineberga i Peggy, wszyscy trwali w oczekiwaniu.

– Obywatele Stanów Zjednoczonych – rozległ się nagle płaski, pozbawiony intonacji głos spikera – bezkrólowie skończone i sytuacja wraca do normy. – Mówił, a na ekranie monitora powoli przesuwiał się pasek z napisami – Unicephalon 40-D przechwycił sygnał i w należyły sobie sposób wszedł w miejsce regularnego programu. To było jego prawo.

Syntetyczny głos przekładał na słowa rozkazy struktury rządzącej.

– Kampania wyborcza została anulowana – powiedział Unicephalon 40-D. – To punkt pierwszy. Zastępczy prezydent, Maximilian Fischer, zostaje skasowany, to punkt drugi. I punkt trzeci: jesteśmy w stanie wojny z obcymi, którzy wtargnęli do naszego systemu. Punkt czwarty: James Briskin, który do was przemawiał...

„A więc to tak”, pomyślał James Briskin. W słuchawkach słyszał monotony głos:

– Punkt czwarty: James Briskin, który właśnie wam o tych sprawach mówił, ma odtąd zakończyć swą działalność i zamilknąć, i zgodnie z wystosowanym właśnie nakazem będzie mógł ją podjąć tylko po uzyskaniu zgody. W imię wspólnego dobra nakazujemy mu zachowanie milczenia w sprawach polityki.

– A więc to tak. Po wszystkim. Jestem politycznym niemową – powiedział ze sztucznym uśmiechem Briskin do Eda Fineberga i Peggy.

– Możesz walczyć w sądach – zareagowała błyskawicznie Peggy. – Pójść z tym nawet do Sądu Najwyższego; uchylać decyzje Unicephalona z przeszłości. – Położyła mu dłoń na ramieniu, ale odsunął się. – A czy chcesz walczyć?

– Przynajmniej nie jestem skasowany. – Czuł się zmęczony. – Cieszę się, że maszyna znów działa – powiedział, żeby uspokoić Peggy. – To oznacza powrót stabilizacji. Możemy to wykorzystać.

– Co zrobisz, Jim-Jam? – spytał Ed. – Wrócisz do Reinlander Beer i Calbest Electronics, żeby spróbować odzyskać dawne stanowisko?

– Nie – mruknął. Na pewno nie. Ale przecież naprawdę nie mógł dać się skazać na polityczne milczenie i zrobić tego, co nakazał Unicephalon 40-D. Takie ograniczenie w jego przypadku było niemożliwe; prędzej czy później przemówi znów, z lepszym czy gorszym skutkiem. „I Max też na pewno nie może tego zrobić... ani on, ani ja. Może – zastanawiał się – powinienem odpowiedzieć na decyzję sądu, zaskarżyć ją. Pozwę Unicephalon 40-D przed trybunał”. Uśmiechnął się. Przyda mi się do tego dobry prawnik. Z tym, że trochę lepszy od Leona Laita, najtęższego prawniczego mózgu Maxa Fischera...

Podszedł do szafy w małym studio, z którego nadawali, wziął płaszcz i zaczął go wkładać. Mieli przed sobą długą podróż na Ziemię z tego odległego miejsca i chciał już wyruszyć.

Peggy, która szła za nim, zapytała:

– W ogóle nie masz zamiaru wrócić na plan? Nawet żeby dokończyć program?

– Nie – odpowiedział.

– Ale Unicephalon znów będzie wycinał i co zostanie? Pusty eter. To nie w porządku, Jim, prawda? Tak sobie wyjść jak ten... Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty tak postępujesz, to niepodobne do ciebie.

Zatrzymał się przed drzwiami studia.

– Przecież słyszeliście, co powiedział. Polecenia, jakie mi przekazał.

– Nie opuszcza się studia – powiedziała Peggy. – To próżnia, a natura próżni nie znosi, Jim. A jeśli ty jej nie wypełnisz, to zrobi to ktoś inny. Spójrz, Unicephalon zamierza na razie dać spokój. – Wskazała na monitor telewizyjny. Pasek z napisami zniknął. Ekran znowu zgasł, nie było na nim ani światła, ani ruchu. – To twój obowiązek i ty o tym wiesz.

– Czy ponownie jesteśmy na antenie? – spytał Ed.

– Tak. A on z całą pewnością jest poza łączami, przynajmniej przez chwilę. – Ed wykonał gest w kierunku pustej sceny, ku której zwrócone były reflektory i kamery. Więcej nie powiedział. Nie musiał.

Jim Briskin, ciągle w płaszczu, podszedł. Z rękami w kieszeniach ponownie wkroczył na plan, uśmiechnął się i powiedział:

– Mam nadzieję, kochani, że przerwa się skończyła. W każdym razie tymczasem. Więc... kontynuujmy.

Rozległ się sterowany przez Eda Feinberga odgłos nagranej owacji i Jim Briskin uniósł ręce, prosząc nieobecną w studio publiczność o ciszę.

– Czy ktoś z was zna dobrego prawnika? – spytał Jim-Jam zjadliwym tonem. – Bo jeśli tak, to natychmiast zadzwóńcie i powiedzcie, zanim FBI w końcu nas tu dopadnie.

Maximilian Fischer, w sypialni w Białym Domu, po wysłuchaniu komunikatu Unicephalona odwrócił się do swojego kuzyna Leona i powiedział:

– No cóż, straciłem posadę.

– Tak, Max, chyba tak.

– I ty też. Zanoszą się na generalne porządki. Możesz być pewien. Zostałem skasowany. – Zazgrzytał zębami. – To dość uwłaczające. Powinien powiedzieć odwołany ze stanowiska.

– Pewnie po prostu w taki sposób się wyraża – powiedział Leon. – Nie denerwuj się, Max. Pamiętaj o swoim słabym sercu. Robotę dalej masz, wciąż jesteś zastępcą, i chcę ci przypomnieć, że to tutaj najwyższe stanowisko – zastępca prezydenta Stanów Zjednoczonych. W dodatku teraz całe to zamieszanie masz z głowy. Szczęściarzem z ciebie.

– Zastanawiam się, czy zdążę dokończyć ten posiłek – powiedział Max, dłubiąc w jedzeniu na stojącej przed nim tacy. Gdy tylko go odwołano, zaraz mu się poprawił apetyt: wziął kanapkę i sporą porcję sałatki z kurczaka. – To nadal należy do mnie – stwierdził z pełnymi ustami. – Przecież jakoś tu żyję i regularnie jadam, racja?

– Racja – przytaknął Leon, uruchamiając swój prawniczy umysł. – Tak jest w umowie podpisanej z Kongresem, pamiętasz? Nie na darmo się strajkowało.

– To były czasy – rozmarzył się Max. Dokończył kanapkę i nalał sobie ajerkoniaku. Ależ się człowiek czuje, gdy nie musi podejmować poważnych decyzji. Spokojnie, głęboko odetchnął i oparł się na stosie podpierających go poduszek.

Ale nagle uznał, że podejmowanie decyzji poniekąd sprawiało mu radość. „Znaczy się – szukał w myślach – to było co innego niż bycie zastępcą czy siedzenie na bezrobociu. To dawało... satysfakcję. Właśnie tak. Jakbym czegoś dokonał”. Zaczynało mu tego brakować. Poczuł przytłaczającą pustkę, nagle wszystko straciło sens.

– Leon – powiedział. – Jeszcze cały miesiąc mógłbym robić za prezydenta. I cieszyć się z pracy. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak, chyba łąpię.

– Nie, wcale nie łąpiesz.

– Próbuję – odparł kuzyn – serio.

– Nie musiałeś wysyłać tych inżynierków, żeby łątali Unicephalona. Powinienem schować ten plan, przynajmniej na dobre pół roku – powiedział z goryczą Max.

– Teraz za późno na myślenie – rzekł Leon.

„Czyżby? – zastanowił się Max. – Przecież temu Unicephalonowi 40-D coś mogłoby się przydarzyć. Jakiś wypadek”.

Snuł tę myśl, zjadając szarlotkę z zielonego jabłuszka z szerokim plastrem sera longhorn. Zna się kilka osób, które mogłyby podjąć się takiego zadania... wiadomo, bywało.

„Poważny, tragiczny wypadek – zastanawiał się. – Późna noc, wszyscy śpią, tylko ja i on w Białym Domu. Znaczy się, należy spróbować, obcym się jakoś udało”.

– Popatrz, Jim-Jam Briskin znowu na antenie – zawołał Leon, wskazując na ekran. A jakże, i ta słynna czerwona czapeczka, i Briskin mówiący rzeczy dowcipne, a jednak głębokie, zmuszające do zastanowienia. – Posłuchaj, on robi sobie jaja z FBI, no pomyśl, i to teraz. Nic a nic się nie boi.

– Nie zwracaj głowy – burknął Max. – Myślę.

Wyciągnął rękę i wyłączył dźwięk telewizora. Nie chciał bowiem, by cokolwiek go rozpraszało.

Małe co nieco dla nas, temponautów

Addison Doug włókł się noga za nogą ścieżką prowadzącą przez las syntetycznych sekwoi. Z głową nieco zwieszoną poruszał się tak, jakby faktycznie coś mu dolegało. Dziewczyna obserwowała go i chciała mu pomóc, bo aż bolało ją w środku na widok jego udręki i zmęczenia, a zarazem nie posiadała się z radości, że w ogóle tam jest. I nawiedziła ją myśl, że zmierzał powoli w jej stronę, nie podnosząc wzroku, właściwie na wyczucie, jakby nieraz już tak szedł... jakby drogę znał na pamięć. Skąd?

– Addi – zawołała i podbiegła do niego. – W telewizji mówili, że nie żyjesz, że wszyscy zginęliście!

Zatrzymał się, odgarnął ciemne włosy, choć nie były już długie, bo tuż przed startem kazali je ściąć. Najwyraźniej zapomniał o tym.

– Wierzysz we wszystko, co pokazują w telewizji? – powiedział i znowu ruszył przed siebie, niepewnie, ale już z uśmiechem. Wyciągnął do niej rękę.

Boże, znów go uściskać, ponownie do siebie z całych sił przytulić.

– Chciałam znaleźć sobie kogoś innego – mówiła, łapiąc oddech. – Zamiast ciebie.

– Urwałbym ci głowę, gdybyś to zrobiła – powiedział. – A zresztą to i tak niemożliwe; nikt nie mógłby mnie zastąpić.

– A co z implozją? – spytała. – Po powtórny wejściu, powiedzieli...

– Zapomniałem – odparł Addison tonem, którego używał, gdy chciał powiedzieć, że dyskutować nie zamierza. Ten ton zawsze ją złościł, ale nie teraz. Tym razem wyczuwała, co kryło się w jego pamięci.

– Zostanę u ciebie parę dni – powiedział, gdy ścieżką podchodzili pod otwarte drzwi jej domu o spadzistym dachu tworzącym literę A. – Jeśli wszystko jest w porządku. A Benz i Crayne dołączą do mnie później, może nawet jeszcze dzisiejszej nocy. Wiele rzeczy musimy omówić i wyjaśnić.

– Więc przeżyliście! – Ogarnęła spojrzeniem jego znękaną twarz. – Wszystko, co mówili w telewizji... – wtem zrozumiała, a przynajmniej tak jej się wydawało – to tylko oficjalna wersja. Ze względów politycznych... żeby zwieść Rosjan. Tak? To znaczy Związek Radziecki uzna, że misja skończyła się fiaskiem, bo przy powtórny wejściu...

– Nie – odparł. – Chrononauta najprawdopodobniej do nas dołączy. I pomoże w wyjaśnieniu tego, co zaszło. Generał Toad powiedział, że jeden z nich jest już w drodze. Od razu uzyskali zezwolenie, ze względu na powagę sytuacji.

– Jezu, to dla kogo ta wersja? – spytała poruszona.

– Najpierw napijmy się czegoś – odparł Addison – a potem ci wszystko wyjaśnię.

– Ale akurat mam tylko kalifornijską brandy.

– Czuję się tak, że wypiję, co masz. – Padł na kanapę, wyciągnął się i ciężko odetchnął. Dziewczyna przyrządziła drinki.

Samochodowe radio trajkotało: „...żał z powodu fatalnego przebiegu wypadków, wynikającego z nieprzewidzianego...”

– Oficjalna paplanina – podsumował Crayne i wyłączył odbiornik.

Mieli z Benzem trochę kłopotów ze znalezieniem domu, gdyż przedtem byli tu tylko raz. Crayne’a zastanowiło, że w tak nieoficjalny sposób zwołano ważną naradę, i to u kociaka Addisona, gdzieś na głuchej prowincji w Ojai. Z drugiej strony, wścibscy dadzą im spokój. Poza tym nie mieli za wiele czasu, choć trudno powiedzieć, ile dokładnie, bo tego nikt nie był pewien.

Wzgórza po obu stronach drogi porastały dawniej lasy, zauważył Crayne. Teraz każde wzniesienie w zasięgu wzroku szpeciły tereny przeznaczone pod zabudowę, pokryte nieregularną plątaniną plastikowych dróg.

– Kiedyś musiało być tu ślicznie – powiedział do Benza, który prowadził samochód.

– W pobliżu jest Park Narodowy Los Padres – odparł Benz. – Zabłądziłem w tych okolicach, gdy miałem osiem lat. Łaziłem przez cztery godziny, pewien, że zaraz mnie dopadnie grzechotnik. W każdym patyku widziałem węża.

– Dopadł cię, ale teraz – rzucił Crayne.

– Tak jak nas wszystkich – dodał Benz.

– Wiesz – ciągnął Crayne – być martwym to jednak koszarne przeżycie.

– Mów za siebie.

– Ale pod względem technicznym...

– Jak się słucha radia i telewizji. – Benz odwrócił się, a jego twarz wielkiego krasnala przybrała surowy wyraz. – Jesteśmy martwi tak samo jak pozostali mieszkańcy tej planety. Z tą różnicą, że data naszej śmierci to czas przeszły, natomiast dla innych została zapisana gdzieś w niepewnej przyszłości. Choć w przypadku niektórych ludzi, myślę o chorych na raka, jest ona dość dokładnie określona; są tak samo jej pewni jak my. A nawet bardziej. Na przykład, na jak długo możemy się tu zatrzymać? Mamy margines swobody, którego nie posiadają śmiertelnie chorzy.

– Następnym razem, dla rozweselenia, będziesz opowiadał, że i tak nic nas nie boli – zauważył niefrasobliwie Crayne.

– Oprócz Addiego. Wczoraj widziałem, że z trudem chodzi. To ma u niego podłoże psychosomatyczne – on to odczuwa jako dolegliwość fizyczną. – Uśmiechnął się.

– Addi ma więcej niż my powodów, żeby żyć.

– Każdy ma ich więcej niż inni. Nie towarzyszy mi wprawdzie w łóżku słodki kociak, ale za to chciałbym jeszcze parę razy zobaczyć samochody sunące nadrzeczną autostradą o zachodzie

słońca. Nie idzie o to, że masz jakiś cel, by żyć, lecz że żyjesz po to, żeby czegoś doświadczyć, żeby gdzieś być... i to jest, cholera, najsmutniejsze. Dalej jechali w milczeniu.

Trzej temponauci palili beztrąsko papierosy w przytulnym salonie domu dziewczyny Addisona Douga. On sam pomyślał, że jego kobieta wygląda niebywale seksownie i pociągająco w swoim obcisłym sweterku i mikrospódniczce. Żałował, że jest aż tak intrygująca. Naprawdę nie mógł sobie pozwolić na tę przyjemność w tym momencie. Był za bardzo zmęczony.

– Czy ona się orientuje – zapytał Benz, wskazując dziewczynę – o co w tym wszystkim chodzi? Możemy mówić otwarcie? Nie chciałbym, żeby nam tu zemdląca.

– Jeszcze jej tego nie wyjaśniłem – wtrącił Addison.

– To lepiej, cholera, zrób to – zdenerwował się Crayne.

– A co? – spytała strwożona. Z miejsca wyprostowała się, kładąc dłoń na piersiach.

„Zupełnie jakby przyciskała religijny talizman, którego tam nie ma”, pomyślał Addison.

– Wykitowaliśmy podczas powtórnego wejścia – powiedział Benz. Rzeczywiście był najokrutniejszy z całej trójki, a przynajmniej najbardziej bezpośredni. – Otóż panno...

– Hawkins – szepnęła dziewczyna.

– Cieszę się, że panią poznałem. – Benz po swojemu, niespiesznie, taksował ją chłodnym okiem. – A jak ma pani na imię?

– Merry Lou.

– Świetnie, Merry Lou – odpowiedział i zwrócił się do dwóch przyglądających się mężczyzn:

– Brzmi jak imię kelnerki wyszyte na bluzce. Mam na imię Merry Lou i będę panom podawać śniadania, obiady i kolacje przez następnych kilka dni albo dłużej, w każdym razie dopóki panowie nie zrezygnują i nie wrócą do własnego czasu; to będzie pięćdziesiąt trzy dolary i osiem centów, proszę, napiwek nie wliczony. I mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy, rozumiano? – Głos zaczął mu drżeć, papieros w kąciku ust również. – Przepraszam, panno Hawkins – zreflektował się. – Więc wszystkich nas trafiło wskutek implozji przy powtórnym wejściu. Dowiedzieliśmy się o tym po przybyciu do DCR. Wiedzieliśmy wcześniej od innych, gdy tylko wpadliśmy w czas ratunkowy.

– Ale nic nie mogliśmy zrobić – dorzucił Crayne.

– Nikt nie może – powiedział Addison i objął dziewczynę ramieniem. Miał wrażenie déjà vu, ale właśnie wtedy to do niego dotarło. „Istniejemy w zamkniętej pętli czasu, pomyślał, i wciąż przez to przechodzimy, usiłując rozwiązać problem ponownego wejścia, za każdym razem sądząc, że to pierwszy raz, jedyny... i nigdy nam się nie udaje. Która to próba? Może milionowa; siedzieliśmy tu milion razy, roztrzásając w nieskończoność te same fakty i do niczego nie dochodząc”. Wyczerpało go to myślenie i poczuł coś w rodzaju bezmiernej filozoficznej nienawiści do tych wszystkich, którzy nie muszą się zmagać z tą zagadką.

„Wszyscy zmierzamy do jednego miejsca, jak powiada Biblia. Choć... my we trzech już tam byliśmy. I tam spoczywamy. Nie należy więc od nas żądać, byśmy potem wyszli na powierzchnię Ziemi i się spierali, zamartwiali i zastanawiali, co poszło nie tak. To raczej rzecz naszych potomków. Myśmy już dość zrobili”.

Głośno jednak tego nie powiedział – przez wzgląd na pozostałych.

– Może pan na coś wpadł? – spytała dziewczyna.

Benz, patrząc po zgromadzonych, odparł sardonicznie:

– Może i „wpadliśmy na coś”.

– Komentatorzy telewizyjni bez przerwy mówią – ciągnęła dalej Merry Lou – o ryzyku związanym z powtórным wejściem, polegającym na braku przestrzennej synchronizacji i groźbie kolizji bezpośrednio na poziomie molekularnym z przyległymi obiektami, z których każdy... – wykonała nieokreślony gest – no wiadomo, „dwa obiekty nie mogą zajmować w tej samej przestrzeni i czasie tego samego miejsca”. I z tego właśnie powodu wszystko wyleciało w powietrze. – Powiodła po zgromadzonych pytającym spojrzeniem.

– To jest główny czynnik ryzyka – zgodził się Crayne. – Przynajmniej teoretycznie, jak wyliczył doktor Fein z Planowania, gdy zajęli się zagadnieniem ryzyka. Dostarczono nam jednak całą aparaturę zabezpieczającą, która działała automatycznie. Ponowne wejście nie mogłoby nastąpić, gdyby te urządzenia wspomagające nie zapewniły nam stabilizacji przestrzennej, wykluczając kolizję. Oczywiście wszystkie po kolei mogły zawieść. Jedno po drugim. Po starcie obserwowałem mierniki moich reakcji i każdy z nich potwierdzał, że zostaliśmy wówczas odpowiednio zsynchronizowani. I nie słyszałem żadnych dźwięków ostrzegawczych. Nie widziałem też żadnych znaków. – Skrzywił się. – Wtedy to się nie stało.

Nagle odezwał się Benz:

– Czy zdajecie sobie sprawę, że nasi najbliżsi krewni są teraz bogaci? Wypłacono im wszystkie państwowe i komercyjne polisy ubezpieczeniowe. „Najbliżsi krewni”... to, nie daj Boże, chyba my sami. Możemy starać się o wypłacenie dziesiątek tysięcy dolarów gotówką. Udać się do biur naszych brokerów i powiedzieć: „Nie żyję; wypłaćcie mi kasę”.

Addison Doug zastanawiał się nad publicznymi uroczystościami żałobnymi. Zaplanowano je po autopsji. Długi sznur oflagowanych czernią cadillaców sunących Pennsylvania Avenue, wypełnionych dostojnikami rządowymi i jajogłowymi naukowcami – a do tego my. Nie raz, ale dwa razy. Po raz pierwszy w dębowych, ręcznie polerowanych, wykończonych mosiądzem, przykrytych sztandarem trumnach, ale także... w otwartej limuzynie, pozdrawiając tłumy żałobników.

– Ceremonie – powiedział na głos.

Pozostali spojrzeli na niego ze złością, nic nie rozumiejąc. I nagle zaczęło to do nich po kolei docierać. Widział to po ich twarzach.

– Nie – zgrzytnął Benz. – To... niemożliwe.

Crayne stanowczo pokręcił głową.

– Rozkazali nam się tam stawić i się stawimy. Rozkazów się słucha.

– Czy będziemy się musieli uśmiechać? – spytał Addison. – Kurwa, uśmiechać?

– Nie – powiedział powoli generał Toad. Miał wielką, trzęsącą się głowę, osadzoną na chudej jak patyk szyi, szarawą skórę w plamach, jakby od dystynkcji widniejących na sztywnym kołnierzyku rozpoczynał się proces częściowego rozkładu. – Nie macie się uśmiechać, lecz właśnie zachowywać jak osoby pogrążone w żalu, respektując nastrój żałoby narodowej.

– To też nie będzie łatwe – odparł Crayne.

Rosyjski chrononauta nie spieszył się z odpowiedzią; jego ptasia twarz, zamknięta w ramce słuchawek przekazujących tłumaczenie, pozostała napięta.

– W tej króciutkiej chwili – mówił dalej generał Toad – naród ponownie uświadomi sobie fakt waszej obecności wśród nas. Kamery wszystkich głównych sieci telewizyjnych będą was filmowały, bez zapowiedzi, a zarazem najprzeróżniejsi komentatorzy, na komendę, w taki na przykład sposób zaczną to omawiać. – Wyciągnął kartkę z napisanym na maszynie tekstem, włożył okulary, odchrząknął i przeczytał: „Wydaje nam się, że śledzimy te trzy, jadące razem postacie. Ginę w tłumie i trudno mi je dostrzec. A wy je widzicie? „– Generał Toad odłożył kartkę. – W tym momencie zaczną rozpytywać swoich kolegów. W końcu krzykną: „No cóż, Roger”, „Walter” czy „Ned”, stosownie do sytuacji i zależnie o kogo i z jakiej sieci chodzi...

– Albo Bili – dorzucił Crayne. – W przypadku sieci matolów z Waszyngtonu.

Generał Toad nie zwracał na niego uwagi.

– Kilka razy krzykną: „No cóż, Roger, zdaje się, że widzimy trzech temponautów we własnych osobach! Czy to rzeczywiście oznacza, że problem jakimś sposobem został...?” I w tym momencie kolega komentator wtrąci bardziej ponurym tonem: „Tym razem, David”, albo Henry, Pete czy Ralf, jakkolwiek by miał na imię, „mamy do czynienia z pierwszym potwierdzonym przejawem działania tego, co fachowcy nazywają Działaniem Czasu Ratunkowego, czyli DCR... Wbrew temu, co można by sądzić na pierwszy rzut oka, nie są to, powtarzam, nie są to nasi trzej dzielni temponauci we własnych osobach, jakich znamy na co dzień, lecz raczej uchwyceni przez kamerę tak, jak zostali zawieszani w trakcie swej podróży do przyszłości, która, zgodnie z naszymi uzasadnionymi oczekiwaniami, miała się odbyć w przestrzeni czasowej za jakieś sto lat... Wydaje się jednak, że z jakiegoś powodu nie dolecieli i są z nami tu i teraz, a więc, jak wiemy, oczywiście, w naszej teraźniejszości”.

Addison Doug medytował z przymkniętymi oczami. Crayne spytał, czy może wystąpić przed kamerami z balonikiem w ręku, jedząc watę cukrową. „Coś mi się zdaje, że wszyscy wyjdziemy na wariatów, jak jeden. Ileż to razy prowadziliśmy tę bezsensowną rozmowę?

Nie potrafię tego udowodnić, myślał znużony, ale wiem, że to prawda. Przecież niejednym raz

już tu siedzieliśmy, uprawialiśmy te drobne gierki słowne, słuchaliśmy tego, co słyszymy, i mówiliśmy to, co mówimy. – Wzdrygnął się. – Każde po wielokroć przeżute słowo...”

– W czym rzecz? – spytał obcesowo Benz.

Radziecki chrononauta przemówił po raz pierwszy.

– Ile wynosi możliwie największy interwał DCR dla waszego trzyosobowego zespołu? I jaka jego część została już wyczerpana?

Po chwili milczenia odezwał się Crayne.

– Poinformowali nas o tym wczoraj, zanim tu przyjechaliśmy. Zużyliśmy około połowy całego maksymalnego interwału DCR.

– Jednak – zagrzemiał generał Toad – Dzień Żałoby Narodowej umieściliśmy w harmonogramie pozostałego im czasu DCR. Musieliśmy w związku z tym przyspieszyć autopsję i inne ekspertyzy, ale wobec istniejących nastrojów społecznych uznano...

„Autopsja”, pomyślał Addison Doug i ponownie wzdrygnął się. Tym razem nie mógł powstrzymać natłoku myśli i spytał:

– Dlaczego nie odłożymy tego bezsensownego spotkania i nie skoczymy na patologię, żeby sobie obejrzeć własne tkanki, w powiększeniu i kolorze? Może wpadnie nam do głowy jakiś ciekawy pomysł, którym wesprzemy nauki medyczne rozpaczliwie poszukujące wyjaśnień? Bo przecież wyjaśnienia – oto czego nam trzeba. Są ważniejsze od samych problemów. Problemy wymyśli się później. – Przerwał. – Kto się zgadza?

– Nie mam ochoty na oglądanie własnej śledziony w powiększeniu na ekranie – powiedział Benz. – Pojadę na ceremonię pogrzebową, ale we własnej sekcji zwłok uczestniczyć nie będę.

– Mógłbyś po drodze rozdawać żałobnikom czerwone preparaty swoich flaków – podpowiedział Crayne. – Każdego z nas powinni wyposażyć w specjalną torebkę na tę okazję, prawda, generale? Tkanki rozrzucalibyśmy jak konfetti. I nadal twierdzę, że musimy się uśmiechać.

– Przejrzałem wszystkie notatki na temat uśmiechania się – odparł generał Toad, przerzucając leżące przed nim dokumenty – i wynika z nich jedno zalecenie, że uśmiechanie się nie harmonizuje z uczuciami narodowymi. Kwestię uważam więc za zamkniętą. Jeśli natomiast chodzi o wasze uczestnictwo w autopsji, która właśnie trwa...

– No, a my tu sobie siedzimy – rzucił Crayne do Addisona Douga. – Zawsze jestem stratny.

Addison, nie słuchając go, zwrócił się do sowieckiego chrononauty, wykorzystując mikrofon dyndający na jego piersi:

– Co według pana, oficerze N. Gauki, wywołuje największy lęk u podróżnika w czasie? Czy implozja, jaka może nastąpić w wyniku kolizji przy powtórnym wejściu, tak jak to się zdarzyło w naszym przypadku? A może pana i pańskiego towarzysza nękała jakaś inna traumatyczna obsesja w czasie waszej krótkiej, ale przecież udanej podróży w czasie?

Minęła chwila i N. Gauki odpowiedział:

– R. Pienia i ja parokrotnie już nieoficjalnie wymienialiśmy poglądy na ten temat. Sądę, że odpowiadając na pańskie pytanie, mogę wypowiadać się za nas obu. Istnieje więc ciągła obawa, że mimowolnie wpadliśmy w zamkniętą pętlę czasową, z której się już nie wydostaniemy.

– I że wszystko będzie się w nieskończoność powtarzać?

– Tak, panie Doug – potwierdził chrononauta, kiwając posępnie głową.

Addisona Douga ogarnął nagle lęk, jakiego jeszcze nie zaznał. Odwrócił się bezradnie do Benza.

– O cholera – mruknął. Spojrzeli po sobie.

– Naprawdę nie sądę, żeby akurat do tego doszło – odpowiedział półgłosem Benz, kładąc po przyjacielsku dłoń na ramieniu Douga i zaciskając mocno palce. – Przy powtórным wejściu przeżyliśmy po prostu implozję, to wszystko. Spokojnie.

– Czy możemy już skończyć? – spytał Addison zachrypniętym, zduszonym głosem, podnosząc się z krzesła. Czuł, że pokój i ludzie napierają na niego. Dławią go. „Klaustrofobia – skonstatował. – Zupełnie jak wtedy, jeszcze w podstawówce, gdy nagle wyskoczyli z testem na maszynach uczących i okazało się, że nie dam rady go zdać”. – Proszę – powiedział po prostu i wstał. Spojrzeli na niego, różnie reagując. Na twarzy Rosjanina widać było szczególne współczucie i głębokie przejęcie. – Chcę wrócić do domu... – powiedział Addison, wprawiając wszystkich w osłupienie.

Był pijany. Późny wieczór w knajpie przy bulwarze Hollywood; na szczęście ma obok siebie Merry Lou i jest świetnie. W każdym razie od wszystkich to słyszy. Przyłgął do dziewczyny.

– Wspaniała, absolutną jedność w życiu, jedność najdoskonalszą tworzą kobieta i mężczyzna. Prawda?

– Wiem – odpowiedziała Merry Lou. – Mieliśmy to w szkole.

Dzisiaj, na jego prośbę, Merry Lou przemieniła się w drobną blondynkę w purpurowych dzwonach, na wysokich obcasach i w bluzce odsłaniającej brzuch. Wcześniej miała jeszcze w pępku lapis-lazuli, ale podczas kolacji w Ting Ho kamień wyskoczył i przepadł. Właściciel restauracji obiecał, że dopilnuje, żeby się znalazł, ale to i tak nie poprawiło jej humoru. Miał symboliczne znaczenie, powiedziała, ale dlaczego, nie dodała, a on po prostu nie mógł sobie przypomnieć. Może zresztą powiedziała dlaczego...

Przy sąsiednim stoliku elegancki, czarnoskóry młodzieniec z afro, w marynarce w paski i wyzywającym krawacie, od jakiegoś czasu przyglądał się Addisonowi. Najwyraźniej chciał podejść do ich stolika, ale się bał. I tylko patrzył.

– Czy miałaś kiedyś wrażenie, że dokładnie wiesz, co za chwilę się stanie? – spytał Addison.

– Co ktoś zamierza powiedzieć? Słowo w słowo? Ze wszystkimi szczegółami. Jakbyś to już

kiedyś przeżyła?

– Każdemu się to zdarza – odparła dziewczyna. Łyknęła krwawej mary.

Młodzieniec wstał i podszedł do nich. Stał obok Addisona.

– Przepraszam, że pana niepokoję.

– Zaraz powie: „Czy my się skądś znamy? Może widziałem pana w telewizji?” – szepnął Addison do Merry Lou.

– O to właśnie zamierzałem zapytać – odpowiedział czarnoskóry.

– Ani chybi zobaczyłeś moją fotkę na stronie czterdziestej szóstej najnowszego numeru „Time’a”, w dziale odkryć medycznych. Pochodzę z małego miasteczka w Iowa i zdobyłem sławę dzięki wynalezieniu powszechnie i łatwo dostępnego leku na nieśmiertelność. Kilka wielkich firm farmaceutycznych walczy już o moją szczepionkę.

– Faktycznie, może tam widziałem pana zdjęcie – odpowiedział Murzyn, ale nie był przekonany. Na pijanego też raczej nie wyglądał; intensywnie wpatrywał się w Addisona Douga.

– Czy mogę się do państwa przysiąść?

– Jasne – zgodził się Addison. Dopiero teraz zobaczył w ręku mężczyzny legitymację amerykańskiej agencji ochrony, która od samego początku zajmowała się całym przedsięwzięciem.

– Panie Doug – powiedział agent, gdy tylko usiadł obok nich – pan naprawdę nie powinien się znajdować w tym miejscu i tak sobie bez troski paplać. Skoro ja pana rozpoznałem, to równie dobrze mógłby kto inny i byłaby wpadka. A sprawa miała być utajniona do Dnia Żałoby Narodowej. Przychodząc tutaj, naruszył pan formalnie prawo federalne, rozumie pan? Powinienem pana zgarnąć. Ale sprawa jest delikatna. Nie chcemy robić grandy i scen. Gdzie pańscy dwaj koledzy?

– U mnie – odpowiedziała Merry Lou. Legitymacji oczywiście nie zauważyła. – Słuchaj no – rzuciła ostro do agenta – dlaczego się nie odczepisz? Mój mąż przeszedł katorgę i to jedyna okazja, żeby się rozluźnić.

Addison spojrzał na mężczyznę.

– Wiedziałem, co chciałeś powiedzieć, jeszcze zanim podszedłeś. „Co do słowa – pomyślał. – Mam rację, a Benz się myli, bo to wszystko będzie się raz po raz powtarzało”.

– Możliwe – odpowiedział agent ochrony. – Potrafię pana skłonić do dobrowolnego powrotu do domu panny Hawkins. Nadeszła wiadomość – stuknął palcem w małą słuchawkę w prawym uchu – zaledwie przed kilkoma minutami, do was wszystkich, którą mam panu przekazać, jeśli pana namierzę, pilna. Na zgłiszczach bazy... oni cały czas przeszukiwali gruz, wie pan?

– Wiem – odparł Addison.

– Sądzą, że są na tropie. Jeden z was coś przyniósł z DCR, oprócz tego, co mieliście zabrać,

i naruszył przedstartowe zalecenia.

– Pozwoli pan, że zapytam – wtrącił Addison Doug. – Przypuśćmy, że ktoś mnie zobaczy lub rozpozna? I co?

– Społeczeństwo jest przekonane, że choć powtórne wejście nie wypaliło, to podróż w czasie, pierwsza amerykańska misja skończyła się sukcesem. Trzej amerykańscy temponauci zostali wysłani o setki lat w przyszłość – prawie dwa razy dalej niż Sowieci w zeszłorocznej misji. A to, że wasza wyprawa trwała tylko tydzień, nie wywoła aż takiego wstrząsu, jeśli wszyscy będą pewni, że postanowiliście ponownie pojawić się w tej przestrzeni tylko dlatego, że chcieliście czy też czuliście się zmuszeni do wzięcia udziału...

– W paradzie – wtrącił Addison. – I to dwukrotnie.

– Zostaliście wciągnięci w dramatyczne i ponure widowisko własnego pogrzebu, które w dodatku będzie transmitowane przez czujne ekipy telewizyjne ze wszystkich ważniejszych sieci. Panie Doug, na wybrnięcie z tej paskudnej sytuacji poszło mnóstwo środków, uruchomiliśmy planowanie na wysokim szczeblu. Naprawdę, niech nam pan zaufa, niech mi pan uwierzy. Społeczeństwo łatwiej to przełknie, a to ważne, jeśli w ogóle ma się odbyć kolejna amerykańska podróż w czasie. A tego przecież wszyscy chcemy.

Addison Doug wlepił w niego wzrok.

– To znaczy czego?

Agent, już zaniepokojony, odpowiedział:

– Żeby kontynuować kolejne podróże w czasie. Pan, niestety, już jej nie odbędzie, ze względu na tragiczną implozję i śmierć waszej trójki. Ale inni temponauci...

– To znaczy czego? Tego właśnie chcemy? – Addison podniósł głos. Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli się nerwowo oglądać.

– Oczywiście – odpowiedział agent. – I proszę mówić ciszej.

– Ale ja tego nie chcę – ciągnął Addison. – Muszę to przerwać. Raz na zawsze. Po prostu złożyć swoje ciało w ziemi, w prochu, wraz ze wszystkimi. Nie oglądać już lata – tego samego lata.

– Jeśli widziałeś jedno, to widziałeś wszystkie! – krzyknęła histerycznie Merry Lou. – On chyba ma rację, Addi. Powinniśmy się stąd wynieść. Za dużo wypiteś, jest późno, a do tego ta wiadomość o...

Addison przerwał jej:

– Co przynieśliśmy? Jaka była ta dodatkowa masa?

– Wstępna analiza wskazuje, że w przestrzeni czasowej modułu znalazł się mechanizm ważący około stu funtów, który został załadowany i zabrany razem z wami. Taka masa... – Agent wykonał nieokreślony ruch ręką. – To z miejsca wysadziło pojazd. Nawet nie zaczął kompensować nadmiernej przestrzeni, jaką zajmował w porównaniu z momentem startu.

– Ooo! – Merry Lou wytrzeszczyła oczy. – Może któremuś z was ktoś wcisnął kwadrofoniczny gramofon za dolar dziewięćdziesiąt osiem razem z piętnastocalowymi głośnikami na pneumatycznym zawieszaniu i zapas płyt Neila Diamonda na całe życie. – Próbowała się roześmiać, ale bezskutecznie, wodziła mętłym wzrokiem. – Addi – szepnęła – przepraszam, ale to jakieś dziwne, to znaczy absurdalne, przecież was poinformowano, ile macie ważyć w momencie powrotu? Nawet skrawka papieru mieliście nie dodawać do tego, co zabraliście. Widziałam nawet w telewizji, jak doktor Fein wyjaśniał, czym to może grozić. I jeden z was zabrał w pole stufuntowe urządzenie? Zależało wam chyba na samozniszczeniu! – z oczu popłynęły jej łzy, jedna stoczyła się na nos i zawisła na jego koniuszku. Addison odruchowo wyciągnął rękę, żeby ją zetrzeć, zupełnie jakby się troszczył o dziewczynkę, a nie o dorosłą kobietę.

– Przerzucę pana na miejsce wykonywania analiz – powiedział agent i wstał.

Wraz z Addisonem pomógł Merry Lou podnieść się. Przez chwilę jeszcze drżała, potem dopiła swoją krwawą mary. Douga ogarnął dojmujący smutek, gdy na nią spojrział, ale nagle, jak ręką odjął. „Ciekawe dlaczego, zastanawiał się. Nawet to może znużyć. Troska o kogoś. Jeśli za długo trwa... bez przerwy. Bez końca, a nawet jeszcze dłużej, przeradzając się w coś, czego jeszcze nikt, może nawet sam Bóg, nie musiał cierpieć, a czemu, pomimo swojego wielkiego serca, musiałyby się poddać”.

Gdy przeciskali się przez zatłoczony bar w stronę wyjścia, Addison spytał agenta:

– Który z nas...

– Już wiedzą, który – odparł agent, przytrzymując drzwi przed Merry Lou. Przystanął za Addisonem i dał znak, by szary federalny wóz podjechał na oznakowany na czerwono parking. W ich kierunku pospiechali dwaj inni agenci w mundurach.

– Czy to ja? – dopytywał się Addison Doug.

– Lepiej, żeby pan tak myślał.

Pogrążony w bólu kondukt pogrzebowy sunął uroczyście wzdłuż Pennsylvania Avenue: trzy spowite sztandarami trumny i dziesiątki czarnych limuzyn pomiędzy szpalerami opatulonych, trzęsących się z zimna żałobników. Wisiała gęsta mgła i szare kontury gmachów ginęły w deszczowym półmroku waszyngtońskiego marcowego dnia.

Henry Cassidy, czołowy komentator i publicysta telewizyjny, obserwował przez lornetkę jadącego na przedzie cadillaca i głądził do niewidzialnej a niezliczonej publiczności:

– ...smutne wspomnienie tamtego pociągu sunącego wśród pól pszenicy, unoszącego trumnę z ciałem Abrahama Lincolna na pogrzeb do stolicy państwa. A jakież jest dzisiejszy dzień, z którego smutkiem koresponduje posępna, pochmurna i dżdżysta pogoda! – Na swoim monitorze ujrzał na zbliżeniu czwartego cadillaca, który sunął tuż za lawetami wiozącymi trumny

ze zmarłymi temponautami.

Siedzący obok inżynier klepnął go w ramię.

– Jak się zdaje, widzimy jadące razem trzy nieznane postacie, jak na razie nie zidentyfikowane – powiedział, kiwając potakująco głową Henry Cassidy do zawieszzonego na szyi mikrofonu. – Chwilowo nie mogłem do końca im się przyjrzeć. Czy z waszego miejsca widać choć trochę lepiej, Everett? – wypytywał kolegę i nacisnął przycisk, powiadamiając go, że zamiast niego wchodzi na wizję.

– No, Henry – odezwał się Everett Branton coraz bardziej podekscytowany – jesteśmy chyba właśnie świadkami ponownego pojawienia się trzech amerykańskich temponautów w trakcie ich historycznej podróży w przyszłość!

– Czy to oznacza – spytał Cassidy – że jakoś udało im się rozwiązać i pokonać...

– Obawiam się, że nie, Henry – odpowiedział z wolna Branton z nutką żalu. – Jesteśmy natomiast, ku naszemu kompletnemu zaskoczeniu, świadkami pierwszego na świecie potwierdzonego przejawu tego, co fachowcy nazywają Działaniem Czasu Ratunkowego.

– A, tak, DCR – ożywił się Cassidy, odczytując nazwę z urzędowego dokumentu, jaki władze federalne przekazały mu przed transmisją.

– Dobra, Henry. Wbrew temu, co mogłoby wydawać się na pierwszy rzut oka, nie są to, powtarzam, nie są to nasi trzej dzielni temponauci, jakich znamy...

– Teraz już rozumiem, Everett – wtrącił podekscytowany Cassidy, gdyż w przygotowanym przez władze scenariuszu miał napisane: „Wtrąca podekscytowany Cass”. – Nasi trzej temponauci chwilowo zawiesili swoją historyczną podróż do przyszłości, której dystans obejmuje, jak się zdaje, blisko sto lat. Wygląda na to, że bezbrzeżny smutek oraz dramatyzm tej nieoczekiwanej żałoby sprawiły, iż...

– Przepraszam, że ci przerwę, Henry – wtrącił Everett Branton – ale kondukt na chwilę się zatrzymał, więc może udałoby nam się...

– Nie! – zaprzeczył Cassidy, gdyż właśnie otrzymał notatkę, na której pospiesznie nabazgrano: „Nie przeprowadzać wywiadów z nautami. Pilne. Post. wg poprzed. instr.”. – Nie sądzę, by nam się udało, jak na to liczyłeś, Everett... – mówił dalej – zamienić słówko z temponautami Benzem, Crayne'em i Dougiem.

Zdecydowanym gestem kazał cofnąć wysięgnik mikrofonu, który zaczął już wysuwać się w kierunku stojącego cadillaca. Cassidy dawał gwałtowne znaki głową w stronę dźwiękowca i inżyniera.

Addison Doug, spostrzegłszy wysięgnik, podniósł się z tylnego miejsca otwartego cadillaca. Cassidy jęknął. „Chce zabrać głos – pomyślał. – Czyżby nie dali mu nowych instrukcji? I dlaczego sam mam sobie z tym radzić?” Reporterzy radiowi z innych stacji hurmem ruszyli w stronę bohaterów, podtykając im, zwłaszcza Addisonowi Dougowi, mikrofony pod twarz.

Doug odpowiadał na pytania wykrzykiwane przez dziennikarzy. Cassidy, z wyłączonym mikrofonem, nie słyszał ani pytań, ani odpowiedzi Douga. Ociągając się, dał znak, by uruchomiono jego aparaturę.

– ...przedtem – mówił głośno Doug.

– W jakim sensie „wszystko już odbyło się przedtem”? – dopytywał się stojący przy samochodzie radiowiec.

– Chodzi mi o to – tłumaczył Addison z lekko zaczerwienioną i napiętą twarzą – że już stałem kiedyś na tym miejscu i mówiłem to, co mówię, a wy wszyscy oglądaliście już ten kondukt i naszą śmierć przy powtórным wejściu nieskończoną ilość razy, że dzieje się to w zamkniętym cyklu pułapki czasu, który należy przerwać.

– Czy próbujecie znaleźć sposób na uniknięcie implozji przy powtórным wejściu, który można by retrospektywnie wykorzystać tak, że gdy powrócicie do przeszłości, będziecie w stanie skorygować wadliwe działanie mechanizmu i uniknąć tragedii, która kosztowała... czy też będzie kosztować, jeśli chodzi o was trzech... wasze życie? – zatrajkotał kolejny reporter.

– Tak, pracujemy nad tym – odpowiedział temponauta Benz.

– Staramy się ustalić przyczynę gwałtownej implozji i przed powrotem ją wyeliminować – dorzucił przytakująco temponauta Crayne. – Wiemy już, że z nieznanых powodów stufuntowa masa najrozmaitszych części do silnika volkswagena, w tym cylindry, głowica...

„Zgroza”, pomyślał Cassidy, a do mikrofonu powiedział: – Zdumiewające! Tragicznie zmarli amerykańscy temponauci z determinacją wyrobioną wyłącznie dzięki rygorom treningu i dyscypliny, jakiej podlegali – których celowość nie budzi już naszych wątpliwości – zdążyli już poddać analizie mechaniczną usterkę, najwyraźniej odpowiedzialną za ich śmierć, i przystąpili do żmudnego procesu wyszukiwania oraz eliminowania jej przyczyn, aby móc powrócić na miejsce pierwotnego startu i bezbłędnie wykonać powtórne wejście.

– Można się zastanawiać – paplał Branton w eter i do mikrofonu sprzężonego ze słuchawkami – jakie będą następstwa zmian dokonanych w najbliższej przeszłości. Jeśli w trakcie powtórного wejścia nie nastąpi implozja i nikt nie zginie, wówczas oni nie... no cóż, to jest dla mnie zbyt skomplikowane, Henry, te paradoksy czasu, na które tak często i elokwentnie zwracał naszą uwagę dr Fein z Laboratorium Wytłaczania Czasu w Pasadenie.

Tymczasem temponauta Addison Doug przemawiał do wszystkich dostępnych mikrofonów, choć nieco spokojniej:

– Nie możemy wyeliminować przyczyny implozji przy powtórным wejściu. Jedynym sposobem na wyrwanie się z tej podróży jest dla nas śmierć. Śmierć to jedyne rozwiązanie. Dla całej naszej trójki. – Przerwał, gdyż kondukt cadillaców zaczął się posuwać naprzód.

Henry Cassidy na chwilę wyłączył swój mikrofon i rzucił do inżyniera:

– Czy on zwariował?

– Czas pokaże – odparł inżynier nieznośnym tonem.

– To niezwykła chwila w dziejach realizacji amerykańskiego programu podróży w czasie – mówił dalej Cassidy do włączonego już mikrofonu. – Czas pokaże, proszę wybaczyć niezamierzoną grę słów, co miał na myśli temponauta Doug, formułując te jakże zagadkowe uwagi, i to w chwili największej udręki, największej także przecież dla nas. Czy był to tylko wyraz desperacji, czy faktyczne rozpoznanie straszliwego dylematu, w obliczu którego – o czym w sensie teoretycznym wiedzieliśmy od początku – w końcu możemy stanąć, nawet ginąć rażeni jego śmiertelnościami, zarówno my, jak i Rosjanie.

W tym momencie weszła reklama.

– Wiesz – zamamrotał w jego słuchawce głos Brantona, puszczonego nie na antenę, lecz poprzez studio – jeśli on ma rację, to powinni pozwolić umrzeć tym biedakom.

– Powinni ich wypuścić – przytaknął Cassidy. – Boże drogi, jak ten Doug wyglądał, a jak mówił! Można by pomyśleć, że od co najmniej tysiąca lat przez to przechodzi! Za nic w świecie nie chciałbym być w jego skórze.

– Założę się z tobą o pięćdziesiąt dolców – powiedział Branton – że już przez to przechodzili. I to wiele razy.

– Więc my również – odparł Cassidy.

Zaczął padać deszcz. Szpaler żałobników połyskiwał spływającą wodą. Twarze, oczy, nawet ubrania – wszystko lśniło mokrymi refleksami załamane, rozszczępionego światła, zakrzywiającego się i migoczącego w zmierzchającym pod warstwami bezkształtnej szarości dniu.

– Jesteśmy na antenie? – spytał Branton.

„Kto to wie?“, pomyślał Cassidy. Ten dzień chciałby mieć już za sobą.

Sowiecki chrononauta N. Gauki niecierpliwie uniośł ręce i z najwyższym niepokojem przemówił do Amerykanów siedzących po drugiej stronie stołu:

– Zgodnie z poglądem moim i mojego kolegi, R. Pienia, który za swoje pionierskie osiągnięcia, i słusznie, został odznaczony Orderem Bohatera Związku Radzieckiego, poglądem popartym zarówno naszym własnym doświadczeniem, jak i pracami teoretycznymi prowadzonymi tak w kręgach uniwersyteckich, jak i w Państwowej Akademii Nauk Związku Radzieckiego, uważamy, że obawy temponauty A. Douga mogą okazać się uzasadnione. A postanowienie o unicestwieniu siebie i swoich towarzyszy z załogi w trakcie powtórnego wejścia, poprzez zabranie ze sobą dużej masy części samochodowych z DCR i naruszenie rozkazów, należy uznać za akt desperata, który nie widział innego wyjścia. Decyzja, rzecz jasna, należy do was. W tej kwestii dysponujemy wyłącznie głosem doradczym.

Addison Doug bawił się zapalniczką leżącą na stole. Zamknął oczy, w uszach miał dziwny

szum. Brzmiał mu elektronicznie. „Może znowu tkwimy wewnątrz modułu”, zastanawiał się. Ale niczego takiego nie zauważył: czuł realność otaczających go ludzi, stołu, niebieskiej plastikowej zapalniczki między palcami. „W module podczas ponownego wejścia nie wolno palić”, pomyślał. Ostrożnie włożył zapalniczkę do kieszeni.

– Nie znaleźliśmy żadnego konkretnego dowodu – powiedział generał Toad – na zaistnienie zamkniętej pętli czasowej. Mamy tylko subiektywne wrażenia pana Douga, wywołane zmęczeniem. Tylko jego przeświadczenie, że uczestniczy w powtarzającej się serii zdarzeń. Jak sam twierdzi, jest bardzo prawdopodobne, że mają one charakter czysto psychiczny. – Zaczął ryc w stosie leżących przed nim papierów. – Posiadam orzeczenie, nie udostępnione mediom, sporządzone przez czterech psychiatrów z Yale, na temat stanu jego psychiki. Choć jest niezwykle stabilna, to wykazuje skłonności do cyklofrenii, przejawiające się głęboką depresją. Oczywiście uwzględniliśmy to jeszcze przed startem. Uznaliśmy jednak, że pogodne usposobienie dwóch pozostałych członków zespołu będzie sprzyjało funkcjonalnemu zrównoważeniu. Tak czy inaczej, ta skłonność do depresji jest teraz wyjątkowo silna. – Przedłożył zgromadzonym dokument, lecz nikt po niego nie sięgnął. – Doktorze Fein, czy to prawda, że człowiek w stanie ostrej depresji może osobiście przeżywać czas, to znaczy jako czas kolisty, powtarzalny, nieukierunkowany, wciąż powracający? Tego rodzaju osoba przecież wpada w taką psychozę, że nie chce opuścić przeszłości. Stale ją w świadomości przeżywa na nowo.

– Ale widzi pan – odparł Fein – dysponujemy bodaj tylko tym subiektywnym poczuciem uwięzienia. – Był fizykiem eksperymentalnym, który swoim dziełem stworzył teoretyczne fundamenty całego przedsięwzięcia. – Gdyby faktycznie wchodziła w grę zamknięta pętla czasowa...

– Pan generał – wtrącił się Addison – używa słów, których nie rozumie.

– Te, które były mi obce, sprawdziłem – odparł generał Toad. – Fachowe terminy psychiatryczne... znam ich znaczenie.

– Skąd wytrzasnąłeś te wszystkie części do volkwagena, Addi? – spytał Benz.

– Jeszcze ich nie mam – odparł Doug.

– Pewnie zgarnął pierwszy lepszy złom, na jaki się natknął – powiedział Crayne. – To, co znalazł pod ręką, zanim wystartowaliśmy w drogę powrotną.

– Wystartujemy – poprawił go Addison Doug.

– Oto moje polecenia dla całej waszej trójki – powiedział generał Toad. – Nie wolno wam pod żadnym pozorem wywoływać awarii, implozji czy zakłóceń w czasie powtórnego wejścia, ani poprzez ładowanie dodatkowej masy, ani w żaden inny sposób, jaki wam przyjdzie do głowy. Macie wrócić zgodnie z harmonogramem i tak samo jak podczas symulacji. Dotyczy to zwłaszcza pana, panie Doug. – Zaterkotał telefon stojący po jego prawej ręce. Generał

zmarszczył brwi i odebrał go. Przez chwilę słuchał, potem nachmurzył się i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

– Przyszły rozkazy z góry – powiedział doktor Fein.

– Owszem – potwierdził generał Toad. – I muszę przyznać, że tym razem sam się cieszę, ponieważ moja decyzja nie należała do przyjemnych.

– To znaczy możemy doprowadzić do implozji podczas ponownego wejścia – powiedział Benz po chwili.

– Wy musicie podjąć tę decyzję. Decyzja należy do waszej trójki – odparł generał. – Dotyczy ona waszego życia. Sposób zależy tylko od was. Jeśli macie przeświadczenie, że tkwicie w pętli czasowej i jesteście przekonani, że silna implozja w czasie ponownego wejścia was uwolni... – przerwał, gdyż temponauta Doug podniósł się. – Czy zamierza pan wygłosić kolejne przemówienie, Doug? – spytał.

– Chciałbym tylko podziękować wszystkim zainteresowanym za pozostawienie decyzji w naszych rękach. – Addison, wymizierowany, potoczył po zgromadzonych ciężkim spojrzeniem. – Naprawdę jestem za to wdzięczny.

– Wiesz, Doug – powiedział niespiesznie Benz – że spowodowanie eksplozji przy ponownym wejściu może wcale nie pomnożyć szans na rozerwanie pętli, lecz właśnie ją zamknąć.

– Nie, jeśli wszyscy od tego zginiemy – wtrącił Crayne.

– Zgadzasz się z Addim? – spytał Benz.

– Śmierć to śmierć. Zastanawiałem się nad tym. Czy jest jakiś skuteczniejszy sposób, żeby nas z tego wyciągnąć? Inny niż śmierć? Jaki ewentualnie?

– Być może wcale nie jesteście w pętli – zauważył doktor Fein.

– Ale możemy być – odparł Crayne.

Doug, który wciąż stał, zwrócił się do Crayne'a i Benza:

– Czy w podejmowaniu decyzji może uczestniczyć Merry Lou? – spytał.

– Dlaczego? – rzucił Benz.

– Nie potrafię już jasno myśleć – odparł Doug. – Merry Lou mi pomoże. Ufam jej.

– Oczywiście – powiedział Crayne. Benz przytaknął, skinąwszy głową.

Generał Toad ze stoickim spokojem spojrział na zegarek i rzekł:

– Panowie, na tym kończymy naszą dyskusję.

Sowiecki chrononauta Gauki zdjął słuchawki oraz mikrofon i z wyciągniętą dłonią pospieszył ku trzem amerykańskim temponautom. Powiedział coś, zdaje się po rosyjsku, ale nikt go nie zrozumiał. W posepnym nastroju wyszli.

– Moim zdaniem odbiło ci, Addi – orzekł Benz. – Ale zdaje się, że jestem w mniejszości.

– Jeśli on ma rację – powiedział Crayne – jeśli... jedna szansa na miliard... jeśli mielibyśmy

tak bez końca wracać, to miałyby sens.

– Moglibyśmy wpaść do Merry Lou? – zaproponował Addison Doug. – Podjechać teraz do niej?

– Ona czeka na zewnątrz – powiedział Crayne.

Do trzech temponautów zamaszystym krokiem podszedł generał Toad.

– Czy wiecie, że na to, w jaki sposób to się potoczyło, wpłynęła reakcja ludzi na pana wygląd i zachowanie, Doug, podczas ceremonii pogrzebowej? Doradcy Narodowego Centrum Naukowego doszli do wniosku, że społeczeństwo będzie raczej przekonane, podobnie jak pan, że dla was to się już skończyło. Większą ulgę przyniesie im myśl, że swoją misję macie za sobą, niż dążenie do uratowania całego przedsięwzięcia i udoskonalenia powtórnego wejścia. Domyślam się, że naprawdę wywarł pan na nich niezatarte wrażenie. Tym swoim biadoleniem – dodał i odszedł, zostawiając stojącą samotnie trójkę.

– Zapomnij o nim – powiedział Crayne do Addisona Douga. – Zapomnij o takich jak on. Musimy zająć się tym, co mamy do zrobienia.

– Merry Lou mi to wyjaśni – powiedział Doug. – Będzie wiedziała, co jest słuszne.

– Pójdę po nią – powiedział Crayne – a potem pojedziemy sobie gdzieś we czwórkę, może do niej, i zastanowimy się, co robić. Zgoda? – zaproponował.

– Dzięki – Addison Doug skinął głową. Rozglądał się pełen nadziei, zastanawiając się, gdzie ona jest. Może w drugim pokoju. – Jestem wam wdzięczny – powiedział.

Benz i Crayne spojrzeli na siebie. Zauważył to, lecz nie zrozumiał. Wiedział tylko, że potrzebny mu jest ktoś, najlepiej Merry Lou, kto pomógłby mu pojąć tę całą sytuację oraz doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania.

Merry Lou wiozła ich najszybszym pasem autostrady. Jechali z Los Angeles na północ, w stronę Ventury, a potem do Ojai. Cała czwórka nie przejawiała chęci do rozmów. Merry Lou prowadziła pewnie, jak zwykle. Wtulony w nią Addison Doug rozluźnił się i odnalazł chwilę wytchnienia.

– Nie ma to jak kociak kierujący samochodem – odezwał się Crayne po wielu milach milczenia.

– Doznanie arystokratyczne – mruknął Benz. – Mieć kobietę za kierownicą. Zupełnie jakby posiadanie kierowcy nobilitowało.

– Dopóki kierowca w coś nie wjedzie. W jakiś duży ospały obiekt.

– Gdy zobaczyłaś mnie tamtego dnia, jak szedłem do ciebie... ścieżką pośród sekwoi... co wtedy pomyślałaś? Powiedz. Tylko szczerze – spytał Addison.

– Wyglądałaś tak – odpowiedziała dziewczyna – jakbyś był wykończony, zmęczony i... bliski śmierci. W końcu – zaważała się – pomyślałam sobie, że coś za dobrze znasz tę drogę.

Przepraszam, ale takie właśnie odniosłam wrażenie, Addi.

- Jakbym przeszedł ją wiele razy.
- Tak – odparła.
- Wobec tego głosujesz za implozją – powiedział Doug.
- Więc...
- Tylko uczciwie – dodał.
- Rzuć okiem do tyłu. Skrzynka, na dole – odpowiedziała.

Trzej mężczyźni w świetle latarki wyjętej ze schowka poddali ją oględzinom. Addison Doug z przerażeniem rozpoznał jej zawartość. Były to zużyte, zardzewiałe części silnika od volkswagena. Jeszcze ociekające olejem.

– Wyciągnęłam je z za garażu, w którym stał zagraniczny samochód. Niedaleko mojego domu – powiedziała Merry Lou. – Po drodze do Pasadeny. Pierwszy złom, na jaki się natknęłam i który wydawał mi się wystarczająco ciężki. Słyszałam, jak mówili w telewizji, że podczas startu wszystko, co waży od pięćdziesięciu funtów do...

– Będzie w sam raz – powiedział Addison Doug. – Było.

– Teraz nie ma już sensu jechać do ciebie – zauważył Crayne. – Postanowione. Równie dobrze moglibyśmy ruszyć na południe. Do modułu, żeby rozpocząć procedurę wydostawania się z DCR. I jeszcze raz powtórne wejście. – Mówił z naciskiem, lecz spokojnie. – Dzięki za głosowanie, panno Hawkins.

– Jesteście wszyscy tacy zmęczeni – odparła.

– Ja nie – wtrącił Benz. – Ja jestem wściekły. Jak wszyscy diabli.

– Na mnie? – spytał Addison.

– Sam nie wiem. Po prostu jak diabli – powtórzył i pogрузzył się w ciężkich myślach, przytłoczony, zbity z tropu, apatyczny. Odseparowany, o ile to w ogóle możliwe, od pozostałych.

Na najbliższym zjeździe opuścili autostradę, skręcili na południe. I teraz jakby wszyscy jadący odzyskali wolność. Addison Doug także poczuł, że zmęczenie ustępuje i ciężar powoli znika.

Zabrzęczały ostrzegawczo sygnały odbiorników alarmu ratunkowego umieszczone na nadgarstkach wszystkich trzech mężczyzn. Drgnęli.

– Co to oznacza? – spytała Merry Lou, hamując.

– Mamy niezwłocznie nawiązać telefoniczny kontakt z generałem Toadem – odpowiedział Crayne. – Tam jest stacja benzynowa. Panno Hawkins, proszę skrócić w najbliższy zjazd. Stamtąd będziemy mogli zatelefonować.

Po kilku minutach Merry Lou zatrzymała samochód przy stojącej na zewnątrz budce telefonicznej.

– Mam nadzieję, że nic złego – rzuciła.

– Ja pierwszy – powiedział Doug, wysiadając. „Nic złego, pomyślał z wymuszonym rozbawieniem. – Na przykład?” Podszedł na sztywnych nogach do budki, wszedł, zamknął za sobą drzwi, wrzucił monetę i wybrał numer.

– No, ale mam dla was wiadomości! – odezwał się generał Toad, gdy tylko centrala go przełączyła. – Jak to dobrze, że udało mi się was złapać. Chwileczkę... chciałbym, żeby doktor Fein powiedział wam to osobiście. Jemu prędzej uwierzycie niż mnie. – Trzaski, a potem piskliwy, pełen namaszczenia głos uczonego.

– Jaka jest ta zła wiadomość? – spytał Addison Doug.

– Dlaczego od razu zła – odparł Fein. – Od naszej rozmowy przeprowadziłem szereg obliczeń, z których wynika, że w sensie statystycznego prawdopodobieństwa, jeszcze nie potwierdzonego, macz rację, Addison – jesteście zamknięci w pętli czasu.

Z Douga uszło powietrze. „Co za wredna ciota – pomyślał. – Najwyraźniej wiedział od początku”.

– Jednakże – ciągnął zaferowany Fein, nieco się zacinając – wyliczyłem także – to znaczy wspólnie, głównie dzięki Obli-Tech – że największe prawdopodobieństwo utrzymania pętli zachodzi w wypadku implozji przy powtórnym wejściu. Rozumiesz, Addison? Jeśli wtaszcycie z powrotem ten zardzewiały złom z volkswagena i nastąpi implozja, wówczas prawdopodobieństwo zamknięcia pętli na zawsze będzie większe niż wtedy, gdy ponownie wejdziecie sami i wszystko gładko pójdzie.

Addison Doug nie odpowiadał.

– W rzeczywistości, Addi... i to jest najtrudniejsze, co chcę szczególnie podkreślić... implozja przy ponownym wejściu, zwłaszcza silna, taka, jaką braliśmy pod uwagę, poprawiając... łapiasz to wszystko, Addi? Słyszysz mnie? Chryste Panie, Addi?... Sprawia, że zamknięcie w niemożliwej do rozerwania pętli, jaką miałeś na myśli, jest właściwie pewne. A właśnie to nam spędzało sen z powiek od początku. – Milczenie. – Addi, jesteś tam?

– Chcę umrzeć – odpowiedział Doug.

– To przez pętlę, z powodu wyczerpania. Bóg jeden wie, ile tych powtórzeń macie wszyscy za sobą...

– Nie – odparł i z wolna odkładał słuchawkę.

– Chcę jeszcze porozmawiać z Benzem i Crayne'em – zreflektował się raptem doktor Fein. – Proszę, zanim podejmiecie próbę powtórnego wejścia. Zwłaszcza z Benzem; przede wszystkim z nim. Proszę, Addison. To dla ich dobra; jesteś prawie do cna wyczerpany i...

Doug przerwał połączenie. Powoli wyszedł z budki. Gdy wsiadał z powrotem do samochodu, usłyszał, że nadal działają odbiorniki alarmu.

– Generał Toad powiedział, że wasze odbiorniki jeszcze przez chwilę będą brzęczały – zatrzasnął za sobą drzwi. – Zbierajmy się.

– Nie chce z nami rozmawiać? – spytał Benz.

– Chciał nas poinformować, że mają dla nas małe co nieco. Kongres w specjalnej uchwale odznaczył nas za męstwo czy inne diabelstwo. Specjalnym medalem, jakiego jeszcze nikomu nie przyznano. Nadawanym pośmiertnie.

– U licha... inaczej nie mogą nam go przyznać – rzucił Crayne.

Merry Lou uruchomiła silnik i rozplakała się. Z trudem wjechali na autostradę.

– Ulga przyjdzie, gdy będzie po wszystkim – odezwał się po chwili Crayne.

„To już niedługo”, dopowiedział w myślach Addison Doug.

Odbiorniki na nadgarstkach nadal brzęczały.

– Przecież zamęczą człowieka na amen. Że też jeszcze trzeba znosić te biurowe dźwięki. – Addison był rozdrażniony.

Pozostali spojrzeli na niego pytająco, skonsternowani i zaniepokojeni.

– Tak – odezwał się Crayne. – Te automatyczne alarmy są naprawdę nieznośne.

„Słysząc, że jest zmęczony. Tak zmęczony jak ja”, pomyślał Addison Doug. I gdy sobie to uświadomił, poczuł się lepiej. To świadczyło, że miał rację.

Znów się rozpadało. O szybę uderzały wielkie krople wody. To także mu odpowiadało. Przypomniało najbardziej podniosłą chwilę, jakiej zaznał w swym krótkim życiu: kondukt pogrzebowy sunący wolno Pennsylvania Avenue, z trumnami okrytymi sztandarem. Przymknął oczy, wyciągnął się – wreszcie poczuł się dobrze. Słyszał wokół siebie głosy pogrążonych w smutku ludzi. I roił o specjalnym medalu Kongresu. „Za zmęczenie, pomyślał, za to, że jest się wyczerpanym”.

Widział też siebie w innych konduktach i w śmierci innych, ale tak naprawdę jedna była śmierć i kondukt jeden. Samochody z wolna sunące ulicami Dallas i te z doktorem Kingiem. Widział, jak wciąż powraca w zamkniętym cyklu swego życia do sceny żałoby narodowej, której, tak jak oni, nie mógł zapomnieć. Był tam, tak jak oni byli, tak jak zawsze będzie ta scena i jak wszyscy bez końca będą powracali. Do upragnionego miejsca, do chwili. Do zdarzenia dla nich najdonioślejszego.

To jego dar dla nich, dla ludzi, dla kraju. Obdarzył świat cudownym brzemieniem. Fatalnym i nużącym cudem wiecznego życia.

Przedludzie

W pobliżu gaju cyprysowego Walter, który bawił się właśnie w króla gór, dostrzegł duży, biały pojazd. Wiedział, w jakim celu się tam pojawił. „To ciężarówka aborcyjna – pomyślał. – Przyjechała zabrać jakieś dziecko do Ośrodka, żeby dokonać na nim aborcji poporodowej. – Może to moi rodzice ją wezwali. Po mnie”.

Pobiegł więc i ukrył się między krzakami jeżyn. Kolczaste gałązki drapały go, pomyślał sobie jednak, że lepiej mieć zadrapania, niż pozwolić na to, żeby wyskali mu powietrze z płuc. Tak właśnie to robią. Dokonują APP, czyli aborcji poporodowej na wielu dzieciach jednocześnie. Mają tam takie specjalne pomieszczenie. Dla tych, których nikt nie chce.

Kryjąc się głębiej w jeżynach, nasłuchiwał, czy auto gdzieś się zatrzymuje. Słyszał, jak pracuje silnik.

„Jestem niewidzialny” – mówił do samego siebie, przywołując z pamięci linijkę, której wyuczył się w piątej klasie. Wystawiali wówczas *Sen nocy letniej*. On wypowiadał kwestię Oberona, który po tych słowach stawał się niewidzialny. Może teraz magiczna formuła sprawdzi się także w realnym życiu. Powtórzył więc znowu: „Jestem niewidzialny”. Zorientował się jednak zaraz, że zaklęcie nie zadziało. Nadal widział swoje nogi, ręce, no i buty, miał również pewność, że oni – każdy z nich, a zwłaszcza człowiek z ciężarówki aborcyjnej, ale także mama i tata – też go zobaczą. Jeśli zaczną go szukać.

Jeżeli tym razem ciężarówka przyjechała właśnie po niego.

Żałował, że nie jest królem. Chciał, aby na jego głowie lśniła błyszcząca korona, żeby go osłaniał czarodziejski pył. Rządziłby krainą elfów i miał Puka na swoich usługach. Mógłby go wtedy nawet poprosić o radę. Gdyby, dajmy na to, pokłócił się z Tytanią, swoją żoną.

„Widocznie same magiczne słowa nie wystarczą”, pomyślał.

Słońce mocno przygrzewało i musiał zmrzyć oczy, przez cały czas jednak wsłuchiwał się w szum silnika ciężarówki. Odgłos pracującego motoru stawał się coraz słabiej słyszalny, w sercu chłopca wzbierała nadzieja. Przypuszczalnie tym razem odwiezą do kliniki aborcyjnej jakiegoś innego dzieciaka, jego zostawiając w spokoju. Przyjechali po kogoś z drugiego końca ulicy.

Z trudem wyplątał się z krzaków jeżyn. Cały drżący i podrapany, powolutku, noga za nogą, ruszył w stronę domu. Po drodze rozpląkał się. Głównie z powodu zadrapań, ale także za sprawą strachu, który przerodził się w poczucie ulgi.

– O Boże! – krzyknęła matka na jego widok. – Gdzieś ty się podziewał, na miłość boską?

– Ja... Ja... widziałem... ciężarówkę... aborcyjną – odpowiedział, jękając się.

– Myślałeś, że przyjechali po ciebie?

Skinął tylko głową.

– Posłuchaj, Walterze – powiedziała Cynthia Best, klękając przy synu i trzymając w dłoniach jego drżące ręce. – Obiecujemy ci, tata i ja, że nigdy nie zostaniesz wysłany do Ośrodka. A poza tym, jesteś już na to za duży. Oni zabierają tylko dzieci, które nie ukończyły jeszcze dwunastego roku życia.

– Ale Jeff Vogel...

– Jego rodzice oddali go, zanim nowe prawo weszło w życie. Teraz ci z Ośrodka nie mogliby go zabrać. Tobie też to już nie grozi. Zrozum, według prawa, dwunastoletnie dziecko posiada duszę. Nie może więc być wywiezione do Ośrodka. Czy to jest jasne? Jesteś bezpieczny. Ilekroć zobaczysz teraz tę ciężarówkę, pamiętaj, że przyjechała po kogoś młodszego, kto nie ma jeszcze duszy i jest tylko protoczłowiekiem. Ciebie już nigdy nie wezmą. Rozumiesz?

Ze wzrokiem wbitym w ziemię, celowo unikając oczu matki, powiedział:

– Nie wiem, czy mam duszę. Czuję się dokładnie tak samo jak zawsze.

– To kwestia prawna – wyjaśniła szybko matka. – Wszystko zależy od wieku. A ty już osiągnąłeś wymagany wiek. Kościół obserwatorów wymusił na Kongresie, żeby uchwalono takie prawo. Tak naprawdę, to ci ludzie z Kościoła żądali nawet niższej granicy wieku. Przekonywali, że dusza wstępuje do ciała już wtedy, gdy dziecko kończy trzy lata, ale wreszcie zgodzono się na rozwiązanie kompromisowe. Najważniejsze, że dzięki temu jesteś bezpieczny, bez względu na to, co czujesz, rozumiesz wreszcie?

– Tak – Walter skinął głową.

– Przecież wiedziałeś o tym.

Chłopiec wybuchnął gniewem, był bardzo rozżalony. – Wy nie wiecie, jak to jest, gdy każdego dnia trzeba się bać, że ktoś przyjedzie i wsadzi cię do jakiejś metalowej klatki, i zamknie w ciężarówce, i...

– Twój strach jest zupełnie irracjonalny – powiedziała matka.

– Widziałem, jak zabierali Jeffa Vogla. Płakał, a ten mężczyzna – jak gdyby nigdy nic – otworzył auto, wsadził go do środka i zamknął drzwi.

– To było dwa lata temu. Masz bardzo niedobry charakter. – Matka rzuciła mu gniewne spojrzenie. – Twój dziadek kazałby cię obić, gdyby zobaczył i usłyszał, jak się do mnie odzywasz. Za to twój ojciec... Ten tylko by się wyszczerzył i powiedział coś głupiego. Minęły przecież dwa lata i jesteś już na tyle inteligentny, by zrozumieć, iż z punktu widzenia prawa nic ci nie grozi, bo osiągnąłeś określony w ustawie wiek! Jak by to... – gorączkowo szukała odpowiedniego słowa. – Jesteś zupełnie zdeprawowany.

– Ale Jeff nigdy nie wrócił.

– Niewykluczone, że ktoś, kto pragnął mieć dziecko, pojechał do Ośrodka, zobaczył Jeffa i adoptował go. Może ma teraz lepszy zestaw rodziców, którzy okazują mu serce. Dzieci przebywają w Ośrodku przez trzydzieści dni, zanim zostają przeznaczone do likwidacji. To

znaczy, zanim zostają uśpione – poprawiła się.

Nie czuł się uspokojony. Wiedział, że terminy takie jak: „trzeba go uśpić” lub „trzeba ich uśpić” – były wymysłem Mafii. Odsunął się od matki. Już nie szukał u niej pocieszenia. Zachwiała jego poczuciem bezpieczeństwa. Ujawniła coś o sobie. Mimo woli wskazała na zasady, którymi się kierowała, w które wierzyła i być może nawet je stosowała. Była taka sama jak oni wszyscy.

„Przecież wiem, że się nie zmieniłem – rozmyślał. – Wcale nie jestem inny niż dwa lata temu, kiedy byłem jeszcze mały. Jeżeli teraz mam duszę, jak mówi prawo, to wtedy także ją miałem. A jeżeli to nie jest prawdą, to znaczy, że dusze w ogóle nie istnieją. Realna jest tylko ta okropna metalowa skrzynia ciężarówki z okratowanymi oknami, do której wsiadają dzieci niechciane. Rodzice mogą skorzystać z rozszerzonego, od dawna już znanego prawa do aborcji, które kiedyś pozwalało im zabijać niechciane dzieci tylko przed narodzeniem. Dlatego, że nie miały „duszy” czy „tożsamości”, mogły być wysane przez pompę próżniową, co nie trwało dłużej niż dwie minuty. Lekarz mógł zgodnie z prawem dokonać choćby i setki takich zabiegów w ciągu dnia, ponieważ dziecko nie narodzonego nie uznawano za człowieka. Było tylko protoczłowiekiem. Teraz zaczęła jeździć ta ciężarówka. Po prostu przesunęli w przód datę stawania się człowiekiem, ustalili moment, kiedy w ciało wstępuje dusza”.

Kongres wprowadził prosty test, na podstawie którego ustalono przybliżony wiek, kiedy dusza wstępuje w ciało człowieka. Głównym kryterium była umiejętność rozwiązywania skomplikowanych równań algebraicznych. Do tego momentu dziecko nie było uznawane za człowieka, składało się tylko z ciała kierującego się zwierzęcymi instynktami, ciała odpowiadającego na bodźce i posiadającego zwierzęce odruchy. Jak psy Pawłowa, które reagowały w określony sposób, gdy zauważały sączącą się wodę, wyciekającą spod drzwi leningradzkiego laboratorium. „Wiedzieli”, a mimo to nie były istotami ludzkimi.

„Ja chyba jestem człowiekiem – zastanawiał się Walter, przyglądając się poszarzałej, surowej twarzy matki. W jej twardym spojrzeniu kryła się powaga i racjonalny ogląd świata. – Pewnie jestem do ciebie podobny. Właściwie to całkiem wystrzałowo jest być człowiekiem. Nie trzeba się wtedy bać ciężarówki”.

– Widzę, że czujesz się już lepiej – zauważyła Cynthia. – Udało mi się obniżyć twój próg strachu.

– Wcale się nie boję – powiedział Walter. Było już po wszystkim, ciężarówka odjechała i nie zabrała go.

Tyle że za kilka dni wróci. Krąży przecież bezustannie. Tak czy inaczej, miał teraz parę dni spokoju. Potem znowu będzie musiał znosić ten widok – żeby przynajmniej nie wiedział, że wysysają dzieciom powietrze z płuc. Likwidują je w taki właśnie sposób. Dlaczego? Bo tak jest taniej, wyjaśnił mu kiedyś tata. W ten sposób oszczędza się pieniądze podatników.

Zaczął rozmyślać o podatnikach i o tym, jak wyglądali. Pewnie jak ktoś, kto ciągle gniewnie spogląda na dzieci. Ktoś, kto nie odpowiada na pytania. Wychudła twarz, pomarszczona ze zgryzoty, rozbiegane oczy. A może raczej tłusta twarz; jedna albo druga. Ta chuda przerażała go bardziej. Nie znała radości i była przeciwna nowemu życiu. Ciągle zdawała się mówić: „umieraj, giń, rozchoruj się, przestań istnieć”. Ciężarówka aborcyjna była dowodem na jej istnienie albo też jej narzędziem.

– Mamo – zapytał Walter – w jaki sposób można by zamknąć Ośrodek? No wiesz, tę klinikę aborcyjną, do której zabierają niemowlęta i małe dzieci.

– Trzeba by zgłosić taki wniosek do komisji legislacyjnej – odparła matka.

– A wiesz, co ja bym zrobił? – odezwał się chłopiec. – Poczekałbym na odpowiedni moment, żeby w Ośrodku nie było dzieci, tylko sami pracownicy, i wtedy wrzuciłbym tam bombę zapalającą.

– Jak możesz coś takiego mówić! – groźnym tonem odezwała się Cynthia.

Jej twarz upodobniła się do surowej, chudej twarzy podatnika. Przerażała go. Odczuwał lęk przed własną matką. Z jej zimnych, zmatowiałych oczu nie można było niczego wyczytać. „To ty nie masz duszy – pomyślał – a nie my. Ty, razem z tym twoim przesłaniem: „przestańcie istnieć” „.

Po chwili wybiegł do ogrodu, żeby się dalej bawić.

Jeszcze kilkoro dzieci widziało ciężarówkę. Stały razem, trochę rozmawiały, ale głównie kopały kamyki, rozgrzebywały brudny piach i od czasu do czasu zadeptywały jakiegoś robaka.

– Po kogo tym razem przyjechała ciężarówka? – zapytał Walter.

– Po Fleischhackera. Po Earla Fleischhackera.

– Udało się im go złapać?

– Jasne, nie słyszałeś, jak krzyczał?

– Jego starzy byli wtedy w domu?

– Gdzie tam, wcześniej wybyli, udając, że niby to jadą „oddać samochód do przeglądu”.

– To oni wezwali ciężarówkę?

– Jasne, tak przecież mówi prawo. To rodzice decydują. Pewnie robili w portki ze strachu, że będą musieli się temu przyglądać. Woleli się ulotnić. On wrzeszczał jak jasna cholera, ty pewnie mieszkasz zbyt daleko i dlatego nie słyszałeś. Krzyczał naprawdę przeraźliwie.

– Wiecie, co powinniśmy zrobić? Rzucić bombę zapalającą na ciężarówkę i załatwić kierowcę.

Pozostałe dzieci spojrzały na niego z pogardą.

– A oni w nagrodę wsadzą cię do czubków i spędzisz tam resztę życia.

– Czasami zamykają dożywotnio w szpitalu – odezwał się Pete Bride – ale nie zawsze na tym

poprzestają. Mogą cię poddać projektowi „przebudowy osobowości”. Zostaniesz „zresocjalizowany”.

– Co w takim razie można zrobić? – zapytał Walter.

– Ty skończyłeś już dwanaście lat. Jesteś bezpieczny.

– A jeżeli znowu zmienią prawo?

To że był teraz bezpieczny, przynajmniej jeśli idzie o przepisy, wcale go nie uspokajało. Ciężarówka nadal przyjeżdżała po inne dzieci i w dalszym ciągu bał się jej. Pomyślał o tych wszystkich maluchach zamkniętych w Ośrodku za kolczastym drutem, spoglądających z nadzieją, liczących godzinę za godziną, dzień za dniem, w oczekiwaniu na kogoś, kto przyjdzie i zechce ich adoptować.

– Byłeś tam kiedyś? – zapytał Pete’a Bride’a.

– Gdzie? W Ośrodku? Jest tam wiele naprawdę małych dzieci, niektóre dopiero co wyrosły z niemowlęstwa, mają nie więcej niż rok. One w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, co je czeka.

– Niemowlęta są chętnie zabierane do adopcji – wtrącił się Zack Yablonski. – To starsze dzieciaki pozostają właściwie bez szans. Ich los jest najgorszy. Zaczepiają odwiedzających i odstawiają niezłe przedstawienie. Chcą się pokazać z jak najlepszej strony, przekonać przyszłych rodziców, jak bardzo byłoby przydatne. Ale ludzie doskonale wiedzą, że gdyby były takie użyteczne, to nie znalazłyby się w Ośrodku, do którego trafiają – no wiesz – dzieci, na które nie ma zapotrzebowania.

– Może by tak przebić opony? – gorączkowo zastanawiał się Walter.

– W ciężarówce? Wiecie co, gdyby tak wpuścić do baku kulkę naftaliny, to po tygodniu silnik będzie nadawał się tylko na złom. Moglibyśmy zrobić coś takiego.

– No tak, ale potem będą nas szukać – powiedział Ben Blaire.

– Teraz też na nas polują – odparł Walter.

– Moim zdaniem powinniśmy wysadzić ciężarówkę – oświadczył Harry Gottlieb – tyle że w środku mogą być jakieś dzieci. Spalą się wtedy żywcem. Auto zabiera około... a niech to, sam już nie wiem. Chyba z pięcioro maluchów dziennie z całej okolicy.

– Wiecie, że oni wywożą nawet psy? – powiedział Walter. – I koty. Ale ta psia ciężarówka przyjeżdża tylko raz w miesiącu. Właściwie niczym się nie różni od tej naszej. Zabierają je rzekomo do schroniska. Zwierzęta umieszczane są w takiej specjalnej komorze, wysysa im się z płuc powietrze i od razu giną. Nawet im nie odpuszczają! Nie wyłączając tych najmniejszych!

– Uwierzę dopiero wtedy, gdy zobaczę na własne oczy – zakomunikował Harry Gottlieb. – Spoglądał drwiąco i z niedowierzaniem. – Też coś, auto, które wywozi psy, akurat.

Walter jednak wiedział, że to była prawda. Sam widział tę psią ciężarówkę dwukrotnie. Koty, psy, a przede wszystkim my – pomyślał ze smutkiem. Pewnie jak już zaczęli ten proceder

z dziećmi, to naturalne, że potem zabrali się za psy i koty. Nie różnimy się od nich zbyt wiele. Ale co za człowiek mógłby coś takiego robić? Nawet jeżeli stoi za tym prawo. „Niektóre prawa wymyślono po to, by je przestrzegać, inne po to, by je łamać” – przypomniał sobie sentencję z książki. – Przede wszystkim powinniśmy wysadzić tę ciężarówkę. Najgorsza jest właśnie ona.

Dlaczego tak jest, że im ktoś jest bardziej bezbronny, tym więcej zagrożeń go spotyka? Na przykład dziecko w łonie matki. Dawniej dokonywano na nim aborcji przedporodowej. Teraz nazywa się to „aborcją na przedludziach”.

Przecież one są całkowicie bezradne. Kto stanie w ich obronie? Tyle istnień ludzkich. Na każdego doktora przypada setka dziennie... a każde z tych dzieci jest całkowicie bezradne, umiera w milczeniu. Zwyczajne świństwo.

Robią to, bo wiedzą, że nikt się im nie przeciwstawi. Dają upust swoim pierwotnym instynktom, chęci dominowania nad innymi. Zabicie tych niewinnych istot, które nie zdążyły jeszcze wyjść na świat, zabiera im nie więcej niż dwie minuty. Już po chwili pan doktor może się zająć następnym dzieckiem. Powinna powstać jakaś organizacja – pomyślał. – Podobna do Mafii. Taka, która zabijałaby dzieciobójców – coś w tym rodzaju. Wynajęty człowiek podchodziłby do takiego doktora, przykładalby do niego rurę i wsysał do środka. Pan doktor kurczyłby się wtedy do rozmiarów nie narodzonego dziecka. Doktorek w formie płodu, ze stetoskopem wielkości główki od szpilki – roześmiał się na samą myśl. – Oni mówią, że dzieci nic nie wiedzą. Ale dzieci wiedzą wszystko, nawet więcej, niż powinny.

Z ciężarówki aborcyjnej dobiegał dźwięk wesolej, dobrze znanej piosenki:

Jacek i Agatka

Pobiegli na górkę

Po wiaderko wody

Dla ciała ochłody.

Taśma obracała się w kółko, do znudzenia powtarzając tę samą melodię. System nagłaśniający zainstalowała firma Ampex, na specjalne życzenie General Motors. Piosenka płynęła z głośników bez przerwy, na cały regulator, z wyjątkiem tych chwil, kiedy ciężarówka znajdowała się niedaleko miejsca planowanej łapanki. Wówczas kierowca wyłączał magnetofon i bezszelestnie podjeżdżał pod wskazany adres. Gdy już jednak zamknął w ciężarówce jakieś niechciane dziecko i ruszał dalej – albo z powrotem do Ośrodka, albo po następnych przedludzi – znowu włączał swoją ulubioną melodię:

Jacek i Agatka

Pobiegli na górkę

Po wiaderko wody

Dla ciała ochłody.

Oscar Ferris, kierowca ciężarówki oznakowanej numerem trzecim, uzupełnił w myślach brakującą linijkę tekstu: „Agatka się przewróciła i wianek straciła”.

„O jaki wianek tu chodzi, do ciężkiej cholery?”, zastanawiał się Ferris, rozciągając usta w obleśnym uśmiechu. – To jakaś aluzja. Pewnie Jacek się bawił tym jej wiankiem albo oboje się nim bawili. Wianek, dobre sobie. Już ja tam swoje wiem, dobrze wiem, po co łazili w te krzaki. „Agatka się przewróciła, to i owo zgubiła”. – Miała pecha, biedna dziewczyna – powiedział do siebie na głos, z niezwykłą zręcznością pokonując ostre zakręty kalifornijskiej autostrady numer 1.

„Dzieciaki już takie są – pomyślał Ferris. – Same brudne i mają brudne myśli”.

Tu, w okolicy, nadal było sporo zupełnie nie zagospodarowanych terenów. Wiele porzuconych dzieci błąkało się po kanionach i polach. Kierowca rozejrzał się uważnie i... no jasne, po prawej stronie dostrzegł małego chłopca, mniej więcej sześciolatniego, który próbował się gdzieś ukryć. Ferris natychmiast włączył przycisk syreny alarmowej. Dziecko całe zeszywniało i przerażone stało nieruchomo, aż ciężarówka podjechała bliżej i zatrzymała się. Z głośników nadal dobiegała piosenka o Jacku i Agatce.

– Masz kartę Z? Pokaż mi swoje papiery – zażądał Ferris, nie wysiadając nawet z szoferki. Nonszalancko wystawił łokieć za okno, prezentując malcowi swój brązowy mundur oraz naszywkę – symbole władzy.

Chłopiec wyglądał dosyć marnie, jak wiele dzieci błąkających się bez opieki, miał jednak okulary. Jasnowłosey, w dzinsach i koszulce, z przerażeniem wpatrywał się w Ferrisa. Nie wykonał jednak żadnego gestu, żeby wyjąć dokumenty.

– Masz tę swoją kartę Z czy nie? – zapytał Ferris.

– Cccco-to takiego ta karta Z?

Chłodnym tonem Ferris wyjaśnił chłopcu, jakie przysługują mu prawa.

– Jedno z rodziców, ewentualnie twój prawny opiekun, musi wypełnić formularz 36-W, w którym oficjalnie stwierdza się, że jest na ciebie zapotrzebowanie. Nie masz takiego dokumentu? W świetle prawa jesteś więc dzieckiem pozbawionym opieki, nawet jeżeli masz rodziców, którzy chcą cię zatrzymać. Niedopełnienie tego obowiązku podlega karze w wysokości pięciuset dolarów.

– Ojej! – powiedział chłopiec. – Gdzieś ją zgubiłem.

– W takim razie trzeba wystawić kopię. W archiwach na pewno mają twoje dane. Wszystkie dokumenty przechowują w postaci mikrofilmów. Zabiorę cię tam i...

– Chce mnie pan zabrać do Ośrodka? – nogi chłopca, cienkie jak patyczki, zaczęły drżeć.

– Rodzice będą mieli trzydzieści dni na wypełnienie formularza 36-W i odebranie ciebie z Ośrodka. Jeżeli nie uporają się z tym do tego czasu...

– Moja mama i tata ciągle się ze sobą kłóca. Teraz mieszkam z tatą.

– Ale on nie załatwił dla ciebie karty Z.

W kabinie ciężarówki spoczywała broń. Skierowana była w stronę bocznych okien. Zgarnianie z ulicy błakających się dzieci mogło być niebezpieczne. Ferris odruchowo rzucił na nią okiem. Czekąca w pogotowiu. W swojej karierze egzekutora prawa użył broni tylko pięć razy. Miała ogromną siłę rażenia – rozbiła człowieka na atomy.

– Musisz wsiąść do środka – powiedział, otwierając drzwi kabiny i wyciągając kluczyki. – Tam z tyłu jest jeszcze jedno dziecko. Będziesz miał towarzystwo.

– Nie – odezwał się chłopiec. – Nigdzie nie pojedę. – Mrugając oczami, stanął naprzeciw Ferrisa, uparty i niewzruszony jak kamień.

– Pewnie słyszałeś na temat Ośrodka wiele różnych rzeczy. Tylko nieprzystosowani i zdeprawowani podlegają uśpieniu. Grzeczne dzieci, o normalnym wyglądzie, kierowane są do adopcji. Skrócimy ci włosy i doprowadzimy cię do porządku, żebyś mógł wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Znajdziemy ci jakiś dom. Na tym to wszystko polega. Bardzo niewielu jest takich, którzy są, no wiesz, upośledzeni fizycznie lub umysłowo. Nikt ich nie chce. Jakaś dobrze sytuowana rodzina natychmiast cię przyważy i zapagnie przygarnąć. Sam się przekonasz. Nie będziesz wtedy musiał błąkać się samotnie, pozbawiony opieki rodziców. Znajdziesz nowy dom i wiesz co – zapłacą za ciebie kupę szmalu. Niech mnie kule biją, jeśli będzie inaczej. Zostaniesz zarejestrowany – możesz to sobie wyobrazić? To miejsce, do którego pojedziemy, to taki hotel, gdzie będziesz tylko chwilowo. Chodzi o to, żebyś miał jakiś ką, do czasu gdy znajdziemy ci nowych rodziców.

– No tak, ale jeżeli w ciągu miesiąca nikt nie zechce mnie wziąć...

– Do diaska, przecież tutaj, w Big Sur, w każdej chwili możesz zlecieć z jakiejś skały i stracić życie. Ale nie martw się. Personel Ośrodka skontaktuje się z twoimi biologicznymi rodzicami i najprawdopodobniej jeszcze dzisiaj przyjadą po ciebie z wypełnionym formularzem 15-A, w którym zaświadczą, że jesteś im potrzebny. A ty po prostu będziesz miał frajdę, bo pojedziesz teraz na przejażdżkę, a w dodatku poznasz dużo nowych dzieci. A jak często...

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– Jestem zmuszony cię poinformować – odezwał się zupełnie innym tonem Ferris – że przybyłem tu służbowo. – Otworzył drzwi ciężarówki, zeskoczył na ziemię i pokazał chłopcu swoją błyszczącą odznakę. – Jestem Oficerem Pokoju i nakazuję ci wsiąść do środka.

W ich kierunku zmierzał jakiś wysoki mężczyzna. Zbliżał się ostrożnie, jakby z rezerwą. Podobnie jak chłopiec, miał na sobie dzinsy i koszulkę, nie nosił jednak okularów.

– Pan jest ojcem chłopca? – zapytał Ferris.

– Zabieracie go do umieralni? – ochryplym głosem rzucił mężczyzna.

– My mamy na to inną nazwę. To Ośrodek, w którym dzieci otacza się opieką, a niewydarzone określenie „umieralnia” wymyślili jacyś ekstremiści, zapewne hipisi. Rozmyślnie chcieli wypaczyć całą ideę, która przyświecała twórcom Ośrodka.

Wskazując ruchem ręki na ciężarówkę, mężczyzna pytał dalej:

– Zamykacie tam dzieci w specjalnych klatkach, to prawda?

– Chciałbym zobaczyć pański dowód – oświadczył Ferris. – Jestem też ciekaw, czy wszedł już pan kiedyś w konflikt z prawem?

– Chodzi panu o to, czy byłem aresztowany, a następnie uniewinniony, czy też aresztowany i uznany winnym?

– Proszę odpowiadać konkretnie na pytania. – Ferris pokazał mężczyźnie czarną legitymację, którą zawsze okazywał dorosłym, dla udokumentowania, że jest Oficerem Pokoju. – Kim pan jest? Proszę natychmiast okazać swój dowód osobisty.

– Nazywam się Ed Gantro i miałem już do czynienia z policją – odpowiedział mężczyzna. – W wieku osiemnastu lat ukradłem z zaparkowanej ciężarówki cztery skrzynki coca-coli.

– Został pan zatrzymany na miejscu zdarzenia?

– Nie – odparł mężczyzna. – Złapali mnie, gdy poszedłem oddać butelki do skupu. Odsiedziałem sześć miesięcy.

– Ma pan Kartę Zapotrzebowania na Dziecko dla tego chłopca? – zapytał Ferris?

– Nie stać nas było na to, żeby wyłożyć dziewięćdziesiąt dolarów.

– Teraz będzie to pana kosztowało znacznie więcej, bo aż pięćset. Już dawno trzeba było to załatwić. Radzę udać się do adwokata. – Ferris podszedł do chłopca.

– Masz natychmiast dołączyć do pozostałych nieletnich i zająć miejsce z tyłu pojazdu – rozkazał oficjalnym tonem. Następnie zwrócił się do ojca: – Proszę mu wytłumaczyć, że musi się stosować do moich poleceń.

Mężczyzna zawahał się i po namyśle powiedział:

– Tim, wsiądź do tej przeklętej ciężarówki. Wynajmiemy jakiegoś prawnika. Zdobędziemy dla ciebie kartę Z. Nie ma sensu się teraz opierać. Według prawa jesteś dzieckiem pozbawionym opieki rodzicielskiej.

– Jakbym nie miał rodziców? – zapytał chłopiec, spoglądając na ojca.

– No właśnie. Dobrze nas rozumiałeś. Ma pan trzydzieści dni na skompletowanie wszystkich potrzebnych...

– Czy to prawda, że zabieracie również zwierzęta? – spytał chłopiec. – Czy są tam jakieś koty? Lubię je. Są naprawdę fajne.

– Ja zajmuję się tylko przypadkami podlegającymi APP – powiedział Ferris. – Takimi właśnie jak ty. – Włożył do zamka kluczyk i otworzył tylne drzwi ciężarówki. – I uważaj, żebyś

nie zapaskudził samochodu uryną. Potem w żaden sposób nie można wyzbyć się smrodu ani wywabić plam.

Wyglądało na to, że chłopiec nie rozumie słów Ferrisa. Zakłopotany spoglądał to na ojca, to na kierowcę.

– Chodzi o to, żebyś nie załatwiał się w ciężarówce – wyjaśnił mu Ed Gantro. – Wolą, żeby było czysto, bo wtedy mają niższe koszty utrzymania. – W jego głosie pobrzmiwał sarkazm.

– Jeżeli chodzi o bezdomne psy lub koty – tłumaczył Ferris – to albo zabijają je na miejscu strzałem z pistoletu, albo wykładają trutkę.

– Tak, znam ten środek, nazywa się warfarin. Zwierzę przyjmuje go razem z pokarmem przez tydzień, a potem dostaje wewnętrznego krwotoku i w końcu umiera.

– Bez bólu – zaznaczył Ferris.

– Czy to czasem nie lepsze niż wysysanie powietrza z płuc? – zapytał Ed. – Duszenie ich na masową skalę?

– No cóż, jeżeli chodzi o zwierzęta, to władze hrabstwa...

– Mówię o dzieciach. Takich jak Tim. – Ojciec stanął obok syna i obaj zajrzeli do środka ciężarówki. W ciemnościach ledwie można było rozróżnić dwa niewyraźnie rysujące się kształty. Obie postaci siedziały skulone w głębi pojazdu. Dzieci były tak przerażone, że starały się trzymać na tyle daleko od drzwi, na ile to było możliwe.

– Fleischhacker! – krzyknął Tim. – Przecież ty miałeś kartę Z!

– Ze względu na niedobory paliwowo-energetyczne – ciągnął swój wywód Ferris – należy radykalnie ograniczyć liczbę ludności. W przeciwnym razie już za dziesięć lat zabraknie nam żywności. To pierwszy etap...

– Tak, rzeczywiście miałem kartę Z – odparł Earl Fleischhacker. – Ale moi starzy mi ją odebrali. Już nie jestem im potrzebny. To oni wezwali ciężarówkę aborcyjną. – Chłopiec mówił chrapliwym głosem. Było oczywiste, że wcześniej, schowany w kącie, płakał.

– Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy pięciomiesięcznym płodem a tymi chłopcami z ciężarówki – oświadczył Ferris. – W obu wypadkach chodzi o dziecko, na które nie ma zapotrzebowania. Prawo zostało po prostu zliberalizowane.

Ojciec Tima spojrział na kierowcę i powiedział:

– A pan akceptuje to nowe prawo?

– No cóż, taka decyzja zapadła w Waszyngtonie. Myślę, że to pomoże rozwiązać kryzys, który nas niewątpliwie czeka – tłumaczył się Ferris. – Ja tylko wykonuję polecenia służbowe. Jeżeli zmieni się prawo, do diabła z nim. Zacznę wozić do punktu skupu surowców wtórnych puste kartony po mleku albo zajmę się jeszcze czymś innym, co za różnica. Każda praca może dawać satysfakcję.

– Każda? Czy panu podoba się ta praca?

Ferris wyrecytował gotową formułkę:

– Dzięki niej mogę podróżować po okolicy i poznawać wiele nowych osób.

– Pan chyba cierpi na jakieś zaburzenia umysłowe – odezwał się Ed Gantro. – Te obecne aborcje poporodowe są prostą konsekwencją wcześniejszych aborcji dokonywanych na dzieciach w łonie matki. Takie nie narodzone dziecko nie miało żadnych praw, było usuwane niczym guz. Niech pan zobaczy, do czego to doprowadziło. Jeżeli nie narodzone dziecko można zabić w każdej chwili, bez uzasadnienia, to dlaczego by na tym poprzestać? Oba przypadki aborcji są identyczne. Za każdym razem mamy do czynienia z zabójstwem dokonywanym na zupełnie bezbronnej istocie, która nie ma właściwie żadnych szans ani możliwości, żeby się bronić. Wie pan co? Proszę mnie również zabrać do Ośrodka. Chcę dołączyć do tej trójki dzieci w ciężarówce.

– Ale prezydent i Kongres przyjęli ustawę, zgodnie z którą każda jednostka po ukończeniu dwunastego roku życia posiada już duszę – powiedział Ferris. – Dlatego nie mogę pana zabrać. To niezgodne z przepisami.

– Ja nie mam duszy – odparł ojciec Tima. – Gdy skończyłem dwanaście lat, nic szczególnego się nie wydarzyło. Proszę mnie zabrać ze sobą. No, chyba że zdoła pan udowodnić, iż mam duszę.

– O Jezu! – zdenerwował się Ferris.

– Proszę mi pokazać, gdzie mieści się moja dusza – powtórzył Ed. – Może potrafi ją pan zlokalizować. Jeżeli nie, to ma pan obowiązek mnie stąd zabrać, razem z tą trójką dzieciaków, bo nic mnie od nich nie odróżnia.

– Muszę skontaktować się z moimi przełożonymi. Zobaczą, co oni powiedzą – oświadczył Ferris.

– Słuszna decyzja – odparł ojciec Tima. Z trudem wspiął się na ciężarówkę, a potem pomógł wdrapać się synowi. Razem z pozostałą dwójką chłopców czekali, aż Oficer Pokoju Ferris najpierw szczegółowo wyjaśni przez radio, kim jest, a potem przedstawi sprawę.

– Jest tu ze mną pewien człowiek, biały, około trzydziestki. Nalega, żeby go odwieźć do Ośrodka razem z jego małoletnim synem – nadawał do mikrofonu Ferris. – Mężczyzna twierdzi, że nie posiada duszy i że w związku z tym powinien być zakwalifikowany do tej samej grupy, co ci poniżej dwunastego roku życia. Nie mam przy sobie, ani nawet nie znam żadnego testu na obecność duszy, a zresztą taki test, przeprowadzony w warunkach właściwie polowych, nie mógłby być brany pod uwagę przez sąd. Przypuszczam, że on potrafi rozwiązywać zadania z algebry i wykonywać inne skomplikowane działania matematyczne. Wydaje się inteligentny. Jednakże...

– Wyrażam zgodę na przewiezienie go do Ośrodka – dobiegał z radia głos przełożonego. – Zajmiemy się nim.

– Zabiorę pana do miasta i tam się już panem zaopiekujemy – oznajmił Ferris, zwracając się do ojca Tima, który razem z trójką chłopców siedział skulony w mrocznym wnętrzu pojazdu. Ferris zatrzasnął drzwi samochodu i zamknął je na klucz. Stanowiło to jedynie dodatkowe zabezpieczenie, ponieważ każdego z chłopców i tak odgradzały elektroniczne zapory. Kierowca ruszył w drogę.

Jacek i Agatka

Pobiegli na górkę

Agatka się przewróciła

I wianek straciła.

„Ktoś tu na pewno będzie stratny – pomyślał Ferris, jadąc krętą drogą – ale tym kimś nie będę ja”.

– Nie potrafię rozwiązywać zadań z algebry – kierowca usłyszał, jak ojciec Tima rozmawia z chłopcami – a to potwierdza, że ja także nie mam duszy.

– Dla mnie algebra to żaden problem, ale co z tego, skoro mam tylko dziewięć lat – stwierdził z przekąsem Fleischhacker. – Więc co mi po tym?

– Ten właśnie temat zamierzam poruszyć, jak już znajdziemy się w Ośrodku – kontynuował swój wywód Ed. – Nawet dzielenie przez liczbę wielocyfrową przychodzi mi z trudnością. Widocznie nie mam duszy. Jestem więc taki sam jak wy trzej.

Ferris donośnym głosem zawołał:

– Pamiętajcie, żebyście mi nie nabrudzili, jasne? To kosztuje nas...

– Proszę się nie wysilać – odezwał się Ed. – I tak nie zrozumieć. Naliczanie stawek, zysk i inne ekonomiczne terminy – jak dla mnie, to wszystko zbyt skomplikowane.

„Zdaje się, że wiozę jakiegoś wariata”, pomyślał Ferris i ucieszył się, że ma pod ręką broń. – Chyba wiecie, że świat stoi w obliczu wielkiego kryzysu! – krzyknął. – Czekają nas niedobory soku jabłkowego, paliwa i chleba. Powinniśmy drastycznie zmniejszyć zaludnienie, ale duża liczba powikłań wynikających ze stosowania pigułki czyni to niemożliwym...

– Nikt z nas nie rozumie takich skomplikowanych wywodów – wtrącił się ojciec Tima.

– Wzrost populacji powinien utrzymywać się na poziomie zera. To jest odpowiedź na kryzys energetyczny i widmo klęski głodu – ciągnął dalej wytrącony z równowagi Ferris. – Zupełnie tak samo jak z tymi, cholera, no, królikami w Australii. Nie miały żadnych naturalnych wrogów i mnożyły się w nieskończoność, aż wreszcie ludzie...

– Mnożyć akurat umiem – powiedział Ed. – Dodawać i odejmować również. Ale nic poza tym.

„Ci czterej też są jak te króliki – pomyślał Ferris. – Ludzie niszczą środowisko naturalne. Ciekawe, jak te okolice wyglądały dawniej, zanim wtargnął tu człowiek? No cóż, jeżeli aborcje poporodowe będą przebiegać planowo, tak jak do tej pory, w każdym właściwie miejscu w USA – być może doczekamy dnia, kiedy na tych terenach odrodzi się przyroda, nie tknięta ręką ludzką.

My – zastanowił się. – Jacy my. Przecież ziemię opanują wkrótce potężne komputery zdolne odbierać wrażenia zmysłowe. To one będą rejestrować swoimi wąskimi, szczelinowymi wideoreceptorami cały krajobraz, to one będą go podziwiać”.

Na samą myśl o tym twarz Ferrisa opromienił uśmiech.

– Zdecydujmy się na aborcję! – zaproponowała entuzjastycznie nastawiona Cynthia, gdy tylko weszła do domu obciążona torbami pełnymi syntetycznych produktów spożywczych. – Czy to nie fantastyczny pomysł? Nie bierze cię to?

– Zdaje się, że najpierw musiałabyś zająć w ciążę – z szyderstwem w głosie odezwał się jej mąż, Ian Best. – Zadzwoń do doktora Guido. To będzie mnie kosztowało nie więcej niż pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dolarów. Poproś go, żeby usunął ci krążek maciczny.

– Chyba sam się obluzował. Możliwe, że... – Cynthia radośnie potrząsnęła zgrabną głową przyozdobioną burzą ciemnych włosów. – Pewnie i tak nie działał jak należy, mniej więcej od roku. Niewykluczone, że już jestem w ciąży.

– W takim razie zamieść w „Wolnej Prasie” ogłoszenie: „Potrzebny mężczyzna do wyłowienia krążka macicznego, najchętniej za pomocą odpowiedniego bosaka” – zgryźliwie odezwał się Ian.

– Ale zrozum – wykladała swoje racje Cynthia, podążając za mężem, który zmierzał w stronę garderoby, żeby odwiesić na miejsce swój prestiżowy krawat i stylowy płaszcz – aborcja należy teraz do dobrego tonu. No popatrz tylko, co my mamy? Dziecko. Waltera. Za każdym razem, kiedy ktoś przychodzi do nas z wizytą, widząc go, na pewno się zastanawia: „Ciekawe, gdzie to robili?”. To naprawdę jest takie krępujące. Ten rodzaj aborcji, który oferują teraz, przewidziany dla kobiet we wczesnej ciąży, kosztuje tylko sto dolarów... równowartość dziesięciu galonów benzyny! W dodatku to świetny temat do rozmowy. Można o tym rozprawiać godzinami, i to z każdym, kto wpadnie z wizytą.

Ian spojrzął na żonę i zupełnie spokojnym, beznamiętnym tonem powiedział:

– Czy takiego embriona można później zabrać ze sobą do domu? Na przykład w butelce, pomalowanego specjalną fluorescencyjną farbą, żeby mógł świecić w ciemności w charakterze nocnej lampki?

– W dowolnym kolorze!

– Embrion?

– Nie, butelka. Można też dobrać kolor płynu. Embryon zostaje umieszczony w specjalnym roztworze konserwującym. Jest to więc nabytek na całe życie. O ile się nie mylę, dołączają nawet pisemną gwarancję.

Ian skrzyżował ramiona na piersi, usiłując zachować spokój: stan całkowitej równowagi alfa.

– Czy ty wiesz, że są ludzie, którzy pragną mieć dziecko? Nawet takie zupełnie zwyczajne, niespecjalnie inteligentne. Co tydzień jeżdżą do Ośrodka, z nadzieją, że ktoś odda im pod opiekę niemowlę. I skąd te wymysły o globalnym przeludnieniu? Rzekome dziewięć bilionów ludzi stłoczonych jak śledzie w beczce w blokach mieszkalnych wielkich miast. Gdyby przyrost naturalny rzeczywiście wzrastał – w porządku. Ale tak nie jest, liczba dzieci maleje. Czyżbyś nie oglądała telewizji, nie czytała „Timesa”?

– Ale to naprawdę jest takie uciążliwe – oznajmiła Cynthia. – Dzisiaj, na przykład, Walter przyszedł do domu zupełnie roztrzęsiony, bo zobaczył w pobliżu ciężarówkę aborcyjną. Zajmowanie się nim jest potwornie nudne i męczące. Tobie wszystko wydaje się takie proste. Siedzisz sobie w pracy i o niczym nie myślisz. Ale ja...

– Wiesz, co najchętniej bym zrobił z tą gestapowską karetką aborcyjną? Wziąłbym ze sobą dwóch starych kumpli uzbrojonych w ciężkie karabiny maszynowe, kazałbym im stanąć po obu stronach drogi i gdy ta przeklęta buda byłaby tuż obok...

– To klimatyzowana ciężarówka, a nie żadna buda ani karetka więzienna.

Popatrzył na żonę ze złością i podszedł do kuchennego barku, żeby zrobić sobie drinka.

„Najodpowiedniejsza będzie szkocka – pomyślał. – Szkocka z mlekiem to najlepszy napój przed obiadem”.

Gdy mieszał składniki, do kuchni wszedł syn, Walter. Jego twarz była nienaturalnie blada.

– Ta aborcyjna buda znowu była tu w okolicy, prawda? – zapytał Ian.

– Myślałem sobie, że może...

– To niemożliwe. Nawet gdybyśmy, twoja matka i ja, wzięli prawnika, żeby przygotował dla nas formularz b-Z – i tak nic nie dałoby się wskórać. Jesteś już na to za duży. Tak więc nie musisz się obawiać.

– Ja to wszystko wiem – powiedział Walter – tylko że...

– „Nie staraj się sprawdzić, komu bije dzwon; on bije dla ciebie” – zacytował (niedokładnie) Ian. – Posłuchaj, Walt, chcę ci coś wytłumaczyć. – Przechylił szklanekę i wypił potężny haust szkockiej z mlekiem. – To wszystko polega na zabijaniu. Zabić ich, kiedy są wielkości paznokcia, piłeczki do gry w baseball, albo później – skoro nie zdążyło się tego zrobić na czas – wyssać powietrze z płuc dziesięcioletniego chłopca i w ten sposób skazać go na śmierć. Za tym wszystkim kryje się pewien gatunek kobiet. Dawniej mówiono o nich „kastrujące modliszki”. Może kiedyś to był odpowiedni termin, tyle że te kobiety, zimne i wyrachowane, nie chciały poprzestać na... to znaczy, im chodzi o całego chłopca lub mężczyznę, a nie tylko o tę część,

która decyduje o męskości. A w ogóle to najchętniej uśmierciłyby ich wszystkich. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedział Walter, a jednak w pewien mglisty i napawający lękiem sposób czuł, że wie.

Ian pociągnął kolejny tęgi łyk ze szklanki, po czym dodał:

– Jedna z tych kobiet mieszka tutaj, Walter. W naszym własnym domu.

– Kto u nas mieszka?

– Szwajcarscy psychologowie mają na to specjalne określenie: *Kindermorder* – powiedział Ian, celowo dobierając taki termin, którego chłopiec na pewno nie znał. – Wiesz, co mi przyszło do głowy? Ty i ja mogliśmy wsiąść do pociągu linii Amtrak i udać się na północ. Dojechalibyśmy w ten sposób do Vancouver, w Kanadzie, a stamtąd popłynęlibyśmy promem na wyspę Vancouver i nikt by już nas tutaj nie zobaczył.

– Tak, ale co z mamą?

– Wysyłałbym jej czeki – powiedział Ian. – Co miesiąc. Na pewno byłaby z tego rozwiązania zadowolona.

– Tam, na północy, jest bardzo zimno, prawda? – spytał Walter. – To znaczy, chciałem powiedzieć, że brakuje im paliwa i że muszą nosić...

– Podobnie jak w San Francisco. W czym widzisz problem? Boisz się założyć kilka swetrów i siedzieć sobie w pobliżu kominka? Przecież to, co widziałeś dzisiaj, przeraziło cię chyba o wiele bardziej.

– Uhu – chłopiec przytaknął, przybierając posępną minę.

– Mieszkalibyśmy sobie na wysepce, niedaleko wyspy Vancouver i sami zaopatrywali się w żywność. uprawialibyśmy różne rośliny. Ciężarówka na pewno w tamtej okolicy nie jeździ. Nigdy więcej nie będziesz musiał jej oglądać. Obowiązują tam odmienne prawa. Kobiety też są inne. Kiedyś pojechałem tam w jakiejś sprawie i poznałem dziewczynę. To było dawno. Miała długie, czarne włosy i bezustannie paliła playersy, nic nie chciała jeść i ciągle o czymś opowiadała. Tu u nas powstała zupełnie inna cywilizacja. Tutejsze kobiety pragną za wszelką cenę zniszczyć swoje własne... – Ian przerwał. Do kuchni weszła jego żona.

– Jeżeli nadal będziesz pił to paskudztwo, w końcu zaczniesz wymiotować.

– No i dobrze – odparł poirytowany. – I bardzo dobrze!

– Może byś przestał wrzeszczeć – powiedziała Cynthia. – Myślałam, że byłoby miło, gdybyś wieczorem zaprosił nas gdzieś na obiad. Dal Rey ogłaszał się w telewizji, że pierwsi klienci dostaną steki.

– Oni podają surowe ostrygi – włączył się Walter, marszcząc z niezadowoleniem nos.

– Błękitne małże atlantyckie – powiedziała Cynthia. – Na połówce muszli, z lodem. Uwielbiam je. No i co, Ian, zgadzasz się? Wybierzemy się?

– Taka surowa ostryga chyba najbardziej na świecie przypomina to, co lekarz... – Ian nie

dokończył zdania. Cynthia posłała mu wrogie spojrzenie, a Walter spoglądał na niego ze zdumieniem. – No, dobrze. Ale ja zamawiam stek.

– Ja też – oświadczył Walter.

Dopijając drinka, Ian dodał cichym głosem:

– Kiedy ostatni raz przygotowałaś dla naszej trójki obiad?

– W piątek. Podałam wam wieprzowe uszka w potrawce z ryżu – odparła Cynthia. – Większość z tego i tak trzeba było wyrzucić, bo okazało się czymś nowym, co nie zostało jeszcze ustawowo dopuszczone do konsumpcji. Pamiętasz, kochanie?

– Naturalnie ten typ kobiet występuje również tam, może nawet tak samo często jak tutaj – tłumaczył Walterowi Ian, ignorując zupełnie żonę. – Tego typu kobiety istniały zawsze w ciągu dziejów, we wszystkich kulturach. Jednakże Kanada nie wprowadziła ustawodawstwa zezwalającego na aborcję poporodową – urwał. – Ależ to mleko z kartonu jest okropne – zwrócił się do żony. – Zaczęli dodawać do niego siarkę. Mamy dwa wyjścia: albo udawać, że nic o tym nie wiemy, albo podać sprawę do sądu. Sama zdecyduj.

Cynthia utkwiała wzrok w mężu i powiedziała:

– Znowu zaczynasz snuć fantazje, że stąd wyjeżdżasz?

– To dotyczy nas obu – wtrącił się Walter. – Tata zabiera mnie ze sobą.

– Dokąd? – rzuciła od niechcienia.

– Dokądkolwiek. Tam, gdzie uda się dotrzeć koleją.

– Pojedziemy do Kanady, na wyspę Vancouver – wyjaśnił Walter.

– Mówicie poważnie? – zapytała Cynthia.

Po chwili przerwy Ian odparł:

– Całkiem poważnie.

– A cóż, do diabła, ja mam ze sobą zrobić, gdy wy już sobie pojedziecie? Iść zarabiać na ulicę? Ciekawe, z czego opłacę...

– Będę ci przysyłał czeki – zapewnił ją mąż. – Gwarantowane przez bank.

– Jasne, będziesz wysyłał. Już to widzę.

– Możesz jechać z nami – powiedział Ian. – Będziesz skakać do Zatoki Angielskiej i łowić w niej ryby. Masz takie ostre zęby, że z łatwością je zagryziesz. W ciągu jednej nocy ogołocisz Kolumbię Brytyjską z całego zapasu ryb. Miażdżone twoimi zębiskami będą się zastanawiać, co się stało... pływały sobie beztrudnie, aż tu nagle... pojawił się potwór, potwór rybojad, z jednym błyszczącym okiem na środku czoła. Napadł na nie z góry i roztarł na proch. Wkrótce przeszłabyś do legend. Takie nowiny szybko się rozchodzą. Krążyłyby wśród tych niezliczonych ryb, którym udało się przetrwać.

– Tak, tato, ale co się stanie – odezwał się Walter – gdy żadna z nich nie przeżyje?

– Wtedy wszystko pójdzie w zapomnienie – odparł Ian. – Tyle że twoja matka będzie miała

osobistą satysfakcję, iż udało jej się doprowadzić do wyginięcia całych gatunków ryb, które wcześniej zamieszkiwały wody Kolumbii Brytyjskiej. A przecież rybołówstwo to najważniejsza gałąź gospodarki na tym terenie, zapewnia byt wielu innym gatunkom.

– Wtedy mieszkańcy Kolumbii Brytyjskiej zostaną pozbawieni pracy – powiedział Walter.

– Wcale nie – odrzekł Ian. – Wszystkie te martwe ryby władują do puszek i sprzedają Amerykanom. Zrozum, Walter, dawno temu, zanim twoja wielozębna matka zdążyła zagryźć wszystkie ryby, prości wieśniacy stali nad brzegiem z kijami i gdy ryby przepływały obok, grzmocili je po łbach. Ta zmieniona sytuacja stworzy nowe miejsca pracy, nie dojdzie do bezrobocia. Miliony puszek, specjalnie oznakowanych...

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego – wtrąciła szybko Cynthia – że on wierzy w każde twoje słowo.

– To, co mówię, jest prawdą – odparł Ian. – No, może nie w sensie dosłownym. Zabiorę was na obiad – zwrócił się do żony. – Przygotuj bony żywnościowe i włóż na siebie tę niebieską bluzkę, przez którą prześwitują ci cycki. W ten sposób ściągniesz na siebie uwagę i może zapomną zażądać od nas bonów.

– Co to takiego „cycki”? – zapytał Walter.

– Coś strasznie już przestarzałego – wyjaśnił Ian. – Podobnie jak pontiac GTO. Obecnie służy już wyłącznie jako rodzaj ozdoby, można go tylko podziwiać i ścisnąć. Przestał spełniać swoje podstawowe funkcje i wkrótce zaniknie. „Podobnie jak cała nasza rasa – pomyślał. – Wszystko ku temu zmierza, odkąd dopuściliśmy do władzy tych, którzy zabijają dzieci nie narodzone, czyli najbardziej bezbronne istoty, jakie zna świat”.

– Cycek – poważnym tonem tłumaczyła synowi Cynthia – to gruczoł mleczny wydzielający specjalną substancję, którą kobiety karmią swoje młode.

– Zazwyczaj gruczoły te występują parami – odezwał się Ian. – Jeden z nich to cycek aktywny, a drugi jedynie wspomagający, wykorzystywany w razie gdyby nastąpiła awaria pierwszego. Proponuję istotne usprawnienie biznesu aborcyjnego – dodał. – Wszystkie cycki świata powinno się wysłać do Ośrodka. Całe mleko, o ile w ogóle uda się coś zebrać, zostanie z nich wyssane, oczywiście mechanicznie. Wtedy, gdy wszystkie będą już puste i całkowicie bezużyteczne, młode umrą niejako samoistnie, ponieważ zostaną pozbawione pokarmu.

– Przecież można kupić sztuczne mleko – powiedziała Cynthia i przy okazji spiorunowała męża wzrokiem. – Similac i wiele innych. Pójdę się przebrać, skoro mamy wychodzić. – Odwróciła się i poszła do sypialni.

– Wiesz co – krzyknął za nią Ian – gdyby tylko istniał jakiś sposób zakwalifikowania mnie do kategorii przedludzi, na pewno byś z tej możliwości skorzystała. Trafiłbym natychmiast do Ośrodka. „I założę się, dodał już w myśli, że nie byłbym osamotniony. Z pewnością znalazłoby się tam więcej mężów przybyłych z całej Kalifornii. I problem byłby z głowy”.

– To nawet niezły plan – z oddali dobiegł go głos żony.

– Tu nie chodzi tylko o nienawiść skierowaną przeciwko bezbronnym istotom – powiedział Ian Best. – Chodzi o coś więcej. Ta nienawiść obejmuje chyba wszystko, co żyje.

„Niszczycie je – pomyślał – zanim wyrosną na tyle, by wykształcić wszystkie mięśnie, osiąść umiejętność prowadzenia walki, opanować taktykę. Zanim staną się tak duże jak ja w stosunku do ciebie, z moją w pełni rozwiniętą muskulaturą i wagą dorosłego człowieka. Zadanie jest o wiele prostsze, gdy ta druga osoba – a właściwie powinienem chyba powiedzieć: protoczłowiek – pływa sobie bez troski w płynie owodniowym i nie ma pojęcia o tym, w jaki sposób można by odwzajemnić cios, ani nawet nie czuje takiej potrzeby. Gdzie się podziały matczyne przymioty? Co się stało z matkami, które szczególnie chroniły to, co było małe, słabe i bezbronne? Wszystkiemu winne jest nasze społeczeństwo oparte na rywalizacji. Przetrwają tylko najmocniejsi. Wcale nie ci najlepiej przystosowani. Przeżyją tylko ci, którzy posiadają władzę. W dodatku wcale nie mają zamiaru przekazać jej młodszemu pokoleniu. To walka, którą toczą potężni i źli starzy, przeciwko bezradnym i łagodnym nowym, tym którzy dopiero mają nadejść”.

– Tato – odezwał się Walter. – Czy my naprawdę pojedziemy na tę wyspę Vancouver w Kanadzie i będziemy uprawiać prawdziwe rośliny, i nie trzeba będzie się już nigdy bać?

Ian odpowiedział, niby to synowi, a właściwie samemu sobie:

– Jak tylko będę miał pieniądze.

– Wiem, co to oznacza. To tak, jakbyś powiedział: „zobaczymy”. Znam ten tekst na pamięć. Tak naprawdę to nigdzie nie pojedziemy, prawda? – Bacznie przyglądał się wyrazowi twarzy ojca. – Ona nam nie pozwoli, nie zgodzi się na zabranie mnie ze szkoły i tym podobne rzeczy. Ona zawsze wyciąga takie sprawy... mam rację?

– Kiedyś wreszcie nam się uda – z uporem powtórzył Ian. – Może jeszcze nie w tym miesiącu, ale któregoś dnia, za jakiś czas, na pewno. Obiecuję.

– I nie będzie tam żadnych ciężarówek aborcyjnych?

– Żadnych. Kanadyjskie prawo jest inne od naszego.

– Tato, postaraj się, żeby to nastąpiło szybko. Proszę.

Ojciec przygotował sobie następną szkocką z mlekiem i nic nie odpowiedział. Był w ponurym nastroju i czuł się nieszczęśliwy. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

Wewnątrz ciężarówki siedziała skulona trójka dzieci i jeden dorosły. Za każdym razem, kiedy samochód wchodził w zakręt, podskakiwali i uderzali o siatkę, która rozdzielała ich od siebie. Ed Gantro odczuwał wielkie przygnębienie, bo nawet tu, w środku, odseparowano go od własnego syna. „Koszmarne sen na jawie”, pomyślał. Zamknięci w boksach jak zwierzęta. Jego

szlachetny gest przysporzył mu tylko cierpień.

– Dlaczego mówisz, że nie rozumiesz algebry? – zapytał w pewnym momencie Tim. – Przecież wiem, że znasz nawet rachunek różniczkowy i trygono... coś tam. Przecież byłeś na Uniwersytecie Stanforda.

„Chcę udowodnić, że powinni zabić albo nas wszystkich, albo nikogo. Te podziały, które wprowadzili, to czysta biurokracja, czyjaś arbitralna decyzja. „Kiedy dusza wstępuje do ciała?” – czy w dzisiejszych czasach to pytanie w ogóle ma rację bytu, jest racjonalnie uzasadnione? Takie kwestie rozważano w średniowieczu. Tak naprawdę, to tylko pretekst – pomyślał. – Doskonały pretekst do tego, by prześladować bezbronne istoty”. Ale on nie był tak bezradny. Tym razem do ciężarówki aborcyjnej trafił zupełnie dorosły człowiek, posiadający rozległą wiedzę, zdolny wykorzystać cały swój spryt. „Ciekawe, co ze mną zrobią? Bez wątpienia posiadam wszystkie te cechy, co każdy dorosły mężczyzna. Jeżeli inni mają dusze, to ja też ją mam. Jeżeli nie, to ja również jej nie mam. Zastanawiam się więc, na jakiej podstawie będą się starali skierować mnie „do uspienia”. Nie jestem ani słaby, ani mały. Nie jestem niczego nieświadomym dzieckiem, bezbronnym i kulącym się ze strachu. Potrafię dyskutować na temat sofizmatów nawet z ich najlepszymi prawnikami, a jeżeli będzie trzeba, to i z samym prokuratorem okręgowym.

Jeżeli zechcą mnie wykończyć, będą musieli zlikwidować również wszystkich innych, nie wyłączając samych siebie. A przecież nie o to im chodzi. To nieuczciwa gra, dzięki której cały establishment, ci, którzy decydują o gospodarce i polityce, próbują nie dopuścić do władzy młodych – jeżeli trzeba, gotowi są ich nawet zabić. W tym kraju starzy nienawidzą młodych, żywią do nich uprzedzenie i czują strach. Ale co zrobią ze mną? Ja należę do tej samej grupy wiekowej co oni, a znalazłem się w ciężarówce aborcyjnej, zamknięty w klatce. Widocznie stwarzam inny rodzaj zagrożenia. Jestem co prawda jednym z nich, ale przeszedłem na drugą stronę. Stałem obok bezpańskich psów, kotów, niemowląt i dzieci pozbawionych opieki. Powinni to sobie uświadomić. Potrzebny jest nowy św. Tomasz z Akwinu, który zdołałby rozwikłać ten paradoks”.

– Potrafię tylko – powiedział już na głos – dzielić, mnożyć i odejmować. Nawet działania na ułamkach niezbyt mi wychodzą.

– Przecież kiedyś to wszystko umiałeś! – zaprotestował syn.

– Aż trudno uwierzyć, jak szybko wiedza ulatuje z głowy, gdy tylko przestaje się chodzić do szkoły – powiedział Ed Gantro. – Wy pewnie umiecie o wiele więcej niż ja.

– Tato, oni na pewno będą chcieli cię załatwić – wykrzyknął przerażony Tim. – Nikt cię nie zaadoptuje. W twoim wieku to niemożliwe. Jesteś po prostu za stary.

– Zobaczmy – powiedział Ed Gantro. – Dwumian Newtona. Jak to szło? Nie mogę tego sklecić do kupy: jeżeli a to b, coś w tym rodzaju. Wyleciało mi z głowy, jak nieśmiertelna dusza z ciała... – roześmiał się.

„Nie mogę zdać tego testu na obecność duszy – pomyślał. – A przynajmniej nie zdam go, jeżeli nadal będę rozmawiał z nimi w taki sposób. Jestem jak niedźwiedź w matni. Jak zwierzę w potrzasku. Błąd zwolenników aborcji polega na tym, że od samego początku, całkowicie arbitralnie wyznaczyli kryteria człowieczeństwa. W Ameryce embrion nie jest chroniony konstytucją i lekarz może go spokojnie zabić, nie naruszając przy tym prawa. Jednakże, jakiś czas temu, płód był uważany za „osobę”, ze wszystkimi przynależnymi jej prawami. Dopiero nieco później działacze opowiadający się za aborcją doprowadzili do tego, że nawet siedmiomiesięczny płód przestał być traktowany jak „istota ludzka” i każdy lekarz posiadający stosowne uprawnienia mógł go zabić. Aż w końcu pewnego dnia zajęli się także noworodkami, traktując je jako istoty nierozumne, czyli tzw. warzywa. Przecież taki noworodek nie potrafi skoncentrować wzroku, niczego nie rozumie, nie mówi. W rezultacie lobby proaborcyjne wygrało w sądzie sprawę, utrzymując, że noworodek to nic innego jak płód, który wskutek wypadku lub naturalnych procesów zachodzących w organizmie został wydalony z łona matki. Na tym jednak nie poprzestano. Nadal się zastanawiano, który moment można by uznać za decydujący o człowieczeństwie. Może pierwszy uśmiech na twarzy bobasa? A może pierwsze wypowiedziane słowo lub samodzielne sięgnięcie po ulubioną zabawkę? Linia graniczna wyznaczona literą prawa wciąż była przesuwana. W końcu komuś przyszedł do głowy najbardziej szatański pomysł ze wszystkich dotychczasowych, podjęto zupełnie arbitralną decyzję: o człowieczeństwie miała odtąd decydować umiejętność rozwiązywania zadań zaliczanych do wyższej matematyki.

Takie postawienie sprawy automatycznie skreślało z listy ludzi starożytnych Greków współczesnych Platonowi, ci bowiem nie znali arytmetyki, a jedynie geometrię. Podstawy algebry wiele lat później stworzyli Arabowie. Wszystko stało się arbitralne. Przy czym nie chodzi tu o arbitralność w sensie teologicznym, lecz prawnym. Kościół od dawna, a właściwie od samego początku głosił, że nowo powstałe życie, zygota, a później także embrion, jest tak samo święte jak życie każdego człowieka, który stąpa po ziemi. Oni doskonale wiedzieli, do czego mogą doprowadzić takie nieprecyzyjne definicje w rodzaju: „Teraz dusza wstępuje do ciała” albo – żeby posłużyć się bardziej współczesnym językiem – „Od tego momentu jest to osoba posiadająca pełną ochronę prawną, taką samą jak ta, której podlega każdy człowiek”. Najsmutniejszy w tym wszystkim był widok małego dziecka bawiącego się dzielnie na podwórku, dzień po dniu, w nadziei, że jest bezpieczne, lub stwarzającego sobie pozory bezpieczeństwa, którego w istocie nie miało. No cóż, zobaczymy, co ze mną zrobią. Mam trzydzieści pięć lat i tytuł magistra uzyskany na Uniwersytecie Stanforda. Wsadzą mnie do klatki na miesiąc, dadzą plastikową miskę, wskażą, skąd czerpać wodę, i miejsce – na widoku publicznym – w którym należy się załatwiać. Jeżeli nikt nie zechce mnie zaadoptować, to czy wówczas automatycznie przeznaczą mnie na śmierć razem z innymi?

Dużo ryzykuję. Dzisiaj zabrali mego syna. Ryzyko zaczęło się już wtedy, kiedy go dopadli, a nie wówczas, gdy z własnej woli podszedłem i stałem się ofiarą”.

Spojrzał na trzech przestraszonych chłopców i zastanawiał się, co mógłby im powiedzieć. Wszystkim trzem, nie tylko własnemu synowi.

– Posłuchajcie – odezwał się, cytując: – „Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy...” [Pierwszy List do Koryntian 15,51 – na podstawie *Biblii Tysiąclecia*, wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980 (przyp. tłum.).] A niech to – nie mógł przypomnieć sobie reszty. – „Kiedyś się przebudzimy” – mówił dalej, wysilając całą swoją pamięć. – „W jednym momencie, w mgnieniu oka...”

– Hej, wy tam, przestańcie hałasować! – warknął zza drucianej siatki kierowca. – Niech to szlag, przez was trudno mi się skoncentrować na jeździe – dodał. – Chyba wiecie, że mogę wpuścić do środka gaz i natychmiast stracie przytomność. Gaz jest przygotowany specjalnie dla takich przedludzi, którzy za dużo rozrabiają. No to jak tam, uspokoicie się wreszcie, czy mam nacisnąć guzik?

– Nie będziemy się już w ogóle odzywać – wtrącił szybko Tim, posyłając ojcu błagalne i pełne przestachu spojrzenie. Była to bezgłośna, niema prośba o podporządkowanie się żądaniu kierowcy.

Ed Gantro nie odezwał się ani słowem. Wyraz oczu syna był jednoznaczny i trudny do zniesienia, dlatego poddał się bez protestu. Tak czy inaczej – rozumował – to, co się dzieje w tej ciężarówce, nie ma większego znaczenia. Dopiero gdy dotrą do Ośrodka, będzie mógł liczyć na pomoc z zewnątrz – w razie jakichkolwiek kłopotów pojawią się przecież dziennikarze i reporterzy telewizyjni.

Jechali więc w milczeniu, każdy zmagając się samotnie z własnym strachem i analizował swoje położenie. Ed Gantro zamyślił się głęboko. Zastanawiał się, co zrobi, co będzie musiał zrobić. I nie chodziło mu tylko o Tima, lecz o wszystkich kandydatów do aborcji poporodowej. W czasie gdy ciężarówka jechała dalej szosą, chybocząc się na boki i klekocząc, on obmyślał, w jaki sposób powinien całą sprawą pokierować.

Gdy tylko samochód wjechał na parking dostępny wyłącznie dla pracowników Ośrodka i otworzono tylne drzwi, Sam B. Carpenter, który zawiadywał całym tym piekielnym interesem, podszedł, zajrzał do środka i powiedział:

– Wewnątrz siedzi jakiś dorosły facet. Ty masz pojęcie, Ferris, co zrobiłeś? Przywiozłeś tu rozrabiakę, który sprawi nam tylko kłopot.

– Ale on upierał się, że poza dodawaniem nie ma pojęcia o matematyce – tłumaczył się Ferris.

Carpenter zwrócił się do Eda Gantro:

– Proszę mi podać swój portfel. Chcę zobaczyć, jak faktycznie się pan nazywa. Potrzebny mi

numer ubezpieczenia, muszę też sprawdzić, czy był pan karany. No już, szybciej, chcę ustalić pana tożsamość.

– To prosty chłop, ze wsi – powiedział Ferris, obserwując, jak Gantro podaje swój podniszczony portfel.

– Trzeba będzie również zdjąć odciski jego stóp, potrzebny mi pełen zestaw danych, i porównać je z tymi w komputerze – oznajmił Carpenter. – Sprawa pilna. Priorytet kategorii A. – Lubił przemawiać w ten sposób.

Godzinę później miał już do dyspozycji raporty i wyciągi dostarczone z bazy komputerowej służb bezpieczeństwa stanu Wirginia. Baza mieściła się na ogrodzonym, zamkniętym terenie, który dla postronnego obserwatora niczym nie różnił się od całej rolniczej okolicy.

– Ten mężczyzna ukończył matematykę na Uniwersytecie Stanforda. Potem uzyskał jeszcze dyplom magistra psychologii, co niewątpliwie planował wykorzystać w rozmowach z nami. Musimy się go pozbyć.

– Kiedyś rzeczywiście posiadałem duszę – odezwał się Gantro. – Ale później ją straciłem.

– W jaki sposób? – domagał się wyjaśnień Carpenter, nie znajdując żadnej informacji na ten temat w dostarczonych mu dokumentach.

– To z powodu zatoru. Część mojej kory mózgowej, akurat ta, w której mieściła się dusza, uległa zniszczeniu, gdy przypadkowo nawdychałem się oparów środka owadobójczego. Dlatego musiałem zamieszkać razem ze swoim synem na wsi, gdzie żywiłem się korzonkami i pędrakami.

– Zrobimy panu EEG – oświadczył Carpenter.

– Co to takiego? – zapytał Gantro. – Chodzi o zbadanie pracy mózgu?

Carpenter zwrócił się do Ferrisa:

– Prawo mówi, że dusza wstępuje do ciała, gdy dziecko ukończy dwunasty rok życia. A ty przywozisz dorosłego mężczyznę, który jest grubo po trzydziestce. Mogą nas oskarżyć o morderstwo. Musimy się go pozbyć. Odwieź faceta dokładnie w to samo miejsce, skąd go zabrałeś, i tam pozostaw. Jeżeli sam dobrowolnie nie zechce opuścić ciężarówki, użyj gazu – możesz sobie nie żałować – i wtedy go wyrzucić. To zgodne z przepisami. Cała ta sprawa będzie miała duży wpływ na twoją dalszą pracę i stan twojej policyjnej kartoteki.

– Ja muszę tu zostać – oznajmił Ed Gantro. – Jestem upośledzony.

– Dzieciaka też trzeba zabrać – mówił dalej Carpenter. – To pewnie jeden z tych matematycznych mutantów, jakich czasami pokazują w telewizji. Oni próbują cię zrobić. Pewnie już zawiadomili media. Odwieź ich z powrotem, potraktuj gazem i wyrzucić tam, gdzie ich znalazłeś, a jeżeli nie tam, to gdziekolwiek, byle zniknęli nam z oczu.

– Zdaje się, że zaczynasz histeryzować – powiedział zdenerwowany Ferris. – Zrób mu to EEG i tomografię komputerową mózgu. Pewnie będziemy musieli go wypuścić, ale ta pozostała trójka młodocianych...

– Sami geniusze – powiedział Carpenter. – To na pewno zostało ukartowane, tylko ty jesteś za głupi, żeby na to wpaść. Wywał ich z ciężarówki, ale tak, żeby znaleźli się poza naszym terenem, a potem wszystkiemu zaprzeczaj... Rozumiesz? Wyprzesz się, że kiedykolwiek widziałeś choćby jednego z tej czwórki. Zrób tak.

– Wysiadać z pojazdu – polecił Ferris i nacisnął jednocześnie odpowiedni guzik, by usunąć druciane siatki oraz elektroniczne zapory.

Trójka chłopców wygramoliła się ze środka. Ed Gantro ani drgnął.

– On nigdy stamtąd nie wyjdzie z własnej woli – powiedział Carpenter. – W porządku, Gantro, nie chcesz wyjść o własnych siłach, to ci pomożemy. – Skinął ręką na Ferrisa i obaj weszli do ciężarówki. Chwilę później Ed Gantro stał już na chodniku.

– No, teraz jest pan tylko zwykłym obywatelem – z wyraźną ulgą odezwał się Carpenter. – Może pan opowiadać, co chce, ale nie ma pan żadnych dowodów.

– Tato – zwrócił się do ojca Tim. – Jak my teraz wrócimy do domu? – Pozostali chłopcy również skupili się wokół Eda Gantro.

– Stamtąd można by zadzwonić – powiedział mały Fleischhacker. – Założę się, że jeżeli tata Waltera Besta będzie miał dosyć benzyny w baku, przyjedzie tu po nas. Sporo jeździ. Ma nawet specjalny talon.

– On i jego żona dużo się kłóć – dodał Tim. – To dlatego pan Best często wybiera się na nocne przejażdżki. Oczywiście bez niej.

– Ja zostaję tutaj – powiedział Ed Gantro. – Chcę być zamknięty w jednej z tych klatek.

– Przecież możemy stąd odjechać – zaprotestował Tim. Zniecierpliwiony pociągnął ojca za rękaw. – O to nam chyba chodziło, prawda? Pozwolili nam odejść, kiedy zobaczyli ciebie. Udało nam się!

– Nalegam, żeby umieszczono mnie w klatce, razem z innymi przedludźmi, których tutaj trzymacie – powiedział Ed Gantro i wskazał ręką na okazały, reprezentacyjny budynek Ośrodka, pomalowany na jednolicie zielony kolor.

Tim zwrócił się tym razem do Sama B. Carpentera:

– Niech pan zadzwoni po pana Besta. Mieszka tam, gdzie my, na półwyspie. Kierunkowy 669. Proszę mu powiedzieć, żeby przyjechał nas stąd zabrać. On na pewno chętnie się zgodzi. Bardzo pana proszę.

Fleischhacker dodał:

– W książce telefonicznej jest tylko jeden pan Best, którego numer zaczyna się od 669. Bardzo prosimy.

Carpenter wszedł do środka, podszedł do jednego ze służbowych telefonów i odszukał w książce nazwisko, Ian Best. Wybrał numer.

– Dodzwonił się pan pod numer częściowo czynny, a częściowo wyłączony – odezwał się

w słuchawce podпиты męski głos. W tle słyhać było kaśliwe uwagi rzucane pod adresem Iana Besta przez jakąś zdenerwowaną kobietę.

– Panie Best – powiedział Sam Carpenter. – Kilka znanych panu osób czeka w Verde Gabriel na skrzyżowaniu Czwartej i A. Nie mają jak wrócić do domu. To Ed Gantro, jego syn Tim, chłopiec, który nazywa się Ronald albo też Donald Fleischhacker, oraz jeszcze jeden dzieciak, którego nazwiska nie znam. Ten mały Gantro twierdzi, że pan nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby po nich przyjechać i odwieźć do domu.

– Skrzyżowanie Czwartej i A – powtórzył Ian Best. Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. – Czy chodzi o umieralnię?

– Chyba ma pan na myśli Ośrodek – sprostował Carpenter.

– Ty sukinsynu – powiedział Best. – Jasne, że po nich przyjadę. Będę za dwadzieścia minut. Zatrzymaliście Eda Gantro, uznając go za protoczłowieka? Czy wiecie, że on jest absolwentem Uniwersytetu Stanforda?

– Naturalnie, że wiemy – obojętnym głosem odpowiedział Carpenter. – Przecież oni nie występują tutaj w charakterze zatrzymanych, po prostu... są. Jednakże – jeszcze raz zaznaczam – nie zostali aresztowani.

Ian Best, który nagle odzyskał głos i przestał pijacko bełkotać, zagroził:

– Zanim dotrę na miejsce, będą tam już chmary dziennikarzy. – Rzucił słuchawką.

Carpenter wyszedł na zewnątrz i zwrócił się do Tima:

– Zdaje się, że wpuściłeś mnie w maliny, każąc mi dzwonić do jakiegoś zacieklego przeciwnika aborcji. No świetnie, naprawdę super.

Już w kilka chwil później przed wejściem do Ośrodka zatrzymała się z piskiem opon jaskrawoczerwona mazda. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna z jasną brodą i zaczął wypakowywać kamerę oraz mikrofony. Wolnym krokiem zbliżył się do Carpentera.

– Uzyskałem informację, że przetrzymujecie na terenie Ośrodka absolwenta Uniwersytetu Stanforda, magistra matematyki – powiedział zupełnie neutralnym, swobodnym tonem. – Czy mógłbym z nim porozmawiać?

– Nigdy nie zatrzymywaliśmy takiej osoby – stwierdził Carpenter. – Może pan przejrzeć nasze kartoteki.

Reporter, dostrzegłszy jednak trzech chłopców stojących wokół Eda Gantro, zapytał głośno:

– Czy pan Gantro?

– Owszem – odpowiedział Ed.

„Chryste Panie! – pomyślał Carpenter. – No i stało się, zamknęliśmy go w jednej z naszych służbowych ciężarówek i przywieźli aż tutaj. To trafi do wszystkich gazet”.

Na parking wtoczyła się niebieska furgonetka oznakowana symbolami jednej ze stacji telewizyjnych. Tuż za nią nadjechały dwa inne samochody.

OŚRODEK ABORCYJNY LIKWIDUJE ABSOLWENTA UNIWERSYTETU STANFORDA. – Wyobraźnia Carpentera usilnie pracowała, podsuwając kolejne tytuły: – UDAREMNIONA PRÓBA PODDANIA NIELEGALNEJ ABORCJI... I tak dalej. Najważniejsze wydarzenie dnia podane w wieczornych wiadomościach o godzinie 18.00. Najpierw Gantro, a zaraz po nim Ian Best, który najprawdopodobniej jest prawnikiem, w otoczeniu mikrofonów, magnetofonów i kamer.

Wszystko się przybliżyło, dosłownie wszystko. Ci z Sacramento na pewno ograniczą nasze uprawnienia. Od tej pory będzie nam wolno wywozić jedynie bezdomne psy i koty, tak jak dawniej. Niech to szlag”.

Gdy Ian Best przybył na miejsce swoim mercedesem na paliwo węglowe, był jeszcze lekko zawiany:

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy nadłożyli nieco drogi i udali się w podróż powrotną trochę bardziej malowniczą trasą?

– Którą drogę ma pan na myśli? – zapytał Ed Gantro. Był bardzo znużony i pragnął jak najszybciej się stąd oddalić. Niewielka grupa dziennikarzy zdążyła już zadać mu pytania i odjechać. Przedstawił swój punkt widzenia i czuł się zupełnie wyczerpany, chciał wracać do domu.

– Myślałem o trasie prowadzącej na wyspę Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej.

Ed uśmiechnął się i odpowiedział:

– Te dzieciaki powinny iść zaraz do łóżek. Mój chłopak i dwaj pozostali. Do licha, przecież oni nie jedli nawet obiadu.

– Zatrzymamy się przy McDonaldzie – odparł Ian Best. – A potem będziemy mogli ruszyć prosto do Kanady, tam gdzie są ławice ryb i gdzie w wysokich górach nadal leży śnieg, nawet o tej porze roku.

– Jasne – odpowiedział Gantro, uśmiechając się przy tym szeroko. – Możemy tam pojechać.

– Chce pan? – Ian starał się go wybadać. – Naprawdę chciałby pan pojechać?

– Muszę załatwić jeszcze parę spraw i wtedy, proszę bardzo, możemy ruszać.

– Cholera jasna – westchnął Best. – Mówi pan poważnie?

– Oczywiście. Zupełnie poważnie. Wcześniej jednak musi pan dostać na to zgodę żony. Nie można wyjechać do Kanady bez jej pisemnego oświadczenia, że nie pojedzie w ślad za panem. Wówczas otrzyma pan tzw. Kartę Imigranta.

– A więc Cynthia musi wyrazić zgodę na piśmie.

– Na pewno nie będzie stwarzać problemów. Pod warunkiem że zgodzi się pan wysłać jej pieniądze na utrzymanie.

– Myśli pan, że ona faktycznie pozwoli mi wyjechać?

– Jestem tego pewien – odrzekł Gantro.

– Naprawdę jest pan przekonany, że nasze żony wyrażą zgodę? – mówił dalej Ian Best, gdy wspólnie z Gantro pakowali chłopców do mercedesa. – Pewnie ma pan rację. Cynthia z radością by się mnie pozbyła. Wie pan, jak ona o mnie mówi w obecności Waltera? Nazywa mnie tchórzem i obrzuca stekiem innych wyzwisk. Nie ma dla mnie żadnego szacunku.

– Nasze żony – odparł Gantro – na pewno nas puszcza. – Pomyślał sobie jednak co innego.

Spojrzał na Sama B. Carpentera, przełożonego Ośrodka, a potem na kierowcę ciężarówki, Ferrisa, który zgodnie z oświadczeniem swego szefa, złożonym w obecności dziennikarzy przed kamerami telewizyjnymi, został z miejsca zwolniony z pracy z powodu zbyt małego doświadczenia zawodowego.

– Nie – powiedział po namyśle. – Na pewno nas nie puszcza. Zwyczajnie się nie zgodzą.

Ian Best nieporadnie majstrował coś przy dość skomplikowanym rozruszniku, który uruchamiał mocno kopący silnik samochodu na paliwo węglowe.

– Jestem pewien, że nam się uda. Niech pan spojrzy. Stoją tam i tylko się przyglądają. Czy mogą nam coś zrobić, po tym, co pan powiedział ekipie telewizyjnej i co podyktował pan jednemu z tych reporterów?

– Nie mówię o nich – bezbarwnym głosem oznajmił Gantro.

– Możemy po prostu uciec.

– Znaleźliśmy się w pułapce – powiedział Gantro. – W pułapce bez wyjścia. Ale mimo wszystko niech pan porozmawia z Cynthią. Zawsze warto spróbować.

– Nigdy nie dojedziemy na wyspę Vancouver i nie ujrzymy wielkich oceanicznych promów wyłaniających się z oparów mgły, to chciał pan powiedzieć? – spytał Ian.

– Kiedyś na pewno tam pojedziemy. Jestem tego pewien – oświadczył. Wiedział jednak doskonale, że to kłamstwo, wierutne kłamstwo. Miał co do tego absolutną pewność, tak jak czasami ktoś jest przeświadczony, bez żadnych racjonalnych przesłanek, że mówi prawdę.

Wyjechali z parkingu na drogę.

– Dobrze jest – odezwał się Ian – czuć się... wolnym, prawda?

Trzej chłopcy skinęli głowami, ale Ed Gantro nic nie odpowiedział. „Wolnym – pomyślał. – Wolnym na tyle, żeby dojechać do domu. Po to, by wpaść natychmiast w jeszcze większą pułapkę, zostać wepchniętym do jeszcze większej ciężarówki niż ta mechaniczna metalowa skrzynia, którą dysponują w Ośrodku”.

– Wspaniały dzień – odezwał się Ian.

– Rzeczywiście – zgodził się Ed. – Wspaniały dzień, bo wreszcie ktoś zdecydowanie i skutecznie stanął w obronie wszystkich bezbronnych istot, opowiadając się po stronie życia.

Przyglądając mu się uważnie w słabo oświetlonym wnętrzu samochodu, Ian Best oświadczył:

– Nie chcę jechać do domu. Chciałbym wyruszyć do Kanady. Natychmiast.

– Musimy wrócić – przypomniał mu Gantro. – Tylko na pewien czas, ma się rozumieć. Pozałatwiać sprawy. Uregulować różne formalności prawne. Zabrać niezbędne rzeczy.

W czasie jazdy Ian Best powiedział:

– Nigdy tam nie dotrzemy: ani do Kolumbii Brytyjskiej, ani na wyspę Vancouver, ani do Parku Stanleya, ani nad Zatokę Angielską, tam gdzie uprawia się naturalną żywność, hoduje konie i gdzie kursują promy oceaniczne.

– To prawda, nigdy tam nie dojedziemy – przyznał w końcu Gantro.

– Ani teraz, ani później?

– Nigdy – powtórzył Gantro.

– Tego właśnie się obawiałem – powiedział Best. Jego głos załamał się, a samochód zaczął dziwnie odbijać na boki. – Tak właśnie myślałem od samego początku.

Jechali dalej w zupełnym milczeniu, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Nie było już o czym rozmawiać.